

Egz. archiwalny IBL

PISMA

ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

TOM II.

WYDAWNICTWA KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA.

	złr. ct.
Ażr. Pierwszy romantyk, powieść	2 60
BIBLIOTEKA POLSKA. Każdy tom brosz. 1 złr. 80 ct., w opraw.	2 30
T. I II. Krasiński Z. Pisma. Wydanie z przedmową Stan. hr. Tarnowskiego, 2 tomy. III. — VI. Mickiewicz Adam. Dzieła. Wydanie zupełne przez dzieci autora dokonane, 4 tomy. — VII. — X. Zaleski B. Poezye. Wydanie przejrzane przez autora. — XI. Pamiętniki Paska. Wydanie nowe krytyczne, przejrzane przez Dra Węclewskiego. — XII. Niemcewicz J. Jan z Tęczyna, powieść historyczna. — XIII. — XVI. Słowacki Juliusz. Dzieła. Wyd. przej. przez prof. dra A. Małeckiego. XVII. — XIX. El...y, (Asnyk Adam). Poezye, 3 tomy. XX. — XXII. Małecki A. Życie i pisma Juliusza Słowackiego, wyd. drugie znacznie pomnożone, 3 tomy. — XXIII. J. Wybicki, Pamiętniki — XXIV. — XXV. Mickiewicz A. Dzieła. V. VI. — XXVI. — XXVIII. Mickiewicz A. Korespondencya, 3 t. — XXIX. — XXXI. Kitowicz X. Pamiętniki i pisma historyczne 3 t. — XXXII. — XXXIII. Kitowicz X. Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III., 2 t. XXXIV. — XXXVII. Romanowski M., Pisma. 4 t. — XXXVIII. — XXXIX. Słowacki J. Listy 2 t. wydanie II. znacznie pomnożone. Słowacki J. Pisma pośmiertne 3 tomy, wydanie drugie znacznie pomnożone.	
Bronikowski. Jan III Sobieski i dwór jego czyli Polaka w XVII w 2 t.	4 20
Dr. Antoni J. Nowe opowiadania, wydanie drugie	3 —
— Opowiadania historyczne, 1 tom	3 —
— Gawędy z przeszłości. 2 tomy	5 60
El...y. Gałązka heliotropu. Komedia.	— 60
Estreicher. W. Pol, jego młodość i otoczenie	2 80
Jeż J. J. Ostapek. Ustęp z przeszłości emigracyjnej	2 40
Kaczkowski K. gen. szt. lekarz wojsk polskich. Wspomnienia 1808 — 1831, wydał T. Orzechowski, 2 tomy	4 20
Kantecki K. Elżbieta, trzecia żona Jagielly	1 20
— Dwaj Krzemieńczanie. Wizerunki literackie, 2 tomy	3 60
Kubala L. Jerzy Ossoliński, 2 tomy.	6 80
Lemcke K. Estetyka, 2 tomy.	6 40
Liske X. Cudzoziemcy w Polsce. Podróże i pamiętniki	4 20
Listy Tadeusza Kościuszki, zebrane, przez L. Siemińskiego.	2 80
Listy Jana III. króla polskiego, pisane do królowej Kazimiery w ciągu wyprawy pod Wiedeń w roku 1683.	2 80
Niewiarowicz A. L. Wspomnienie o A. Mickiewiczu	2 20
Przyborowski W. Rubin Wezyrski. Powieść	1 80
— Księżniczka z Minsterbergu	1 50
Sas Berlicz. Mozaika. Gawędy szlacheckie, 2 tomy	3 80
Sewer. Bratnie dusze. Powieść	2 40
Stadnicki K. Olgierd i Kiejstut synowie Gedymina, W. Ks. Litwy	2 40
Wilkońska P. Na teraz, powieść,	2 40
Wspomnienia Konstantego Wolickiego, z czasów pobytu w cytadeli warszawskiej i na Syberyi.	2 60
Zachariasiewicz Z. Teorya pana Filipa	2 40
— Jedna krew, powieść	1 80
Zieliński. August II. i Aurora Königsmark, powieść historyczna, 2 tomy	2 60

„DZIEŁA ADAMA MICKIEWICZA“.

Najtańsze ze wszystkich dotychczasowych
WYDANIE STEREOTYPOWE

ułożone w chronologicznym porządku według wskazówek

PROF. DRA A. MAŁECKIEGO.

Cena 4 tomów zbroszowanych 4 złr. 60 cnt.,

w oprawie w płótno 6 złr., ze złotymi wyciskami 6 złr. 60 cnt.,
z przesyłką pocztową o 40 cnt. więcej.

<http://rcin.org.pl>

PISMA

ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

WYDANIE ZBIOROWE

Z PRZEMOWĄ

STANISŁAWA hr. TARNOWSKIEGO.

TOM II.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 79
Tel. 25-68-63

LWÓW.

Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta.
1886.

Kraków. — Drukiem Wł. L. Anczyca i Sp.,
pod zarządem Jana Gadowskiego.

IRYDION.

Et cuncta terrarum subacta. —

LUCANUS.

. Aestuat ingens.

Uno in corde pudor mixtoque insania luctu,

Et Furiis agitatus amor et conscia virtus

Aeneidos, lib. X.



627/2

WSTĘP.

Już się ma pod koniec starożytnemu światu — wszystko co w nim żyło psuje się, rozprzęga i szaleje — Bogi i ludzie szaleją.

A jako Jowisz pan na niebie, tak Rzym pan na ziemi kona i szaleje. Fatum jedno spokojne, niewzruszone, *rozum* nieubłagany świata, patrzy z wysoka na wiry ziemi i nieba.

Wśród zamętu wznoszę pieśń, która mi gwałtem z piersi się dobywa. — Niechaj duch zniszczenia ku pomocy mi będzie, — niech moje natchnienie kręci się i toczy się i rozlega na wsze strony jako piorun burzy, która grzmi teraz nad wiekami przeszłości i wszelkie życie strąca do otchłani — a potem niech umiera jako on po dokonaniu dzieła. Tam nowy świt na wschodzie! Ale mnie już nic do niego.

Gdzie postacie, które tak dumnie i wzniosłe kroczyły dawniej po twoich siedmiu wzgórzach, o Rzymie? — Gdzie patrycyusze twoi z nożem ofiarnym i włócznią w rękę, z sercem pełnem tajemnic, z chmurą zgrozy na czole, ojcowie rodzin, ciemieży plebejanów, ukrócciele Włoch i Kartagi? Gdzie Westalka wstępująca w milczeniu z ogniem świętym na schody Kapitolu?

Gdzie mówce twoi, panowie dusz tysięcy, stojący po nad falami ludu, gwarem poszeptów obwiani i burzą poklasków? — Gdzie żołnierze legionów bezsenni, ogromni, z twarzą spiekłą od słońca, ochładzaną znojem, rozjaśnianą połyskami mieczów? — Wszyscy zniknęli jedni po drugich — przeszłość ich zagarnęła i jak matka tuli do łona. — Nikt ich nie wydrze przeszłości!

Miasto nich podnoszą się nieznane dotąd kształty, ni piękne jak półbogi, ni silne jak olbrzymy tytańskich czasów, ale dziwaczne, migające złotem, z wiankami na czole, z puhami w dłoni, a wśród kwiecica sztylety, a wśród

biesiad trucizny, a w ich tańcach konwulsyjne podrzuty — niby to życie bez granic wśród pieśni i jęków, ryku hyen i nawoływań gladyatorów. — Śmiech z takiej wiosny umajonej krwią i woniami spiekłych kadzideł! — Śmiech z takiego życia! — Ono przejdzie tylko, ono nie nie utworzy, nie nie zostawi po sobie, prócz krzyków kilku i sławy marnego skonania!

Motłoch i Cezar — oto jest Rzym cały!

Izydo, matko wiadomości i milczenia, stopy twoje zbryzgane pianą morza, okryte pyłem długiej podróży, obca mowa brzmi naokoło ciebie — i stoisz na *forum romanum* i dotąd się rozpatrzyć nie możesz, kędy sama jesteś, kędy brzegi Nilu.

Z pagórków Armenii, z nizin Chaldei, Mitra też pan młodości i śmierci ciągnie ku Rzymowi i już stanął w lochach Kapitolu i nożem ofiarnym potrząsa wśród głuchej nocy nad trupami ofiar.

W portykach greckich, w słodkim cieniu korynckich filarów barbarzyńskim chodem stąpa syn północy — stanie czasami i na toporze wsparty szuka błękitnemi oczyma, czy gdzie nie spotka Odyna, Boga ludów swoich.

Odyn Cymbrycki dotąd się nie zjawił — żal mu borów sosnianych i śnieżnej pościeli i szarego nieba i chórów Walhalli. — Ale chwil kilka jeszcze — i on puści się na pielgrzymkę do Rzymu!

Naprzód, Bogi i ludzie! — Drogi wasze się pokrzyżują od wschodu na zachód, od północy na południe. — Miejsca dla was nie będzie. — Idźcie więc i kołujcie, błądźcie i wracajcie potem.

Tak zwykle przed śmiercią bywa.

Naprzód, Bogi i ludzie! — szalejcie do woli — ostatnia to szal, ostatnia to gonitwa wasza — a Fatum z was się urąga, krzyż godłem swoim wzięło i wy wszyscy wcześniej czy później padniecie przed krzyżem.

Z tego świata co się zżyma i kona wycisnę myśl jedną jeszcze — w niej będzie miłość moja, choć ona jest córą szaleństwa i zwiastunką zguby!

Naprzód w szal, naprzód w tan, Bogi i ludzie, w około myśli mojej — bądźcie muzyką, co przyspiewuje jej marzeniom — burzą, pośród której ona się przedziera jak

błyskawica — bo imię jej nadam, postać nadam, i choć poczęta w Rzymie, dzień w którym Rzym zginie nie będzie jej ostatnim. — Ona trwa dopóki ziemia i ziemskie narody — ale za to w niebie dla niej miejsca nie masz?

Gdzież jesteś, synu zemsty — w jakiej ziemi leżą zwłoki twoje? — Duch twój pomiędzy jakimi duchami?

Ze świata gruzów wywołałem cienie umarłych — w nocy na forum stanął senat przedemną — schylone widma, obarczone pamięcią podłości i między nimi nie było ciebie!

Gladiator powstał z lochów cyrku i szedł na czele swoich przy świetle księżyca — przebili wszyscy — usta sine powtarzały w śnie śmierci: „*Morituri te salutant, Caesar!*“ — ale pomiędzy nimi nie odkryłem ciebie.

Na Palatynie, na wzgórzu ruin i kwiatów, panów świata dla mnie wzruszyły się prochy — płynęli przedemną — diadema krwią złutowane trzymało się ich czoła — każdy na czole niżej miał znak potępienia — purpura na ich barkach powiewała, a z za niej świeciły gwiazdy przez otwory wydarte sztyletami zabójców — ale i tam nie ujrzałem ciebie.

Męczenników Chrystusa słyszałem śpiewy i modły. — Dźwięki te wzlatywały z katakomb i szły prosto ku niebu — był tam głos jeden niewieści, smutniejszy, piękniejszy nad inne — znany tobie kiedyś, ale teraz sam jeden nie związany z twoim.

Gdzież jesteś, synu zemsty, synu pieśni mojej! Już czas zmartwychwstać by deptać po zwłokach olbrzyma... pamiętasz — przysiągłeś. — Wyrzekłeś się nadziei, wiary, miłości, by raz tylko, raz jeden spojrzeć, a potem zanurzyć się tam, gdzie miliony....

Godzina dobiega — bo kędy miasto wieczne panowało, dziś grób szeroki, rozwarty, napełniony kośćmi i gruzem, opleciony pełzającym i bluszczem i ludem. — Powstań — chodź — wzywam cię. — Ja i straszniejsza potęga jeszcze od której cię wybawić nie zdołam, ale imię twoje oderwę od ciała twego i ono na zgubę nie pójdzie wraz z tobą!

Zdała odemnie! — nie dla was te dzikie manowce — w kampanii rzymskiej zostańcie u stóp Appeninów, towa-

rzysze moi. — Ja pójdę, ja go raz jeszcze chcę ujrzeć przed zgonem, przed śmiercią na wieki!

W tej jaskini leżącej wśród mroków przepaści, on na marmurowem łożu rozciągnięty, bez oddechu, bez sennych poruszeń, bez żadnego marzenia, czeka na przebudzenie — obiecane — straszne, i na dzień sądu bliższy dla niego, niż dla reszty świata!

Starożytne próchna świecą naokoło jak oczy sfinksów — wąż z łuską promienistą śpi od wieków przy stopach jego — rysy zasępione, spalone gorączką, sen tak długi chłodu po nich rozlać nie potrafił.

Kształty jego ciała podobne do kształtów greckiego posągu i takich już dzisiaj nie ma na tej ziemi — nogi białe jak marmur paryjski w czarnych koturnach, złożone na czarnej pościeli. — Ztąd i z owąd, pod niemi, nad niemi, mehy i bluszcze się wiją.

Tunika biała na piersiach spoczywa — odłamek lampy w dłoni i miecz rdzą ztoczony u boku spoczywa — a druga ręka opuszczona, martwa i palce jej skurczone, jak gdyby zasnął w rozpacz.

On cały zawieszony leży między snem a śmiercią — między ostatnią myślą którą pomyślał przed wiekami a tą, która nie długo w nim się obudzi, między potępieniem życia całego a potępieniem wieczności.

Nim powstaniesz, opowiem twe dzieje.

W Chersonesie Cymbrów, w ziemi srebrnej potoków, ojciec twój niegdyś stapał brat za brat z królami morza, choć przybył z odległych stron, choć cudzą miał grecką mowę i twarz greckiego półboga.

Ale polubiły go niewiasty i męże, bo powieściami długie słodził noce, a we dnie pierwszy był do walki i biesiady. — Manowce szarego oceanu bitą drogą mu były — w połysku gwiazd niebieskich wyczytywał pogody i burze — najcieńszą włócznią przerzucał najwyższe maszty i za wichrami goniąc spokojne miał czoło.

Na lądzie róg jego dzwonił po dolinach i skałach. — Niedźwiedź nigdy mu się nie potrafił odjąć — a kiedy wrócił z łowów lub rozbicia, kładł się na mech, na paprocie,

i spełniając gęste puhary opowiadał gonitwy, zapasy, rozboje. — Na dalekich wodach dom jego nabijany kością słoniową i złotem — sługi niewolniki stojąc na progu pod lasem filarów, patrzą na morze, zasiane wyspami błyszczącymi jak gwiazdy i wyzierają jego powrotu — ale on się nie spieszy, bo polubił dźwięk trąb konchowych i śpiew kapłanek Odyna — bo młodość swoją puścił na błędy i zmienne losy, by później dokonać wielkiego zamiaru — i puchar podnosi do ust, i pije zdrowie króla mężów, starego Sigurda.

„Grimhildo, córo Sigurda, lud mój od wieków nosi kajdany i jęczy — wraz z ludem moim sto innych ludów po wszystkich brzegach mórz południowych usiadło na zwirze i płacze“.

„Żeby ich wyzwolić trzeba mi twojej piersi natchnionej! Ja sam rodem jestem niewolnik, ale duchem mściciel — wrogi moje silne jak tytany — żeby ich podkopać i obalić trzeba mi twojej piersi natchnionej! — Dziewico poświęcona Odynowi, ty wejdziesz w progi moje, ty będziesz towarzyszką moich trudów, i dzieci nasze kończyć będą dzieło moje — a ono się przeciągnie w późne wieki wieków!“

Tu ojciec twój umilkł i stopniami ogarniał ją potęgą wzroku i milczenia swego — ona stojąc na skale, spoziera na szarą nieskończoność morza, z rozpuszczonym włosom, z zamglonemi oczyma, bezsilna, szalona miłością. — Już Odyna pawęż jej nie zasłoni, porzuci stopy ołtarza i pójdzie z obcym na dalekie brzegi.

„Hermesie! dawniej wojownicy nasze nie śmieli spojrzeć na czoło moje. — Tyś się zjawiał jak bohater zstępujący z Walhalli, tyś rzekł: „Grimhildo“ i patrz ja muszę być niewolnicą twoją“.

„Nie znam ojczyzny twojej, wrogów twoich nie znam, kraj do którego mnie ciągniesz nigdy we śnie nawet nie ukazał się przedemną, a pójdę, pójdę nieszczęśliwa — zhańbiona pośród dziewic — przekłeta gniewem Odyna — tylko pozwól raz jeszcze mi zasiąść na świętym głazie i odśpiewać pieśń ostatnią!“

Amfiloch Hermes szedł za dziewczicą na pokładach mchu, na warstwach granitu, przez święte bory szronem

obwisłe, wśród ryku wodospadów — sosny tłumem cisnęły się wszędzie; z ich tłumu czasem szkielet dębu się wydostanie uwieńczon jemiolą. — Wyżej niebo gorzkie, ołowiane — po bokach tysiąc manowców krąży i woła za sobą na puszcę — ale dziewica zna ścieżki wiodące do Boga z którym idzie żegnać się na wieki.

Wodzowie hord, panowie gruntów, królowie morza, majtki i ich towarzysze stoją w półkolu przed posągami Odyna i czekają na kapłankę. — Jeden tylko Sigurd z pokolenia Bogów, król wszystkich, usiadł na pniu ściętej sosny i ogromną dłonią zakrył czoło — pierś jego nadyma się pod pancerzem z łusk rybich — ale milczy i wszyscy za nim milczą — słysząc tylko szum morza bijącego o skały za borem.

Grimhilda przeszła pośród nich z oczyma wlepionymi w posąg Odyna, ku któremu stapała w groźnej powadze. — A cudzoziemiec pozostał z tyłu, wśród orszaku swoich, z założonemi rękoma na korynckiej zbroi, oparty o drzewo.

Pod występującem sklepieniem jaskini, na glazie tajemnicami zapisanym, usiadła i zdała się marzyć. — Bóg północnych plemion stoi nad nią, broda jego i włosy skrzepłe lodem, przypruszone śniegiem, oczy szklane, rażące, w olbrzymiej dłoni maczuga krwią ofiar zboczona, a w piersi głęboka rana, którą zadał sobie, kiedy dopełniwszy ziemskiego wcielenia zażądał wrócić do biesiad Walhalli.

Sen jej trwał długo i teraz powoli z niego się budzi, zwolna podnosi ramiona, mówi jeszcze tłumionym głosem: „Znam cię, Panie, wśród bohaterów twoich. — Duch twój czarnym strumieniem zbliża się do łona mego — huczy wokoło mnie jak potok co rozrywa glazy. — Ja tam gdzie wiry twoje. — Ja tam gdzie wszechmocność gniewu twego — siła twoja moja — słuchajcie mnie wszyscy“.

Odrzuciła nagle powieki z po nad palających źrenic — ręce wywarła ku tłumowi i ręce jej drżały jak w chwili konania — w głosie jej były dźwięki zarwane z mowy bohaterów co wstąpili na chmury i teraz wśród burzy przełatując wołają na dzieci swoje:

„Po co biegniecie dniem i nocą, bracia moi. — Syny ludu mego, kto was pędzi z tyłu. — Kto wam kazał porzucić ziemię srebrną potoków?“

„Olbrzymy przykute podnieśli się z śniegów na których leżeć mają aż do końca świata, podnieśli się na pół i bijąc łańcuchami o szczyty z lodu w nozdrza chwytają zapach krwi z oddali.“

„Czy słyszycie jak młot Thora w pył druzgoce hełmy i puklerze, czaszki i piersi ludzkie? — Śmiech karłów rozlega się w przestrzeni — włócznia Horgebrudy zawieszona nad ziemią całą!“

„Kto wam podoła, o potomki moje? — Coraz dalej pędzicie ku miastu wielkiemu. — Tam czeka na was biesiada — puławy pełne krwi nieprzyjaciół. — Każdemu z was przygotowane jest miejsce. — Zasiadajcie w chwale, syny moje!“

Głos jej upadł nagle i w szmer się zamienił — oczy szukają czegoś w świecie widzeń, który się przed nią rozciąga — usta wysilają się na słowo jakieś. — To słowo powstaje, rośnie w głębinach jej duszy, jak wąż okraża jej serce i jak wąż ucieka, kryje się znowu — ona darmo za nim goni, cała blada, nieszczęśliwa, mdlejąca. — Jeszcze chwila — może go wyrwie z łona, bo wzrok jej płonie, twarz nowym zajaśniała szalem:

„Miasto, miasto na siedmiu wzgórzach pali się pożarem — kruszcze drogie, przejrzyste kamienie, topią się i płyną. — Ciała topią się na krew i płyną. — Zamek wielki i Bóg wielki na nim runął! na pomoc, Odynie — umrę jeśli nie wypowiem tajemnicy twojej — imię jego — kto mi powie imię jego?“

I odpadła głowa matki twojej i zawarły się jej usta — król dotąd trzyma dłoń na twarzy, ani razu nie spojrzał na córkę i wszyscy stoją niewzruszeni, bo nikt nie śmie przystąpić do świętego głazu.

A więc Bóg twój oniemiał i ty z nim umilkłaś na wieki — po nad twojemi ustami cisza grobowa — na czole twojem lodowatość śmierci. — Ale ten, który ci inną Ojczyznę obiecał, nie opuści ciebie — ruszył się z pod cieniów dębu i sam natchniony stąpił ku tobie. — Krzyk oburzenia powstał w tłumie, królowie morza włóczniami uderzyli w puklerze. — Siwe Skaldy wyrzekli przekleństwo. — Ale on już przeszedł straszną zagrodę, już nachylił się nad Tobą, podaje ci rękę i rzecze:

Przez imię Roma, imię wrogów moich i twoich wołam cię do życia, powstań, Grimhildo!.... I odwrócił się i krzyknął trzy razy: ROMA — a dziewczica obudzona podniosła się, powtórzyła raz jeszcze słowo tajemnicze, powtórzyła głosem pożegnania cichym i niewieścim, i poszła za cudzoziemcem jak żona za mężem.

Teraz ojciec twój, senny młodzieńcze, stoi na pokładzie i z uśmiechem niedowiarstwa w ocean pełne wylewa kielichy na cześć Posejdona, potem ku majtkom się odwraca i mówi: „Silniej żagle, dzielniej wiosła trzymajcie, a Bóg Trójzęba wnet uśmierzy te fale.“

Pod ich stopami drży każda belka jak ciało niewiasty, u widnokregu ciemności warstwami się pokładły — z ich łona płyną bałwany zbierające się w kłęby, to rozpuszczając się w nurty, jak niegdyś wąż Piton nim legł pod strzałami słońca — naprzemian pękają tonie i spajają się białemi pianami — naprzemian w szumie wiatrów głucho oddechy i przeraźliwe jęki.

Pod dachem wspartym stękającymi słupami usiadł Hermes na futrach wywiezionych z Chersonesu Cymbrów, i spokojnym głosem tłumaczył dziewicy świat, do którego się zbliżała — opisywał jej wyspę o winnicach i gajach w pobliżu wielkiego lądu — on tam ma swoich oraczy i kupców, dom i okręty swoje. — Tam skarbee jego pełne kosztowności i broni — i ta broń zda się kiedyś! bo w tamtych stornach ród ludzki nie hasa pod wodzą bohaterów — ale ujarzmiony, hańbę swoją ubiera w złoto, marmury, jedwabie i liże stopy miasta wznoszącego się na między-morzu.

To miasto niegdyś w obliczu świata stało się Bogiem kłamstwa i ucisku — pod jego technieniem śmiertelnem brat powstał na braci, syn na ojca, zdrajca na ojczyznę, i jako czas niezużyte, ono pożarło wszystkich królów ziemi! Tu pogoda zesła z czoła ojca twego i stał się podobnym do burzy, która statkiem miotała.

„Hellada moja była niegdyś duszą narodów — pieśni jej były pieniemi świata. — Barbarzyńców zuchwałych co przyszli od wschodu, odpędziła szczękiem szabel i dźwiękiem strun swoich.

„Ogień niebieski wydarty Bogom, jej tylko jednej, jej tylko dostał się w udziale — nieszczęśliwa zaufała miastu przekłętemu. — Dziec z między-morza przy płynęła do jej wysp szczęśliwych, do jej mirtowych nadbrzeżów. — Nie zdobyli jej bronią; ale rozdzielili jadem pochlebstwa, upoiili nektarem obietnic!”

W tej chwili rozejdą się chmury — wiatr je rozpruła na zachodzie i kilka gwiazd zamignęło — Hermes raz tylko rzucił okiem i kiedy znów tonęły w wyziewach, krzyknął do sternika: „na prawo, całą noc na prawo, a o tej samej porze jutro przepłynięm Gadesu cieśninę!” — I dalej tuląc ją do łona rozpowiada o przodku Filopomenie, przedostatnim z ludzi, którzy walczyli przeciw miastu podłacemu — po nim raz jeszcze król barbarzyniec wyszedł w pole i przegrywał lat trzydzieście, aż legł własną ręką przebitą — od dnia tego nikt już trzeci się nie zdarzył na obronę ziemi!

Chwilą milczenia, chwilą rozpamiętywania uczył pamięć wielkiego Mitrydata, potem wrócił do smutnej powieści — ona słuchała z niewzruszonemi, palającemi oczyma. — „Grimhildo, Bóg twój dał ci zgadnąć natchnieniem to co sam wydobywałem nie raz pracą nienawiści, domysłem nadziei, z noce przyszłych wieków — cieszymy się, królewska córo — bo miasto nieprawości po zabiciu wszystkich żyjących i wolnych, rozpoczęło teraz samobójstwo swoje!

„Skarby wyssane z całej ziemi już im wkrótce nie wystarczą — niedługo oręż z ich rąk się wysunie — wśród rzezi i festynów dobijają im ostatnie chwile. — O żono moja, śmieć się z tych fal i wichrów, bo my tu nie zginiemy, my będziemy częścią wielkiego zniszczenia!

Po tych słowach głos bohatera przybrał jeszcze bardziej gorzkie i szyderskie dźwięki — wspomniał o bogach Hellady potężnych kiedyś, którym dzisiaj już rzadko kto wierzy; wyrocznie ich oniemiały oddawna, ale posągi stoją dotąd, bo świat stary odzwyczaić się nie może od nałogów młodości — wszystkie bogi ziemi objawiły się w mieście przekłętwa. — Jedne piękne, podobne nieśmiertelnym, bo greckiego dłuta — inne potworne, wyrosłe na piaskach pustyni, po szczytach gór dalekich — ale on wie, że jest tylko Bóg jeden, który przed wiekami położył dłonie na wirach chaosu i zwyciężył go na wieki!

Imię jego? zapyta kapłanka Odyna.

— Przeznaczenie — i poszedł ku sterowi łodzi bo podwajała się burza.

Czy pamiętasz wyspę Chiare, na której wzrosliście, ty i siostra twoja, boska Elsinoe? — Czy pamiętasz wyprawy ojca, kiedy na maszty zarzucał żagle nie trójkątne greckie, ale barbarzyńskie podłużne, sam w dackim kołpaku, z toporem Cymbrów w dłoni, z zatoki wymykał się nocą i puszczał na manowce archipelagu?

Wszystkie myśli Jugurthy i Mitrydata odżywały w jego duszy — ku dzikim plemionom latały nieustannie chęci jego i prace. — To gdzie błota meockie, gdzie pustynie i wiatronogie rumaki, to gdzie Syrty w głębiach Afryki i jadem zaprawione strzały, błakał się na przemian szukając nieprzyjaciół nieprzyjacielowi swemu — dłonie królów dzikich ściskając, ucząc się ich mowy, broń ich zatykając na piersi swojej, sypiąc im dary i rozżarzając ich chucie obietnicą rozkoszy i łupów.

Wtedy matce twojej bolesno schodziły dni i nocy. Ale niewolnik żaden, obcy żaden, nie wyczytał cierpienia z jej rysów; usta jej nie drżały kiedy rozkazywała.

Czasem tylko, wzięwszy was oboje za ręce, wiodła przez długie portyki w głąb pałacu. Tam w framudze nabijanej mchem i konchami, stał wojownik z głazu.

Dzikość nieśmiertelna marszczy mu skronie — w ręce trzyma czaszkę zabitego wroga, a u stóp Jego bryły lodu wykute z paryjskiego marmuru.

Przed nim schyla głowę matka twoja i duma nad ubiegłą Ojczyzną: „Iridionie mój, Sigurdzie mój! ty ziemi srebrnej nie obaczysz nigdy, ni dziada twego, króla mężów. — Patrz: — oto Bóg mój święty — natchnienie moje straszne, to Pan Walhalli, niezwalczony Odyn.“ — I córkę przyciskając do piersi: „Gdzie ojciec, Elsinoe, mów, gdzie Hermes w tej chwili? słyszę wiatrów szumy i fal żałobne jęki. — Okręt jego pośród wód nieskończonych, nachylony, odarty z żagłów, lub może na bezbożne wyrzucony brzegi... ale nie — on zwycięży burze, on odejmie się dzikim i wróci do nas z chwałą pół-Boga.“

A kiedy róg przybywającego odezwał się od morza, kiedy bliżej zagrzemiał wśród gajów cytrynowych, kiedy nocną rosą obwisły, spiekły słońcem i dżdżami zczerniony, rzucił się Hermes w objęcia żony i oko jego czarne, namiętne, blaskiem nadziei pałało — wtedy znów bywały dni pogodne i szczęśliwe na Chiarze; zapomniała kapłanka o gorzkich przecuciach, a wy biegaliście swobodnie, rozkosznie, po trawnikach, wśród kwiatów, po nadbrzeżach wśród muszli, po salach marmurowych wśród trojnogów i kadzideł, odpoczywając na łonie matki, na ojca kolanach; a on co wieczór błogosławiąc wasze głowy do snu pochylone: „Pamiętajcie powtarzał, nienawidzieć Romy. — Dorósłszy, niech każdy z was ściga ją przekleństwem swoim. — Ty żelazem i ogniem — ty natchnieniem i niewiasty zdradą.“

Czasem też do Chiary prokonsul lub pretor, lub wyzwoleniec jaki Cezara przybywali w goście — wtedy Hermes kazał zastawiać długie łoża i stoły. — Lesbiskie wino płynęło strugami — brzmiały głosy niewolnic, niewolników lutnie, pieśniami starego Homera. — „Anakreonta, Anakreonta“ wołali Rzymianie. — Wtedy z szyderskim uśmiechem ojciec twój, skinąwszy na śpiewaków, Rzymianom pełniejsze nalewał kielichy, świeże rozdawał wieńce, a kiedy wpadli w szum i żarty, znienacka mówił o dziejach przeszłości, o chwale państwa, wspominał z Kartagą przewalczone boje, wycięte Varrusa Legiony i Hiszpańskie Sertoriusza bunt — i pił zdrowie Imperatora aż puchar pękał w palcach jego!

Już zbliża się trzynasta rocznica dnia, w którym kapłanka opuściła bogów. — Głos jej dziczeje, kiedy woła na dzieci swoje — wzrok jej dziczeje, kiedy je tuli do łona — wspomina ojca, siostry, wodzów ludu, i na pół przerywane słowo pożegnania z ust jej wypada. — Przed jednym Hermesem upokarza się jej obłąkanie: „Czego ci niedostaje, Grymhildo moja, królewska córo?“ — „Czy słyszałeś o zemście duchów nieśmiertelnych? — na czas tylko ja byłam twoją — u krańców ziemi leży wyspa okuta lodami — góra na niej buchająca płomieniem. — Tam przykutą olbrzym śmierci już ramię wyciągnął, już nachyla dłoń ku otchłani by rzucić kłębek śnieżny życia mego.“

Hermes dłoń rozciąga nad jej skroniami. — Cień jego rąk, gdyby strumień pokoju spada na jej czoło, wlewa się do duszy: „Patrz na to niebo gorejące, na to morze iskier, gdzie chmury twej północy i nieużyte bogi twoje — gwiazda Amfilocha cię broni — ona cię nie wyda złym duchom.“ — Ale i jemu ciężar jakiś serce przyciskać zaczyna.

Jakiż to krzyk uderzył o wnętrze sklepienia i rozbił się aż na filarach portyku? — Spieszą niewolnicy w głębie pałacowe do komnaty Pana. — Tam na porfirowem łożu rozciągnięta kapłanka, a wódz Grecki stoi u węzłowie z pochyloną głową i depce czarę, na której brzegach ostatnie krople się sączą. — Oni spuścili oczy, słuchają, czekają, a kiedy się odwrócił zadrżeli wszyscy — bo pierwszy raz w życiu boleść wyższa nad siły rysy mu kaziła; — odwrócił się — wskazał by mu syna przyprowadzić i córkę.

„Grimhildo! teraz Ja twego Pana wyzywam — Tam gdzie wśród bohaterów krew pije na najwyższym tronie pałacu swego, tam niechaj dojdzie przekleństwo Amfilocha Greka. — O żono! nie opuszczaj mnie — daremno — daremno — kilka kropel tylko zostało — cały puhar trucizny wrze w piersiach twoich, o Grimhildo moja!“

Podniosła się i bladą była jak posąg na sarkofagu: „Widziałam go po trzykroć w nocy — siedł z Walhalli podobny do czarnego oceanu i wołał na mnie: o kapłanko moja.“

„Nad śpiącym Irydionem, nad śpiącą Elsinoe zawiesił ramiona ciężkim odziane żelazem i groził im w potęgę swojej — przeklinał ich życie ziemskie jeśli nie pójdę do niego.“

„Na czas tylko byłam twoją. — Tam pod jego stopami leży nóż ofiarniczy i zasłona czarna, wieniec pogrzebny kapłanek. — Ty go złożysz przy mnie, ty mi ją rzucisz na skronie po śmierci.“

I zehodzi ku niemu po stopniach z marmuru — kibić wyniosła podana naprzód, śnieżne ręce wyciągnięte, drżące jak gdyby cienie śmierci rozgarnąć chciała, a fałdy szaty białej wloką się za jej stopami. — Zeszła, na meżu się oparła — on ją opasał ramieniem i ku przybytkowi stąpać zaczynają. — On idzie krok za krokiem, walczy z nieznaną potęgą, zatrzymał się i wzrok cisnął ku niebu jakim

Prometeusz ze skały, Laokoon z nadbrzeżów morza wyrzucał bogom nędze tej ziemi; ale do jęków się nie zniża, milczy i znów idzie dalej. — Przeznaczenie ich oboje porywa za sobą.

Wzrok Jej zlał się wtedy ostatni raz na głowę twoją Irydionie — u stóp Odyna żegnała cię imieniem dziadowskim: „Sigurdzie, bądź mi kiedyś postrachem dumnych. — Elsinoe, duch mój będzie zawsze z tobą — pamiętajcie o ziemi potoków i o Bogu moim — o dzieci moje, ja dla was umieram,“ — usta jej zbieleły — sine cienie łamia się po twarzy i naprzemian to woła, to odpiera was od zatrutego łona.

Nagle myśl Jej porzuci przytomnych i wraca w inne strony i czasy. — Tam ojciec duma stary — tam ją królowie przeklinają — wyciągnęła rękę — umierając, prorożkować będzie: „Bracia moi, do boju — na siedmiu wzgórzach namioty wasze — na szczycie Kapitolu biesiada wasza — a tam nisko w dole zgrzyta i płacze w łańcuchy spętana, zdeptana Roma, Roma, Roma!“ —

I upadła przed Bogiem swoim. — Amfloch podniósł ją w objęcia — chciała ramieniem obwiązać mu szyję — opadło ramię. Sama na wznak się chyli, włosy jej zlewają się na dół coraz niżej i niżej, aż z jego rąk drętwiejących na marmur stoczyło się ciało.

Przyklął i czarną zaslonę, wieniec pogrzebny kapłanek złożył na jej czole — potem wstaje w dzikim obłąkaniu i woła: „Gdzie topór z Cherezonesu Cymbrów, niewolniki?“ — Podali mu go drżące niewolniki — on go wziął, ścisnął i zbierając wszystkie siły śmiertelne przeciw nieśmiertelnym, stąpa ku posagowi. — Żelazo podniósł, trzy razy błyskawicę ważył po nad głową, a za czwartym razem obalił Boga, wroga swego, i zdeptał w milczeniu rozpacz!

Taki ród twój, taką przeszłość twoją, potomku Filopomena, wnuku króla mężów, senny Irydionie! — A teraz Ojciec twój porzucił dom przodków na Chiarze i z urną Grymhildy płynie ku Rzymowi. — On stracił tę, którą kochał — osiadzie więc pośród wrogów i przynajmniej pełnem sercem nienawidzić będzie, a dzień przepowiedziany, dzień zniszczenia, nadciągnie tymczasem.

CZEŚĆ PIERWSZA.

Sala w pałacu Irydiona w Rzymie. — Z obu stron rzędy kolumn ginące w głębi. — Pośrodku fontanna i kadzidła palące się w trójnogach. — Irydion pod posągami ojca swego. — Niewolniki zapalają światła w lampach z alabastru.

I. NIEWOLNIK.

Syn Amflocha oparł głowę o nogi umarłego —

II. NIEWOLNIK.

O zimne stopy z marmuru i zasnął —

III. NIEWOLNIK.

A tymczasem w Gineceum siostra Jego, pani nasza, mdleje i płacze.

IV. NIEWOLNIK.

Przez Polluxa, słyszałem z ust pewnych, że porwą ją dziś wieczorem murzyny Heliogabala.

NIEWOLNIK I.

Pokój Jemu — wychodźmy, bracia, wychodźmy.

(Przechodzą.)

IRYDION.

Przesunęli się jak cienie, szanując spokój ducha mojego. — O Ojczy, dla nich i dla wszystkich dotąd we śnie leżę — ty jeden wiesz, że ja czuam.

(Wstaje i idzie do tarczy bronzowej, na której pugiinał zawieszony.)

Zmierzch zapada, godzina już bliska. — Oni przyjdą zaraz — w podobną godzinę stary Brutus musiał własnych synów zabijać.

(Uderza o tarczę.)

Elsinoe — Elsinoe!

Ot! idzie ku mnie jak widmo nieszczęścia — wieniec cyprysowy włożyła na skronie — matka jej niegdyś tak stapała pod gniewem Odyna.

ELSINOE (wchodząc.)

Czy już przybyli służalcy, czy już zaszedł rydwan przeklętego?

IRYDION.

Nie jeszcze — ale chciałem raz ostatni cię natchnąć duchem ojca mego.

ELSINOE.

O Bracie.....

IRYDION.

Wiesz sama że Cezar nalega w szale — że senat przeważał cię już boską i posagi twoje stawiać rozkazał po świątyniach miasta — wiesz sama żeś nie siostra moja, żeś ty nie jasnowłosa Elsinoe, nadzieja domu rodzinnego, pieszczota serca mego — Tyś ofiarą naznaczoną za cierpienia wielu i za hańbę ojców twoich!

ELSINOE.

Tak — uczyliście mnie tego od dzieciństwa i gotowa jestem. — Ale jeszcze nie dzisiaj, nie jutro — trochę później, aż sił nabiorę, aż nasłucham się nauk Masinissy i rozkazów twoich — aż do dna puhar waszej trucizny wypiję!

IRYDION.

Wybrana, gotuj się do losów twoich. — Spieszno nam po drodze, na której stąpamy.

ELSINOE.

Przypomnij sobie, kiedyśmy igrali na trawnikach Chiary, jam cię tak kochała, o bracie, jam zawsze skronie twoje różami wieńczyła i mirtem. — Oh! zmiłuj się nademną!

IRYDION.

Niewiasto, ty mnie kusisz do litości, — daremno, daremno!

ELSINOE.

Na co prośb i żalów tyle. — Zdarzało się za dawnych czasów, że można było śmiercią okupić się ludziom i Bogom — patrz — tam błyszczy twój sztylet, Irydionie — przyspieszmy sobie nicość Irydionie!

IRYDION.

Bluźnisz myślom ojca mego. — Trza żyć i cierpieć by wielki duch Amfilocha rozradował się pośród cieniów. — O sestro! dawniej dla zbawienia narodów dosyć było życia jednego człowieka — dziś inne czasy — dziś cześć poświęcić trzeba.

(Obejmuje ją ramieniem).



Dziś w różę się uwieńczysz, w uśmiechy się wystroisz, o biedna, złóż tu głowę skazaną — ostatni raz w domu ojcowskim brat cię przyciska do łona. — Żegnaj mi w całej urodzie świeżości dziewiczej — już ja ciebie nie ujrzę młodą — nigdy, nigdy już. — On cię przepsuje technieniem zatrutem, on..... ale on zginie; czy ty rozumiesz, siostró, on zginie wraz z całym państwem swoim!

ELSINOE.

Teraz na twojej piersi, o bracie, a za chwil kilka na czyjej?

IRYDION.

Te filary drżą na podstawach swoich, plamy jakieś czarne biegają między niemi. — Bogi, nie dajcie mi upaść u wejścia do areny. — Masinisso, przybywaj.

GŁOS Z ZA FILARÓW.

Kto się waha, ten urodził się do słów nie do czynów. — Śmiechem go witać i śmiechem go żegnać będę.

(Wchodzi) MASINISSA.

Posłanniki Cezara już idą ku twojemu pałacowi.

IRYDION.

Ty, na którego czole napisane słowo — potęga! — Ty, co stoisz nad grobem tak wyniosły jak za dni twojej młodości, natchnij mnie siłą w tej wyrocznej chwili!

MASINISSA.

Gdzie dziewice wybrane — gdzie wieniec z kwiatów dla oblubienicy Cezara?

(Zrzuca cyprysy z głowy Elsinoi).

Dziś zaczyna się dzieło nasze!

(Z głębi sali wchodzi służebnice z drogiemi szaty).

CHÓR SŁUŻEBNIC.

Jaką była Afrodyta wstając z błękitnego Oceanu, pośród tęcz piany morskiej, pośród woni Zefirów, taką ty będziesz, — niesiemy ci różę, kadzidla i perły.

IRYDION.

Weź jej ramię, starcze.

(Prowadzi siostrę pod posąg Amfiocha).

Śluchaj mnie, niewiasto, jak gdybym umierał, jak gdybyś już głosu mego nigdy usłyszeć nie miała.

Wejdiesz w progi nienawistne, będziesz żyła wśród przeklętych, ciało twoje oddasz synowi sprośności — ale

duch twój niech czystym i wolnym zostanie; — osłoń go tajemnicą, uczyni go niedostępnym jako niegdyś był przy bytek, w którym matka nasza prorokowała!

ELSINOE.

Biada, biada sierocie!

IRYDION.

Nie daj nigdy Cezarowi zasnąć na piersi twojej — niechaj wszędzie słyszy pretorianów wołających do broni, Patryciuszków knujących spiski, lud cały walący do bram pałacowych — a to czynić będziesz powoli, dniem po dniu, kroplą po kropli, aż go szaleńcem otoczysz i wyssiesz całe życie z serca Jego. — Teraz powstań — zbliż głowę.

(Kładzie ręce na jej włosach).

Poczęta w pragnieniu zemsty, wzrosła w nadziei zemsty, przeznaczona niesławie i zagubie, poświęcam cię Bogom Manom Amfilocha Greka!

ELSINOE.

Głosy Erebu odzywają się zewsząd — o matko moja!

CHÓR NIEWIAST (otaczając ją).

Czemu drżą członki twoje pod śnieżną zasłoną, pod wstęgami z purpury, któremi obwiązuję ci piersi? — czemu bledniesz pod wieńcem, który splotłyśmy dla ozdoby czoła twojego?

IRYDION.

Patrz — mdleje nieszczęśliwa!

MASINISSA.

Nie — ona żyć zaczyna jako żyć jej trzeba. — Czy widzisz jak te usta spienione pracują?

ELSINOE.

Rzucam próg ojcowski, Bogów domowych nie wynoszę z sobą, wieniec mój święty, nieskażony cisnęłam między popioły rodzinnego ogniska. — Ojciec mnie skazał, brat mnie skazał. — O ja nie wrócę nigdy, ja idę na męki i długą żalobę!

Matko! do Odyna w prośby za córą twoją. — Spiesz się, matko — nie proś o długie życie. — Natchnienia, tylko natchnienia! Dzieci śmiertelnych piersi moja nigdy nie wyda, ale przyszłość poczynąć się będzie w mem łonie!

Roma zaufa miłości mojej. — Roma zaśnie w objęciach moich!

(Eutychień wchodzi na czele Etiopów niosących dary).

EUTYCHIAN.

Trzy razy święty, po trzykroć fortunny, Imperator, Cezar i August i Kapłan najwyższy i Trybun i Konsul, przysyła synowi Amfilocha pozdrowienie, a boskiej siostrze Jego sto konch purpurowych, sto kubków ametystowych...

ELSINOE.

Natchnienia, natchnienia wśród męczarni!

IRYDION.

Stało się, —

(Chwyta ją za ramię i prowadzi do Eutychień).

Masz jasnowłosą.

EUTYCHIAN.

Rydwan z kości słoniowej czeka na córę szczęścia!

IRYDION.

Pięćdziesięciu Gladiatorów moich daruję Cezarowi — ona lubiła patrzeć na ich gonitwy. Idźcie — oni pospieszą za wami.

(Uderza w tarczę. — Orszak niewiast i Etiopów wychodzi z Elsinoą).

CHÓR GLADIATORÓW (w głębi).

Czy natrzeć na zwierza, czy wroga obalić, czy twoją siostrę obronić?

(Wchodzą).

IRYDION.

Bracia Grecy i Barbarzyńcy, wykupieni przezemnie z paszczy ludu Rzymskiego! bądźcie mi wiernymi aż do dnia łupów!

CHÓR GLADIATORÓW.

Dopóki nie ugrzęzną ciała nasze w mule z krwi i piasku, sprężyste, nagie, gibkie ciała nasze!

IRYDION.

Słyszycie jeszcze ich kroki i głosy — w ślady za nimi — krótkim mieczom waszym powierzam głowę Elsinoi; a kiedy staniecie w obliczu Imperatora głęboki pokłon oddajcie nowemu panu!

CHÓR GLADIATORÓW.

Niech zginie — niech zginie przed czasem!

(Przechodzą).

IRYDION.

Stare gnębiaciele świata — zdziercy Hellady — syny fałszu i wiarołomstwa, poświęcę wam nietkniętą dziewicę. — Nieśmiertelne Bogi, gdziekolwiek jesteście, wysłuchajcie prośbę moją — niech ona będzie przedostatnią ofiarą wydaną na pastwę Rzymowi; a ja z tylu nieszczęśliwych, wybranych po wszystkich stronach ziemi, wydartych groźbą i mękami, zapomnianych po mękach i zgonie, niechaj będę ostatni!

MASINISSA.

Sigurdzie!

IRYDION.

Nie nazywaj mnie takim imieniem — lub daj mi Królów morza, otocz mnie ludem dziada mojego, a z purpury Cezarów nici jednej nie zostanie! Ale droga moja wytknięta wśród ciemności — gdziekolwiek wyteżę ramiona, tam zapory twarde jak żelazo, ruchome jak węże, i wśród nich czołgam się bez bytu, bez życia!

MASINISSA

W nędzach i miernościach ludzkich niechaj będzie twoja nadzieja i wiara, bo los postawił cię u bram walącego się miasta — otoczył cię wiekiem przesilenia i zgrzybiałości, którego sam częścią nie jesteś — na skargi będzie czas kiedyś później, kiedyś..... kiedyś.....

IRYDION.

Ah! hańba tym Nazareńczykom, co wolą ginąć jak bydło, niżeli bić się jak męże — oni, oni to mnie wstrzymują!

MASINISSA.

Alexyjan syn Mammei codzien do nich zstępuje i naradza się z pierwszemi kapłany. — Jeśli go nie uprzedzisz, on szalę przeważy, on zmiecie Heliogabala, on swoje państwo nazareńskiem uczyni i Rzym trwać będzie w późne wieki wieków!

IRYDION.

Nie — przez Thora, ja mu przyrzekam że nie będzie Cezarem!

MASINISSA.

W katakombach los Rzymu się rozstrzygnie. — Idź — znamię ich na twoich piersiach, woda ich na twojem czole,

niech tajemnice ich w twoich ustach będą. — Zaszczepiaj zemstę w imieniu Boga nie zemszczonego dotąd. — Gdzie jego ołtarze, gdzie jego chwała na powierzchni ziemi? — **A** kiedy będziesz ich wiódł i uzbrajał, kiedy w ich ręce kłaść będziesz zakazane miecze, o wtedy, synu mój, duch mój będzie z tobą!

(Zbliża się i opiera się na jego ramieniu.)

Czy pamiętasz noc, w której ojeiec twój umierając wołał: „Masinisso, powierzam ci syna i myśl moją.“ — Ja wtedy nachyliwszy się nad nim jak teraz nachylam się nad tobą: O Hermesie! tam wśród cieniów, do których zstępujesz zapytaj się o Masinisse, a one ci odpowiedzą — on nigdy nie opuszcza komu przyrzekł towarzyszyć do końca!

O Hermesie, duchy nasze trójcą połączone i nie ich rozerwać nie zdoła.

IRYDION.

To się działo o podobnej godzinie — tylko że Elsinoe była przy mnie i płakała w moich objęciach!

MASINISSA.

Dziś to samo powtarzam. Wierz mi i ufaj do końca razem na ziemi — razem przed zgonem i po zgonie Rzymu — o dziecię moje wybrane, nie rozłączym się nigdy, nigdy.....

IRYDION.

Z twojej wyschłej piersi nurty siły płyną. — Daj rękę, Starcze. — Tak, razem przed zgonem i po zgonie Rzymu!

(Pada na krzesło przed posągiem.)

To się działo o podobnej godzinie. — Wzrok umierającego płonął jak wschodząca gwiazda — wtedy przysiągłem..... Czy słyszysz te wściekle okrzyki? — Cezar rozdał ludowi puginały i sesterce, a lud się raduje z rozkoszy Cezara.

(Togę zarzuca na głowę.)

Zostaw mnie sam na sam z piekłem serca mego!

Świątynia w lochach pod Kapitołem — Olbrzymi posąg Mitry w głębi — słychać oddalającą się muzykę — wychodzą kapłani i wieszczbiarze. — Heliogabal w szatach Arcykapłana i Elsinoe się zostają.

HELIOGABAL.

Widziałś moją potęgę, jasnowłosa Greczynko. — Rozmawiałem z Bogiem światła i Geniuszami nocy, a pierwsi kapłani wschodu dziwili się moim słowom i ofercie.

ELSINOE.

W pogardzie u córy lodów miękkie, rozwiążle Bogi w dymach kadzidlanych tonące, dźwiękami fletów obwiane, oblane krwią trwożliwych jeleni lub niemowląt — i słońce dyamentowe co na twoich piersiach jedwabnych połyska, nie wyrówna słońcu po nad śniegami północy.

HELIOGABAL.

Żmijo, którą kocham, czegoż żadasz więcej?

ELSINOE.

Gdzie Odyn, pan matki mojej, kuty ze stali i dębu, na dżdże, szrony i wichry spokojny, niewzruszony, z czarą w której krew bohaterów się pieni — od południa skały ścielą mu się w poręcze tronu, i on oparty o skały patrzy na morze północy, które szybami lodu u stóp jego pryska.

(podnosi wieniec hyacyntów i rzuca na Heliogabala.)

Zwiedle kwiaty, idźcie do mdłego kwiecica — ale córa kapłanki Cymbrów nie dotknie się puchu.

(Odchodzi.)

HELIOGABAL.

Zostań się, przez tajemnice Baala zostań się, nimfo. — Jam Arcykapłan, jam piękny, jam Apollo Delijski — niegdyś legia cała okrzyknęła mnie Cezarem dla gładkości liców moich. — Nimfo, zostań, rozkazuję tobie. — Jam August, Antonin, Aurelius, pan Rzymu, Afryki, Indyi — Czego milczysz? czemu spojrzenia twoje tak zimne i przebijające? Obsypałem cię zausznikami, naramiennikami, purpurą, drogimi szafiry, zastawiłem ci biesiady o jakich nie marzyło się kochankom Sardanapala — stu lwów zagryzło się wczoraj przed tobą — wygnałem wszystkie nałożnice, a ty zawsze jak marmur nieugięty, połyskujący i mroźny!

ELSINOE.

Przeszkadzasz mi, przeszkadzasz, dzieciño karmiona móżdżkami ptasząt. — Byłam wśród Walhalli, wśród nadziadów moich siedzących na tronach, każdy z trumną

wroga pod stopami — gwar słów twoich przerwał myśli moje dalekie — niepojęte. — Co ty chcesz — czego pragniesz odemnie? pora już późna — Bogów moich najlepiej mi wzywać o takiej porze. — Żegnaj cię, Auguście — Cezarze — Aureliusz....

HELIOGABAL.

Jasnowłosa najurodziwsza, najkształtniejsza, zaklinam cię, błagam ciebie, patrz jak drzę cały, jak umieram przed tobą. — Bogi i Boginie! — w całej Azji takiej głowy, takiego łona, takich oczu lazurowych żaden z was nie stworzył!

ELSINOE.

Ciszej — tam głos matki mojej wśród wichrów się przedziera!

HELIOGABAL.

Położę się na stopniach ołtarza i całować będę palce białych nóg twoich.

(Zbliża się do niej.)

ELSINOE.

Na mnie trza żelaznych ramion i ust brzmiących pieśnią, straszną pieśnią bitew. — Idź do Pretorianów, sługo Pretorianów!

HELIOGABAL, (padając przed ołtarzem.)

Przekłeta! Ty zginiesz zawczasie — przed całym ludem każę cię rozbić na krzyżu. — O urodziwa! — słuchaj: — Jeśli ci nie dosyć Cezara dam ci Mitrę. — Każę cię ogłosić Mitry kochanką. — Ja wszystko mogę.

Chwilę jeszcze bądź przy mnie — lepiej mi kiedy stoisz choć z daleka. — Ja biedny, ja tak młody. a już otoczony spiskami i śmiercią. — Nudno mi, nudno, i wszystkie strony świata nie mi nie pomogą. — Krew ludzi i zwierząt, woń kadzideł i kwiatów nie służy już Heliogabalowi. — Czy słyszysz? Czy chcesz bym skonał z wściekłości? — Nimfo — Elsinoe! — Tu razem obok siebie z dłonią w dłoni, skronie oparłszy o skronie, zaśnijmy!

ELSINOE.

Tak — śpij, dopóki nie przyjdzie Centurion i nie zamorduje Cezara. — Nieszczęśliwy, powiedz mi gdzie zbroja twoja? Nieszczęśliwy, temi palcami z wosku tej rękojeści miecza utrzymać nie potrafisz! — Czekaj. — Ja pójdę i

Bogów moich się zapytam, czy został jeszcze ratunek dla ciebie. —

(Wychodzi.)

HELIOGABAL.

Na pomoc Imperatorowi, na pomoc!

(Wchodzą wieszczbiarze, kapłany, Eutychian.)

CHÓR KAPŁANÓW.

Co się stało synowi słońca, panu tajemnic i ofiary? Usta jego pianą zroszone, gwiazda przepychu pękła na jego piersiach — a wzrok w obłędach swoich, w kołowaniach swoich zda się żądać krwi, zda się żądać rozkoszy, to znów słabiej i zda się żądać snu wiecznego.

HELIOGABAL.

Furje rozdierają członki moje. — Ja wiem, ja wiem.

EUTYCHIAN.

Evoe Bachche! Uczeń mój pijany na wzór ciebie kiedyś Indye po pijanemu zdobywał.

HELIOGABAL.

Alexyan przytknie mi stal zimną do szyi: „daj gardło, Cezarze“ — Brońcie mnie — każdemu z was dziesięć talentów.

EUTYCHIAN.

Sam pierwszy za dziesięć talentów przebiję Cezara.

HELIOGABAL.

Litości nademną! — Słońce mścić się będzie nad wami.

CHÓR.

Powstań, boski Cezarze. — Tyś naszym panem i ziemia cała poddana woli twojej — Bogi nieprzyjazne zazdrosząc ci chwały, trapią cię zgubnem widzeniem — ale ta mara się rozplynie w ogniu wiekuistym, w świetle przenajczystszem Mitry — jak fala mętna w oceanu lazurach, jak ciało Semeli w potędzie Jowisza.

HELIOGABAL (podnosząc się).

Podajcie mi ręce, niewolniki — kto was tu sprowadził? — Ja chcę by ona weszła do łoża mego — czy słyszycie? by ciało jej drżało w moich ramionach — inaczej wszyscy, ilu was tu stoi przedemną, zginiecie pod kłami lampartów?

KRASIŃSKI II.

3

EUTYCHIAN.

Me hercule! Jam na lwa zasłużył.

HELIOGABAL.

Milcz — dziś żartów nie chcę — gdzie ona?

CHÓR.

Jej postać wschodzi z pośród ciemności. — Jej Bóg cudzy walczy z naszym Bogiem!

HELIOGABAL.

Milczcie — słuchajcie!

ELSINOE (w głębi na glazie hieroglyfami okrytym).

Pytałam się wszystkich. — Oni zrazu milczeli siedząc na tronach swoich, każdy jak zasnął po odbytej biesiadzie.

Pytałam się ich wszystkich. — Jednego czarna zbroja chrzęśla. Jeden tylko się przebudził i wznosił niedopitą czarę ku ustom spokojnym.

Pytałam się ich wszystkich — a tam gdzie czara ust się dotknęła, kropla krwi się wyśliźnie i lecąc przez niebiosą spada mi na czoło.

HELIOGABAL.

Mów, boska moja! — wszak jeszcześ nie potępiony — wszak nie zginę przed czasem?

ELSINOE.

Wszyscy na kolana. — Wyrok Bogów grzmi w duszy mojej.

HELIOGABAL (przyklękając).

Przebacz, wielki Mitro.

EUTYCHIAN, (przyklękając).

Dobranoc, wielki Mitro.

CHÓR (przyklękając).

Niech przepadnie cudzoziemka, święty, potrójny, szybokolotny Mitro!

ELSINOE.

Wtedy ujrzałam na ziemskich równinach męża zbrojnego w żelazo i zgrozę — czoło jego było spokojne jak powierzchnia wód głębokich — w prawicy jaśniał miecz zwycięstwa.

Poznałam — nie rozumiałam — nie ufałam sobie. —

Ale imię Jego powtórzyły wichry nocne i głos zleciał od szczytów Walhalli: „On zbawi Cezara“.

HELIOGABAL.

Imię, imię?

ELSINOE.

Sigurd, syn kapłanki.

(Zchodzi z głazu i zbliża się do Heliogabala.)

Nie tarzaj się więcej w prochu — powstań, a wy oddalcie się wszyscy!

(Wychodzą.)

Nędzny! gdyby ci przyszło wsiąść na kark bałwanom i jeździć po nich jak na koniu bez wędzidla — a gdybyś musiał leżeć na śniegu otoczony stadami kruków i całą noc patrzeć w lodowate oko księżyca — biedny ty z purpurą twoją i Bogami twemi! Ale nie drzyj, nie rozpaczaj, bo cię wyrwie z toni syn Amfilocha, Greka!

HELIOGABAL.

Kto? brat twój — Irydion — prawda! czarna jego żrenica dziwne sieje połyski. — O gdyby ten lud cały nosił jedną głowę tylko, którąby zwalić można jednym cięciem! Wtedy jabym zasnął na twoich piersiach, zasnął spokojnie! Irydion Amfilochides!

On będzie moim dobrym gieniuszem — powtórz raz jeszcze!

ELSINOE.

Daj rękę, dziecię, i nie lękaj się dopóki moje Bogi czuwają nad tobą.

(Wyprowadza go).

Inna część pałacu Cezarów, — Perystyl. W środku jego przed ołtarzem ofiary siedzi MAMMEA. — ALEXANDER SEWERUS przed nią. — W głębi przysionek oddzielony ciasnym przejściem.

MAMMEA.

Kilka razy widzieli łyzy w jego oczach, ale nikt nigdy nie dostrzegł uśmiechu na jego twarzy — rysami mówią, że przypominał Platona, tylko że coś surowszego panowałó mu z czoła. — Podania najsrozszych nawet nieprzyjaciół jego w tem się zgadzają.

ALEXANDER.

Codzień bardziej serce moje łąnie do jego nauki.

3*

MAMMEA.

Wierz słowom moim — w niej jedyna mądrość na ziemi i jedyna nadzieja po zgonie.

(Ulpianus ukazuje się w przysionku.)

(Wstając.)

Toś ty, Domicyanie?

ALEXANDER.

On sam, mój Domicianus, najukochańszy z ludzi, mistrz mojego dzieciństwa.

(Idzie i rzuca się w jego objęcia.)

ULPIANUS.

Bądź dobrej myśli — i ty Augusto, bo fortune przynoszę wam wieści.

MAMMEA.

Ah! jakże długo milczałeś! jakich smutnych przeczuć nabawiłeś mnie! — chwała nieśmiertelnym Bogom że się nie ziściły.

ULPIANUS.

Nie odpisywałem z Antiochii, bo lękałem się żeby kto moich listów nie przejął. — Im dzieło bliższe celu, tem ciżej pielęgnować je trzeba, a nasze już wkrótce pono dojdzie upragnionego końca!

MAMMEA.

Mów, mów.

ULPIANUS, (obzierając się.)

Czy te ściany głuche i nieme?

ALEXANDER.

Nuż śmiało patrz — ja głośno wołam, że pod tem jarmem krótkie życie mi już obmierzło. — Wczoraj jeszcze karzeł Imperatora, ten garbaty Roboam, przyniósł mi kosz pełen zatrutych owoców, który odepchnąłem nogą!

ULPIANUS.

Nie unos się Alexyanie, — jeszcze cierpliwość niech panuje w tobie — skromność niech ci z oczu wyziera lękliwie i wrogi twoje niech cię nazwą dzieckiem.

Pokojem myśli i powagą ciała dzieją się wielkie czyny. — Cóżby z tego wynikło gdybym był wpadł do Antiochii, do Laodycei, do Efezu, do Smirny i zaczął wołać o pomstę, świadcząc się Bogami, że Heliogabal tronu i życia nie godzien? — byłem ja tem wszędzie ale milczącym

okiem obejrzałem naprzód tłumy ludu i kohorty Legionów. Każdego skargi wysłuchałem na pozór obojętnem uchem, a dopiero kiedy się przekonałem, że dojrzewa ziarno nienawiści, że wszyscy równie pragną zmiany, rzekłem w sobie: „Czas nadszedł. — Iskra rzucona, pożar w całej Azji wznieci“ i z Trybunami, z Kwestorami, z Pretorami tu i owdzie rozmawiając, tu i owdzie zawierając ugody, tym ukazałem zyski, innym wyższe urzędy, każdemu z twojego wyniesienia poczynilem cel i nadzieję zgodną z jego własnymi chęciami. — W tem nadeszła wiadomość, że cię brat mianował Konsulem Cezarem — przeczuwając że w tej lasce czarny podstęp ukryty, natychmiast przybiegłem do Rzymu i w imieniu Legionów przynoszę ci obietnicę świetniejszego losu. — Dozwól tylko czasowi jeszcze nieco upłynąć, a uderzy o brzeg naszego zbawienia!

ALEXANDER.

Czemuż odkładać do jutra?

ULPIANUS.

Bo w Rzymie Imperator otoczony ludem, który go za Naumachię kocha i pretorianami, którzy czczą w nim rozrzutność Boga. — Wiem ja wprawdzie, że lud kocha Cezara dopóki go nie zamorduje — wiem także, że pretorianie obożujący za miastem oddawna sprzyjają naszym zamiarom.

ALEXANDER.

Trybun Arystommachus kazał mi oznajmić dzisiaj jeszcze, że w każdej chwili gotów odważyć życie za mnie i Mammeę.

ULPIANUS.

Arystommachus jedyny w godzinie wybuchu — ale przedtem niechaj mileczy jeśli może, bo tę jedyną tylko przysługę nam wyświadczyć zdoła. — Są tam inni rozważniejsi i sprawniejsi od niego. A straż pałacowej, a żołnierzy rozsypanych w mieście czyż że nie nie liczysz? czyż nie wiesz, że codzień kąpią się w łaskach Cezara? — Alexyanie, i wschód cały jeszcze nie do nas należy — Syryjczycy nie zapomnieli że znali Heliogabala dzieckiem w Emezie — później Arcykapłanem w świątyni słońca. — Zresztą pamiętaj, że ten który włada, samem imieniem władcy stoi długo jeszcze

choć podpory jego mocy spruchniały — u ludzi marne słowo jest także potęgą!

MAMMEA.

Nie zaprzeczam prawdy słów twoich, ale spiesz się o ile możesz bo stoimy nad grobem, otoczeni nasłannikami jego szaleństwa i złości — w każdej chwili na tych licach roztoczyć się mogą znaki trucizny — i biedne to dziecię moje, chwała moja, przyszłość moja przyjdzie głowę pochylić i skonać na łonie matki!

ULPIANUS.

Dziś jeszcze będę w namiocie Arystommacha i u Lucjusza Tubero.

(Zbliża się do Alexandra).

Następco Augusta, nie lękaj się by parka dni twoje przecięła nim dostąpisz władzy nad ludźmi — nie — Bogi zmiłuj się nad tem miastem znękanem — ale kiedy ją osiągniesz strzeż się jadu ukrytego w tunice Dejaniry — w purpurze Cezarów!

MAMMEA.

Czyż nie wiesz, że w synu moim ostatnia nadzieja i ostatnia chluba Rzymu? Z myśli Platona, z słów Chrystusa uczyłam go miłości ludzi — on znieważonym i uciśnionym poda rękę brata!

ULPIANUS.

Ale niech wie zarazem, że niesfornych wygubić trzeba. — Po wszystkich targach Azyi widziałem rzymskich rycerzy pobratanych z wyzwolencami. Tam w krzesłach kulnych rządzą światem, łokieć i szalę trzymając w dłoniach — ztamtąd rozsyłają gońców z udanemi wieściami, by się ceny wznosiły lub zniżały — tam konfiskują dobra a odwołujących się do senatu wtrącają w czarne lochy, lub przybijają do krzyża — widziałem — i w zgrozie odwróciłem oczy!

ALEXANDER.

Potomki wielkich Konsulów i Dyktatorów!

ULPIANUS.

Ich okrucieństwa dziś nam wiernie posłużą. — Po nich jak po szczeblach ja cię do tronu powiodę — ale kiedy na nim zasiądziesz, niech te wschody runą w otchłań nogą twoją zrzucone — a na to trza więcej niż nauk Chrystusa!

ALEXANDER.

Znam trudy, które mi się dostały w udziale — nocy zchodzą mi na rozpamiętowaniu czynów Dackiego Trajana — albo mu wyrównam, albo zgine młody!

ULPIANUS.

Alexyanie, wspomnij także na Rzeczpospolitą i tam przypatrz się mężom, którzy w togach chadzali. — Ach! cóż nam zostało z ich świętych przykładów — gdzie lud rzymski, którego prawa brzmiały mi dźwięczniej niż pieśni Homera, niż marzenia Platona? Kto dziś obaczy w tem mieście twarz bez skazy, kto usłyszy śmiech szczerzego wesela? Wszystkie czoła przyprószone siwizną bez czynów — marną starością strachu lub znudzenia! Wróżbiarze, sofisty, śpiewacy, tancerki zalegają Forum — i wieki już przeszły od dnia w którym Juliusz pchnął konia w bród Rubikonu. Wstecz nie podobna się wrócić. — Za dni Kassiusza już za późno było — Bogów tylko o Pana prosimy w którego prawicy odmłodnieje państwo, choćby miasto różeczki oliwnej zabłysnąć w niej miało żelazo Liktorów.

MAMMEA.

Znałam na wschodzie ludzi posepnych i świętych — oni mówili, że nadchodzą czasy i lepsze i nowe, że po tylu nędzach zjawi się Cezar, który uzna ich Boga!

ULPIANUS.

Nazareńczycy! — Augusto, strawiłem życie na myśleniu o rzeczach boskich i ludzkich i nie dbam o te krety nurtujące starą ziemię naszą!

MAMMEA.

Z ślepego przesądu nie otrząśles się jeszcze.

ULPIANUS.

Jowiszu kapitolński nie słuchaj jej słów bezbożnych. — Jam stary Rzymianin. — Jam wyrósł wśród pamiątek wolności i chwały, choć ich za dni życia mego już nie było na ziemi. — Państwo chylące się do upadku wydało tych mdłych gorszycieli, ale za naprawą jego musi nastąpić ich zguba!

(Chwytając Alexandra za rękę.)

Tem tylko czem wzrosło, odbudujesz miasto — nieugiętem męstwem i tajemniczymi obrzędami naddziadów. — Wszystko inne niech przepada, cudze Bogi i ludzie cudzy!

ALEXANDER.

Matka moja poważa chrześcian, bo w ich przepisach ukryte są skarby stałości i cnoty — patrz, Domicyanie, na oczy jej zroszone łzami — ona lubi chrześcian, bo oni mi sprzyjają.

ULPIANUS.

Użyj ich więc za narzędzie, które skruszysz potem. — To moje ostatnie słowo o nich.

(Słychać muzykę.)

Flety Syryjskie! — Może Arcykapłan Mitry przychodzi odwiedzić kochanego brata.

MAMMEA.

Nie. — On codzień o tej samej porze zchodzi do ogrodów Palatynu z kochanką.

ULPIANUS.

Słyszałem o tej Greczynce wiele zawitych powieści na wschodzie — przybyli z Rzymu twierdzili, że brat długo się przypodchlebiał, a potem niecnie ją sprzedał Cezarowi.

MAMMEA.

I wierzyłeś temu?

ULPIANUS.

Włosy moje siwe oddawna przestały dziwić się podłości, choć jej może czarne dotąd nie pojmują.

MAMMEA.

Ale pamiętasz Amfilocha od kiedy przyplynał za dni jeszcze wielkiego Septyma na Italskie brzegi — widziałeś zawsze godność nieznównaną w postawie i słowach jego — czy na dworze, czy w własnym pałacu, on zawsze wyglądał gdyby drugi Cezar w Rzymie!

ULPIANUS.

Prawda — ale pamiętka jego wyniosłości mało tu znaczy, bo najczęściej syny wielkich ojców czołgają się poziomo w hańbie znikczemnienia. — Niech mi lud i senat rzymski odpowiedzą!

ALEXANDER.

I moje też słowo nie stanie na świadectwo przeciwko Grekowi — choć nigdy nieznać młodzieńczej otwartości na jego bladych rysach, jednak coś szlachetnego żyje w całej postaci — nie wiem co drzemie w głębi tego serca — wiem tylko, że tam ni strachu ni uniżenia nie masz!

ULPIANUS.

Jakże więc wytłumaczyć to co się stało?

ALEXANDER.

Ślepem zrządzeniem nieubłaganej konieczności — kilka razy Imperator spotkał Irydiona idącego z Elsinoą. — Kilka razy od cyrku Flaviana razem przybyły ich rydwany. — Sam wtedy widziałem jak zaraz bratu mojemu nabrzmiały żyły po skroniach i jak złote lejce, któremi lwów swoich kierował, z dłoni wypuścił. — I, przez niebieską Venus! wszyscy, którzy tam stali, pożerali ją także wzrokiem bo piękniejszej nie widzieli nigdy!

ULPIANUS.

Dawniej kiedy u ojca bywałem, ona jeszcze greckim obyczajem zamknięta w Gineceum niczyjemu oku widzialną nie była.

ALEXANDER.

Powiadam ci że w całym Rzymie takiej drugiej nie znaleźć! — Byłem w sali Narcysa, kiedy Heliogabal czekał na nią pierwszej nocy porwania — oparty o mnie zgrzytał i szczypał mi ramię, bo wtedy jeszcze dość łaskaw był na mnie. — Ja drżałem z oburzenia i litości, zdawało mi się czasem, że słyszę odgłosy walki; wtedy wbiega prefekt pretorium, wiesz, nadworny błazen Eutyhian, i do ucha szepnie panu swemu: „Idzie jasnowłosa.“ — Weszły karły i karlice, czarni rzezańce i lidyjscy fletniarze. — „Idzie jasnowłosa“ powtórzył Imperator i skoczył, ale natomiast wstąpił do sali orszak Gladiatorów w ciemnych tunikach — wszyscy nieznajomi na dworze. Brat mój opuściwszy głowę ugryzł mnie ze strachu, lecz Eutyhian z grubym śmiechem oświadczył, że syn Amfilocha tych ludzi darował siostrze i Cezarowi. — Za ich rozstępującymi się rzędami ukazała się dopiero Elsinoe!

ULPIANUS.

Na pół zemdlona, niesiona na ręku służebnic?

ALEXANDER.

Nie — owszem stanęła pośrodku sali i żadnego znaku bojaźni, hołdu, poszanowania nam nie złożyła. — Z razu miała schyloną głowę, ale wnet podniosła kibić i czoło, wnet spojrziała ognistemi oczyma gdyby pani nas wszy-

kich. — Cezar zawołał ją bliżej, — ani postąpić, ani odpowiedzieć raczyła — wtedy skinął na nas i wyszliśmy wszyscy!

ULPIANUS.

Stara krew Helleńska, w której coś boskiego zostało. — A brat czy bywa u dworu, czy widuje siostrę?

MAMMEA.

Słysząc że raz odwiedził Cezara i że długo z nim bawił — zwykle zaś stroni od ludzi, siedzi w pałacu swoim otoczony niewolnikami i barbarzyńcami, którym dobrodziejstwa sypie.

ULPIANUS.

I ojciec niegdyś to samo zwykł był czynić.

MAMMEA.

Roskosz go nie wabi, zbytek nie ludzi — a choć wiadno, że myśl zacięta go dręczy, umie panować nad sobą i mileżeć.

ULPIANUS.

A gdyby ta myśl była żądza zemsty za krzywdę siostry? — trzeba ufnąć jego pozyskać, zrazu błędne wskazywać mu cele — wreszcie prawdę z zasłon obnażyć. — Niechaj duma i skarby jego staną się naszymi sługi! Lecz teraz mówcie zkąd poszło, że potwór tak zokrutniał osiągnąwszy czego pragnął? — ta niewiasta wpływ na nim warła niepojęty dla mnie!

ALEXANDER.

Eutychian głosi, że ona dotąd nie uległa jemu — a od chwili porwania zamknął się w perystylu Agrypiny i odtąd ustały biesiady pałacowe.

ULPIANUS.

Tajemnica nie długo trwać będzie — on ją zamorduje by spalić na stosie z arabskich kadzideł, a na wystawienie jego wydrze pierwszemu lepszemu życie i dobra, oskarżwszy go wprzód o zbrodnię zelżonego majestatu. — Lecz przed tem sam może....

MAMMEA.

Nie, Domicyanie, nie chcę by zginął śmiercią poprzedników — panowanie mądrości i dobrego nie zacznie się tuordem syna siostry mojej — powtarzam ci, że nadchodzą

czasy miłosierdzia. — Ty go usuniesz od tronu i każesz zanieść jak śpiące dziecko na ziemię wygnania!

ULPIANUS.

Na to by trzeba Nazareńczyka. — Niedaleko od tych miejsc Brutus zamordował ojca swego — a ta lekka dusza nie miałyby pójść kędy poszły stroskane, wielkie cienie pierwszego z Cezarów!

MAMMEA.

Biada mi!

NIEWOLNIK, (wchodząc.)

Irydion syn Amfilocha przyszedł powitać Severa Cezara konsula i szlachetną matkę jego!

ULPIANUS.

Zdarzyło się w porę.

(Irydion wchodzi.)

MAMMEA.

Czyż zawsze z posepném czołem, — czyż boska Sofija nie zdoła pogodniejszym oświecić je promieniem?

IRYDION.

Niech ci Rzymianin co zginął pod Filippami odpowie, Augusto, ile mu owa boska przyniosła otuchy. — Zresztą nie poczuwam się do wyrazu lic moich. — Duch mój wewnątrz spokojny i zimny, niczego nie żałuje, niczego nie pragnie i niczego się nie spodziewa. — Jakże zdrowie twoje, Cezarze? czy Bogi modłom twoim sprzyjają w tych czasach?

ALEXANDER.

Dziś właśnie spełniły się życzenia moje. — Najmilszy mój Domicjanus przybył z Antiochii.

IRYDION.

Witam cię, mężu konsularny. — Jeśli dobrze zapamiętam, uczęszczałeś niegdyś w progi ojca mego.

ULPIANUS.

Mowy Amfilocha brzmią dotąd w uszach moich. — Żyjeż starzec, który często siadywał przy jego ognisku?

IRYDION.

Masynissa?

ULPIANUS.

Podobne imię. — Ojciec twój zapoznał się z nim na syrtach Getulów, jak sam opowiadał, wśród dnia skwarne go zbłąkany pogonią za tygrysami.

IRYDION.

On dotąd, jak za dni ojca mego, siadywa przy ognisku naszym.

ULPIANUS.

Pytam się o niego, bo nieraz mnie zastanowił myślą dziwną i gorzkim słowem; raz utrzymywał, że Tyberius był największym z Cezarów!

ALEXANDER,

Jakto, przez Bogi Many Antonina?

ULPIANUS.

Dowody jego wyszły mi już z pamięci, to jedno przypominam sobie, iż tak stucznie władał niemi, iż tak dzikie pomysły rozwijał o przeznaczeniu ludzi, żem milczał w przeżeniu!

MAMMEA.

Nie życzę sobie widzieć tak okropnego mówcy!

ULPIANUS.

Lecz kiedy czarowne wpływy jego rozumu odeszły odemnie, uspokoiłem się jak człowiek co wytrzeźwia się z pijaństwa i własne odzyskuje myśli — bo jakżeż nie przeklinać tych co miasto sprawiedliwości ucisk ludziom rozdając, obywateli za to że nie zwierzęta, posyłają pod różgi i topory Liktorów? Nieprawdaż, synu Amfilocha?

IRYDION.

Tak lub nie — ile dusz, tyle sere i sądów!

MAMMEA (do Alexandra).

Na twarzy niewzruszonej uważaj tę wargę spaloną, to oko w płomieniach!

ALEXANDER.

Matko, ja chcę mu dobre, szczere słowo powiedzieć!

MAMMEA.

Czekaj jeszcze!

ULPIANUS.

Jednak sam nie więzisz ni katujesz niewolników, choć masz słuszne prawo śmierci nad nimi; nie odpychasz ubogich Swewów, Daków, Markomanów żebrzących w mieście. — Tak wieść głosi o tobie!

IRYDION.

Matka moja barbarzynką była!

ULPIANUS.

A syn jej chce wmówić we mnie, że jest Epikurejczykiem!

IRYDION.

Przez Zeusa Olimpijskiego stoikom nie udaje się teraz.

MAMMEA.

Ja może lepszych kolei nie obaczę nigdy — ale on, ale ty Irydionie, wstępujecie w złotą bramę życia — młodość jeszcze jak sen nad wami ulatuje i radzi wam, byście ufali słodszyemu przeczuciom — ani tobie, ani jemu jeszcze rozpaczać nie wolno!

ALEXANDER.

Daj rękę, synu Amfilocha. — Nieszczęście jak miłość wiąże ludzi z sobą — bądźmy przyjaciółmi, a może kiedyś razem będziemy się cieszyć!

IRYDION.

Dzięki wam, szlachetni Rzymianie! znać was nade wszystkich ukochały Bogi, kiedy wam zostawiły nadzieję. Lecz wcześniej czy później na was i na mnie przyjdzie koniec jeden — śmierć i zapomnienie!

ULPIANUS, (do Mammei.)

Albo sztuka Danaów nas zwodzi, albo go Jowisz odlał z kruchego metalu.

(Głośno.)

A gdyby złudzenie prawdą się stało — gdyby cień, który miasto zalega ustąpił jak chmura przed pomyślnym wiatrem, a światło cnoty samo jedno zostało, cóżbyś uczynił?

IRYDION.

Uczciłbym nieśmiertelnych ofiarą i dziękczynieniem.

ULPIANUS.

A dla przyspieszenia dnia takiego nicbyś nie przedsięwziął? — Czy rozumiesz mnie? gramy w przypuszczenia jak inni w koście — rozmawiamy o niepodobieństwach, by prędzej uleciał czas, który nam ciąży!

IRYDION.

Rozumiem cię lepiej niż ty mnie pojmujesz.

ULPIANUS.

A więc?

IRYDION.

Przez Odyna, powiedz takiemu dniowi by zawołał na mnie, a ja mu odpowiem!

ULPIANUS.

Pamiętaj!

ALEXANDER.

Pamiętaj!

IRYDION.

Nie zapomnę tej chwili, Rzymianie! Zobaczymy się, mezu konsularny!

ULPIANUS.

Gdzie idziesz?

IRYDION.

Czeka na mnie grono przyjaciół u stóp Awentynu i zastawiona biesiada, i nowe jakieś pieśni sykulskiego poety. — Idę ich słuchać by prędzej uleciał czas, który nam cięży!

ULPIANUS.

Młodzieńcze, idziesz ducha własnego zapomnieć na łonie rozpusty.

IRYDION.

Lucius Mummius nie nam nie zostawił prócz rozkoszy i śmierci. — Długiego życia Alexandrowi i Auguście Mammei.

(Wychodzi).

ULPIANUS, (patrzac za wychodzącym.)

Z tego wosku kto wie czy będzie wam można stronnika ulepić.

Inna część pałacu Cezarów. — Podłużne Atrium z sadzawką pośrodku. — Mosaiki, freski wystawujące Faunów, Satyrów, Nimfy. — Na słupach jaspisowych kamienne żółwie, skorpiony, krokodyle. — Wzdłuż ścian posągi Venery i Bachusa. — Tu i owdzie grona dworzan, — Pretorianów, — Tanecznicy, — Muzykantów, — Karłów. — EUTYCHIAN prefekt pretorium. RUPILIUS. — EUBULLUS, jego parasyty.

EUTYCHIAN.

Evoe Bachche! dla tego nic mi nie ubędzie, bo coś zdola Cezara oderwać odemnie — jednak takich gości wcale mi nie potrzeba na dworze — i dzisiaj Imperator chce go widzieć — i dzisiaj kazał mi tu czekać na niego.

RUPILIUS.

Pół-Bogom podobny Eutychanie.

EUTYCHIAN.

Mów pół-boski. — Imperator jest całym Bogiem — ja zaś po Imperatorze pierwszy.

RUPILIUS.

A więc pół-boski Eutychie, pozbawmy go wierzechniego światła. Niechaj *ulces moriens reminiscitur Argos!*

EUTYCHIAN.

Evoe — tylko mi nie przywódcz wierszy Marona. — Nasi starzy za Augusta nie pojłowali sztuki.

(Zamyśla się.)

RUPILIUS.

Nie mieli wyobrażenia o sztuce.

EUBULLUS.

Nic zgola się nie domysłali co to poezya!

RUPILIUS.

Bez żadnej wyobraźni.

EUBULLUS.

Mniej jak bez żadnej.

EUTYCHIAN.

Zgoda, trza usłać mu drogę do cieniów. — Tymczasem posłuchajcie tej pieśni. — Boski ją Neron dla swoich karłów napisał!

RUPILIUS.

Oto był zaszczyt muzyki i rytmu.

EUBULLUS.

Prawdziwy brat sióstr dziewięciu.

CHÓR KARŁÓW.

Stoim z ubocza, a na szczycie wieży pan nasz stroi lirę swoją — u stóp jego wśród nocy czarnej i mglistej pali się miasto Bogów!

On wzniecił te ognie — on chciał widzieć jak Troja gorzała przed laty — on żyć nie mógł jak żyją śmiertelni, płomieniami się więc otoczył i stał się panem dramatu z ognia!

Dźwiękami jego nęczone ze wzgórze na wzgórze coraz bliżej wśród jęków i szumów podskakują ognie. Nad miastem co przepada, inny Rzym rośnie w powietrzu. — On dzioko świetnieje w piramidach z iskier i słupach syczących płomieni!

A my klaszczem w dłonie, krzyczemy z radości. — Dzień zniszczenia nadszedł wysokim i pięknym. — Na falach

Flegetonu pałace i świątynie nikną — a nam nie nie będzie — nas ocalił mistrz sztuki i dźwięku!

FILOZOF, (Zbliżając się do Eutychiana.)

Ty co niejako wszystko możesz i jesteś drugim Bogiem w Rzymie, racz dozwolić Anaxagorowi Neoplatonczykowi dwa razy na tydzień głośno czytać i mówić w Termach Karakalli.

EUTYCHIAN.

Jakie twoje zasady? — jakich Bogów wyznajesz? Czyś trzeźwy czyś pijany, kiedy uczysz ludzi?

FILOZOF.

Bogiem moim Jedność w Jedności Jednością poczęta, wszystkim niejednościom z konieczności przeciwna, zawarta sama w sobie, wzierająca w siebie samą.

EUTYCHIAN.

Satis est — tą nauką nie przewrócisz państwa.

(Do Rupiliusa.)

Chyba go Tyresias w piekle zrozumie.

RUPILIUS.

Chyba Cerber z trojaką paszczką.

EUBULLUS, (do Rupiliusa.)

Znamienity Rupiliusie, kazałeś mi wczoraj coś zapisać na tabliczkach.

RUPILIUS.

Czytaj, mój miły.

EUBULLUS, (czyta.)

„Pojutrze Gladiator Sporus i Tygrys Ernan.“

RUPILIUS.

O trzy razy szczęśliwe przypomnienie — wielki Eutychianie!

EUTYCHIAN.

Co?

RUPILIUS.

Z siebie uczynię ofiarę dla ciebie.

EUTYCHIAN.

Przez Izysa, Anubisa lub jakiegokolwiek Egipskiego Bałwana, wdzięczny ci jestem — ale cóż takiego?

RUPILIUS.

Z Maurytanii sprowadziłem tygrysa centkowanego złotem i hebanem — w nozdrzach gdyby krew świeża ludzka,

w ogonie siła dwóch koni. — Mam gladiatora dzielniejszego od wszystkich nadwornych, człowieka co mi się za-
przedał z głodu, prawdziwego Krotoniatę. — Sprosiłem
zatem wszystkich miłych moich na biesiadę i już założy-
łem się z Carbonem, o cztery przeciwko jednemu, że Spo-
rus zamęczy Ernana — ale kiedy losy nas zmuszają, trza-
do innej walki użyć Gladiatora!

EUTYCHIAN.

Stój.

(Do pretorianów.)

Zaśpiewajcie waszemu wodzowi — *Evoe!* flety i struny
w brzęk!

(Do Rupiliusa.)

Teraz mów dalej.

CHÓR PRETORIANÓW.

Niech żyją koście i wino — sesterce i róże. — Do-
póki czara się pieni, dopóki Plutus się uśmiecha, stopy
nasze do tańca, ręce gotowe do boju. — Daj nam choćby
czarne po syrtach murzynki, choćby śniade po lasach Ger-
manki! Partów i Getów starym obyczajem nie chodzimy
ścisgać. — Ojce nasze leżą w grobie, z nimi nużące pocho-
dy. — Tu na łożach, tu czoło ustroiwszy bluszczem, tu
w Rzymie czekamy na wrogów — niech nadejdą — wtedy
z objęć czarnowłosych, wśród dźwięku szklaniec, porwie-
my się do tarczy i odporu — do miecza i rzezi! Teraz
Evoe! niech żyją koście i wino, sesterce i róże!

EUTYCHIAN.

Choćby się nie udało, to krzywoprzysięsz?

RUPILIUS.

Świadcząc się wszystkimi Bogi Chaldei i Syryi.

EUTYCHIAN.

Jacta est alea — dziś jeszcze.

RUPILIUS.

Otóż i nasz Grek bladawy.

(Irydion wchodzi, i idzie ku EutyCHANOWI.)

EUTYCHIAN.

Aż dreszcz po mnie przeszedł — w oczach jego coś
piekielnego — mówią, że jego ojciec był czarnoksiężnikiem.

(Opiera się na Rupiliusza.)

KRASIŃSKI II.

4

RUPILIUS, (usuwając się.)

Pół-Bogom nie wolno się lękać.

IRYDION.

Stawiam się na godzinę naznaczoną — Eutychie, prowadź mnie gdzie przykazano tobie!

EUTYCHIAN.

Tak — zaraz, znamienity Greku.

(Do Rupiliusa.)

Jaki człowiek, jaka duma. — *Vae capiti ejus!*

RUPILIUS, (do Eutychiana.)

Zdrój Lethe wyleczy go z pychy.

IRYDION.

Na dworze Cezara wy wszyscy czas tracić lubicie. —
Idźmy!

EUTYCHIAN.

Tędy, szlachetny Irydionie.

(Wychodzą.)

Inna część pałacu Cezarów. — Szczyt wieży otoczony kolumnadą.

Heliogabal, Elsinoe.

ELSINOE, (wchodząc.)

Powierzam cię Bogom i sile jęgo!

HELIOGABAL.

Ty okrutna!

(Irydion wchodzi, Elsinoe zatrzymuje się.)

ELSINOE.

Księżyc wschodzi — wrą ogień i kipi trucizna!

(Znika.)

HELIOGABAL.

O ratuj mnie — lub jeśli nie możesz ocalić, nie zwodź,
nie udawaj, wyznaj od razu, a ja ciało moje białe przebiję
tą złotą klingą.

(Zdejmuje pugiński z filaru.)

Czy widziałeś kiedy takie szmaragdy?

IRYDION.

Zkąd boskiemu Cezarowi przyszło dzisiaj myśleć o za-
wczesnym zgonie?

HELIOGABAL.

Cyt, przyjacielu! — mylisz się, jeśli sądzisz, że Cezar nie zdoła się zabić — a z tego puharu jeśli wypiję Elizejskie pola.

(Bierze czarę z trójnoga.)

Stu nurków przepadło w morzu nim jeden tę perłę wydostał — niezrównana!

IRYDION.

Z téj czary pić będziem zdrowie słońca, ale pod innym niebem, wśród innych ludzi.

HELIOGABAL.

Spojrzyj mi w oczy. — Czy ty nie kłamiesz? ach! odwróć oczy. — Bogi w nich szczerym ogniem zapisały, że matka twoja czarownicą była. Przystąp bliżej filarów. — trzymaj się kraty — mów co widzisz w dole.

IRYDION.

W głębi dziedziniec iskrzy się od drogich kamieni, gdyby jasnolite dno czarnej przepaści!

HELIOGABAL.

Sam, sam wybierałem topazy, beryle i ostre kanty chrysolitów i krwawe onyxy. — Dzień jeden i noc całą brukowali ten podwórzec, a ja nie zasnąłem, nie odszedłem aż skończyli — wtedy ich wszystkich stracić kazałem!

IRYDION.

Kogo?

HELIOGABAL.

Podłe niewolniki! — Co się pytasz o nich? Oni poprzedzili pana swojego. — Czyż w Rzymie kto powinien wiedzieć że się Cezar do śmierci gotuje! — było ich stu tylko i chłopiąt dwoje. — Ach! ja nie oddam w ręce ludu śnieżnych członków moich — ja tu głowę moją świętą rozbiję — niech po dyamentach krew moja spływa do Erebu.

IRYDION.

Cóż grozi tak nieodzownie?

HELIOGABAL.

Alexyan — przebrzydłe imię. — Alexyan! oby zginął przed czasem. — Alexyan! potrójnej Hekacie głowę jego poświęcam — on, on, Alexyan czarne waży myśli i gotuje zdradę.

IRYDION.

Opatrzne oko moje wyteżone nad nim i nad matką jego.

HELIOGABAL.

Nie przerywaj mi — nie broń go jeśli miłe ci powietrze którem oddychasz — słuchaj — na to byś słuchał, przyjść ci kazałem. — Szpiegi mi donieśli, że z Ulpianem się naradza, że od kilku dni bledszym się wydaje, że w zadumaniu to odwija, to przygłaszcza pukle — a ten Ulpianus, co przyleciał z Antiochii, ha! czy wiesz co on zamyśla?

IRYDION.

Słyszałem często o nim jako o zawołanym prawniku.

HELIOGABAL.

Ty go chwalisz — o Bogi nieśmiertelne! — a ja ci mówię, że bez tego człowieka od lat trzydziestu żaden spisek się nie obszedł. — Domicianus Ulpianus. — Słodki na pozór w mowie, ale stoik nieubłagany, zawsze gotów zabić panującego, lub jeśli się nie uda, samego siebie — istny spisek chodzący, jedzący, pijący — żywe przekleństwo dla jakiegokolwiek rządu — miecz Damoklesa nad głową moją — i ty mi go chwalić będziesz! — prawnik zawołany! — *Proh! Jupiter!* nie tylko jego, jabym samo prawo zamordował — mówże co robić?

IRYDION.

Nie rozpaczać kiedy jeszcze cicho i spokojnie, a jeśli przyjdzie do niebezpieczeństwa, na mnie polegać!

HELIOGABAL.

A jeśli już odzywają się wróżby mojego pogrzebu? — jeśli przeciw Bogom siostry twojej inne silniejsze się podnoszą?

(List rozwija.)

Patrz. — Symmach Niger opisuje mi straszne znaki, co się objawiły nad Dunajem — o wschodzącem słońcu, otoczone świętym orszakami Bachusa, wśród głów bluszczem umajonych, wśród rąk potrzęsających Tyrsami, widmo Alexandra Macedońskiego stanęło na szerokim bloniu. Zbroja lśniła się na piersiach jego, ta sama, którą nosił, kiedy zmiótnięty Daryusza szedł podbijać Indye. — Hełm złoty gorzał na pochylonej głowie. — Za nim stąpali wodzowie polegli od dawna. — Ludy Moesii i Tracyi były

przechodzącym głębokie pokłony i cisnąc się za nimi doszły aż do brzegów morza. — Tam w powietrzu rozwiały się umarłych cienie!

(Opiera się o kolumnę.)

Podaj mi Falernu.

(Bierze puhar.)

Tak Alexander Sewerus z rąk Macedończyka weźmie państwo i życie moje! *Dii, avertite omen!*

IRYDION.

Alboż wyszło ci z pamięci, że syn wielkiego Septimiusza niegdyś ukochał matkę twoją? Alboż zapomniałeś że dusza Macedończyka żyła w boskich piersiach jego? a teraz kiedy bohater, co był opiekuńczym duchem ojca twego, z grobu powstaje, by chwałę ci zwiastować, ty bledniejsz i potrzeba ci wina — pociech — ręki przyjaciela, byś nie zemdlął i na ziemię nie runął. — Hańba ci, synu Karakalli.

HELIOGABAL.

Nic — nie — on Alexandrowi, on wschodzącemu słońcu się uśmiechał blademi ustami — mnie twarz każda, głos kaźden, lud, senat, pretorianie, Rzym cały, śmiercią grozi. — Ja czuję, że mnie razem, zgodnie krok za krokiem odrywacie od słodkiej matki ziemi, i wszyscy, ilu was jest, wleciecie do piekła!

IRYDION.

Bądź lepszych myśli. — Czyż w odwiecznej walce między człowiekiem a miastem, człowiek nigdy wygrać nie zdoła?

HELIOGABAL.

Co mówisz!

IRYDION.

O losach waszych! Zginęliście jedni od miecza, drudzy od trucizny, inni z rąk własnych, wszyscy wśród hańby i przerażenia, zdradzeni przez powierników — przekłęci od nieprzyjaciół. — Dlaczegoż jednym trybem zawsze dziać się mają sprawy ludzkie? Rzym dotychczas knuł spiski, mordował Cezarów — niech Cezar stanie się spiskowym, niech Cezar uderzy na wroga.

HELIOGABAL.

Kto? jak? widzę potęgę na czole twojem, ale jej nie pojmuję!

IRYDION.

Czyż te pałace, świątynie, cyrki, czyż ten zamek trzy razy spalony z starym Bogiem swoim nigdy upaść nie mają? Czy nie słyszałeś o miastach wschodu piękniejszych i ogromniejszych, co niegdyś były cudem dla ludzi, pieszczotą dla Bogów? a dziś tumany piasku przechadzają się po nich i na zwalonych arkadach samotne skowyczą hyeny? Czyż Hyerozolyma z rojami wściekłych obrońców oparła się wszystko niszczącym losom? a jednak miała Boga samotnego i silnego jak Fatum! Idź i zapytaj się pustyń z czego powstały! — A te wzgórza osadzone marmurami i granitem, czyż to nieśmiertelne Bogi? Patrz na nie i zrozumiej słowa moje. — Oto prawdziwy Alexyan, oto wróg twój mściwy, rozciągnięty u nóg twoich, ale nadymający się dniem i nocą by obalić ciebie. — Jeśli go nie ubieżyysz, biada ci, nieszczęśliwe dziecko, w ramionach olbrzyma.

(Chwyta go za rękę.)

Wznieć silną wolę w sobie — ten świat, który ci wskazuję, wyzwij do boju! Stań się! czem kilku było na ziemi: Niszczycielem — a te gmachy pijane życiem tysięcy, te wille rozigrane w promieniach słońca, te trofea, te wszystkie pamiątki i rozkosze ludzi, oddamy w puściźnie po ludziach skorpionom i węzom!

HELIOGABAL.

Teraz przejrzałem! Nie raz to samo czułem, pragnąłem. — Ha! jaka chwała dla Mitry, kiedy Jowisz kapitołiński piasek gryźć będzie — ale czyje ramię podejmie się czynu? kto powstanie na święty zamek i na wieczne miasto?

IRYDION.

Syn kapłanki i Amfilocha greka.

HELIOGABAL.

Czy myślisz, że jaki żołnierz pójdzie za tobą lub za mną w tak ostatecznej chwili? a senatory, a rycerze, a lud wreszcie cały! Bój się nieśmiertelnych — co tobie się stało, co ty zamysłasz, Irydionie!

IRYDION.

Z natchnienia Bogów Cezara ocalić.

HELIOGABAL.

Strach mnie ogarnia. — Geniusz miasta zwyciężył wszystkich — jażbym się miał targnąć na niego!

IRYDION.

Żyj więc w trwodze dopóki nie skonasz w mękach.

HELIOGABAL.

Dopełnij zlecenia Bogów, potężny śmiertelniku — purpurą cię obłoczę — zdejmę sandały z nóg własnych i do twoich je przywiążę, jedno bądź mi ku pomocy, nie opuszczaj mnie, wybaw mnie od śmierci!

IRYDION.

Zbawić cię tylko mogę rozpedzeniem senatu, wycięciem Pretorianów i przeniesieniem stolicy!

HELIOGABAL.

Senat rozegnać, to jeszcze potrafim — ale reszty dokonać?

IRYDION.

Dawniej Katylinie, późniejszymi laty Neronowi, nie brakło na pożarnikach. — Łatwiej rozrzucić w perzynę to co żyje dzisiaj, niż zbudować w głąb to, co ma żyć jutro. — Zresztą ci co się zostaną na zgłiszczach zwać się jeszcze będą Rzymianami. — Długo jeszcze kilka pałaców rozpadłych na chaty, zwać się będą Rzymem. — Zostawić zgrzybiałym dzieciom to imię drogie — ale siły żywotnej, ale siły pochłaniającej już nie będzie w tych miejscach. — Cezarze, w dni wielkiego morderstwa ja sam ludzi ci dostawię i stanę przy boku twoim!

HELIOGABAL.

Zkąd — jakich — gdzie oni?

IRYDION.

Nie tobie jednemu Rzym wszystkie dni życia powlókł śmiertelnemi ciemnościami. — A niewolnicy, a gladiatorowie, a barbarzyńcy, a wyznawcy proroka nazareńskiego? Ty na czele, oni w ostatnich szeregach, ale ich i ciebie zarówno geniusz Romy przeznaczył boleśnemu życiu i haniebną śmierci! Zbijmy więc ich nędzę w jeden podrzut zemsty, na jedną chwilę tylko — a panowie amfiteatru, a żołnierze pretorium, nie dotrzymają kroku tylu zgłodniałym, namiętym i wściekłym!

HELIOGABAL.

Dobrze — dobrze — a potem czyż oni nas samych nie pożrą — gdzie się podzić wśród takiego zgiełku? Kto skróci ich zuchwałość, czem pragnienie krwi zgasimy w ich pierśsiach?

IRYDION.

W pierwszych dniach zemsta i chciwość upiją się krwią i złotem wśród pożaru miasta. Następnie ich ramiona i chęci związane tylko wspólną nienawiścią Rzymu, rozpręgna się i każdy wróci do przesądów wiary swojej, lub do zwyczajów swojego narodu. — Wtedy już rozdzielonych i osłabłych na wschód pociągniem za sobą, obietnicami lepszej jeszcze rozkoszy. — Tam wymrą od skwarów nieznośnego słońca, wymrą od zbytków na które się rozpaszą obyczajem zwycięzców i dzikich — a reszta rozplynie się i wyschnie wśród ludów, które cię kochają i Boga twego wyznają. — Naprzód więc bez trwogi, ale w milczeniu śmierci — inaczej nigdy nie dowieśmy się życia!

HELIOGABAL.

Io triumphe! Tyś z Prometeuszem razem chodził po ogień do niebieskich progów.

(Klaszcze w dłonie).

O gdybym nową świątynię zbudował w Emezie — o gdybym żyć mógł wśród wieszczbiarzy moich!

IRYDION.

Młode państwo założysz na miejscach, w których wzięłeś życie — wolny od bezsennych nocy, razem Arcykapłan i Cezar, podobny starożytnym Pół-bogom Nilu, słodkie dni pędzić będziesz wśród dymów aleosu i mirry, wśród tonów cytary i fletu. — Gdzie spojrzysz tam czołgać się będą niewolniki ciche i stopę wegniesz w ich karki czarne. — Co zażadasz, stanie się twojem — co każesz pamiętać, zapamiętają — wielkie imiona przeszłości zgasną w obliczu twego — a nie będzie już wtedy senatora lub prawnika, coby marząc o Rzeczypospolitej śmiał przedrzeźniać twoją mitrę chaldejską, natrzasać się z obwisłych rękawów wschodniej szaty twojej!

HELIOGABAL.

Przemierzcie Kwiryty! niby ich stara toga, ich fibule, ich tuniki piękniejsze! Mitro, słuchaj mojej przysięgi —

obym nigdy do twoich promieni się nie dostał, oby geniusze nocy członki moje rozerwali, jeśli wszystkich Bogów Rzymu spętanych w łańcuchy nie rzuć przed twoje ołtarze. — Synu Amfilocha, co radzisz uważam za dobre i pożyteczne — przez Baala i Astarota, zburzimy to miasto — radź dalej tylko!

IRYDION.

Każ potajemnie skarby twoje wywieść do Emezy. — Zabawiaj lud igrzyskami, pretorianów hojnemi datkami, a tymczasem ściągaj do miasta z legii Vindelickich zaciężne Goty, z nadreńskich zaciężne Cheruski; w miarę jak będą przybywać ja zapoznam się z nimi — matka nauczyła mnie dzikiej mowy północnych!

HELIOGABAL.

Zapominasz o włoskich legiach stojących w Efezie, w Tarsus, w Pergamie, w Milecie.

IRYDION.

Wyślij gońca do pretora Variusa by je zgromadził i najspieszniejszym pochodem udał się na Partów. — Zajętych nad Kaspia przykreml utarczki dójdzie wieść o tem co się stało w Rzymie — wtedy jednych złowi nieprzyjaciół, drudzy się rozsypią, inni przybiegną połączyć się z nami i żyć z łask dworu twojego.

HELIOGABAL.

Bitne to kohorty — pomyśl jeszcze — może niebezpiecznie?

IRYDION.

Nie lękaj się nikogo po zniszczeniu Romy. — Bezkarne deptać można po ciele, z którego wyleciała dusza — a my samą duszę państwa, duszę świata wydrzem i zabijem!

HELIOGABAL.

A gdyby nas Alexyan uprzedził tymczasem? Zamiejskie pretoriany szemrzą coraz bardziej i piosnki nucą o jego odwadze. — Ulpian senat przyciągnie. — Obudzą mnie w nocy, przerzną mi gardło....

IRYDION.

Ty wprzód wyrzeczesz nad nimi „*Salve Eternum.*” — Tylko Eutylianowi nie zwierzaj się z niczem — przybierz zimną i spokojną postać — odwiedź Alexyana i Mama meę — a kiedy z nimi będziesz rozmawiał, niech słow-

słodkimi, niech spojrzenia twoje spokojnemi będą. — Uwierzali czy nie, zawždy to ich wstrzyma na czas jakiś od stanowczego działania.

HELIOGABAL.

Uśmiechnijcie się Bogi! Mitro, rozjaśnij zasepione czoło! Venero, matko lubieżności, połóż się na modrych falach, lejącemi otoczona syny! Bachusie, pij zdrowie Heliogabala! Dajcie róż i Falernu. — Chodź najmilszy z ludzi — rozciągniem się na purpurze, — pić będziem i chwalić Bogów za to że wróg nasz zginie!

(Skacze mu na piersi).

Ten pocałunek weź od cezara — nieprawdaż — wonne usta moje i gładkie czoło wzorem najśliczniejszej dziewczycy? — Chodź. — Ja i Elsinoe panować będziem na Syryjskich wybrzeżach, tam gdzie święte gwiazdy rozmawiają z ludźmi o losach przyszłości.

(Wychodzą).

Ogród Cezarów na palatyńskim wzgórzu. — Pod posągiem Diany.

Elsinoe i Irydion.

ELSINOE.

Dalej iść nie sposób, za długo by mi wracać było — Lecz ty nie opuszczaj mnie jeszcze.

IRYDION.

Spieszno mi także — ostatnia czerwień słonecznych promieni już umiera na szczytach Amfiteatru, a nim wrócić do siebie muszę zamiejskich pretorianów odwiedzić.

ELSINOE.

Nie proszę o długie godziny — błagam o jedną chwilę tylko.

(Kładzie głowę na podstawie posągu).

Spojrzyj na twarz niepokalanej — patrz, obwiała ją tunika zmierzchu — o jabyim mogła była kochać jak ona, kiedy wśród cichej nocy oparta na łuku złotym spuszczała się przez fale błękitu by marzyć nad sennym Endymionem! — a teraz pójdź, zapytaj się ludzi, na co wyszła

siostra twoja? „Między Pappęą i Messaliną, odpowiedzą ci, postawiono Jej ołtarze“.

IRYDION.

Kto się poświęcił dla dobra ludzi powinien o ich sądzie zapomnieć. — Czy wiesz kto jest Bogiem Nazaarenów? Ten co dla zbawienia braci sam przystał na hańbę Krzyża! — O Elsinoe, i nam podobne dostały się losy!

ELSINOE.

Ty już cudze wiary przejmujesz! szukasz pociechy u tych którymi pogardzili ludzie! A ty znasz Alexandra, wiesz jak go wychowała Mammea, słyszałeś o nim przepowiednie starców że zrówna kiedyś boskiemu Aureliuszowi! — wczoraj w przysionku Dejaniry napotkałam jego. — Zatrzymał się i spojrzał — pierwszy wzrok był niepewny, drżący — drugi już mocniejszy, wyrazistszy — wreszcie odwrócił się w milezeniu pogardy.

IRYDION.

On i wszyscy żyjący w tem mieście przeznaczeni zgubie.

ELSINOE.

Precz, precz, ja nie żądałam zemsty — odwołaj, odwołaj!

IRYDION.

Biedna! uspokój się. — Nieszczęśliwa! jakże ci teraz — w naglej badości zdałaś się omdlewać przed chwilą?

ELSINOE.

Lepiej mi, lepiej — daruj — nie do takich żalów powołały mnie Bogi — idź — ja wrócę kędy mnie furje czekają — ja pójdę stopy wikłać z gadem co nieustannie płąsa na około — tam zawczesna starość w nagrodę upodlenia i męki — tam konwulsya wstrętu — ale cicho, cicho, — ty nie znasz tajemnie dziewiczego łona!

IRYDION.

Ach! ty coś niedawno płonęła życiem tak promieniem, nimfo ruchu i piękności, gdzież się podziała? Tę łzę co spływa po twarzy mojej wylałam dla ciebie. — Lecz teraz oddał się — pamiętaj na wyroki Odyna i do-
trwaj do końca.

ELSINOE.

O bracie!

IRYDION.

ogardzonemu szalów przysparzaj, doniszczaj rozum jego i życie. — *Vale!*

ELSINOE.

Niechaj cienie Amfilocha i Grimhildy będą naokoło ciebie. — *Vale!*

Sala Amfilocha w noc. — IRYDION wchodzi z MASYNISSĄ. — Za nim przełożony niewolników.

IRYDION.

Czegoż chciał, Piladzie?

PILADES.

Ani słowa nie przemówił — jedno zasiadł i postanowił czekać na ciebie. — Myśmy zwykłym obyczajem domu twojego dali mu chleba, mięsa i wina.

IRYDION.

Niech wejdzie.

(Wychodzi Pilades).

MASYNISSA.

Strzeż się tego człowieka.

IRYDION.

Czemu?

MASYNISSA.

Ten człowiek przychodzi cię zabić — masz!

(Miecz mu podaje).

Jeśli prawdziwe twoje przeczucie, szkoda tej kartagiskiej stali. — Tym puhaem z którego pijał Amfiloch roztrzaskam mu głowę.

(Wchodzi Gladiator).

Czego chcesz, niewolniku?

GLADIATOR.

Przez chwilę być sam na sam z tobą.

IRYDION.

To mój powiernik — mów śmiało przed nim.

GLADIATOR.

Pan rzekł do mnie: „Miasto darcia się z tygrysem, zamorduj Greka a będziesz wolnym.“ Lecz ten który mnie przysłał, sto razy gorszym jest od ciebie.

(Rzuca sztylet na posadzkę).

Niechaj przepadnie niewola!

IRYDION.

Kto cię przysłał?

GLADIATOR.

Człowiek nowy, podlec i tchórz, okrutnik i lichwiarz.

IRYDION.

Ha! to pewno Rzymianin!

GLADIATOR.

Zgadłeś — Aetius Rupilius.

IRYDION.

Nadworny błazen nadwornego błazna.

(Kładąc puhar.)

Wiedziałem o tem — patrz — czaszka twoja rozpaść się miała na odciski tej rzeźby korynckiej!

GLADIATOR.

O synu Amfiocha, nie przeląknę cię. — Roślejším i dzikszym parłem stopą piersi na piasku Areny — ale głodny byłem — jeść mi dali w pałacu twoim — spragniony byłem — dali mi wina w pałacu twoim — czekając na ciebie słyszałem braci gladiatorów, którzy imię twoje błogosławili. — Teraz bądź zdrow, ja zginę jutro pod kłami tygrysa.

IRYDION.

Nie — ty żyć będziesz i zemścisz się niewoli twojej na panach twoich. — Ho! Pilades!

(Pilades wchodzi.)

Sto sesterców wydać temu człowiekowi i tunikę i pierścień żelazny jaki noszą domownicy moi. — Imię twoje?

GLADIATOR.

Za dni dzisiejszych zowią mnie Sporusem.

IRYDION.

W mowie twojej prostej coś dumnego się odzywa. — Ostatek jakiejś przeszłości żyje w tobie jak promień lampy wymykający się ze szpary sarkofagu. — Jeszcze raz pytam się o imię twoje?

GLADIATOR.

Niegdyś przodków moich na wzór Jowiszów czeił lud i senat rzymski — ale co przeszło, przeszło. — Imię moje: Lucius Tiberius Scipio!

IRYDION.

Marzysz niewolniku — ród ten wygasł już od dawna.

GLADIATOR.

Ale tylko w pamięci ziomków — ostatniemu z naszych o którym świat wiedział, Nero zabrał żonę, pałac w Rzymie, imiona w Italii, Sycylii i Afryce — i posłał go na wygnanie do Chersonesu — syn jego po latach wielu wrócił do miasta o żebranym chlebie — odtąd jesteśmy nędzarze, a ojciec mój już był gladiatorem!

IRYDION.

I nikt was nie poratował w Rzymie?

GLADIATOR.

Kto miał wspomódz starego Patrycyusza? Czy prawnuki naszych Liktorów, dziś bogate Pany? Czy Imperator, wróg przeszłości, morderca pamiętek? Ojciec mój hakami wywleczony z Amfiteatru skonał w spoliarium przeklinając Bogów. — O! niech przepadnie miasto które opuściło wnuki swoich konsulów.

(Podnosi sztylet.)

Jedno słowo tylko, a pójdę Rupiliusa, tego dzisiejszego Rzymianina, zabić!

IRYDION.

Śmierć jednego jest szaleństwem dziecka tam gdzie trza śmierci tysięcy. — Zachowaj się na szersze pole, do lepszego dzieła.

GLADIATOR.

Jeśli dzień taki lub owaki bliski w którym można będzie mścić się i łupić, to ci przywiodę Verresa, Kassiusa, Syllę — wszyscy z dawnych jako ja, i wszyscy w nędzy!

IRYDION.

Każdy z nich znajdzie schronienie pod temi filary — na teraz dom mój niechaj będzie waszym. *Vale*.

MASYNISSA.

Idź, żądaj zemsty sercem całym, a losy ci jej nie odmówią.

(Gladiator wychodzi.)

IRYDION.

Wygrywam, starcze, wygrywam! Ach! Tryumfatory dawne, coście braci moich spętanych w łańcuchy wiedli

obok królów w kajdanach, zburzyciele Kartagi, Koryntu, Syrakuzy, patrzcie! ostatni Scipio stał się sługą i Greka narzędziem — przyszedł zebrać u niego i jadła i mordów! Ach! doczekałem się upadku przeklętych i dumnych. — Masynisso, tym kielichem pij zdrowie Scypionów!

(Nalewa mu i daje.)

MASYNISSA.

Długiego powodzenia rodowi Scypionów!

(Oddaje w ręce Irydiona.)

IRYDION, (pije i rzuca puhar.)

A jako ten kamień drogi niechaj pryśnie pycha Romy!

MASYNISSA.

Pochłaniamy stopniami cudze wole i siły — rośniemy Sigurdzie, ale dopóki Nazaret nie nawrócony na naszą wiarę, dopóty nie zdołamy walczyć wstępnym i zwyciężkim bojem!

IRYDION.

Starzec-Bóg przed którym oni zginają kolana i myśli, ku czarnym sklepieniom długo trzymał wzniesione ramiona, wzywał ducha i wpoił tego ducha w skronie moje rękoma drżącemi z których sączyła się woda tajemnicy — grono błędnych, wynędzniałych braci śpiewało powtarzając imię moje nowe: „Hieronym, Hieronym,“ a ich głos ciągnął się jak pogrzeb nadpowietrzny, niewidomy — w tej pieśni jednak były słowa nadziei!

MASYNISSA.

I znamie ich zawiesiłeś na piersiach?

IRYDION.

Zawiesiłem.

MASYNISSA.

Przycisnąłeś do ust w pokorze?

IRYDION.

Przycisnąłem.

MASYNISSA.

Dobrze — teraz ich serca się rozdziela!

IRYDION.

Już zaczęły się mieszać — w starych, w tych którzy odbyli męczeństwo, i niebo jak twierdzą roztwarte nad sobą widzieli, napróżno chciałem rozniecić iskrę zapалу — dpowiadali mi zawsze te same słowa, jak strumień co

zawsze o jedne rozbija się zwiry. — „Przebaczenie — Zapomnienie — Miłość zabójcom“ — ale młodzi, świeżo namaszczone żołnierze, niewolniki, barbarzyńcy, pielgrzymy, co odwiedzili pustynie Egiptu, coś dzielniejszego czują. Ich wzrok się płomieni na wzmiankę obelg i męczarni. — Ich serca przynajmniej czegoś pragną na świecie. — Zrazu błogosławią złemu co ich gniecie, ale wreszcie, kiedy krew zagra im po żyłach, chcącym niechcącym wyrywam przeklęstwo.

MASYNISSA.

Na to, byś wcielił królestwo nie tej ziemi w namiętności ziemi, trza ci niewiasty. — Oni ubóstwili córę dzieciństwa i wczesnej starości; z łupów cielesnych roskoszy wydumali parę tajemniczą, oni przed niewolnicą męża schyliłi czoła. Z tylu dziewic które tam więdną w modlitwach i postach, jedną wybierz i rzuć im po nad dusze. — Uczyni ją zwierciadłem myśli twoich — niech je odbija i ciska na okół bez pojęcia, bez czucia — ale siłą, co w piersiach męża góruje, porwana i zniszczona!

IRYDION.

Znam jedną — wszyscy darzą ją imieniem błogosławionej i świętej przed czasem, a ona lubi mi rozpowiadać niebiosą.....

MASYNISSA.

Tknąłem i odbrzękła mi struna — nieprawdaż, oko jej czarne jak węgiel, błyszczące jak żary — ród Metellów kończy się na niej?

IRYDION.

Wiesz — po co się pytasz?

MASYNISSA.

Pamiętaj chwalić jej Boga, każdą ranę Jego chwalić, z każdym gwoździem co przebił Jego, żałośnie się pieścić. — Ona się kocha w tem ciele rozkrzyżowanym, w tych rysach, które tobie wymarzyła piękniemi, gasnącemi w zwycięstwie miłości. — Ona ich nie widziała kiedy konały ze wstrętem bólu, w milczeniu osłabienia, zmazane krwią, z wichrem gwiżdżącym wśród włosów! — Słuchaj, przeprowadź Jej myśl od niego do siebie — on daleki, on był kiedyś na ziemi, on nie wróci nigdy. — Ty żyjesz i jesteś

przy niej. — Ty będziesz jej Bogiem! Alma Venus i Eros sprzyjajcie!

IRYDION.

Ach! kto zbada tajnie jej bytu, kto schwyci źródła jej życia! — ona żyje ciemnościami w tych puszczach podziemnych, widoma i niepojęta, nacechowana boleścią i z niej wyludzająca urodę. — Sam Fidiasz by jej kształtów wszechmocnem nie zatrzymał dłutem — ona całą piękność swoją uniesie z sobą razem w ostatniem westchnieniu! Przeciwnie ja słaby jestem!

MASYNISSA.

Czego się wahasz i wątpisz? ona twoją być musi — nie dla marnej rozkoszy, ale że rozum mój, że dzieło nasze żąda jej zguby, jak zapytanie odpowiedzi, jak dźwięk dźwięku następnego. — Kiedy jej głowa opadnie na łono twoje, kiedy pierś jej zadrży jak pierś każdej niewolnicy i dusza niebieska zapomni siebie samej w ciałach pożarach, wtedy w katakombach znajdziesz wiernych słuzalców, o synu! — wtedy duch mój będzie z tobą i zemsta stanie się ciałem.

(Odechodzi.)

IRYDION.

Masynisso!

MASYNISSA.

Czego żadasz?

IRYDION.

Błagam cię — powiedz mi jak przyjaciel — nie! daj wyrok jak sędzia — od czasu w którym śmiałem się dziecinnie, w którym niewiedomie, wesoło, trącałem o krzywdy i hańbę pokolenia mego, aż po dziś dzień, każde słowo, sprawę, wszystkie chęci moje odwołaj, przelicz — rozumiesz?

MASYNISSA.

Czemu wzrok twój tak zmętniał i głos twój taki rozdarty, zbląkany?

IRYDION.

Wszak co świętem i lubem było dla drugich, było zawsze świętokradztwem dla mnie? Wszak dzikiej cnoty

KRASIŃSKI II.

5

ślubowanej Furyom dochowałem wiernie? Dotąd nie ma na mnie ani skazy litości, ani plamy żalu?

MASYNISSA.

Ale też nie ma czynu, syna ręki twojej. — Dopóki to dziecię w powiciu nicości, dopótyś sam jeszcze nieznany i słaby — w tym samym dniu, o tej samej chwili staniesz się ty przez dzieło twoje i dzieło twe przez ciebie samego!

IRYDION.

Ach w tych piersiach coś niepotrzebnego zostawiły Bogi — czuję jad co podchodzi mi skronie i do ócz się tłoczy. — Niewiasty ten jad nazywają łzami! — Powiedz! wszak ja kiedyś miałem być człowiekiem?

MASYNISSA.

I jesteś nim właśnie w tej chwili nikezemności. — Ty nie wiesz że każdy z was zdołałby zostać Wszechmocnym myślą własną, nieublaganą, zażartą — ale wróg przewidział i zawiesił w łonie waszem serce — bojaźń, ułudę, podłość, którą tulicie jak niewolniki którzy przystali na hańbę. — Tem on was rozdzielił i rozrzucił nisko i daleko. — Tem on panuje na długo i żaden go nie strąci, choć każdy mógłby go strącić!

IRYDION.

O kim mówisz, kto mnie nędznym i nieszczęśliwym uczynił? Jednego tylko znam zabójcę wszystkich chwil moich. — Rzym się nazywa.

MASYNISSA.

Jest inny Rzym, który zaginać nie może! On nie na siedmiu wzgórzach, on na gwiazd milionach oparł stopy swoje! On nie ród ludzki, marny jeden, ale plemion anielskich wielkich, i urodziwych krocie znękał. — Z was wszystkich on ma tylko błaznów, z nich męczenników i w każdej chwili jako wy w omamieniu chwalicie, oni w mądrości i piękności swojej o pomstę wołają.

IRYDION.

Co ty mi zwiastujesz, ty straszny, niezgłębiony?

MASYNISSA.

Walkę!

IRYDION.

Gdzie? Kiedy?

MASYNISSA.

Po zgonie Rzymu! — Wszędzie kędy twój Duch zdoła
czuć i myśleć!

IRYDION.

Bez końca, bez końca więc?

MASYNISSA.

Ja sam cię do niej powiodę — na padole obłąkanych
wygrywaj tymczasem dzieje swoje zatrute przez wroga!

Przeciw niemu i jego służalcom obrócisz kiedyś czoło
w pełni rozumu!

IRYDION.

A zwycięstwo, czy będzie zwycięstwo? Czy kiedy
zdejmę tu, czy na jakiej gwiazdzie ciężką zbroję moją?
Czy kiedy opuszczę głowę bez oczekiwania, bez niebezpie-
czeństwa, wolny, ukochany, kochający, szczęśliwy?

MASYNISSA.

Nie pytaj się przed czasem! — Idź naprzód, panuj
zwierzęciu w sobie, naucz się być samotnym na ziemi jako
on jest na szczytach świata; naucz się cierpieć jak cierpią
Duchy potężniejsze od ciebie! — Bo nim dojdiesz tego na
co wyrość możesz, ogień cię przetrawi razy tysiąc, konanie
cię przetrworzy razy tysiąc, gniew Jego cię odepchnie razy
tysiąc. — Będiesz jak fala rzucona pod obłoki i strącana
w przepaście — tylko że ona martwa, ślepa, głucha, a w to-
bie nieśmiertelne czucie!

IRYDION.

Jakibądź nieprzyjaciół mój, przed nim nie uniżę du-
cha — noc późna — wrócisz jutro rano — jutro pomówimy
jeszcze. — Idź teraz — prawda, prawda! nie miałem litości
nad siostrą, miałabym jej nieznanej żałować?

MASYNISSA.

Pamiętaj na słowa moje; bo miną kiedyś narody tej
ziemi, ale mój rozum nie przeminie.

(Odechodzi.)

IRYDION, (zrzucając chlamydę.)

Idź — ty mi ciężysz.

(Rzuca pierścień.)

Precz — ty mnie palisz — chciałbym włosy zmieść ze skroni — one mną nie są — one dolegają mi. — Gdzie Ja? Irydionie pokaż mi się! Męczarnio, co żyjesz w głębi łona tego, wynijdź — kto ty jesteś, niech ujrzę, raz niech się dowiem!

(Zdejmuje sztylet z nad tarczy.)

Powiedz mi, ogniku nocny, modra klingo, czy ty zdolasz wyssać mnie z piersi moich? — ale słyszysz, na zawsze! — Nie, nie, tyś także złudzeniem! Katon gdzieś się obudził i tam już inny Cezar stał nad nim trząsając mieczem i kajdany!

(Rzuca sztylet i depce.)

Kłamco, coś zwiódł tyle dusz cierpiących marną obietnicą nicości — ja urągam się tobie — ja czy tu, czy tam, niewolnik! ja nie spocznę nigdzie — leż w kurzawie, żmijo fałszu.

(Obciera czoło.)

Niežnośnie temu, który zaginąć nie zdoła — który kona wiecznie a nie skona nigdy!

(Stąpa po sali).

Jaka pustynia milczenia i spoczynku. — Jeden ją załamam nieudaną myślą. — Noc mi wieniec z gorączki i trosk na czole złożyła. — Dzięki wam za taką purpurę, Bogi piekielne!

(Staje przy posągu.)

Ojcze! kiedy spojrzę na rysy twoje, zda mi się, że słyszę obietnicę świętą. — Nieszczęśliwa Hellado! ty mnie przyciśniesz do łona. — Tryumfator pędzi — u kół rydwanu Jego skrzepowane Rzymiany — ich czoła pękają za osi gorących obrotów! Ha! nie dbam o męki nieskończone byleby dzień ten, jeden dzień taki, czoło mi w laury okwiecił!

(Kłeka.)

Ale czyż i ja mam zgładzić także? Ojcze, daruj Jej — ona nie cierpi jak my wszyscy, bo ma swoją wiarę i przyszłość nieskończoną. — Dumnych mordować — nędznych tysiące zepchnąć do Erebu — skazaną dobić. — Ach! to w losach moich wrytem było; ale szczęśliwą znieważyć, ale ufającą oderwać od nadziei, ale promienną zniszczyć!....

(Porywa się.)

Syn Amfilocha gnany jędzami jak niegdyś Orestes.

(Lampę bierze.)

Idźmy zasnąć — błogosławieństwo Larów nad tym domem spoczywa. — To miasto, to ojczyzna — błogo w niem i lubo — gwiazda pomyślności znać świeciła nad kolebką naszą!

(Wychodzi.)

CZEŚĆ DRUGA.

Katakomby. — W środku ciemnicy za wieszona lampa — Dwa sarkofagi w głębi. — Od każdego rozchodzą się ulice ginące w oddali. — Ściany zasute nadgrobkami ułożonemi w piętra. — Biskup VIKTOR. — ALEXANDER SEVERUS w żołnierskim płaszczu z zasuniętym kapturem

VIKTOR.

Wieki co przeszły, były dziecinnemi czasami ludzkości. — Im bardziej stworzenie zbliżać się będzie do Stwórcy tem żarliwszą miłością goreć będzie ku niemu i braciom swoim. — Miecza nikt nie znajdzie na ziemi ani ręki kata, a ten błogosławiony już dzisiaj, kto uwierzył w przyszłość takową i stał się jej przyspieszycielem!

ALEXANDER.

O gdybym mógł w dniu jednym dzieło sprawiedliwości, obietnicę ust twoich ziemi objawić!

VIKTOR.

Synu, nie spodziewaj się tego snu domarzyć, bo każdemu dostała się jedna fala w nieskończoności; pęd jej słabszy lub silniejszy, ale ona płynie dni kilka tylko. — Żyj więc i przeimiń jak reszta braci twoich, ale działaj według światła zlanego ua ciebie. — Stań się pocieszycielem, byś mógł kiedyś stać się wybranym na lewicy Chrystusa, i patrzeć jak inni natchnieni kończyć będą przez ciąg wieków co zacząłeś w pokorze i miłości Ducha.

ALEXANDER.

O! niech błogosławieństwo twoje zleje się na głowę Alexandra. — Cezar wkrótce nie zaprze się jego.

(Schyla się.)

Przygotuj się do zmiany — przyzwyczaj ich do imienia mojego, ojcze! — o to cię prosi Mammea.

VIKTOR.

Jak ja ciebie w tej chwili, niech cię kiedyś cały lud twój pobłogosławi i pamięć twoją syny synów ludu twego. Wstań, pomazańcze Chrystusa!

ALEXANDER.

Słyszę kroki czyjeś — ojcze, w godzinie walki bądź moim dobrym Geniuszem!

(Wychodzi).

(Przeciwnemi drzwiami wchodzi Irydion w płaszczu Pretoryanina.)

IRYDION.

Chwała panu w niebiesiech!

(Składa miecz, włócznię i zbroję u wejścia.)

Broń ziemskich gwałtów niech drzemie u progów mieszkań jego!

VIKTOR.

Czekałem na ciebie, Hyjeronimie — sługi twoje dziś z rana przynieśli ciało brata ściętego pod mauzoleum Cecylii Metelli. — Tam zgromadzeni wierni z ich rąk je odebrali — pogrzeb jego przejdzie tędy za chwilę — dzięki ci, Synu!

IRYDION.

Uczyniłem powinność moją. — Teraz przybywam od przysionka Cezarów — na poblądłych rysach dworzan myśl strachu się zataczała — pretoryanie zamiejscy burzyć się zaczynają przeciwko Imperatorowi.

VIKTOR.

Powierzchnia ziemi odmienia się w swoich pychach, jak barwy morza, za lada powiewem — ale to nie powinno mieszać spokojności grobów! — módlmy się w cieniu palmy męczeńskiej zerwanej przez Atanadora!

IRYDION.

Ojcze! dozwól słów kilka jeszcze. — Wszak w twoim ręku przyszłość nasza, wszak jednym skinieniem możesz tysiące nas rzucić na szalę, a gdzie one zaważą tam będzie zwycięstwo!

VIKTOR.

W niewidzialnem królestwie walczyć mogę przeciw książęciu świata modłami i ofiarą, a jeśli wszyscy połączycie się ze mną w obliczu Pana, obiecuję wam zwycięstwo!

IRYDION.

Ja mówię teraz o bliższych zapasach, o prędszym tryumfie! Ojcze! cierpimy jak ludzie, spodziewamy się jak ludzie i posady nam ziemskiej potrzeba. — Dotąd potęga nienawistnych ścisła nas zewsząd, tak żeśmy woleli umie-

rać niż klaniać się rozpuście, lub cześć kłamstwo na ziemi. — Lecz dzisiaj to co gubi narody stanęło u bram tego miasta — zgrzybiała starość i duma bez granic. — Helio-gabal sił nie ma do utrzymania swoich, Alexander do ustalenia nowych rządów, a resztę sił doniszcza w zbliżającym się starciu — pomiędzy nimi oboma czyż każdy co uwierzył w Chrystusa nie radoy krzyż wyrwać z wnętrzości ziemi i zatknąć na forum romanum? — ojcze, widzę chmurę zgrozy na czole twojem. — Daruj że pałam miłością ku braciom uciśnionym — daruj żem śmiał ci ogłosić, że nadeszła pora ugodzić w samo serce pogaństwa i Romy!

VIKTOR.

Z litością słuchałem słów twoich! Napróżno wodę chrztu wylałem na głowę twoją! Napróżno tłumaczyłem ci świat ducha. — Tyś go nie pojął, nie zrzuciłeś starego człowieka. Tyś w żelazie i ogniu położył nadzieje doczesnego zbawienia. — Ciężkie winy twoje!

(Słychać pieśni pogrzebowe.)

Czy słyszysz te Hymny płynące wśród grobów jak ostatnie szumy burzy, w której Jedyny skronie opuścił i skonał? — Czyż On wzywał na pomoc Aniołów, czyż On wołał o pomstę do Ojca?

IRYDION.

A więc nędza i poniżenie naszym działem na zawsze?

VIKTOR.

Myłsz się w hardości twojej, kiedy chwilę czasu nazywasz wiecznością! — Zaprawdę ci mówię, że w tych cmentarzach spią goście tylko — że nie tylko na progach niebieskich ale i na płaszczyznach bólu Miłość przemoże nareście. — Zaprawdę, zaprawdę, ludy pokłon jej oddadzą, i nie będzie Cezara, któryby przed nią nie uderzył czołem. Czy znasz tę postać?

(Wskazuje rzeźbę na sarkofagu.)

IRYDION.

Lutnia Helleńska, Ojców moich czworowdzięczne struny. — To Likaoński Orfeusz!

VIKTOR.

Jako on podług waszych pamiątek, dzikie rozpieścił zwierzęta, tak Jezus dusze milionów spoi brzmieniem żyjącego słowa — patrząc na tę lutnię ziemską, pojmił roje

duchów pracujące nad światem i dźwięk u stóp krzyża poczęty, rozlegający się już pomiędzy narodami. — On żyje sobą samym i sił nie czerpa na ziemi!

(Znak krzyża kreśli nad czołem.)

Uwierz i nie grzesz więcej! — Ostrzegałem cię teraz jak ojciec rozżalony błędami syna — później jeśli winę powtórzysz, napomnę cię jak pasterz trzody, ukaram jako sędzia ludu!

CHÓR W POBLIŻU.

Z głębi przepaści wołamy do Ciebie, Panie!
Duszę zamordowanego weź na łono Twoje!
Daj jej odpoczynek w chwale Twojej!
Ona odlatując przebaczyła katom!

Wchodzi orszak, męczennik na marach, głowa ścięta na piersiach spoczywa. — Mężę w czarnych sukniach z pochodniami. — Za nimi niewiasty w białych szatach.

VIKTOR.

Podajcie mi znak świadectwa i męki, święty na ziemi i niebie!

(Przynoszą mu Prochristum, — bierze i składa na piersiach umarłego.)

Własną krew twoją wylaną za syna człowieka daję ci do trumny, byś z nią kiedyś zmartwychwstał w dzień sądu.

(Przyklęka i razem wszyscy.)

Ty, coś kształt nieszczęśliwych przybrał, by nieszczęśliwych ocalić, złóż z nas złości nasze i wrzuć w głębokość morską wszystkie grzechy nasze — a temu, który zaczął drugą pielgrzymkę, ostatnią — uiść się w prawdzie Twojej!

GŁOS DZIEWICY.

Daj mu ujrzeć święte oblicze Twoje!

INNY GŁOS.

Daj mu wiosnę, wiosnę której nie miał na ziemi.

IRYDION.

A nas wybaw od pokusy zemsty.

CHÓR.

Zemsty?

VIKTOR.

Szczęśliwi którzy umierają dla Pana. — Oni zwyciężyli przed czasem.

(Wznosi ręce nad tłumem.)

Powstańcie i zanieście zwłoki do cmentarza Faustyna.

(Staje na czele. — Przechodzą zwolna. — Irydion jeden tylko zostaje z tyłu. — Od orszaku niewiast oddziela się na wyjściu Kornelia Metella.)

KORNELIA.

Czemu nie łączysz się z nami?

IRYDION.

Tej nocy w innym miejscu być muszę.

KORNELIA.

Gdzie, Hyjeronimie?

IRYDION.

Tam gdziebyś drżała o zbawienie duszy choć ztamtąd wnijdzie chwała ludu twego.

KORNELIA.

Wiem że się coś strasznego na cmentarzach gotuje. — Widziałam dzisiaj towarzysza twojego Symeona z Koryntu — przechodząc trącił mnie i nie obejrzał się i szedł dalej z lwią skórą na barkach, z okiem wbitem w próżnię przestrzeni — w tem oku bunt się palił i srogie natchnienie. — O! ja nieszczęśliwa!

IRYDION.

Czemu, Kornelio? przecież sam Pasterz, Ojciec, Sędzia ludu, sam Viktor codziennie powtarza żeś pierwsza wśród sióstr twoich i że znak wybrania już spoczął na twoim czole. Czegoż żądać więcej na ziemi?

KORNELIA.

Niezwykły to głos twój, bracie!

IRYDION.

Zdaje się tobie.

KORNELIA.

Ach! czy ty ten sam, z którym klęczałam na cmentarzu Eufemii, którego uczyłam modlitwy mojej. — Hyjeronimie, czy to ty?

IRYDION.

Ja, siostro.

KORNELIA.

Modliłam się tyle, pokutowałam tak ciężko, dni i nocy
tyle!

IRYDION.

I zasiądziesz w niebiesiech. — Któżby wątpił, Kornelio?

KORNELIA.

O nie za siebie — nie!

IRYDION.

Za kogóż?

KORNELIA.

Za jednego z braci moich.

IRYDION.

Za jednego z braci?

(Zbliża się do niej).

KORNELIA.

Jaki ty straszny!

IRYDION.

Mów prawdę, mów imię jego, ktokolwiek jest, twoim
będzie. — Spiesz się tylko, niewiasto. — Nie długie chwile
nam zostały — czasu nie będzie potem na ślub przed krzy-
żem, a ja was oboje połączyć chcę, odesłać gdzie daleko
byście żyli razem — szczęśliwie — na Tebaidzie — mówże.
— Ha! ziemską miłość wstąpiła do duszy wybranej!

KORNELIA.

Szalejesz!

IRYDION.

Imię Jego — tego jednego — tego brata?

KORNELIA.

Hyjeronim! ale ten co był kiedyś, nie ten co tak dziko
spogląda, co bez zmysłów stoi przedemną. Apage — Apage!

IRYDION.

Cicha, piękna, szczęśliwa, patrz! terazem spokojny
jak wprzód.

KORNELIA.

Słodki jak niegdyś?

IRYDION.

Pokorny przed tobą.

KORNELIA.

Przed Panem!

IRYDION.

U stóp twoich klękne i będę powtarzał imię Chrystusa.

KORNELIA.

Obiecay, że nie wmieszasz się do nich, że nie wdziejiesz zbroi na gwałty świeckie i potępione!

IRYDION.

Biedna, ty nie wiesz co mówisz.

KORNELIA.

Nie chcesz?

IRYDION.

Ja sam ich powiodę.

KORNELIA.

Biada mi!

IRYDION.

Czyś nie słyszała od wielu świętych że już bliskie czasy? — Czy nie pamiętasz słów Jedyne go kiedy odchodząc przyrzekł swoim, że powróci i królować będzie? Czyż ulubieniec Jego na dzikiej Patmos nie powtarzał, że Babilon runie a sprawiedliwi na gruzach zasiądą?

KORNELIA.

Kiedyś, kiedyś, ale nie dzisiaj.

IRYDION.

Dziś, siostró, lub nigdy!

KORNELIA.

Viktor wyklął Eugenesa, który tak myślał i mówił.

IRYDION.

Rzymianie ukrzyżowali Eudora, który tak myślał i mówił.

KORNELIA.

Pójdź do Biskupa, wypowiadaj się jemu, zapytaj się go jak posłuszne dziecko.....

IRYDION.

Ja dzieckiem tylko być zdołam przy Tobie na chwilę znikomą, jak fala co nie wróci nigdy. Za okręgiem twoich spojrzeń we krwi ja broczyć będę. Trawa nie porośnie gdzie mój koń przeleci!

KORNELIA.

Bluźnisz!

IRYDION.

Nie — ja przeczuwam tryumf Boga twego!

KORNELIA.

Czyż on takiego zwycięstwa nauczył? Czyż nie odpuścił wszystkim? Czyż słabych nie ubłogosławił dla ich słabości? Czyż niewiniątkom nie obiecał królestwa niebios, dlatego, że drobne i ciche?

IRYDION.

Taki był początek — ale dziś, siostró, słabi w siłę wyrosli, niewiniątka stały się mężami!

KORNELIA.

Miłosierdzia, miłosierdzia wołam nad nim, o Panie! Ty mu nie dasz przepaść w oczach moich. — Ach! co ja mówię? gdzie jestem? Wszak ślubowałam ci, Panie, całe serce moje. — Jakże tu ponuro — pierwszy raz strach umarłych mnie napada — kto tu jest z nami?

(obziera się.)

IRYDION.

Oprzej się na mnie!

KORNELIA.

Tak, tak, ty się nie odejmiesz mojej potędze. — Łaska uwiośni twą duszę. — Ja wiem żem się urodziła żeby ciebie zbawić!

IRYDION.

Ani ty, ani nikt na ziemi, nie wydrze z piersi moich pragnienia które je rozdziera. — Gdyby sam Bóg nie wołał na nas, gdyby pomoc świętych nam obiecaną nie była sam jeden jeszczebym dzieło rozpoczął. — Ostatni raz może mówię do ciebie. — Znasz dzieje Matki mojej, ale ukryte przed tobą wielkie myśli Ojca mego. — Pij kroplami ze mnie gorycz która mnie pożera. — Słuchaj.

KORNELIA.

Ty ostatni raz — ty do mnie mówisz?

IRYDION.

Słuchaj!

(siada u stóp Sarkofagu — ona wyżej opiera się na tym samym grobie.)

W trzynastą rocznicę śmierci Grimhildy on nagle zwołał mnie do siebie z rana. — Już od dni kilku bladeść złowieszczą kaziła mu lica. „Synu, rzekł, niech zastawią

biesiadę w sali Delfickiego Apollina — ostatni raz dzisiaj położym się u jednego stołu. — Bóg Matki twojej mnie ściga, nim wejdzie jutrzejsze słońce opuszcze tę ziemię“. Strach mnie ogarnął. — Szedłem wypełnić jego rozkazy. — On dzień cały strawił ze starcem Maurytańskich pustyni. — Głosy ich rozchodziły się jak ostatni szczęk dogorywającej bitwy — stało się cicho — wyszli oba i stąpali ku sali Festynów!

KORNELIA.

Dreszcz jak łuska gadu przesuwają się po mnie!

IRYDION.

Siostrę moją przycisnął do łona i odpychał potem zwolna i rzekł: „Co brat ci rozkaże, czynić będziesz dla miłości mojej“. — Do płaczącej słowa już więcej nie przemówił, ale kilka kropel wina rozlał w ofierze i legł, i mirtami uwieczonym puharem pił zdrowie wielkich mężów. — Wyzwoleniec czytał mu Fedona — stu niewolnikom wejść kazał i darował im wolność, a kiedy mu dziękowali: „Jako wasze pęta skruszyłem, pamiętajcie drugim, o ile wam sił stanie, zrywać łańcuchy. — Czyńcie kiedyś co wam mój syn powie“. — I wstał pogodny jak wieczór co zwolną nocą się obwija a jeszcze purpury słońca nie zatracił!

(Chwila milczenia.)

Wtedy w najdalszej komnacie pałacu zaczęła się ta noc ostatnia, w której zawiązały się losy moje — wokół nas jaśniały płomienie trójnogów. — Masynissa rzucał w nie kadzidła — głowa Amflocha leżała na łonie przyjaciela i stopniami schodziło z niej życie — ale powaga zawsze była jedna, nie zachwiana. — Żal przerwanych zamysłów w głębi ducha leżał spętany. — Boleść nadaremno się wysilała. — Jedynym jej znakiem była wzgarda na ustach — on umierał tak jak żyją Bogi!

KORNELIA.

Widzę, widzę go — ale gdzie anioł stróż Jego w tej chwili?

IRYDION.

W tej chwili on tworzył przyszłość, której niegdyś pragnął dla siebie, którą teraz mnie zapisywał. — „Nie uchyliš czoła, nie stracisz wiary w złą godzinie — w do-

brej nie przebaczysz, nie zaprzestaniesz, ale przejdiesz po zwłokach zrzuconego by stojących obalać. — Nie miej smutku ani słabości, bo jako księżyc na niebie tak dzieje narodów na ziemi wzrastają by maleć. — Dziś Roma u stóp widnokręgu, blisko nizin śmierci“. — Tak nauczał, a z milczenia nocy stopniami budziło się życie — a co chwila Bóg mściciel bardziej ciężał nad nim!

Wreszcie przysiągłem przed Jego świętem obliczem. On dłoń trzymał na czole mojem — przysiągłem rozkoszy nie mieć — przywiązania nie znać — litości nie słuchać — ale żyć by niszczyć, dopóki Duch mój się z Ojca Duchem nie połączy!

KORNELIA.

Przebacz mu, Panie, on nie wie co mówi!

IRYDION.

Masynissa krew dymiącą wylał z czary na głowę moją i na rękę jego i pierwszy promień zorzy błysnął na łożu umierającego. — „Hellado moja!“ zawołał głosem miłości i spojrzał jak Tryumfator ubóstwiony zwycięstwem! W tem natchnieniu ustało jego ziemskie życie. — Kornelio! zemsta dobrem mojem — w zemście żyć muszę i skonać!

KORNELIA.

Na kim ty ją chcesz wyrzucić, — Hyjeronimie? kto Jemu, kto tobie przewinił?

IRYDION.

Ci, którzy was przymusili błędzić z kąd uciekają żyjący po złożeniu umarłych! Ci, którzy Boga twojego zelżyli razy tysiąc i co było w sereach ludzi boskiem, zdeptali na ziemi! — Czy ty wiesz przeszłość! Tłumaczyć ci ją będę jak Chrystus wracając z Emaus pismo nieświadomym. — Stało się pod wieczór światu — zwiędły kwiaty poranku, zgasły ognie młodości na Egojskich wybrzeżach. — Raz jeszcze na północy ozwał się głos wolnych — potem wszystko ucichło — wtedy powstał człowiek który rzekł: „Dawne chwały przywrócę a zniszczę tych co wszystko zniszczyli“. — Czy ty go potępisz, córo chrześcijan? — On chciał by cierpiący odrzucił więzy — by ślepy w niewoli przejrzał i poznał progi ojczyste — by głuchy i niemy przemówił rodzinną mową. — Czyż on nie zwiastował powtórnego przyścia

Boga twego? Jan niegdyś samotny, bezbronny, wołał na pustyni że nadchodzi syn człowieka, ale ten który umęczon będzie. — Ojciec mój poprzedził tego, który zwycięży tego, co królować będzie, tego, o którym zwątpiłaś!

KORNELIA.

Ja?

IRYDION, (chwytając ją za ramię.)

Boś sądziła, że on tę ziemię zostawi na łup Rzymianom — ty myślałaś że on krwi naszej niesyty będzie!

KORNELIA.

Zgubiony — ach! Panie! a jednak ogień wiekuisty, ogień Cherubów w oczach mu jaśnieje!

IRYDION.

Uwierz, ty się nie domyślasz co mnie czeka jutro. — Uwierz, ja wodzem ludu twego. — Uwierz, a Jowisz z Kapitolu runie by nie powstać więcej.

(Słychać kroki.)

To Viktor, to niewierny! — Zostań. — Ja wrócę za chwilę.

(wchodzi w ciemne przejście.)

KORNELIA, (przykłęka).

Serce biedne, nie moje, nie znane serce, ty co bijesz tak rozdzierająco, módl się do Chrystusa. — Panie — Panie — odpowiedz słudze twojej!

Od krzyża nigdy oczu nie spuściła ku śmiertelnym twarzom — a teraz, o Panie, dwoje ocz utkwilo mi w pałęci. — Jego oczy, jego, Panie!

I jako prorok, i jako święty, i jako Archanioł on staje przedemną i mówi, a ja go słucham, Panie! — i chciała-bym skonać.

(głowę zniża między ręce.)

Zmiłuj się nademną!

VIKTOR, (wchodzi z orszakiem.)

„Ile razy zbierzecie się w imieniu mojem będę z wami“. — Czemu nie usłuchałaś słów tych dzisiaj? Ciebie i Symeona z Koryntu i innych wielu nie dojrzało oko moje. — Córkó, zostaw ścieszki samotne nieprawym i odwróć się od nich kiedy za grobami schyleni naradzają się chytrze.

KORNELIA.

Ojcze!

VIKTOR.

Czy przynajmniej modliłaś się tutaj w uczestnictwie nas wszystkich?

KORNELIA.

Modłę się, Ojcze.

VIKTOR.

Czy sama tu byłaś?

KORNELIA.

Ojcze! sama jestem.

VIKTOR.

Drżysz jak światło gasnące — co tobie się stało, Metello?

KORNELIA.

Szukam Boga, Pana mego, i znaleźć go nie mogę.

VIKTOR.

Największym świętym przydarzały się chwile niepewności. — Znać wtedy, że nieprzyjaciół w pobliżu. — Módl się więc i czuwaj, bo duch skory ale ciało słabe.

(Wychodzi).

KORNELIA.

Ojcze!

VIKTOR, (odwracając się.)

Co, dziecię moje?

KORNELIA.

Czy już bliski poranek?

VIKTOR.

Dopiero noc się zaczęła.

KORNELIA.

A dzień Sądu czy bliski, ojczy?

VIKTOR.

W każdej chwili Syn człowieka może nas powołać przed swoje oblicze. — Czy ty co przeczuwasz?

KORNELIA.

Nie — tylko słabo mi bardzo — tylko wiedzieć chciałam.

VIKTOR.

Dziś jeszcze w Eloimie ofiarę świętą odprawię za ciebie. — Schorzała dusza twoja i ciało zmęczone pokutami — wstań, nie trwoż się, idź zasnąć, córko.

(Wychodzi).

KRASIŃSKI II.

6

KORNELIA.

Czemu nie zatrzymałam Biskupa!

(Irydion wchodzi.)

Słyszę stopy lekkie, stopy kusiciela.

(odwraca się.)

Ach! piękny, piękny jak Anioł! — Viktorze, Viktorze!

IRYDION.

Nie usłyszysz ciebie.

KORNELIA, (obejmując Sarkofag ramionami.)

Popioły świętych, strzeżcie mnie tej nocy.

IRYDION.

Czego się lękasz?

KORNELIA.

Czy nie widzisz jak ciemno, czy nie czujesz zimna? — tak jak gdyby wszyscy umarli, a nas dwoje tylko zostało — potępionych dwoje. — Oni, reszta wszyscy w niebiesiech!

IRYDION.

Godzina którą ci opowiedziałem za twarda na serce twoje!

KORNELIA.

Mylisz się. — Wzdychałam do palmy męczeńskiej, a miałabym drzeć przed zwycięstwem Pana mojego! nie, — nie. — Tylko coś rozprzęgło się w duszy mojej, coś mi w głowie się usuwa, coś w sercu pęka, Hyjeronimie.

IRYDION.

Niewiasta czynów nie potrzebuje, jedną cichą modlitwą zbawiona być może. — Jeśli się nie poczuwa do mocy, niechaj idzie precz odemnie. — Tu rozdziela się drogi nasze — będziesz spokojna jak wprzód — obaczmy się kiedyś, ale nie na ziemi.

KORNELIA.

Prawdę wyrzekłeś — stopy, unieście duszę daleko, daleko.

(usiłuje powstać. — Irydion rękę jej podaje.)

Ach! przybiłeś mnie na nowo — nie mogę.

IRYDION.

Biedna!

KORNELIA.

Coś nieśmiertelnego opasało mnie, niewidzialnych ramion dwoje!

IRYDION.

Ostatni raz mówię ci: Uciekaj.

KORNELIA.

Nie. — Dopókiś w błędzie śmiertelnym nie wyzionął ducha, dopótyś bratem moim w obliczu Ojca niebieskiego.

IRYDION.

Świadczę się wami, kości umarłych, i tobą, matko ziemio. — Chciałem ją, ją jedną ocalić!

(przechadza się po ciemnicy.)

Tak ojciec mój niegdyś zabił duszę niewinną kapłanki. — Siła dzikiego fatum zewsząd mnie opasuje.

(zbliża się do niej.)

Kornelio, Kornelio!

KORNELIA.

Modlę się za ciebie, klęknij tu przy mnie, zbądź pychy, powtarzaj słowa moje.....

IRYDION.

Jutro, pojutrze zacznie się moja modlitwa — głośna, — siostró, — wśród jęków nieprzyjaciół!

GEOS W POBLIŻU.

Hyjeronimie, do broni!

IRYDION.

Przybywam.

KORNELIA.

To on — to Symeon!

IRYDION.

A tam dalej tysiąc podobnych jemu drży z niecierpliwości i czekają na mnie.

(zrywa jej welon.)

Pryśnij, obsłono duszy mojej!

(porywa ją w objęcia.)

Usta, zostawcie na tem bładem czole obietnicę lepszego losu!

KORNELIA.

Ach! wraz z tobą na wieki potępiona jestem!

(mdleje.)

6*

GŁOS.

Spieszaj, spieszaj!

IRYDION, (bierze hełm i oręż, potem wraca i nachyla się nad nią).

Nie, ty nie umarłaś!

(przyciska ją do piersi.)

Obudź się na twardym pancerzu męża, obudź się, Kornelio! Masynisso! bądź mi przeklętym jeśli jej zguby nie odkupisz mi zwycięstwem!

KORNELIA.

Kto woła?

IRYDION.

Ten o którym powiedziano, że przyjdzie i pokona dumnych!

KORNELIA.

Widzę nareszcie, widzę ciebie. — Ty raczyłeś dotknąć się oblubienicy twojej. — Długo czekałam.....

IRYDION.

Podnieś głowę — rozedrzej wzrokiem te sklepienia. Tam wybrani śpiewają Hymn tryumfu. — Zmartwychwstań!

KORNELIA.

O Panie! chwała bitew na około twarzy twojej — płoniesz cały blaskami żelaza. — Panie, gdzie rany twoje, niech je obleję łzami!

IRYDION, (podnosi ją.)

Jutro, niewiasto, spełnią się przepowiednie o Królestwie Krzyża.

KORNELIA.

O nie rozpraszaaj się wśród ciemności — oni mówili że przyjdiesz, a teraz ty mnie nie weźmiesz z sobą. — Ty zapomnisz o służebnicy twojej!

IRYDION.

Biedna! powstań — nie płacz — nie rozpaczaj!

KORNELIA.

Daj mi zagaść w chwale twojej! ja już umarłam, o Panie!

IRYDION, (porywa ją z ziemi.)

Dni kilka jeszcze, niewiasto. — Tymczasem wołaj na braci swoich: „do broni, do broni“.

(Odchodzi).

Słyszycie ostatnie słowa jego. — On zstąpił drugi raz na ziemię i tą razą miecz w jego prawicy połyska. — Do broni! kości umarłych, żyjący kapłani, ludu boży, odpowiadźcie! On tak kazał. — Za mną: do broni, do broni!

(ucieka.)

Inna strona katakomb. — Symeon z Koryntu. — Obok krucyfiks, księga i trupia głowa.

SYMEON.

W dniu jednym świat posiąść, nie ten nędzny kędy błyszczy złoto i stęka żelazo, ale ten ogromny, ten świat dusz wszystkich i panować im w imieniu Twojem, o Boże! Ach! gdyby morze jasności, ta myśl przedemną rozciągnięta — ku niej płynę w potokach cierpienia i poniżenia, coraz olbrzymiej rozpychając zasępione fale. — O Chrystusie! podbiję Ci wszystko, co zowie się ciałem. — Tam w dole będą pustynie, skały, miasta, ztamtąd szumią wołania królów i kupców, a duch mój odbicie Twego na ziemi, zawieszony w górze, jednością potęgi ich ściska. — Każe im milczeć lub modlić się, drzeć lub radować się — myśleć lub zasnąć!

IRYDION, (wchodząc.)

Witam cię, synu Hellady, po dwakroć bracie mój!

SYMEON.

Wreszcie nadszedłeś.

IRYDION.

Czas jeszcze.

SYMEON.

Czy widziałeś Viktora!

IRYDION.

To dziecię stare które panuje nad nami. — W nim słodycz jest słabością a słabość staje się uporem.

SYMEON.

Zaprawdę ci mówię że trzoda nie puści się na nieznane pole bez błogosławieństwa pasterza.

IRYDION.

Zwlekajmy do ostatniej chwili — wtedy nagle otoczymy go rozpaczem i prośbą. — Nieprzygotowanego strach ogarnie lub duch boży oświeci!

SYMEON.

Do stóp mu się rzucę — iskra co pryśnie od mojego serca duszę mu rozerwie.

IRYDION.

Śpi u niego głęboko dusza — twarz wyschła mu od cnoty — zresztą idźmy zawsze naprzód, nie oglądajmy się nigdy — w tem nasze zbawienie.

SYMEON.

Stanie się jako mówisz. — Czy słyszysz te pomieszane głosy? — gromadzą się jak im przykazałem na pograniczu świętych grobów, na szerokich cmentarzach starych pogan.

IRYDION.

Ukrzyżowanego, niezemszczonego weź w ręce i nieś przed ich oblicza!

SYMEON, (porywając za krucyfiks.)

O jakżem był kiedyś małoduszny i ślepy! Wierzyłem że niesprawiedliwość znosić trzeba, by docierpieć się nieba.

(podnosi czaszkę.)

Patrz na te zapadłe skronie — w tych załamach jaśniało niegdyś życie życia mego. — Biskup miał złączyć ręce nasze. — Dnia jednego nie dostawało, lecz nocą wpadł Centurion i porwał niewinną do cyrku Flawiana! — Z pod paszczy tygrysa to mi tylko zostało! — I jeszcze długo potem walczyłem z żądzą odporu jakby z szatanem, a to był duch żywy, święty co owładał mną stopniami!

(kładzie czaszkę.)

Spoczywaj, nieboga! wkrótce zmartwych ty powstaniesz dla mnie!

IRYDION.

Zemsta więc i naprzód tam gdzie brzęczą pszczoły!

(Wychodzą).

Przestronne lochy. — Cenotafy po ścianach. — Mogiły rozsypane tu i owdzie. — Zgromadzenie Chrześcian przy pochodniach.

CHÓR MŁODZIEŃCÓW.

Nieszczęśliwy ten co urodzon z niewiasty. — Dni jego blahe i znikome — od krzyża ramion odwiązać, od cierniów skroni odechylić nie zdołał. — Ciemności siostrami jego i grobem!

CHÓR STARCÓW.

Święty, Święty, Święty, słuszne sądy Twoje! Ty przez męki ojców wynosisz przyszłe pokolenia. — Na stosach kości naszych zieloność wiosny i szkarłat potęgi rozwieziesz synom naszym.

CHÓR MŁODZIEŃCÓW.

Ześlij nam pocieszyciela — niech on stanie na wysokościach, niech karki wyniosłych stopom swoim podścieli w równiny.

(wchodzą Symeon i Irydion).

Witajcie!

SYMEON.

W imieniu Ojca, Syna i Ducha, nadzieja niechaj będzie z wami.

CHÓR STARCÓW.

Symeonie, Symeonie! dla czego ten co idzie za tobą, co nie dawno jeszcze nosił szatę Katechumena dziś przywdział zbroję. — Naucz go i oświeć, by puklerzem była mu skrucha, a szczerza modlitwa jedynym orężem.

SYMEON, (do Irydiona).

Wstąp na mogiłę — odpowiadaj za siebie. — Ja tymczasem wezwę jeszcze ducha — chwil kilka jeszcze a stanę się w duchu.

IRYDION, (wstępuje na mogiłę.)

Kto się pyta niechaj własnej mądrości nie ufa, ale niech spojrzy w około i przypomni sobie przepowiedziane dni klęski mające zawisnąć nad ziemią!

Czasy milczenia kończą się dzisiaj, bo przebrały się męki sprawiedliwych — w grobach już miejsca nie znaleźć. — Kości umarłych gwałtem nas wypychają ku słodkim błękitom.

Kto leżał w prochu niechaj powstaje, kto się weselił nad naszemi głowy niechaj zadrży — bo przepaści wejdą w górę a wzgórze zapadną w otlchlanie!

CHÓR MŁODZIEŃCÓW.

Synu obietnicy, pokój Pana niechaj będzie z tobą.

IRYDION.

Pioruny gorejące Pana niechaj będą ze mną i z wami. — Z krzywd waszych stało się moje natchnienie — w łasce Jedyne go, Potrójnego, wszechłą się otucha moja — a wa-

szą wolą, moja posetniona siła niechaj wre i woła o pomoc do Boga!

Słuchajcie mnie. — Miasto rozdzieliło się tej nocy. — Syn wszeteczeństwa zachwiał się na tronie. — Pretoryanie odwrócili serca od niego. — Lud jak morze niepewne któremu wiatru się podda, dotąd kołysze się i milczy — ale wnet nań spadną ciężkie wichrów skrzydła, runą weń grady pomieszanych chęci. — Patrzcie! widome ciemności gromadzą się nad stolicą która morduje proroków i świętych. W całej Azji powstają Legiony. — Nad Renem burzą się Allemany. Cezar i Alexander zabierają się do ostatniej rozprawy. — Ten wzywa Mitrę, tamten Statora — a którego zwycięży, zwycięży z przekleństwem Chrystusowi na ustach!

Oto znak wam dany, hasło obiecanie — patrzcie a ujrzycie. — Chciejcie, a będziecie wolnymi!

CHÓR STARCÓW.

Kto ci dał władzę i na czole twoim wyrzył słowo boże? Gdzie Viktor, ojciec wiernych, pasterz namaszczonej? Czy on powie o Tobie: „On jest Ten, którego Pan wzбудził?”

SYMEON, (wstępując na drugą mogiłę).

Ja mu świadczę!

(Wznosi Krzyż.)

Płyńcie łzy moje, roztwórzcie się rany piersi moich. — Oto Pan nad wszystkie pychy, Bóg i zwycięzca przybity do progów śmiertelnych. — Wy którzy nie macie serca, stojcie na miejscu jak glazy porzucone na ścieżce. — Ja nie dla was mówię. — Wy co nie pragniecie by Hyjerolim wyszła z toni czasów, starzejcie się i milezcie. — Ja nie do was mówię!

Tych tylko wzywam dla których on hańbę znosił, posmiewisko wytrzymał aż słońce od mąk Jego przesłoniło się nocą! Od nocy tej straszliwej kto się upomniał o obelgi syna człowieka? Nikt go nie odział, nikt nie napoił. — Wszystkie narody ziemi jedne po drugich ukrzyżowały go na nowo!

CHÓR MŁODZIEŃCÓW.

Przekleństwo czcicielom Molocha.

IRYDION.

Nie wypuszczajcie chwili, która nadlatuje. — Nie patrzcie na nią jak na skrzydła co mijają i giną w oddali, jak na błyskawicę, co błysnie i zamrze w błysnięciu! Ale wszyscy razem, zgodnie, wyciągnijcie ramiona objąć ją — przycisnąć do serc waszych, o bracia. — Z niej drobnej dzisiaj, z niej co nie powróci nigdy, wydobyć iskrę życia — bo zaprawdę wam ogłaszam, że w niej długie wieki drzemią. — Jeśli je obudzicie, staną się waszemi!

CHÓR STARCÓW.

Ogień modlitwy gaśnie w łonie naszym — mgła tajemnicza zaszuwa się nad nami. — Panie! od pokus zwodziela wybaw nas, Panie!

IRYDION.

To słabość! — przez kajdany Ojców waszych odrzucicie ją — przez stopy Nerona odrzucicie ją — przez ofiary Cyrku zaklinam was, bądźcie silnymi!

CHÓR MŁODZIEŃCÓW.

Głos twój jak dźwięk trąby grzmiącej pędzi nas ku płaszczyznom ziemi — ale drżą nam piersi, włosy powstają na głowie! O Symeonie z Koryntu, odezwij się — mów czy nie widzisz czego?

SYMEON.

Widzę wzrokiem Jana który przed laty patrzył na Hyjerozolimę wybranych. — On w grobie śpi wśród nachylonych Aniołów i powstanie dzisiaj lub jutro — wtedy się usunę — a teraz ja prorokuję, ja wołam!

CHÓR.

Ścisnęły się marszczki czoła jego. — Krzyż czarny drży mu w dłoniach jak gałąź wśród wichrów!

SYMEON.

Duch mnie ogarnął, unosi. — Stąпам na zwaliskach miasta. — Bożyszcza przewrócone jak kawały darni — orły złote bez dziobów, bez skrzydeł, na garściach potrząskanej broni — purpury jak płótna na łące obwite niciami pajęczyn — łuny igrają po trupach. — Rozpuszczone war-kocze dziewic, długie szaty. Konsulów, Cezarów, porwane wozy znikają w oddali.

(Pada na kolana).

O Boże umęczony, natchnij ich duszę jakąś moją natchnął i ogień pożerający bitew roznieć w ich dłoniach!

(Wstaje.)

Modlitw waszych spienione fale dopłynęły Niebios. — Dusze zabite złością synów ludzkich stanęły u ołtarza, co wiekuiście pali się na podnożach tronu. — I ujrzałem tego który panuje na tronie — przeliczył je wszystkie, a liczba ich dopełniona i zawarta księga świadectwa i śmierci. — Głos zagrział: „Odtąd mi świadczyć będziecie życiem i zwyczajem!”

CHÓR, (przyklękają wszyscy).

Chrystusie, Chrystusie, wrą nam serca bo zmarłych-wstać chcemy! Nie opuszczaj nas w chwili niepewności. — Daj nam objawienie Sądów Twoich!

IRYDION.

Czy się jeszcze pytacie, ludzie małej wiary? Wzniesicie oczy. — Oto Pan wasz kona — oto jeszcze roztwarte usta i ostatnie wołanie: „Czemu opuściłeś mnie Ojcze!” Bracia, czy my go jeszcze i dzisiaj opuścim?

CHÓR.

Nie. — Nie.

IRYDION.

Ha!

(Odwraca się).

SYMEON.

Bledniejesz?

IRYDION.

Tam — gdzie zakręcają się sklepienia — tam na samej granicy światła i ciemności.

JEDEN Z CHÓRU.

Ktoś nas podchodzi lekkimi stopy.

(Wbiega Metella).

SNMEON.

Witaj, dziewico poślubiona wiekuistej miłości.

CHÓR.

Zkąd do nas idziesz tak późno, sama z rozpuszczonym włosom?

(Metella zatrzymuje się przy mogile Irydiona).

SYMEON, (do Irydiona).

Przemawiaj dalej!

IRYDION, (obracając się do Kornelii).

Czy mnie poznajesz, czy moje słowa pamiętasz?

JEDEN Z TEUMU.

Słyszeliście ten krzyk świętej?

DRUDZY.

Straszno, straszno stało się o tej godzinie sercom naszym.

IRYDION.

Milezcie, teraz ona mówić zaczyna!

KORNELIA.

Objawiłeś się i wyrzekłeś straszne słowo. — Odtąd biegnę i wołam — dni i nocy mijają, ja biegnę i wołam.

(Odwracając się do ludu).

Do broni, do broni!

IRYDION.

Przez ciebie, Masynisso, zwyciężam!

(Do ludu).

Dusza niewiasty prędzej od was wszystkich zrozumiała tajemnicę niebios. — Zmyjcie hańbę waszą w krwi bałwochwalców!

(Kładzie rękę na włosach Kornelii.)

Stań się żywym głosem chwały przyobiecanej. — Rozedrzej zasłonę czasu przed oczyma ludu!

KORNELIA.

W gromy zbrojnego widziałam — szedł zdobywając by zdobywać dalej — i nieśmiertelną stałam się w obliczu jego!

CHÓR STARCÓW.

Czyś miała widzenie i dotąd spoglądasz na jego mdlejące ostatki? Odpowiedz nam, odpowiedz!

KORNELIA.

W gromy zbrojnego widzę — idzie i zdobywa. — Nic mu się nie oprze. — Strzała jego cięciwy ziemię odmierzy w przelocie. — Strachem otoczył się jak zwojami królewskiego płaszcza i śmierć błada posuwa się za nim!

(Ucieka).

JEDEN Z CHÓRU.

Wśród głów i pochodni, jej włosy podskakują i toną
jak fala.

CHÓR.

Gdzie lecis?

KORNELIA.

Gdzie światło nie dojdzie, niech mój głos doleci: do
broni!

WSZYSCY.

Do broni, do broni!

GŁOS KORNELII.

Rozstapcie się ciemności — martwe skały zadrzyjcie
na świadectwo Panu!

SYMEON.

Zniknęła porwana natchnieniem. — Teraz słuchajcie
brata mojego, zważajcie na słowa młodzieńca!

IRYDION.

Kto przyjdzie do pałacu Amfilocha, kto wymówi sta-
nawszy na progu: „Sigurd, syn Grimhildy“ ten dostanie
miecz i pocisk i szyszak miedziany. — Pamiętajcie: „Si-
gurd, syn Grimhildy.“

PIERWSZY BARBARZYNIEC.

Niegdyś w Chersonesie słyngła kapłanka.

DRUGI.

Imie to Ojcowie nasi powtarzali z drzeniem.

TRZECI.

W borach Saxońskich przybyli bracia od morza pół-
nocnego, śpiewali o niej żałobne wspomnienia.

IRYDION.

To matka moja, a wy, bracia moi!

(Wchodzi i staje wśród nich).

Dajcie ręce wasze — z błędów wyszliśmy, ale błędy
ojców ogniwami synom. -- Dziś w imieniu Chrystusa bądźcie
mi wiernymi.

CHÓR BARBARZYŃCÓW.

Synu Grimhildy, synu ziemi srebrnej, od wolnych ludzi
wolne przyrzeczenie i wiara niezłomna! Błękitnooki, dłu-
gowłosy nie zdradzi ciebie. — Ślubujem tobie ciało nasze
jakośmy duszę poślubili nowemu Bogu!

IRYDION.

Wnuk króla mężów dziękuje braciom swoim.

CHÓR BARBARZYŃCÓW.

Przed laty Herman zaczął walkę z południowym słonem. — Święte jego kości spoczywają w czarnych Irmin-sulu gajach — Naprzód, naprzód! Tameśmy, nim duch bezdrożów ujął nas za ramię i wygnał na obszary świata, słyszeli pieśni zwiastujące zgon straszego Rzymu — naprzód, naprzód! Ty będziesz Hermanem — pod wodzą twoją zdradzieckich Italów zburzymy pałace!

(Słychać podziemne huki.)

SYMEON.

Czemu odzywasz się, ziemio, matko ciał umarłych a nie żyjącego ducha!

IRYDION.

Wyrok zapada nad miastem.

CHÓR STARCÓW.

Symeonie, Symeonie! czy poznajesz gniewu pańskiego straszliwe odgłosy?

SYMEON.

Zaprawdę gniew pański wam ogłaszam i błogosławię Jemu. — Patrzcie! Podniósł się Wszechmocny i otchłań woła o miłosierdzie do Niego! Patrzcie! Dreszcz bieży po skałach, zrywają się wichry jak syczące węże — Hosanna! Hosanna! Mogiły bałwochwalców pękają na dwoje. — Dzień zemsty zstępuje wśród burzy!

CHÓR MŁODZIEŃCÓW.

Hyjeronimie, dotrzymaj obietnicy. — Wola Jedynego objawia się nam.

IRYDION.

Skarby moje waszemi. — Krew moja waszą do ostatniej kropli — przysięgnijcie tylko krzyż ten zatknąć na szczytach Kapitolu!

CHÓR STARCÓW.

Biada wam — biada.

CHÓR MŁODZIEŃCÓW.

W imieniu Chrystusa, przysięgamy.

IRYDION.

I wprzód nie odpoczniecie, nie pomodlicie się Jemu, ani ciało Jego pożywać będziecie!

CHÓR.

Nie — nie — nie!

CHÓR STARCÓW.

Uciekajcie bezbożni — łamią się filary — ziemia się rozstępuje.

IRYDION.

Pod nami tak Rzym padać będzie.

INNI.

Strzeżcie waszych pochodni.

SYMEON.

Idźcie za mną. — Ten, którego niosę, na rozhużdanych falach stapał bezpiecznie.

INNI.

Ognia, ognia!

CHÓR BARBARZYŃCÓW.

Rwijmy się za pasy z tłumem. — Syny lodów nie zginą tu marnie wśród podrzutów siarczystej, niecierpianej ziemi!

INNI.

W tył, nazad — tu ognie buchnęły!

IRYDION.

W tę stronę ku naszym cmentarzom, ku Eloimowi. — Ach, trwoga pomieszała rozумы wasze!

SYMEON.

Odparła mnie opoka i jednym rzutem runąłem do stóp twoich.

IRYDION.

Oprzej się na mnie — ten głaz dotąd nie zadrzał ni razu.

SYMEON.

Gdzie ci, którzy szli za mną?

IRYDION.

Zniknęli. — Nocy takiej nie widziałem nigdy — z tysiąca pochodni ledwo gdzie jeszcze tli się gwiazda jaka.

SYMEON.

Zgasła ta na którąś patrzył. — Ach! i tamta i tamta!

POMIESZANE GŁOSY.

Odpuść nam winy nasze — w godzinę śmierci błagamy Cię, Panie!

SYMEON.

Wyciągnij ramię — zawieś pochodnię nad tem morzem cieniów.

IRYDION.

Daremno.

SYMEON.

Słyszałeś łoskot co przydusił głosy starców?

IRYDION.

Tam odzywają się żyjący — do mnie!

SYMEON.

Ale ci, którzy Pana tu błagali przed chwilą!

IRYDION.

Pan już o nich pamięta teraz — do mnie, do mnie.

CHÓR BARBARZYŃCÓW.

Błądziliśmy na przemian w ciemnościach i w ogniu — zewsząd odegnały nas pioruny, ale serca nasze biją tak zimno jak były przed burzą!

IRYDION.

Przytkniście wasze pochodnie. — Ja was wyprowadzę. Ja pamiętam drogę.

SYMEON.

Ot głuche gwary się ozwały. — To bracia nasi, co się przedarli ku Eloimowi — za nimi!

GŁOS W ODDALENIU.

Pal się, ziemio, na dzień ostatni świata.

IRYDION.

Słyszeliście?

CHÓR.

Nie traćmy czasu — naprzód!

IRYDION.

Uciekajcie!

GŁOS W POBLIŻU.

Do broni, do broni!

CHÓR.

To ojciec złudzeń który cię woła na zgubę twoją!

IRYDION.

To ona!

SYMEON.

Nie puszczę ciebie.

IRYDION, (odpychając go.)

A kto ich wywiedzie jeśli ja nie wrócę!

(Idzie naprzód.)

Ojczy! wzywam ciebie, niech się płomienie Erebu ukorzą przedemną!

GŁOS W POBLIŻU.

I wieniec mój będzie z gwiazd nieśmiertelnych przy boku twoim.

IRYDION.

Chrystusie, Boże jej niebios, ocal nieszczęśliwą.

(Rozwidnia się — ogień z pod ziemi buchają — wśród nich Kornelia.)

CHÓR BARBARZYŃCÓW.

Zajaśniał hełm nieustraszonego i utonął w ciemnościach!

SYMEON.

Hyjeronimie.

CHÓR.

Sigurdzie — Sigurdzie!

GŁOS IRYDIONA.

Śpieszę do was.

(Wraca trzymając Kornelię w objęciach.)

Odwróćcie twarze — na dół schylone pochodnie — tędy, tędy, za mną!

CHÓR, (w oddaleniu.)

Zbaw nas, o Synu człowieka, a trzykroć tak zniszczony, trzykroć tak spalony Rzym będzie, wróg ludzi świętych południa i ludzi wolnych północy!

GŁOS WŚRÓD CIEMNOŚCI.

Śpijcie wichry z popiołami starych czcicieli.

(Nadchodzą słupy ognia, wśród nich Masynissa.)

CHÓR PODZIEMNYCH GŁOSÓW.

Patrz! staliśmy się jak lampy cichej świątyni, o my gorejacy, o my nieszczęśliwi, ofiary mąk tylu, od wieków tylu!

MASYNISSA.

Przyjdzie chwila, w której cała ziemia na pastwę oddana wam będzie — ale na dzisiaj tu koniec drogi waszej — nie pójdziecie dalej!

CHÓR.

Zwycięztwo! Do czasu, do czasu tylko żyjem rozpa-

czą i nocą! I zapytają się duchy niebieskie „gdzie ziemia siostra nasza?” i zapyta się ten, który ją zbawił: „gdzie oblubienica moja?” a my wytrząśniemy pod ich gwiazdy jej umarłe popioły!

MASYNISSA.

Zwolna, z cicha, dzieci moje! — To chwila w nieśmiertelności waszej, ale tysiąc tysięcy ludzkich pokoleń od niej przegradza was jeszcze!

Wprzódki muszą siły swoje sterać — każdą wiarę krwią popierać i ogłosić ją fałszem. — Każde zaprzeczenie błotem zarzucić i ubóstwić je wreszcie! — aż doważy się szalać ich mierności i dumy, aż siwizna głupstwem się stanie a siła szaleństwem!

CHÓR.

I zginą!

MASYNISSA.

Myśl ich osiadam — w niej światy tworzyć będziem coraz dalsze od prawdy — tak iskrę, którą wzięli z górnych przestrzeni, zamęczym w ich duszach. — Uwieńczym ich skronie ognikami wiedzy. — Znikome berła powierzym ich dłoniom. — Wyniesiem ich na samodzielników ziemi!

CHÓR.

I zginą!

MASYNISSA, (przechadza się wśród ogniów.)

Wiarno, nadziejo, miłości! Trójco, która miałaś trwać na wieki, rozerwałem Cię dzisiaj w sercach dzieci najukochańszych błogosławieństwa Twego! — Nie, Ty niemi nie zaludnisz spustoszonych przestrzeni kędy wrzały niegdyś roje szczęśliwych i pięknych. — Ty już nigdy takich nie dostaniesz synów. — Sama zgasiłaś słońca, które były chwałą Twoją!

CHÓR.

Niechaj Trony nasze wiecznie sterczą próżne i martwe — niechaj pieśni pochwalne u ich stóp konają!

MASYNISSA.

Tej nocy naszych następców poczęła się zguba. — Jako my niegdyś tak i oni odpadną od Niego!

CHÓR.

I przyjdą jeść chleb nasz i mieszkać w ciemnym domu naszym!

KRASIŃSKI II.

7

MASYNISSA.

Wrogu! Ty wiesz, że ich duch obłąkany od pierwszej wiosny ziemi! — Odtąd dnia nie będzie, żeby się nie kłócili o przymioty i imiona Twoje?

W Imieniu Twojem będą zabijać i palić. — W Imieniu Twojem gnąć i milczeć. — W Imieniu Twojem uciskać. — W Imieniu Twojem powstawać i burzyć!

Ukrzyżowan będziesz zarówno w ich mądrości i niewiadomstwie, w ich rachubach i szalach, zarówno w sennej pokorze ich modlitw i w bluźnierstwach ich dumy!

Na szczytach niebios ten puhar goryczy pić będziesz, dopóki ich nie przeklniesz na wieki. — Na szczytach niebios, wśród potęg Twoich doznasz co to piekło nasze!

CHÓR.

Chwała nam i Temu co dotąd jaśniej w ogniu odrzucenia jak pałał niegdyś tęczami siły! — Chwała nam, chwała nam!

MASYNISSA.

On skazę piorunów zakrył dłonią na czole. — Na dnie przepaści, on myśl krzepi na dzień ostatni świata! Chwała Jemu. — A teraz owiońcie mnie ciemności, — teraz w milczeniu skonajcie bracia moi!

CZEŚĆ TRZECIA.

Namiet w obozie zamiejskich Pretoryanów. — Arystommachus, Lucius Tubero na przodzie. — W głębi na łożach Alexander Severus i Ulpianus rozmawiają po cichu. — Wchodzi Irydion.

IRYDION.

Przybywam Rzymianie, w imieniu Pana waszego. — Odmówcie wasze skargi — każdą wysłucham i na każdą odpowiem według myśli Cezara.

ARYSTOMMACHUS.

Jeśliś był ciekawy zażaleń naszych, trza było do nas zawitać przed rokiem. — Wtedy bylibyśmy rozprawiali z sobą — ale dziś, Greku, kto jał się oreża ten zapomniał się skarżyć — kto grozi ten nie odpowiada ale rozkazuje. — Przechodząc widziałeś wszystkich stojących w zbrojach, gotowych do pochodu! Innej odpowiedzi nie otrzymasz ode mnie!

IRYDION.

Czy tak samo i Lucius Tubero myśli?

TUBERO.

Chociaż mój popędliwy towarzysz lepszy do szeregu niż do mównicy, jednak, Irydionie, do jego słów w tej chwili mało co mam dodać. — Przypomnisz tylko od nas Imperatorowi, żeśmy długo prośby nasze podawali bez żadnego skutku — że obiecane go amfiteatru nie raczył nam wystawić i że należnych nagród nie rozdał. — Odemnie przypomnisz Imperatorowi, że ojca mego do przetrzymania żył sobie w kąpielu, że córkę siostry mego do połamania go-rejących żarów przymusił — powtórzysz mu imiona senatorów których na utratę czci i gardła w przeciągu trzech lat skazał. — Powiesz mu, że liczyłem niegdyś krocie przyjaciół i krewnych opływających w dostatki — a że dzisiaj nie mam już nikogo — lub że głód rozdziera wnętrzności tych co pozostali. — Ale za to żyje Eutychian i kilku wyzwolenców i kilka nałożnic purpurę noszą. — Dodasz

wreszcie, że zhańbił Greczynkę z starożytnego, z ucziwego domu.....

(Irydion dobywa tabliczek i stylem pisze na nich.)

Co zapisujesz, synu Amfilocha?

IRYDION.

Tę chwilę, imię twoje i śmierć twoją. — Teraz ciągnij dalej!

TUBERO.

Dzięki ci, Danausie! Jednak oświadczyć Panu twemu, że jeśli wyda Eutychiana, byśmy go na krzyżu rozbili, i wszystkie skarby swoje, byśmy sobie z nich żold wypłacili; że jeśli złoży natychmiast władzę Konsula, Trybuna i Arcykapłana, to go może jeszcze zostawim przy życiu, przy kochance, i odeślę tam, z kąd się do nas przywłócił na wstyd i nieszczęście miasta!

ARYSTOMMACHUS.

Niech się tylko spieszy, bo jutro o świcie u bram Rzymu staniemy — godziną później w pałacu Cezarów!

IRYDION.

Czy nie już więcej, przezacni Rzymianie?

ARYSTOMMACHUS, (dobywając miecza.)

To jedno tylko!

TUBERO.

Bo tem tylko można się odwdzińczyć w dniu jednym za poniżenie lat kilku!

ARYSTOMMACHUS.

Tem tylko przeciąć dyamenty na skroniach Cezara i wyziębować uśmiech szydery na ustach jego powiernika!

IRYDION.

Dobrze mówisz — zgadłeś! — Śmieję się sercem całem, bo słyszę Rzymian mówiących o jarzmie ze wstrętem, z oburzeniem o hańbie!

Wy, których Ojców na trzode bydła zamienił Tyberius, wy, których ojcami gardził Neron, sam pogardzony od kurzawy na której stapał, śmiecie wyrzekać na poniżenie! Wy, potomki tych, którzy całą ziemię spodlili! — nie ludzcie się daremnie. — Ród wasz czy dawniej czy później był zawsze świątynią podłości. — Inaczejby pod strumieniami co z niej wypłynęły, nie była wyschła i Azja i Grecja i świat jako wielki, jako nieszczęśliwy, aż po Hyrkańskie

Syrty i pustynie Jazygów! — Tak, tak, śmieję się Rzymianie, ale ten śmiech nie wiecie co wróży.

(Postępuje kilka kroków naprzód.)

Jeśli broni nie złożycie natychmiast — jeśli nie padniecie do nóg Heliogabala — jeśli dziesiątego z pomiędzy siebie nie poświęcicie zemście jego, biada wam wszystkim! Takie moje zlecenia.

ARYSTOMMACHUS.

Precz ztąd — wracaj do Syryjczyka. — Niech włosy namaści do biesiady Plutona.

IRYDION.

Z tobą już skończyłem. — Dla tamtego mam jeszcze słów kilka.

(Zbliża się do Alexandra.)

ULPIANUS, (do Alexandra.)

Zbądź go milczeniem pogardy!

ALEXANDER.

Nie mogę!

IRYDION.

Brat się przypomina tobie — zapytuje się czemuś zniknął w nocy z pałacu Cezarów — wzywa cię nazad i karę śmierci zamienia dla ciebie na karę wygnania.

ALEXANDER, (porywając się z łoża do Ulpiana.)

Jeszcze raz, nie — pod tem coś się ukrywa — zostaw mnie z nim proszę ciebie — oddalcie się, przyjaciele.

(Wychodzą wszyscy.)

Synu Amflocha, czyż mściwe Bogi rozciągnęły między nami chmurę jaką zwodniczą? ja nie pojmuję ciebie. — Ty może nie poznajesz Sewera. — Irydionie, ty ślubowałeś przecie Hekatombę Fortunie która dzień sprawiedliwości rozświeci nad Rzymem?

IRYDION.

I dotąd bogini to samo przyrzekam. — Gdyby mogła choć jedną chwilę sprawiedliwości mi przynieść, kto wie, możebym przez wdzięczność sam Rzym w Hekatombie poniosł na jej ołtarze!

ALEXANDER.

Synu Amflocha, nie obrażaj mnie dwuznacznemi słowy — bo winienesz mi wdzięczność za to, że własnym oczom nie dowierzam, choć mi jasno przewrotność twoją wska-

zuja. — Ach! sam nie wiem czemu zawsze ci ufać pragnąłem!

IRYDION.

Dzięki moje Sewerowi! Gdyby mnie były losy stworzyły człowiekiem i serce moje chciały uposażyć błogim darem przyjaciela, byłbym je prosił o ciebie. — Teraz chyba żelaza piersi naszych zetrą się na polu bitwy!

ALEXANDER.

Czas jeszcze — porzuć sprawę Tyrana; wyrzyj z mgły którą się otoczyłeś, powiedz mi jedno słowo przywiązania a nie będę wątpił o wierze twojej! Irydionie, gdzie siostra twoja?

IRYDION.

Tam gdzie ją Fatum przykuło!

ALEXANDER.

Ale ona czysta jak myśl moja o niej. — Irydionie, wołam na ciebie. — Irydionie, zatrzymuję ciebie — ona go nie cierpi — czytałem w jej oczach niezdolność męczarnie — a tybys miał walczyć w jego obronie?

IRYDION.

Czemu dni twoje tak krótkie, latorośli młoda! Z uniesień twoich ku piękności i cnocie śladu nie zostanie — przejdiesz jak dźwięk niesłyszany od ludzi, tylko znany Bogom!

ALEXANDER.

Czemu tak żalobnym wzrokiem wpatrujesz się we mnie? Ach! słyszałem że matka twoja gdzieś, kiedyś nosiła Boga potężnego w piersiach!

IRYDION.

Puścizną dobrego po niegodziwych jest — kara! Synu Mammei, twoja godzina się zbliża!

ALEXANDER.

Ty chcesz mnie przerazić?

IRYDION.

Mylisz się, ja ci tylko prawdę ogłaszam. — Jeśli przegrasz, zginiesz z ręki zwycięzcy; jeśli zwyciężysz, z ręki tych, którym za hasło dzisiaj twoje imię służy.

ALEXANDER.

Hańba temu, ktoby się frasował o śmierć przed godziną lub w godzinę śmierci! Bądź co bądź, zostań przy

mnie. — Ja Elsinoe wyrwę z paszczy tygrysa i Rzym na nowo stanie się wiosną siły, zbrojną w nieśmiertelne gro-
my. — Czemuś się wzdrygnął? Co tak eierpkiego dla cie-
bie w tych nadziejach moich?

IRYDION.

Przypomniałem sobie że przyszedłem od Cezara po
twoją odpowiedź!

ALEXANDER.

Nie wspominaj mi jego — ale jeżeli jaką iskrę uczucia
dały ci Bogi, niech ją krzywdą siostry i pamięć Ojca teraz
na pożar zamieni! Przecie naddziady twoje śpiewały Per-
som, że zemsta jest rozkoszą Bogów!

IRYDION.

Niewinny jesteś.

(Ściska mu rękę.)

Ostatni raz — ostatni, bo oba stoimy nad grobem,
a nim trzecia wejdzie zorza, jeden z nas zstąpi do Erebu.

(Wychodzi.)

Sala w pałacu Cezarów w filary, w rzeźby, w kosztowne naczynia. — Pośrodku
ołtarz poświęcony Mitrze. — W głębi kurtyna w drogie kamienie spuszczone
od dwóch kolumn złotych. — Elsinoe w purpurze cesarskiej. — Irydion wchodzi
w szyszaku i zbroi.

IRYDION.

Gdzie przekłety?

ELSINOE.

Tam, tam ciało jego leży na fijołkach, dusza na łonie
jędz spoczywa. — Wysłałam, by odetchnąć na chwilę!

IRYDION.

A nim zasnął, czy mówił o mnie — czy go przygoto-
wałaś tak jak przykazałem?

ELSINOE.

Przystał na wszystko płacząc i tłukąc się w skronie.
— Eutychiana przywołał, rzucił mu się na szyję, za rękę
go ściskał, ale jeszcze nie śmiał oznajmić, że ty weźmiesz
dowództwo pretorium — powtarzał tylko iż się spodziewa,
że łagodnymi słowy i obietnicami nawrócisz zbuntowa-
nych — mnie się polecał bym go moim polecała Bogom —
potem skoczył i legł wśród kwiatów i tarzał się jak wąż
niespokojny.

IRYDION.

Obudzić go trzeba.

ELSINOE.

Chodź za mną.

(Idzie i roztwiera kurtynę, za nią widać drzemiącego Heliogabala na stosach róż i fiołków.)

IRYDION.

Czekaj jeszcze! te usta rozemknięte coś wymówić mają.

ELSINOE.

Przeklęstwo im! czy sennym, czy na jawie, czy żyjącym, czy w grobie!

HELIOGABAL.

Iry, Iry, czego opuściłeś mnie?

ELSINOE.

On marzy o tobie.

HELIOGABAL.

Elsi, Elsi moja, czego opuściłaś mnie?

ELSINOE.

Ach! córa Grimhildy nigdy twoją nie była!

(IRYDION, (dotykając się Heliogabala.)

Imperatorze!

HELIOGABAL.

Kto woła — co — gdzie?

(Zrywa się.)

Ach! to wy. — Ach! to róże moje i kochane trójnogi.

(Bierze ich za ręce i kilka kroków idzie naprzód.)

Umierałem już kiedy głos twój mnie wskrzesił!

IRYDION.

Cóż tak strasznego widziałeś?

HELIOGABAL.

Okropnie mi było. — Zdało mi się w początkach uspienia, że lud cały i wszystkie narody zdrobniały w karła bezsilnego i spętanego w łańcuchy; moja noga błyszczała na jego włosach jak muszla przejrzystej białości. — Tron mój pałał blaskami Olimpu. — Rzym też już płonął naokoło według obietnicy twojej i ludzi nigdzie nie było, bo wszystkich żyjących gniotłem jedną stopą moją!

IRYDION.

A więc pomyślną wróżbę zesłały ci Bogi!

HELIOGABAL.

Słuchaj, słuchaj. — Zdało mi się że z Mausoleów powstał umarli — powstał Tubero i Lucius Viktor i dwaj Apuleje i inni; wiesz, inni wszyscy — a u widnokręgu nagle ukazał się ojciec mój Karakalla z głową okręconą żmijami, z ludzkiemi czaszkami w dłoniach, ogromny, zataczający się w popiołach, i zapadł wołając „o Synu.“ — Oni wtedy ku mnie stąpać zaczęli — karzeł rozśmiał się i zrzucił nogę moją. Oni idą, idą. — Tyś stanął przy mnie, z drugiej strony ona. — Oni idą, patrz idą togi zarzucawszy na lewe ramię, w prawym ręku ściskając sztylety. — Wtedy rzekłeś, wydając mnie „Oto Cezar“ i Elsinoe rzekła wydając mnie „Oto wasz morderca“ i sto nagich błyskawic mignęło przed moimi oczyma — sto rozrzucających gromów ugrzęzło mi w piersiach!

(Cofa się i zakrywa oczy.)

Znowu on, on, Ojciec mój!

IRYDION.

Otrząśnij te ziarna zwodnicze któremi przelatujący Morfeusz osypał ci zmysły. Teraz więcej niż kiedykolwiek bądź przytomnym i silnym — bo pretoryanie zerwali z twoją purpurą na zawsze i Alexander zaprzysiągł nie spocząć dopóki twoim diadematem skroni nie opasze!

HELIOGABAL.

O ja nieszczęśliwy! Możeś ty im nie powiedział wszystkiego, nie obiecał przebaczenia i nagród?

IRYDION.

Nie złota, ale krwi twojej żądają!

(obejmując ołtarz ramionami.)

O Trójco rozkoszy! o chaldejski Panie!

ELSINOE.

Dopóki u nóg Mítry kwilisz, dopótyś w kole niebezpieczeństwa i śmierci. — Módl się do Odyńa a zlecają święte kruki i przemogą nad orłem.

HELIOGABAL.

Głos twój, Elsinoe! głos twój niechaj słyszę w ostatniej godzinie — ramiona twoje daj piersiom moim za przepaskę śmiertelną. — Ja cię kochałem za życia, choć ty mnie niecierpiałaś.

<http://rcin.org.pl>

ELSINOE.

Nie konaj przed zgonem — wstawaj, każ przywołać Eutychiana i straż twoją. — Bratu mojemu daj władzę, a on ci da zwyczajstwo.

HELIOGABAL, (podnosząc się.)

Ach! gdyby można jeszcze....

IRYDION.

Nie — nie trza grać w kości życia i śmierci na ołtarzu Fortuny! — Dziś w noey jeszcze miasto zacznie się palić — nie lękaj się — przy tem świetle skonają pieśni na ustach Arystommacha. — Gdzie skarby twoje?

HELIOGABAL.

Część przesłałem już do Syryi — reszta pod strażą Eutychiana.

IRYDION.

Co zostało każ rozdać pretoryanom dworu!

EUTYCHIAN, (wbiegając.)

Boski, Boski, źle się nam dziać poczyną. — Lud odpędził żołnierzy od bram Kuryi. Senatorowie się wcisnęli do Kuryi. — Siedzą i radzą — a o czem, miły Anubisie? O śmierci Boskiego!

IRYDION.

Spiesz się, Cezarze!

HELIOGABAL.

Stary przyjacielu, podaj mi rękę. — Tak, dobrze, opieram się na tobie jak za dawnych czasów — razem kadziiliśmy w świątyniach Mitry, piliśmy razem. — Ach! w przeszłości mojej wszak smaczne bywały papuzie wątróbki i dziewie rozgorzałe usta — a teraz losom przeciwnym ustępujemy razem — miecz swój oddaj Irydionowi — proszę cię. — Ty zostaniesz przy mnie a on będzie prefektem pretorium!

EUTYCHIAN.

Kto! ja? oni chcą głowy mojej, on dostojenstwa mego — bez głowy, bez miecza, jakże to będzie? ja przyprawiłem dla ciebie ostatnią czarę Sylwiusza, a....

HELIOGABAL.

Milcz i oddaj!

EUTYCHIAN, (miecz odpasuje.)

Greku, nie trudź dziecięcia mojego — ono u lędźwi moich zawsze się hojdało w miedzianej kolebce.

POSELANIEC, (wbiegając.)

Panie mój, w tej chwili przebrany wyszedłem z Senatu; a kiedym wychodził już wnosił Kanulcius żebyś zginał śmiercią Nerona, a brat twój państwo odzierał.

HELIOGABAL.

Ach! ach! ci sami twarze pasowali wczoraj do śladów moich na piasku.

IRYDION.

Jeszcze raz, nie lękaj się. — Ty, żołnierzu, przebiegnij dolne piętra i zwołaj co możesz Pretoryanów — niech czekają na mnie w Atrium Domicyana — potem skocz do mojego pałacu. — Tam znajdziesz gotowych Gładiatorów pod wodzą Scypiona — niechaj w tej samej chwili ruszą ku bazylice, w której senat rozpoczął obrady — a przechodząc niech wołają imię moje!

(Posłaniec wychodzi.)

Synu Samidy, rozpędzę tych mowców i lud rozepchnę jak dwie nędzne fale. — Lecz by Alexandra zwyciężyć trza mi czegoś więcej jeszcze.

HELIOGABAL.

Mów.

IRYDION.

Czasu nie masz ogłosić mnie panem dni kilku przed wojkiem i ludem — pożycz mi pierścienia twego — a kto nań spojrzy uzna mnie namiestnikiem Cezara i pójdzie za mną jeśli wierny tobie.

HELIOGABAL.

Czy nie wiesz, że Geniusz państwa na tym kamieniu wyryty? że świętokradczą Imperator, który go cudzym dłoniom powierza?

EUTYCHIAN.

Oddaj — proszę cię, oddaj Irydionowi. — Ja zostanę przy tobie, a on będzie Cezarem!

HELIOGABAL.

Nie przedrzeźniaj pana twego — patrz na ten żart obosieczny, maczany w jadach Getulskich — przyszła mi chętka zatknąć go w sercu twojem.

EUTYCHIAN.

Złota klinga! złota, sługa twój nie lękał się nigdy.

(Heliogabal rzuca się na niego.)

Przepowiedziano w kościele Osyrysa że we trzy dni po śmierci Eutychiana Cezar ducha wyzionie.

HELIOGABAL.

Co mówisz, przyjacielu? — Ach! podłóż ramie głowie mojej biednej — nie wierz złym językom. — Ja nigdy nie przestałem cię kochać.

EUTYCHIAN.

Jak pijany Macedończyk starego Klitusa.

IRYDION.

Znaku mi potrzeba — znaku.

HELIOGABAL.

Precz! — nie oddam ci tych węzów złocistych i tego Boga z dyamentu. — Masz wszystkie moje skarby, czary, jedwabie — dosyć, dosyć.

(Odzywają się krzyki z daleka.)

IRYDION.

Czy słyszysz początek pieśni tryumfalnej Sewera?

ELSINOE.

Uczcij i uszanuj syna kapłanki — czyń wolę syna kapłanki!

HELIOGABAL.

O Elsi!

IRYDION.

Słyszałeś wyrocznie — ręka twoja!

HELIOGABAL.

Sam zdejm z palca Heliogabala — nie — poczekaj jeszcze chwilę — kiedyś i ja biłem się z Legiami Makryna. — Dzień był rażącej pogody — wóz mój srebrny toczył się po trupach i włóczniami złotymi ciskałem, promieniami drugiego słońca. — Dzisiaj ja chcę na nowo..... Ach! — czy widzicie nad Trójnogiem? — Ach! teraz za kolumną. — On sam i ręką mnie woła. — Okręca się purpurą z krwi własnej. — Ojcie!

(Pada w ręce Eutychiana.)

Źle mi przyjaciele — pierś moja jak dom porzucony — nie ściskaj mi tak dłoni, Greku — zbrodnia zelżonego Majestatu....

IRYDION.

Gdzie siła tam niechaj będzie i godło.

(Zdziera pierścień.)

Idź zasnąć — a kiedy zerwą się płomienie, przyjdę cię obudzić!

HELIOGABAL.

Eheu! on teraz Cezarem — prowadź mnie, Eutychia-
nie. — Siądziesz u węzłowia mego. — Tarczę moją gła-
dzić będziesz. — Wśród pożaru chcę raz jeszcze przejrzeć
się w niej. — Ach! słabo, zimno, czarno Heliogabalowi. —
Eheu — Eheu! — O Elsinoe!

ELSINOE.

Spieszę za tobą.

EUTYCHIAN.

Cny Amfloch idzie! kiedy piasek jeść będziesz i wła-
sną krwią popijać, wspomnij o mnie. — Byłem za młodu
kucharzem.

(Kurtyna zapada nad nim i Cezarem).

ELSINOE.

Stało się. — Szaleństwo mu dałam za ostatniego to-
warzysza u brzegu wód piekielnych nad którymi stoi teraz.
— Mów, czy mam jeszcze co wykonać, o bracie, bo dzi-
siaj w nocy, bo jutro nad rankiem przyjdzie może preto-
ryanin — może wcisną się płomienie lub pierś sama nie
zechce dalej cierpieć i wzgardzi powietrzem!

IRYDION.

Strzeż go dopóki nie wrócę — wtedy opuścisz ska-
zane progi i pójdziesz za mną.

ELSINOE.

A z nim co będzie?

IRYDION.

Mało mi zależy na jego śmierci, mało na jego życiu.
— To co nim było, na palcu moim połyska, to co nim jest,
nie warte jednej myśli mojej!

ELSINOE.

Jeśli tak, zbliż się do mnie — jeszcze, jeszcze — a te-
raz czy słyszysz cichy głos mój?

IRYDION.

Czego chcesz, sestro? — ręka twoja drży w mojej —
bicie serca twego rozlega się na tym pancerzu?

ELSINOE.

Niechaj więc zgasną oczy pod któremi zwiędłam — niech ramiona co opelzły szyję moją opadną jak dwie starte żmije. — Usta co pierwsze ust moich się dotknęły niech znikną w popiołach!

IRYDION.

Na jednym więc stosie o tej samej chwili on i Severus....

ELSINOE.

Nie — nie! — Daj mi ostatniej woli dokończyć. — Znam, Irydionie, siłę ręki twojej i dla tego ostatnią prośbę zanoszę do ciebie. — Oszczędzaj Alexandra na polu bitwy — nie zarzucaj śmiertelnych cieniów na greckie czoło. — On jeden się domyślał..... Ach! czemu lica odwróciłeś odemnie?

IRYDION.

Nie myśl o nim! On jeden już tylko Romę wydziera z objąć nienawiści mojej. — Bogowie pozazdrościli go ludziom — wyrok jego zapadł już oddawna!

ELSINOE.

A więc raz jeszcze siostrę przyciśnij do łona! — czujesz-li jak to serce pracuje? nim wrócisz ono pęknie, synu Amfilocha. — Ale pamiętaj — krwi niczyjej Elsinoe nie żądała od ciebie. — Żyćcie wszyscy, — wszyscy i on, Syryjczyk, i on przemierzły niech żyje — pod koniec ofiary rąk białych i śnieżnej szaty nie skazi dziewica! — Ach! ona stała długo przed ołtarzem. — Dniem i nocą jej sny, jej żądze, jej wiosna paliła się na zgliszczach! — Patrz! dymy z niej tylko w powietrzu — ale godzina już bliska i ciało się odwiąże jak koturnu taśmy — wiązka piołunu tylko zostanie na ziemi i duch stanie się cieniem!

GŁOSY ZEWNĄTRZ PAŁACU.

Naprzód! przez Fortunę Irydiona Greka!

IRYDION.

Precz z niewczesną żalobą kiedy już Nemesis wieniec zemsty dla nas w każdej ręce trzyma. — Zwycięstwo zstępuje [mi w duszę. — W tych szczękach, w tych wrzaskach hasa życie moje. — Urodziłem się w tej chwili a ty miałabyś umierać? Bądź raczej szczęśliwą i dumną! — Co twój Ojciec wzywał, o co Bogów ze łzami długie wieki

prosiły, zbliża się jak piorun. — Huki grzmotów czy już słyszysz w oddali?

GŁOSY.

Irydion, Irydion!

IRYDION.

Bądź zdrowa!

ELSINOE.

Idź. — Ty bądź szczęśliwym i wielkim — a jeśli kiedy przepływać będziesz po Egejskich wodach, garstkę popiołów moich rzuć na brzegi Chiary!

Najwyższy taras pałacu Irydiona otoczony balustradą i posągami Bogów greckich. — Masynissa na krześle z kości słoniowej. — Z tyłu domownicy, barbarzyńcy, żołnierze Irydiona.

MASYNISSA.

Patrzcie jeszcze!

PILADES.

To pewno że około bazyliki coś dzieje się teraz — ale co, to chyba Sfinxy odgadną. — Ztąd łuk Septimiusa wygląda jak dziecię na piasku. — Jeden tylko Kapitol jak wielki tak wielki!

JEDEN Z BARBARZYŃCÓW.

O dwieście kroków dajcie gałąź leszczyny a rozedrę ją strzałą po strzale. — Lecz to Forum przekłete za daleko stoi!

MASYNISSA.

Choć lat tyle cięży moim powiekom i słońce różnych tyle psuło mi źrenice, wzrok mój dalej sięga, ludzie młodzi. — W tej chwili sęp jego hełmu przesuwa się nad tłumem — przed nim idzie miecz dobyty Scypiona — za nim ezarne głowy braci waszych!

DRUGI BARBARZYŃCÓW.

I mnie raz łysnęło się w oczach.

PILADES.

Czy wydało mi się, bracia? czy słyszałem jakby ko-nające echo głosów tysiąca?

INNÍ.

Ot! grzmi znowu.

MASYNISSA.

Nie mu nie będzie — przeszedł i już zniknął w przy-
sionku. — Gladiatorowie usiedli na schodach, a motłoch
jak znużone morze liże stopy gmachu. — Ho! Verresie.

VERRES.

Jestem.

MASYNISSA.

Wielu masz ludzi pod sobą?

VERRES.

Syn Amfiocha powierzył mi niewolników z Sycyjonu
i rotę Germanów co od Legii Cysalpińskiej zbiegła do nas
wczoraj.

MASYNISSA.

Jak tylko wejdzie Hesperus ruszysz z nimi ku Sam-
nickiej bramie. — Tam czekaj aż słup ognisty wzbije się
z wierzchołków na których rozmawiamy, a wtedy zaczynaj
od villi Rupiliusa i pożar rozpuszczając w lewo zmierzaj
zawsze ku Forum.

VERRES.

Polegaj na mnie jak na Katylinie!

MASYNISSA.

Ach! ufam staremu patrycyuszowi że puhar zemsty wy-
chyli aż do dna.

VERRES.

I znów napelni do brzegów.

MASYNISSA.

Alboinie!

ALBOIN.

Czego żąda syn Pustyni?

MASYNISSA.

Ojciec raczej — gdzie twoi Herule?

ALBOIN.

Już wrócili zatrzymawszy jeden wodociąg za miastem,
a w mieście fontannę Galby i źródło Manliusa.

MASYNISSA.

W nocy stanowisko twoje będzie u sadzawki Nerona —
pamiętaj czynić powinność na którą przysiągłeś.

ALBOIN.

Nie ma co przypominać — wioskę hordy mojej Cesarz
Karakalla spalił nad brzegami Renu — mnie kazał służyć

. dosłużyłem się wreszcie dzisiejszej nagrody! Odepcnę żeby ślepego starca z wiadrem, żeby drobne chłopię z rączką wyciągniętą po kroplę wody!

MASYNISSA.

Dobrze mówisz. — Błogosławieństwo starca nie zaszkodzi tobie!

VERRES, (do Masynissy.)

Proszę cię, spojrzij — serce mnie boli z oczekiwania.

MASYNISSA.

Pusto już wszędzie. — Jeden Scypion tylko leci na koniu.

WSZYSCY.

Zkąd?

MASYNISSA.

Od Kuryi Hostylli — teraz jednym skokiem przepadł wśród pałaców.

PILADES.

Może panu naszemu trza ruszyć na pomoc?

MASYNISSA.

Nic nie słyszycie?

WSZYSCY.

Nic — nic.

ALBOIN.

Jakiś niedobitek dźwięku krąży w uchu moim.

MASYNISSA.

Ja wam mówię, że tętnią kopyta.

VERRES.

Coś takiego — coś takiego.

PILADES.

Patrzcie. — On, on się wydobył.

VERRES.

Teraz obelisk i portyk go przesłonił.

ALBOIN.

Jak strzała przebił na wylot świątynię.

MASYNISSA.

Scypionie!

GEOS SCYPIONA.

Zwycięstwo!

CHÓR.

Niech żyje wnuk Afrykanina!

GŁOS SCYPIONA, (na wschodach.)

Nie traćcie czasu — słońce już w kałuży krwi tonie za Tybrem — z lochów wynieść pnie i gałęzie cyprysów i nim wejdą gwiazdy, stos z nich ułożyć nad domem.

(Wchodzi.)

Verresie, Masynisso, przyjaciele, nie ma już Senatu!

PILADES.

A pan mój gdzie?

SCYPPIO.

Udał się do pałacu Cezarów, by straż pretoryańską obejrzyć. — Za chwilę ujrzyicie go tutaj!

(Do niewolników wchodzących z drzewem i konwiami.)

Tu, pośrodku — między Minerwą Ateńską i Dianą z Efezu — a każdą warstwę przysypać korą aloesu, połączyć źródłem nafty!

MASYNISSA.

Lubię głos twój, Luciuszu! Mów nam jakoś braci wypędził z siedzeń kurulnych.

SCYPPIO.

Irydion samotwór ze mną wszedł do kuryi. — Siedzieli spisani ojcowie jak za dobrych czasów — posąg Heliogabala leżał na ziemi z głową przy stopach, z rękoma u szyi, a Volero starszy nogą parł mu piersi i przemawiał udając Katona!

VERRES.

Syn kupca!

SCYPPIO.

Umilkł też jak Greka zobaczył, bo na czole Greka noc posępna, jakby noc wieków przeszłych, leżała w tej chwili. Maxymin Uxor zapytał jakim prawem znieważamy progi senatu — na to syn Amfilocha oparł się o podstawę filaru i ręce założywszy na Meduzie pancerza rzekł: „Rozjeżdżcie i się miasto opuśćcie“. Wrzaski zagłuszyły te słowa. — Kapłan Jowisza Ventidius krzyczy na liktorów — inni porywają się z krzeseł i dobywają sztyletów. — Irydion wtedy ozwał się szydząc mroźnym głosem: „W przybytku, gdzie ojcowie wasi potępili Grecyę, zhańbię was na zawsze, jeśli mnie nie usłuchacie“. Volero rzucił się z pod mównicy, ale sztylet jego zśliznął się na zbroi Greka i sam padł u podnóża Kaliguli, na ostrym węgle rozkrojone czoło krwi

plusnęło i zemdlał Senator. — Grek nie raczył nawet dobyć miecza, obrócił się ku mnie: „Oddaję ci ich, Scypionie“ i klasnął — nasi drzwi ze spiżu wyrwali, Liktorów przeparli, runęli do kuryi — przed ostrzami ich mieczów ustępowali Ojcowie — kto się opierał ten leży obok Volerona — kto mógł, wyskoczył bocznemi ujściami — uciekając świadczyli się Jowiszem, a ja zwycięstwem pod Zamą, Verresie!

VERRES.

Ach! mnie tam nie było!

MASYNISSA.

Uspokój się — za to dziś w nocy zasiądziesz do lepszej biesiady!

CHÓR.

Oto pan nasz idzie — głos jego słyszymy.

(Wchodzą Gladiatory — za nimi Irydion.)

PILADES.

O synu Amfilocha, tyś nam wrócił cały.

IRYDION.

Wstań, dobry mój Piladzie — dzięki tobie!

Ha! stos już wzniesiony, tylko, nie ma całuna z amiantu dla popiołów Romy. — Witajcie mi wszyscy. — Starcze, rozdałeś rozkazy?

MASYNISSA.

Stało się według życzenia syna mego.

IRYDION, (siadając przy Masynissie.)

Odpocznijmy chwilę, zdejmiemy mi szyszak Piladzie. — Luciuszu!

SCYPIO.

Słucham, wodzu!

IRYDION.

Zważaj pilnie na każde słowo iżbyś je zapamiętał i strzegł jak zemsty swojej! — W ogrodach pałacowych stali Pretoryanie w nieładzie i przerażeniu, jedni pijani, drudzy bez oręża, inni bez znaków Centuryi swojej. — Dałem im się wykrzyczeć — a kiedy ucichły gwary wzniosłem rękę moją — na widok pierścienia niebezpieczeństwo gorejące pojeli. — Trybuni otoczą mnie i pytają się — krótko przemówilem — rzeźnicy Syryjczyka znieśli pełne misy srebra — przysięgi straszne z ust wszystkich zagrzmiały —

„aż do ostatniej kropli — aż tchu nie stanie“ i inne na dzisiaj dobre, zgrzybiałe do jutra. Idź więc i obejmij nad nimi czuwanie — uprzedziłem że przyślę jednego z moich — na znak weź miecz Eutycheda i na pomoc przybierz Gladiatorów Elsinoi. — Trzymaj ich ciągle w oczekiwaniu, mów że za murami już widać manipule Severa — kiedy jęć w mieście rozlegać się zacznie, mów że to manipule Severa. — Oni nie wyjdą na spotkanie wściekłych braci swoich — a gdyby nad rankiem nadeszli Zamiejscy, wtedy z początku ludzi Alexandra, wynajduj jakie chcesz warunki, zrywaj je i odnawiaj dopóki cierpliwości mu stanie — a potem bij się do upadłego. — „Heliogabal i Karakalla“ niech będzie twoim hasłem zwodniczem. — Aż ujrzysz płomienie u szczytów Kapitolu i płomienie na Forum — poznasz wtedy że syn Amfiocha bliski!

SCYPIO.

A gdyby Syryjczyk wyczołgał się z głębin pałacu i chciał pomieszać nam szyki?

IRYDION.

Nad Syryjczykiem czuwa siostra moja. — Zresztą szanuj jego życie do końca, bo pretoryanie służą nam tylko dopóki on oddycha.

SCYPIO.

A ty gdzie się udasz?

IRYDION.

Może jeszcze w nocy zawitam do ciebie. Teraz spiesz się — już zmierzch lekkie zagony rozpuścił po niebie.

(Scypio wychodzi.)

I tobie czas odejść, Verresie!

VERRES.

Za mną!

(Wychodzi z kilkoma.)

IRYDION.

I Alboin w jedną drogę z nimi.

ALBOIN.

Do widzenia, Sigurdzie!

(Wychodzi.)

IRYDION, (do niewolników.)

Nie długo i wam już trzeba się wybrać. — Lecz

pierwej w dolnych perystylach zasiądźcie do przygotowanej biesiady. — Ostatni raz jedźcie i pijcie w domu moim. — Jutro ten dom się rozsypie. — Jutro będziecie zamożni wolni!

CHÓR NIEWOLNIKÓW.

Byłeś ojcem naszym i matką naszą. — Pożywając chleb z ręki twojej, żyjemy dotąd, a innych po cyrkach i polach nagie świecą kości. — Jeśli który nie wróci, nie pytaj się o niego. — On zginął dla chwały twojej, błogosławiąc tobie!

IRYDION.

Idźcie! a kiedy stos ten cyprysowy błysnie, od świątyń, od Termów, od bram miasta, odpowiedźcie mu płomieniem i dymem.

(Wychodzą — on wstaje i opiera się na stosie.)

Im bliżej godziny, tem srożej krew moja szaleje. — Czy to nie fałszywe ciemności? Czy odwieczna żądza serca mojego tych gwiazd nie wyklamała przed moimi oczami? — nie — nie — teraz poznaję noc ostatnią Rzymu. — Czy widzisz, Masynisso, jak tam skradają się męże? — Wbok czy widzisz tę samotną pochodnię ciągnącą nad wzgórzem ogrodów? — Ach! konie zarżały! to konie Verresa — cicho, cicho ludzie moi.

MASYNISSA.

I pod nami dziedzińce zaczynają się wypróżniać — coraz mniej głosów — jedno zdrowie jeszcze wnoszą.

IRYDION.

Imię moje rozbiło się o sklepienia.

MASYNISSA.

Teraz z portyków jedni po drugich schodzą i zgarbieni, milczący zapadają w ciemnościach.

IRYDION.

Wszyscy dotrzymali słowa, wszyscy z domu Amfilocha idą na zgubę Romy. — Nazaarenów tylko jeszcze nie widać. — Ale Symeon przysiągł że o trzeciej godzinie sam ich przyprowadzi do mnie.

MASYNISSA.

Nie długo ci czekać. Hesperus stanął już nad kapitołem i włosy Bereniki z nad gór Sabińskich się wznoszą.

IRYDION.

O nocy! nie skąp mi chmur i wiatrów — przez wieki potem świecić będziesz jasno i cicho nad rozwalinami, czas mi się ociąga — czas mi dolega, starcze!

MASYNISSA.

I mnie także. — Lecz ja czekam dłużej niż ty na upadek wroga i czekam w milczeniu.

IRYDION.

Ach! głos twój zdał mi się głosem ojca. — Czyż w tej chwili posąg Amfilocha nie dostanie krwi i żył i bijącego serca? W ciemnościach na tem białem krześle ty mi go przypominasz.

(Idzie do niego.)

I toga Jego tak samo była zarzucona w dniu śmierci! — Daj ręce obie — wyrzec nad głową moją słowo opieki tak jakby on uczynił przed hasłem do boju.

MASYNISSA.

Niechaj znak mój będzie na czole twojem aż do końca wieków. — Przetrawsz z nim koleje których nie obaczą te gwiazdy!

IRYDION.

Miasto całe w płomieniach! — nie — tylko w źrenicy mojej buchnęły pożary. — Gdzie oni? gdzie Chrześcianie? Coraz czarniej, coraz ciszej w dole — coraz wietrzniej w górze — a ich nie ma jeszcze?

PILADES (wchodzi.)

Czy mnie wołasz?

IRYDION.

Nie ciebie. — Stój — czy w lochach nie odezwały się szelesty? czy od katakomb nie zbliżają się kroki?

PILADES.

Wracam z sali Amfilocha — nigdzie nic nie słyszałem.

IRYDION.

Przynieś pochodnię.

(Pilades wychodzi.)

To być nie może — oni za chwilę tu będą!

MASYNISSA.

A gdyby nie przyszli?

IRYDION.

Nie przeklinaj mnie. — Na nich oparta cała moja potęga. — Na ich czole zbiegnę miasto i ludowi rzymskiemu przypomnę Brennusa. — Gladiatory i żołnierze moi bez nich nie wystarczą tłumom. Jeśli mnie zdradzili, zginąłem!

MASYNISZA.

Dośpiewują hymnów swoich — bądź cierpliwy, synu!

(Pilades wraca z pochodnią.)

IRYDION.

Zatknij nad stosem!

Konam jak Prometeusz w łańcuchach o chmurę jedną od biesiady Bogów. — Czego ty milczysz? — ozwij się, Masynisso — niech żyje Hellada.

MASYNISZA.

Milczę, bo godzina naznaczona minęła w tej chwili i każde pióro jej skrzydeł śmiechem przedłużonym szumiało w przelocie. — Teraz nic już nie słyhać.

IRYDION.

Wbrew losom i ludziom niech się stanie wola ojca mego!

(Porywa za pochodnią.)

Cześć ziemi Greckiej, cześć! a Ty potrójna Hekato, przyjm tę ofiarę.

Ha! kto idzie? odpowiedz, czarne widmo! Jeżeli jesteś moim złym Gieniuszem przyjdź później! Teraz nie wstrzymasz mnie!

POSEŁANNIK.

Pokój Tobie w imieniu Jezusa Nazareńskiego!

IRYDION.

Tak — tak — cóż dalej? gdzie pustelnik? gdzie bracia?

POSEŁANNIK.

Symeon wzywa ciebie w rozpacz. — Na progach Eloimu Biskup zatrzymał wszystkich zbrojnych spieszących ku miastu!

IRYDION.

Dzięki ci, sługo świętych. — Patrz! zimny jestem — nie zabiję ciebie.

(Depce pochodnię.)

Ty jedna tylko umieraj!

(Do Masynissy.)

Jeśli kto z moich wróci niechaj siądzie i czeka!

MASYNISSA.

Jeszcze daleko do zorzy.

PILADES.

Panie, panie, szyszak twój!

IRYDION.

By zwyciężyć dość miecza — by zginać nie potrzeba
hełmu, — naprzód, Nazaarenie!

(Wychodzą.)

MASYNISSA, (wstając i wznosząc ręce.)

O miasto serdeczne moje, błogosławię tobie! O Roma,
w cieniu tych ramion bądź spokojnej myśli! — Zbawiona
jesteś dla podłości twojej! Zbawiona jesteś dla okrucień-
stwa twego! Żyj i uciskaj — by ciało zepsuło się w mę-
kach, a duch zwątpił o Bogu!

(Znika za stosem.)

Przybytek Eloimu w katakombach. — Viktor na stopniach ołtarza. — Za nim
kapłani i starce. — Z jednej strony kłęczy Symeon z drugiej stoi Metella. —
Dalej chrześciance zbrojni na kolanach — na ołtarzu kielich święty i krzyż
obwisty różami wśród palących się kadzielnic.

VIKTOR.

Jako po tych dymach mdlejących tak i po was śladu
nie będzie na ziemi ni w niebie! O! żeby sen wasz mógł
być kamienny bez wspomnień, bez przebudzenia! Ale
w przestworach śmierci wy żyć będziecie, tam gdzie zem-
sta Pana wiecznym gromem uderza! Wy żyć będziecie na
wieki.

(Do Symeona.)

Uciekaj jak pierwszy morderca z przed oblicza Jehowy!

SYMEON.

Słuchaj mnie raz jeszcze!

VIKTOR.

Spojrzyj na tę niewiastę do której się już nie od-
zywam, bo ręka sądu spoczywa na jej czole. — Odpowiedz.
— Kto duszę tę zabił a ciała przypuścił by ono pośmiewi-
skim było wśród żyjących? Czy nie poznajesz głosu opę-
tania na tych ustach nieszczęśliwych?

KORNELIA.

Czego mnie prześladujecie, kapłani ludu mego?

CHÓR KAPŁANÓW.

Milez, córo buntu. — Ty miałaś być aniołem ale nie dotrwałaś do końca — potępionaś, potępionaś!

KORNELIA.

On wyrzekł nademną: „Biedna“ — on wiedział że hańbę będę cierpieć za niego. — Ale, o Symeonie, nie wątp. — On przyjdzie — ale, bracia nie odpadajcie od niego — on przyjdzie! Z pośród ogniów mnie wyrwał kiedy się już klóciły o ciało moje — z pośród was mnie wybawi — on przyjdzie, on przyjdzie!

SYMEON.

Viktorze, słuchaj mnie raz ostatni. — Byłem ci posłuszny zawsze — kto przeciwko mnie świadczyć będzie? Czym dwa razy nie odbył męczeństwa, raz w lochach Antiochii, drugi raz na rynku w Tarsus? Czym lat długich nie pokutował na pustyni? Czym kiedy przełamał zakon lub zgorszył braci moich?

VIKTOR.

Gorszysz ich w tej chwili chwając się jak Faryzeusz przeklęty przez Syna człowieka!

SYMEON.

Mówię prawdę. — Kto z was głębiej rozmyślał nad męką Pańską — w kim żarliwszą miłość obudziły wspomnienia Golgothy? Sam Bóg, by świat zbawić ubrał się w ciało — a my, by świat nauczyć nie dostaniemże ciała? Dotąd marne duchy z nas. — Gdzie dom, gdzie kościół, gdzie potęga nasza?

VIKTOR.

Sofisto koryneki, kogoż ty usiłujesz omamić?
„Królestwo moje nie z tego świata.“ Czy słyszcicie?

SYMEON.

Czemu opuściłem moje piaski wrzące? — Tam nie stworzonego kochałem — tu niecierpię stworzonych!

VIKTOR.

Synu!

SYMEON.

Głos słyszany po nocach mnie pędzi. — Czyż to marne przeczucia?

VIKTOR.

Tys niedawno jeszcze był wybranem dziecięciem kościola — a dzisiaj Pana twego chcesz ukrzyżować na nowo.

KORNELIA.

Niżej czoła! słyszę odgłos z niebostąpienia!

(Irydion wchodzi.)

On to z nieśmiertelną młodością na licach.

(Do stóp mu się rzuca.)

Mówiłam im że ty przyjdiesz, o Panie, Panie!

CHÓR KAPŁANÓW.

Precz ztąd, kacerzu!

VIKTOR.

O tej godzinie czara miłosierdzia wysycha w rękę anioła twego.

IRYDION.

Krwia Rzymian ją odświeżę.

Kto przysiągł i nie dotrzymał? Symeon z Koryntu. — Kto się zgarbił do ziemi i oręż z dłoni wypuszcza? Wy bracia — a w mieście teraz Cezar i bogi miasta czekają tylko zmartwychwstania świętych by skonać. — Ha! zostawcie zgrzybiałych na grobach, chodźcie za mną — tam zwycięstwo, tam gwiazdę ujrzycie jaką widzieli królowie w dniu narodzenia Jezusa. — Tam Archaniołów śpiewy!

SYMEON.

Hyjeronimie! Hyjeronimie, ku tobie, ku naszym nadziejom wyciągam ramiona!

CHÓR,

Proś Viktora!

IRYDION.

Ojcie!

VIKTOR.

Dziś ojca straciłeś w niebiesiech!

IRYDION.

Starcze!

VIKTOR.

Siwizny mojej nie dożyjesz, bezbożny!

KORNELIA, (do Irydiona.)

Daruj mu, Panie. — On nie wie co czyni. — Do broni, do broni!

IRYDION.

Ty jedna tylko, bo ciebie także opuściły losy!

VIKTOR.

Syny ludu mego, patrzcie! Znak wam dany będzie abyście żałowali za winy wasze, abyście ocaleli za wdaniem się pasterza waszego!

Ty pierwsza niegdyś, dziś ostatnia u stołu pańskiego, przybliż się. — Niech moją rękę położę na skroni twojej!

KORNELIA.

Dawniej tyś miłował córę Metellów. — Czego chcesz od niej dzisiaj?

VIKTOR, (wznosząc puhar.)

Uniż się przed krwią Pańską!

KORNELIA, (obracając się ku Irydionowi.)

Uniżę się przed Panem!

(Kapłani podają wodę święconą Viktorowi.)

VIKTOR.

Duchu święty, w Ojcu i Synu poczęty! to serce obłąkane uczyni na nowo domem twoim!

Tak jak w godzinę chrztu poświęcam skronie twoje, Kornelio!

CHÓR.

Czyż sen ogarnia dziewicę, że zawarła powieki i skłoniła głowę?

VIKTOR, (do kapłanów.)

Otoczcie ją — podajcie jej ramiona!

KORNELIA.

Do broni!

VIKTOR.

Milcz zły duchu, który przemawiasz jej obłędem. — Znakiem krzyża opasuję ciebie — słowem Jezus rozkazuje tobie. — Kłamco, jakiegokolwiek imię twoje — jakakolwiek potęga twoja, wynijdź i zniknij!

KORNELIA.

W piersiach sto jęków nie moich, sto jęków słyszę!

VIKTOR.

Ustap!

Ratujcie mnie!

IRYDION.

Tu droga, tu w objęcia moje!

KORNELIA.

Ziemió, rozstąp się — ukryj mnie przed jego wzrokiem śmiertelnym!

IRYDION.

Kornelio, ty moja, ty!

KORNELIA.

Gdzie ona? nie nazywaj ją tem imieniem! Ona uwieżyła tobie — ona zginęła na wieki. — Ha! śmiechy, śmiechy rozrywają powietrze! czarne widma okružają ciebie — precz — precz.

IRYDION.

Rozstąpcie się. — Oddajcie mi ją — bracia, wyrwijmy dziewczinę z rąk katów!

KORNELIA.

Czyj to głos? słyszałam go tyle razy. — Ach! ona była prosta i szczerą — ona kochała ciebie przed laty — i ty piękny byłeś — tak — i ty mówiłeś jej: „Chwała moja twoją będzie.“

VIKTOR.

Apage Satanas.

KORNELIA.

Nie przybliżaj się, uciekaj odemnie — czy widzicie te tysiąc skrzydeł czarnych nad nim! Gdzie Bóg mój?

VIKTOR, (krzyż jej wskazuje.)

Tu, córko!

KORNELIA.

Daj go do ust moich.

(Krzyż całuje.)

Daruj mi, daruj!

VIKTOR.

Wyrzekasz się złego ducha?

KORNELIA.

Wyrzekam się.

(Pada.)

VIKTOR.

Bracia, on zwiódł ją, on zwiódł was wszystkich!

CHÓR.

Czegoś tak zbladła strasznie, czemu powstać nie możesz?

KORNELIA.

Sąd Pana dopełnia się nademną. — Umieram — ale słuchajcie, słuchajcie. — Ja w Panu umieram!

(Ciśnie się ku stopom Viktora.)

Ojcie, pobłogosław. — Ojcie, przyciśnij do łona. — Ojcie obroń konającą — już zimno — już straszno — już nie widzę ciebie!

VIKTOR.

Bądź spokojna — żal twój zbawił ciebie!

IRYDION.

Oderwij się od tej piersi bez serca — do mnie, do mnie, Kornelio!

KORNELIA.

Ach!

(Obraca się ku niemu.)

Przebaczam ci, Hyjeronimie. — Hyjeronimie, módl się do Chrystusa!

(Pada.)

VIKTOR.

Czy ty słyszysz mnie jeszcze? Córkę, odpowiedz — Kornelio!

KORNELIA.

Czuję woń rosy i kwiatów.

(Umiera.)

CHÓR CHRZEŚCIAN.

Ojcie wdaj się za nami do niewidomego. — Co rozwiążesz na ziemi i tam rozwiązaniem będzie. — Ten który nas uwiódł sam blednie teraz!

IRYDION.

Hańba wam! Czyż słowa niewiasty będą jedyną wiarą waszą? czy na jej rozkaz porwiecie żelazo? czy dla tego że ją zabili niegodziwi, porzucicie sprawę moją? głuche milczenie — wstyd usta wam zawarł ciężki, ciężki jak kamień sarkofagu!

SYMEON.

Szate rozdarłem — pchnij mnie. — Sen i życie niech się kończą razem!

IRYDION.

Nie odzywaj się do mnie, niewolniku starców! — Ty coś ją wydał starcom! Ty przekłety!

VIKTOR.

Wyklinam cię z pośród synów ludu mojego — kto się dotknie dłoni twojej skażon będzie. — Kto stanie by słów twoich słuchać odrzucon będzie. — Idź. — Imię twoje było Hyjeronim!

(Wchodzi posłannik.)
CHÓR KAPEŁANÓW.

Pan z tobą — co nam przynosisz, Julianie?

POSEŁANNIK, (klękając przed biskupem.)

Augusta Mammea poleca się modłom waszym bo w tej chwili syn jej wkroczył do miasta i bóg rozpoczął na Forum!

IRYDION.

Czas mnie ubiegł. — Ludzie mnie zdradzili.

(Wrywa krzyż z pod zbroi i rzuca.)

Oddaję wam znak życia wiecznego. — Patrzcie! jak prysł na stopniach ołtarza! Żyjcicie podli!

KILKU BARBARZYŃCÓW,

Stój — słowu naszemu wierni, idziemy za tobą. — Jezus niech nas sędzi potem!

IRYDION.

Wołajcie: „Odyn i Grymhilda“.

(Odchodzi z nimi.)

VIKTOR.

Módlcie się za Alexandra Severa — on będzie Cezarem.

Ulice pomników przy murach Rzymu. — Żołnierze wnoszą rannego Verresa. — W głębi czasem przebiegają uciekający.

VERRES.

Twoja pochodnia dwoi mi się i troi przed oczyma. — Czytaj napis, Greku!

ŻOŁNIERZ, (czyta.)

Diis manibus Attilii Verris, bis consulis.

VERRES.

Dosyć — złóżcie mnie u stóp pradziada — i mówcie dobra noc, bo choć dzień bliski, nie obaczę słońca!

(Z przeciwnej strony wśród rozwalin pomnika wychodzi Irydion z katakomb — za nim zbrojnych kilku.)

IRYDION.

Zorza ta natrząsa się ze mnie udając lunę pożaru. To-pory oderwać, oderwać od pasów, Towarzysze!

(Idzie kilka kroków naprzód.)

Co wy za jedni, oparci na grobach?

VERRES.

Czy śni się umierającemu, czy słyszę głos Irydiona Greka?

IRYDION.

Mój własny, Verresie — co się dzieje z tobą?

VERRES.

Chodź bliżej — wiesz, pamiętasz, znak miał być dany — czekałem jak zgłodniałe zwierzę, i nic, nic nie widziałem, wreszcie sam zacząłem. — Wyrzyj za tę piramidę proszę cię, tam, tam, kłęby dymu jeszcze się wiją na lewo. Rupiliusa udusiłem w popiołach — i lud napadł nas potem, i „Severus niech żyje“ zewsząd huczało. — Dostałem co mi kraje wnętrzości — coraz widniej, a Roma stoi dotąd — a ja ostatni z Verresów — ja pod nożycami Parki.

(Umiera.)

IRYDION.

Tak, ostatni! Darmo go cucicie, Greci moje — zapłacił co był winien losom. — Uszykujcie się, i wy, Germanie, połączcie się z braćmi których przyprowadziłem.

(Wbiega niewolnik uciekający.)

Stój! zkąd bieżysz?

NIEWOLNIK.

Od Forum romanum — puszczajcie!

IRYDION.

Darowałem cię niegdyś siostrze mojej. — Tyś mi nieraz śpiewał Homera — wczoraj jeszcze zapinałeś fibule chlamidy mojej w pałacu Cezarów, a nie poznajesz mnie?

NIEWOLNIK.

Ach! szlachetny panie mój!

IRYDION.

Co słyszeć — nie oszczędzaj mi bólu!

NIEWOLNIK.

Źle, źle bardzo, panie mój, bo ledwo kawał nocy ukroczyły gwiazdy, aż tu nagle niewiedzieć zkąd wrzasnęły Legie Severa i hurmem rzucają się na wzgórze Palatynu. — Scypion bronił się wściekle. — Głos jego noc całą słyszałem gdyby wycie rozjuszzonego wilka. — Wiesz, panie, na służbie ja stałem obok komnat Cezara. — Eutychan przy-

chodził i odchodził niezmiennie blady. — Siostra twoja raz tylko wyszła i rzekła: „Euforion“. — „Czego żadasz, boska Elsinoe?“ Ale ona i słowa więcej nie mówiła — odeszła zwolna, piękna, piękna zawsze. — Ale na czole dziwna świeżość jakby tam już plusnęła fala Styxu. — Zewnątrz krzyk i łoskot coraz większy. — Eutyhian nie wytrzymał, zawisnął u porfirowego ganku i woła bez zmysłów: „Grek zdradził“ to znowu: „Greczynka zdradziła“, to: „Imperator chce miasto zburzyć“ i: „darujcie mi, Kwiryty“. Z drugiej strony Arystommacha słyszę, mówi o nagrodach, o wspa-
niałości Alexandra, a kiedy umilknie wnet jęki z pod jego miecza, a kiedy odpoczywa znów ludzi naszych obietnicami — wreszcie Pretoryanie się zbuntowali. — Trybunów i Centurionów słuchać nie chcą — groźby Scypiona marnie latają w powietrzu — bitwa ustaje w ogrodach — wszyscy razem walą do nas. — Ja wtedy, panie, wszedłem kędy była siostra twoja, bo przysiągłem był tobie jej bronić. — Cezar leżał z obłąkanym wzrokiem, do dyadematu przypiął był nadusznice Arcykapłana, nóż ofiarniczy w jednej ręce trzymał, w drugiej czarę z trucizną; ale nie mógł się zabić i jęczał, to znów wolno, cicho oddychał, to nucił pieśń rokoszną jak gdyby w śnie jakim dziwnym! Ona siedziała opodał na krześle złotem, okolona purpurą, milcząca. — Drzwi pierwsze, drugie, trzecie stęknęły i pękły — kroki, głosy, szczęki bliżej — zastawiłem ją ciałem mojem!

IRYDION.

Daj rękę!

NIEWOLNIK.

Włóczyli dwadzieścia rozdarło zasłonę która nas od Perystylu dzieliła. — Runęli, wiódł ich Arystommachus wo-
lając „rabujcie, mordujcie“. Imperator jak tygrys podsko-
czył w górę i nazad ugrzązł w różach krwią obłany — wtedy przesłonili go żywą ścianą mieczów — ale potem gdzieś ręce jego widziałem — w innem miejscu głowę jego!

IRYDION.

A Elsinoe, Elsinoe?

NIEWOLNIK.

Źle, źle, panie, bo kiedy wchodził Alexander Severus wo-
lając z sił całych: „Kto dotknie się Greczynki, temu nie żyć jutro“ ona sama, odchylając purpurową zasłonę,

pchnęła się sztyletem. — Błysk stali i krwi strumienie — to tylko dojrzałem i słów nie wiele ostatnich utkwilo mi w pamięci!

IRYDION.

Nie zważaj — nie zważaj — kamienną duszę dały mi Bogi!

NIEWOLNIK.

„Irydionie, wroga twego nie będę kochała“ i rzekła jeszcze: „Dopełniłam. — Teraz, matko, przyjm mnie do siebie“ — wtedy wśród tłoku pchany i odpychany potknąłem się na trupie Eutykiana i uciekać zacząłem — po drodze spotkałem Scypiona — on ustępuje z kohortami Cherusków co jedne przejść nie chciały do Severa. — Oto on już idzie, Panie!

IRYDION.

Słońce, które wschodzisz tak obmierzłe, tak jasno, odpowiedz mi, gdzie siostra, biedna siostra moja?

(Odechodzi w bok i opiera się na grobie.)

Tam na zachodzie oplakana, ostatnia mgła nocy zatrzymała się jeszcze nad szczytem Vulkanu! Elsinoe, czy to ty mnie żegnasz? Matka powiadała niegdyś że cienie lubią się kołysać na czarnych chmurach. — Elsinoe!

(Scypio wchodzi z Kohortami i staje przy ciele Verresa.)

SCYPIO.

Pierwszy z nas zasnąłeś, bracie! skrzeplą rękę niech ci ścisnę jeszcze. *Sit tibi terra levis!*

NIEWOLNIK.

Patrz! to on wśród tych kolumbariów stoi i pasuje się z bolem!

SCYPIO.

Kto?

NIEWOLNIK.

Czy nie widzisz? Syn Amfilocha!

SCYPIO.

Ach! wodzu — darmo czekałem na płomienie twoje!

IRYDION.

Wiem o tem.

SCYPIO.

Fortuna zdradziła nas wszędzie.

IRYDION.

Wiem o tem.

SCYPIO.

Ulpianus i Tubero gonią za nami — cóż poczniemy?

IRYDION.

Czoła ku nim obrócim — krwi rzymskiej, krwi rzymskiej jeszcze trochę, Scypionie!

SCYPIO.

Nie ma słabości w tobie — rozpacz drugim mieczem twoim!

Żyj, wodzu, bo takimi niegdyś byli Patryciusze Romy. — Mnie lepiej zginać przy tobie, niż obalić się na Cyrku. — Naprzód!

IRYDION.

Za nadzieją precz niechaj idzie i pochwa — a ty rękojeści przyrośnij do dłoni. — Śmierć Alexandrowi! naprzód!

(Wychodzą.)

CZEŚĆ CZWARTA.

Pałac Cezarów. — Alexander Severus — Mammea. — Ulpianus. — Dworzanie.

ULPIANUS.

I czegoż jeszcze po nim spodziewać się możesz? Czyż z razu nie zwodził nas mglistą posępnością? Czyż później nie powstał przeciwko nam — jasno, nieubłagane? a teraz wdałże się w proźby, uznałże cię panem Rzymu? Wczoraj dzień cały walczył z nami, w nocy spalił dwie świątynie, popierając sprawę zgubioną, raczej jak Duch nienawistny niż jak człowiek śmiertelny — bo z przejrzenia Bogów ludzie kochają się w złem dla celów swoich tylko, nie zaś dla miłości złego! Radą moją nie mieć żadnej litości — i tak już dosyć łaski twojej, żeś mu ciało siostry odesłał.

ALEXANDER.

Kiedy z łonem przebitem, wstrzymując jęki, gasła w moich ramionach, przysiągłem że bratu przebaczę — i duch jej z tą obietnicą odszedł odemnie.

ULPIANUS.

Inni mogą chwalić wspaniałomyślność Cezara — mnie przyszło nazwać to słabością tylko. — Juniusa za to uczcili przodki nasze sprawiedliwego imieniem, że własnym nie przepuścił synom — kto występny przebacza, ten niewinnych będzie karał kiedyś!

MAMMEA.

Trwaj w myśli twojej. — Miłosierdzie jest drugą purpurą królów!

ULPIANUS.

I bywa ostatnią!

ALEXANDER.

Konsulu, nie odmienimy postanowienia naszego — na dzisiaj taka wola nasza. — Idź i podaj mu warunki które ci wskazałem, a jeśli wrócisz z pomysłą wieścią, obróć

się do was wszystkich i szczęśliwszy od Tytusa „nie straciłem dnia, rzeknę, przyjaciele moi.“

ULPIANUS.

A jeśli wrócę ze wstydem odrzuconej łaski!

ALEXANDER.

Wtedy wolny będę od słowa mego — a ty zaczniesz wywierać sprawiedliwość twoją!

(Ulpianus wychodzi.)

Sala Amfiocha. — Ciało Elsinoi na wzniesionem łożu, w białych szatach, osypane cyprysu gałązkami. — Obok woda lustralna. — Ołtarz po środku sali. — Chór dziewięć płaczek. — Pilades. — Wchodzi Irydion, za nim Gladiatorowie i niewolnicy.

IRYDION.

Gdzie Masynissa?

PILADES.

Nie widziałem go od chwili w której i ty po raz ostatni widziałeś go, Panie.

IRYDION.

Masynisso!

CHÓR.

Masynisso!

IRYDION.

Dwa razy sklepienia odpowiadały za niego.

(Siada pod posągiem Ojca.)

PILADES.

Starzec zdradził, Panie!

IRYDION.

Nie mów tego.

(Twarz zakrywa rękoma.)

On, przyjaciel Amfiocha, on, przed którym groby pękają, kiedy je zaklnie potęgą słowa! — nie — nie — on wróci — on nie opuści Sigurda.

(Wstaje.)

Zgromadziłem was w chwili kiedy znużone kohorty Rzymian odступują od walki, byście wyrządzili cześć ostatnią zwłokom siostry mojej. — Ona pierwsza padła ofiarą naszej świętej sprawy — kto mnie poważa niechaj jej pamięć szanuje — kto nienawidzi Romy niechaj jej wdzięcznym

będzie — kto przysiągł zginąć ze mną, niechaj błogosławi jej cieniom.

(Podnosi kropielnicę cyprysową i rzuca kropel kilka na ciało — wszyscy jedni po drugich przechodzą i to samo czynią.)

CHÓR NIEWIAST.

Dotąd jeszcze straszny sternik, syn Erebu i Nocy nie zabrał cię pod czarne żagle. — Dotąd jeszcze, o Elsinoe, błazisz z tej strony Styxu. — Ale już sztukę złota kładziemy ci w usta, byś okupiła się przewoźnikowi. — Ale już mak i miód kładziemy ci w dłonie byś uspiła Cerbera.

Chwil kilka, a pójdziesz kędy się wiją roje umarłych jako dymy ciężkie, jako liście jesienne, pójdziesz ku sądowi Radamanta, ku płaczom i jękowi. — *Salve eternum!*

Ale stopy twoje dotkną się tylko płomieni i znikome, białe jak skrzydła, uniosą cię dalej. Zostawisz za sobą miedziane progi Erebu — ognistą, siedem razy w okół Tartaru okręconą rzekę przelecisz, i słodkie ujrzysz światło i zielone gaje. — Tam spokój cichy i smętny, tam pełna czara zdroju Letejskiego czeka na ciebie, i cienie dziewie co jako ty zniknęły przed czasem, kwiatów ściętych ocalone liście. — Idź — już sztukę złota kładziemy ci w usta — już miód i mak kładziemy ci w dłonie. — *Salve eternum!*

(Wchodzi Euforion.)

IRYDION.

Co nowego?

EUFORION.

Posel Cezara i konsul o posłuchanie prosi.

IRYDION.

Niech go wpuszczą!

(Ulpianus wchodzi — za nim niosą orły cesarskie.)

ULPIANUS.

Jako ty niedawno do nas, tak ja dzisiaj, wrogu, do ciebie przychodzę w poselstwie.

IRYDION.

Jako wy mnie wtedy, tak ja dzisiaj wam odpowiem — „do broni!”

ULPIANUS.

Ale jednakowe słowa nie jednakowy skutek wywróżą — nam przyniosły zwycięstwo...

IRYDION.

Zwycięstwo! — czy już zaszedł rydwan na *via sacra*? czy już posąg Fortuny trzyma wieniec nad głową Tryumfatora? Czy kto już spędził Alboina z Viminalu? czy Scypion ustąpił z Aventynu? Ostatniej nocy, powiedz mi, kto kościół Faustyny, kto bazylikę Emiliusa w popioły rozwał przed waszemi oczyma?

ULPIANUS.

Widziałem skazanych, którzy szli na śmierć wrzeszcząc i poklaskując. — I wy tak czynicie! Tymczasem Alexander jak dziecię swawoląc z pomyślnemi losy, ofiaruje ci pokój i przebaczenie zbrodni....

IRYDION.

Może zelżonego Majestatu?

ULPIANUS.

Czyż jej nie popełniłeś?

IRYDION.

Majestat wasz od wczoraj się poczyną, a zbrodnia moja stara jako serce wolnych — dalej!

ULPIANUS.

Imperator żąda, abyś stolicę opuścił na zawsze i wrócił do Chiary. — Wprzód jednak przysiędziesz mi na wierność przy dymiących trzewach i co do jednego wydasz współników twoich. — Jeżeli zgodzisz się na te warunki, on który cię może okuć w łańcuchy i rozbić na krzyżu, poda ci rękę w chwili pożegnania i zapomni....

IRYDION.

Głośniejsz, mężu konsularny!

(Odwraca się do swoich.)

Czy słyszycie, ludzie moi? Cezar wróci mi swoje względy bylebym was spętanych jak bydła rzucił pod różgi liktorów! Cóż mam począć, ludzie moi? Wszak prawda, zdajmy się na łaskę Cezara, wszak miło czołem rozbić się o stopy jego?

Nieśmiertelne Bogi, wy które o nas nie dbając drzemiecie na wierzchołkach Olimpu, rozśmiejcie się przynajmniej w chwili, kiedy syn Mammei hańbę przysyła mi w darze przez usta prawnika swego!

(Wstaje i zbliża się do Ulpiana.)

Prędzej Skorpion usiądzie jak niewinny motyl na dłoni

Cezara, prędzej piorun Zeusa prosić się go będzie: „Daj, daj tę chmurę rozedrzeć“ niżli ja broń złożę i wydam braci moich!

ULPIANUS.

Nie nalegam na ciebie, dopełniam tylko zleceń tego, który mnie przysłał. — Owszem bądź ślepy do końca i z garstką złoczyńców dni jeszcze kilka zżymaj się na wielkiem łonie Romy — walcz za pamięć i sławę pana, którego obrałeś sobie na ziemi, a kiedy na czele swoich zasuwac się będziesz w ciemności Tartaru, jeszcze na brzegach Styxu wołaj: „Niech żyje Syryjczyk.“ A trójgłowy Cerber wtórować ci będzie!

IRYDION.

Takżeś prawdy doszedł, znawco serc ludzkich! — Robak co wił się po ziemi, proch co z koturnów moich zlatywał, dłużej mi się ostały w pamięci niż jego wspomnienia. — Zapytaj się ich? czy którykolwiek odpowie że znał Syryjczyka!

CZĘŚĆ CHÓRU.

Irydionowi służyliśmy tylko!

INNŁ

Sigurdowi tylko!

ULPIANUS.

A umarła?

IRYDION.

Sam ją poświęciłem, ale nie groźbom przemocy, nie obietnicom podłości! Nie obrażaj śpiącej która się już nigdy nie przebudzi! Ona czystsza była pod technieniem tyrana niż wszystkie wasze matki i córki!

ULPIANUS.

Za kogo więc się bijesz i przeciwko komu?

IRYDION.

Długie to dzieje, starcze!

ULPIANUS.

Alexander Severus łaskawym był zawsze na ciebie.

IRYDION.

On też drobną cząstką tylko nienawiści mojej.

ULPIANUS.

Mów więc kto wrogiem twoim?

IRYDION.

Powiedzcie głuchemu i ślepemu, powiedźcie, o bracia, kto was odpędził od bitej drogi człowieczego rodu i przymusił stąpać ścieżkami ciemności — kto od kolebki wycisnął wam na czołach znamię pragnienia i głodu — kto w latach późniejszych nie dał wam ukochać niewiasty i zasiać w świetle domowego ogniska?

CHÓR.

Roma!

IRYDION.

Kto sam śmiertelny, w nędzy i poniżeniu śmiertelnych: położył najśłodsze nadzieje — kto pochwalił syna Mitrydata kiedy rękę podniósł na starego ojca — kto zdrajców południa i zdrajców północy zaprosił na festyny, swoje — kto czarę niedoli świata wychylił aż do dna?

CHÓR.

Roma!

IRYDION.

I nektarem z łez i nektarem z krwi upił się jako Bóg piekiel?

CHÓR.

Roma — Roma!

IRYDION.

Słyszałeś? wiesz teraz czem jestem?

ULPIANUS.

Szaleńcem! To miasto od pierwszych dni swoich żyło uśmiechami Bogów. — Ono było drugim fatum świata. — Czy nie wiesz, że Fortuna jak niewolnica niosąc ostatki strzaskanego koła, szła za wozem jego tryumfalnym? Czy nie wiesz, że słabi padli twarzą na ziemię; że co było upartych i wściekłych, zniknęło z powierzchni ziemi? A ty się porwałeś szczupłą siłą, mierny zasobami, niedojrzały wiekiem, by zniszczyć Boga, którego pioruny grzmiały nad urną Hannibala i nad mogiłami Cymbrów!

Ztąd widzę miejsce, na którem głowa twoja padnie pod cięciem Liktora!

IRYDION.

Wprzód jeszcze pocisk Cymbra utknie w sercu twojem, topór Cheruska rozetnie pancerz Arystommacha, wprzód jeszcze Luciuszowi Tubero niezłomnej obietnicy dotrzymam!

CHÓR.

Wprzódę jeszcze za każdą krzywdę naszą czaszkę
krwi wychylim — a potem, potem, przyjdą nasi dziedzice
i z podziemnych dolin zagrzewać ich będziemy!

ULPIANUS.

Bezprzytomni jesteście, ostatni z rodu waszego. — Tylko
szał i kara wasza jeden kamień węgielny przyrzuci tym
wzgórzom.

IRYDION.

I na nim będzie napis pogrzebowy Romy!

ULPIANUS.

Słaby śmiertelniku! ty nie przemienisz tego co mądrze
i święcie opatrzyły nieśmiertelne wyroki! i komuż berło
oddać miały jeśli nie miastu wytrwałości i czynów? Może
przedajnej Afryce, może rozwiązłej Seleucyi, lub igrającej,
śpiewającej Helladzie? nie — tam potęga się urodziła gdzie
lutnia nie brzmiała nigdy, gdzie na czole zamiast wianka
mirtu sprzęgały się twardej miedzi blachy, a w duszach
mężów nie było rytmu ni swawoli — jedno było wola jako
otchłań wrzącej siły i nad nią rozsądku powaga, niezachwia-
nego opieka rozumu!

IRYDION.

Słyszeli męczennicy narodów o rozsądku waszym. —
Geniusz Romy z tem słowem na czole stanął u progów
Attala i skrzydlaty usiadł przy stopach starca, pochlebiał
i ludził aż z pod zgrzybiałej ręki wyrwał zapisy Pergamu!

Z tem słowem na czole podniósł się wśród Isthmjskich
igrzysk, prosił o posłuchanie i chwalił synów Grecyi! Z tem
słowem on po wszystkie czasy uwodził słabych i dusze
ludzkie zabijał!

A kiedy kto uwierzył jemu, kiedy nieszczęśliwy przy-
stał na pęta i wyrzekł się domu, ojczyzny, sławy za życia
i chwały po zgonie, on wtedy śmiejąc się wołał: „Roz-
sądny jesteś“ i nogą spychał go z Tarpejskiej skały.

Prawdeś wyrzekł — nie — nigdy Hellada takim nie
spodliła się rozumem. — Jej życie nie było rachubą, jej
nadzieje nie spoczęły na kłamstwach. — Syn Latony za-
mieszkał w niej i opromienił ją do koła. -- Na piersiach
Zeusa, w cieniu puklerza Pallady leżało jej czoło upojone

myślami, a morze, a lądy wiosenne, stóp jej były zakochanem podnożem! zemsta, zemsta za nią!

ULPIANUS.

Pojrzyj na ramiona naszej potęgi, wśród gromów ich pędu sława Aten, imię Sparty i Koryntu jak brzęki pszczoł giną w oddali. — One coraz sięgać będą dalej — od wschodu na zachód one spocząć nie mogą aż światu całemu stanie się na imię — Roma!

IRYDION.

Ach! ty myślisz tę starą otchłań na nowo bluszczem uzielenić po brzegach, by koście ofiar i łupy kościołów i miecze wydarte zdradą, niewidziane spoczywały na dnie! Ty sądzisz, że ród bez czci i ducha przyuczysz do sił straconych i rozesłesz po wieńce laurowe! Ty i Cezar twój błogo marzycie — jak starcy czekający na dzień odmłodnienia a dzień ten będzie śmiercią waszą.

ULPIANUS.

Wodzu pożarników, technienie twoje kala powietrze enotliwym! Zbrodnia goreje na czole twojem, opuszczonem od Bogów! na jego widok stare lata moje się wzdrygnęły!

IRYDION.

Ojeze, Ojeze! patrz! Rzymianin usłyszał mowę wonych i oburzył się cały! Konsulu, odpowiedz mi jeszcze! Cóżście uczynili że światem od kiedy Bogi złego oddały go w wasze ręce? Stoją łuki tryumfalne i bite drogi Aedyłów, na głazach zapisaliście się krwią i potem umierających! — Ach! kiedy ziemia staczała się w wasze objęcia, jak uludzona niewiasta, kołysały się nad nią dumania Platona i skrzydła Kartagi lśniły się od Gadesu po *ultima Thule*! A teraz co? odpowiedz mi, konsulu! w lochach Nazaarenów słabowite westchnienia — tu i owdzie stoików obłąkane cienie i kilka słów Aureliusu wśród żalobnego jęku boleści! Gdzie bujniej od dnia klęski naszej porosły oliwne gałązki? Gdzie pieścioną pieśnią, gdzie nauką mądrości ukołysały przodki twoje żale podbitych?

O wiem! August zawarł podwoje Janusa. — O zmierzchu życia grały mu lutnie przedajnymi struny — wtedy milczące pustynie, grodów na piasek rozemlone gruzy, on nazwał ciszą swoją i na mogiłach plemion rzekliście wszyscy: „Pokój synom ludzkim.“

ULPIANUS.

Jako ojciec rodziny dzieci, jako Patrycyusz Plebejów, jako pan niewolników, tak my Kwiryty prowincye dostali w podziale. — Żelazem zdobyliśmy ziemię i prawo żelaza nad nią zawieszone trzymamy!

IRYDION.

Bogdajbyście łatwowiernych nigdy nie byli zwodzili tem słowem. — Odwróć się ku bitnym legiom Rzeczypospolitej — czy widzisz jak pierzchają przed słoniami Pirrusa, jak korzą się pod widłami Samnitów, jak żniwem kładą się na brzegach Trazymenu, jak w hiszpańskich wąwozach wołają miłosierdzia i wody, jak w lasach herceyńskich zbladłe kłękają pod nożem ofiary. — Nie lotnym gromem Alexandra, nie krótkim mieczem waszym, ale czarą trucizny, ale garścią złota, ale krzywemi przysięgi, ale pobratymstwem zdrajców dopełzaliście się potęgi! — I orzeł Romy wylął się na bagnach nie na szczytach gór!

ULPIANUS.

Darmo wołasz, bluźnierco! niewzruszona opoka, na której zgrzytasz, nie słyszy ciebie!

Odrzuciłeś więc miłosierdzie pana twego?

IRYDION.

Kto panem moim? na ziemi nie znałem go. — Za stołem jak stada drapieżnych ptaków krążą Geniusze śmierci — oni mi powiedzą czyj poddany jestem! Ale tu miałem wrogów tylko i braci kilku, co mi wiernie służyli — i jedną chwilę boską — krótką jak szczęk mieczów co prysną od razu, ale świętą, świętą na wieki!

Nikt z was jej nie podzielił, towarzysze! ona mną, ja nią byłem cały — pochodnia zemsty gorzała w tem ręku. — Miasto poświęcone u stóp moich leżało, tuląc się coraz ciszej pod zawoje nocy. Ach! Nemesis.

(Opiera się na posąg Amfiocha.)

ULPIANUS.

Zbladłeś!

IRYDION.

Całej krwi waszej zabrakło licom moim!

ULPIANUS.

Wróżbą ostrzegły cię Bogi. — Ja raz ostatni z urzędu

mojego przypominam ci że wyrok zapada nad tobą — czas jeszcze przebłagać Cezara. — Roma przebacza pokornym!

IRYDION.

Takążes naukę z słów moich wyciągnął! Nie odchodź, zatrzymaj się jeszcze!

Euforion, podaj mi poświęconą czarę.

Amfilochu, śnieżną pianę lesbijską wylewam na stopy twoje — przyjm pierwszki zgonu mojego — pijcie teraz, bracia, jak męże Leonidasa przed śmiertelnym świtem! Pijcie i bądźcie wolni od złej myśli!

(Zbliża się do ołtarza palącego się między posągami a ciałem.)

Znak opiekuńczy państwa błogosławiony wróżbą Augurów i Vestalek pieniem, znak od senatu powierzony Cezarowi, tobie ojciec poświęcam i tobie, Hellado matko!

ULPIANUS.

Nie dopuście zbrodni — wstrzymajcie świętokradcę. — Jeśli jest tu jaki obywatel Rzymski, niech głos mój usłucha — życie wam darowane będzie, przysięgam na Statora i Kwiryna! Stój! zuchwalcze — w tym pierścieniu zapisane imię tajemnicze Romy!

IRYDION.

Słyszeliście, bracia!

(Rzuca pierścień do zgłiszczy.)

CHÓR.

Euge! Euge! Rzymianin tożę zarzucił na lica, pierś jego wzdęła się żalem i nie śmie spojrzeć na oblicza nasze!

IRYDION.

Nim usta moje zawrą się na wieki, ostatnią wolę moją opowiedzieć chcę. — Słuchajcie mnie i przeklinajcie miasto!

CHÓR.

Patrzcie! odbłyśk-li to żaru, czy promień zesłany od Bogów tak wspaniale osrebrzył mu lica?

IRYDION.

Biada zwycięzcom. — Jako nas cheieli spodlić tak im podłość narzucona będzie — i dziecię urodzone w Rzymie, i starzec konający w Rzymie, i mąż dojrzały, jedno miano będą nosili. — Niewolnik!

CHÓR.

Niewolnik!

IRYDION.

O Fatum przedwieczne! z nad głowy Bogów wtedy ty podniesiesz stopy i zejdziesz ku dolnym przestworom i niżej jeszcze ku siedmiu wzgórzom i będziesz jędzą ich skonu — by one, co wszystko zniszczyły, umierały w obliczu ciebie, któryś wszystko stworzył!

CHÓR.

Ród ich przepadnie, język ich niech zatracon będzie.

IRYDION.

Ale niech sława o nich żyje w późne wieki — niech powieść o ucisku będzie ich nadgrobkim! — niech go ludzie potomni czytają i przeklinają po wszystkie dni swoje aż do końca świata!

CHÓR.

Świata!

IRYDION.

Przeszedł czas modlitwy, zgasł płomień ołtarza i skończył Bóg Romy! Konsulu, możesz podnieść oczy.

ULPIANUS.

Złamałeś ustawy ludzi i znieważyleś obrzędy święte — obyczajem przodków wyjmuję cię z pod opieki prawa, zabraniam ci udziału ognia i wody! Za głowę twoją obiecuję wolność niewolnikowi, wolnemu posąg przy Rostrach i miejsce obok konsulów w cyrku.

Bezbożni, czekam na was u progów Mammertyńskiego więzienia. — Skazani, czekam na was u stóp Tarpejskiej skały!

IRYDION.

Nikt z nich ręki nie podniesie na mnie. — Idź, starcze. Gniew siwej nie przystoi głowie.

(Ulpianus wychodzi.)

Stos twój już gotowy, Siostró — nieście ją i *ultimum vale* powtarzajcie za mną!

Noc miesięczna. — Świątynia Venery naprzeciw Amfiteatru Flaviana — na schodach Pretoryanie i Lucius Tubero.

TUBERO.

Co znaczy, że dotąd Arystommachus nie dał znać o sobie? Noc ledwie zapadała kiedyśmy się rozłączali,

a teraz już księżyc depce wierzeholki Amfiteatru. — Spokojność arkad przełamanych w te długie cienie dolega mi nie wiem sam czemu. — Chłodny powiew spieki moim licom przydaje, a jednak rozpaczniejsze widziałem sprawy bez oczekiwania, bez niecierpliwości. — Duszo niewolnico Luciusza, czemu dzisiaj buntujesz się przeciw panu twemu.

(Przechadza się zwolna.)

Słyszałem od ludzi, że pod koniec żywota Duch sam siebie ostrzega dziwnymi niespokojnościami. — Tak Brutusowi w wilią przegranej, tak Ottonowi pod Bedriakiem wieszczę znaki się objawiły. Diespiter! nie w porę dziś umierać Luciuszowi Tubero! już młodzieniec na mojej starej enocie polega. — Ja tylko i Ulpianus drugi, wędzidło trzymamy — a gdyby prawnik padł od germańskiej strzały, pod ręką Amfilocha, wtedy.... Któż mi odpowiada? nie — to w lochach cyrku lew się przebudził i ryknął — a teraz co innego — pomieszane głosy, rżenia, łoskoty! przez Kastora, kto idzie?

(Zbrojni wbiegają w nieładzie — za nimi Arystommachus.)

ARYSTOMMACHUS.

Na pomoc!

TUBERO.

Hańba! Cezar czeka na forum byś mu Greka przyprowadził w łańcuchach, a ty przed nim uciekasz!

ARYSTOMMACHUS.

Kto mówi że Arystommachus się przeląkł, ten kłamie choćby był ojcem ludzi i Bogów. Sam dwóch Centurjonów tą włócznią przebiłem, kiedy od pałającej twarzy Greka odwracali oczy.

TUBERO.

Zkądże ta przemoc jego niespodziana? — Czyż posiał kły smoka i świeże z nich meże wyrosły?

ARYSTOMMACHUS.

Goni ostatkiem ale wściekle goni. — Szliśmy jeszcze pochyłością Viminalu, kiedy on pierwszy zaczął i od przysionków pałacu spłynął jak lawa pałac ciskaniami pochodniami, rozognionymi strzałami, kipiącą naftą. — Trzy razy zwarłem się z nim — z pod miecza mego i z nad tarczy jego sypnęły się iskry jak z kuźni Cyklopa — trzy razy rozparły nas tłumy!

TUBERO.

Idźmy! zdarte z szyi Greka łupy ślubuję zawiesić
w twoim kościele, o *Marspiter*!

ARYSTOMMACHUS.

Ściągnij pancerz — dwie łuski pękły ci w tej chwili
nad sercem.

TUBERO.

Dii avertite omen!

(Wychodzą.)

MASYNISSA, (na schodach świątyni.)

Ptaki nocne karmione krwią *Areny*, splatajcie się
w wieniec nademną!

Zgrzybiała ruino *Vulkanu*, ty przemarzona od ludzi
na gwiazdę czystości i wdzięku, dosyłaj mi bladych pro-
mieni!

Ziemio, daj co się należy — powietrze, daj co mnie
winne jesteś — bym karmił się krwią i jadłem jak niegdyś
wiekuistymi ogniami *Eteru*!

Jeszcze noc jedna i ranek jeden a ja i syn mój opu-
ścim te strony!

CHÓR, (z wnętrza świątyni.)

Piękne, lubieżne witają Pana! nad hełmami tańcząc
krwią z ran ludzkich odświeżyliśmy lica i puklerz syna twego
był zwierciadłem naszym!

Piękne, lubieżne ostrzegają Pana. — Z gwiazdą *Oriona*
wszedł duch tajemniczy strumieniem kołujący w błękitach
i wszystkie ciche drgania i wszystkie smętne fale swoje ze-
brał w około *Irydiona* duszy — przelatując spotkałyśmy się
z jego nurtem!

MASYNISSA.

A syn mój czy zważał na podszepty ducha?

CHÓR.

Ile razy ta myśl bez głosu dotknęła mu serce, bladł
i mieczem błdził po zbrojach i nie łamał żadnej — w przer-
wach bił się jak anioł strącony — spiesz się — spiesz
się do niego!

MASYNISSA.

Mdle dusze świętych niewiast, z tamtej strony grobu
wracające westchnienia, nie wydrzecie mnie go — nie do

złotych harf przyuczałem mu tak długo palce, nie do piosenki pochwalnych skręcałem mu usta.

(Znika.)

Forum. — Przy pochodniach Alexander Severus na krześle kurulnem. — Obok stoi Ulpianus. — Z tyłu straż z złotymi orłami. — Arystommachus wchodzi. — Za nim prowadzą rannego Scypiona.

ARYSTOMMACHUS.

Boski Imperatorze, już w tej chwili Tubero musiał schwytać Greka. — Ja w bok się udałem i rozpocząłem bitwę z Cheruskami, którzy stali pod wodzą tego człowieka na drugiej pochyłości Viminalu — pchałem ich ostrzami mieczów aż zaczęli krzyżeć: „Niech żyje Cezar Sewerus“ i kłać się na wszystkie Bogi północy, że jakiś szał ich opętał po śmierci Heliogabala. — Ten człowiek dwom czy trzem wtedy zawarł usta pugiuałem, ale wnet hurmem wszyscy przeszli do nas.

ALEXANDER.

Dzięki nasze walecznemu Arystommachowi.

ARYSTOMMACHUS.

Teraz nazad do Tuberona.

(Wychodzi.)

ULPIANUS.

Imię twoje?

SCYPIO.

Umierający!

ULPIANUS.

Wyznaj więc prawdę i pogódź się przed ostatniem tchnieniem z sprawiedliwymi Bogi.

SCYPIO.

Z sprawiedliwymi!

ULPIANUS.

Odpowiadaj mi w obliczu Imperatora. — Od jak dawna wasz spisek zawiązany?

SCYPIO.

Od wieków.

ULPIANUS.

Nie żartuj, niewolniku — czy mieliście współników innych miastach państwa?

SCYPIO.

Wszedzie!

ULPIANUS.

Kto z pomiędzy nich najznacniejszy?

SCYPIO.

Ty i Cezar — póki jesteście, my będziemy!

(Umiera.)

ALEXANDER, (zstępując z tronu.)

Ni łaską, ni groźbą, takich nie przymusić ludzi.

ULPIANUS.

Ale żelazem i ogniem!

Ucz się jak stapać nad wrzącą otchłanią i nie przepaść na dnie — nie słuchaj niewieścich głosów — nie ufaj szlachetności cudzej — w tobie cała Roma się skupiła — bądź więc jak ona, silny i nieubłagany!

(Wychodzą.)

Puste miejsce przy fontannie Neptuna. — Słychać w dali szezęk mieczów i wrzaski. — Wchodzi Irydion następując na Tuberona.

TUBERO.

Noc całą oko twoje jak żar piekielny mnie ścigało — jakież z Bogów zbroję ci wykuł? pod twojemi ciosy nie zdrętwiała odwaga ale zemdlaly siły moje.

IRYDION.

Ostatni raz tę klingę odbiłeś!

TUBERO.

Ojcze Neptunie, pomagaj.

(Pada.)

IRYDION.

Powiedz siostrze mojej że przybywam do niej!

(Zabija go.)

Zemsto! ty mi krople tylko sączysz, kiedy ja cię o morze krwi prosiłem — teraz wrę całą mocą życia! dusze ginących braci przelewają się we mnie! Stałem się Tytaniem! a umrzeć mi trzeba — nie — ja nie chcę umierać!

(Schyla się i wydziera miecz Tuberona.)

Ach! czego mnie ścigasz, niewidomy duchu? Chrystus — Chrystus — i cóż mi po tem imieniu? Oddal się, nie

męcz mnie, Kornelio! Patrz — idź za księżycem temi śladami srebra — za chwilę ciemności ogarną tę ziemię!

(Alboin wchodzi.)

Wróg-li czy przyjaciel Irydiona Greka?

ALBOIN.

Niegdyś jego towarzysz.

IRYDION.

Czyś zbladł od strachu czy od miesięcznych promieni?

ALBOIN.

Scypiona ciało na brzegach Gemonii!

IRYDION.

Ojcowie jego bywali na szczytach Kapitolu!

ALBOIN.

I Cheruscy co do jednego poddali się Cezarowi.

IRYDION.

Ach! skróciły się ostatnie chwile. — Chodź — wrócim do pałacu. — Rzymian wpuscim na dziedziniec — tam żarzy się jeszcze stos Elsinoi. — Zginiemy w płomieniach ty i ja, i oni i dom ojca mego. — Naprzód!

ALBOIN.

Dopóki tłała iskra nadziei służyłem ci wiernie — jako ty nienawidzę Romy — ale teraz. . .

IRYDION.

Służalcze orla, Legionisto Karakalli, ty mnie zdradzisz także?

ALBOIN.

Nie ja, ale Fortuna opuściła cię pierwsza! chleb mój woła mnie w inną stronę. — Czy słyszysz głosy Trybunów? Cezar głowę twoją puścił na targ mieczom naszym.

(Dobywa pugiuału.)

IRYDION, (przebijając go.)

Idź do piekła — na tej drodze wcześniej czy później spotkasz się z Cezarem.

(Wychodzi przeciwną stroną.)

Podwórzec na wzgórzu przed pałacem Irydiona. — Niewolnicy, Gladiatory, Żołnierze z pochodniami. — Dymiący stos Elsinoi z boku.

KILKU.

Gdzie bieżysz, Pilades?

PILADES.

Do lochów gdzie cyprysy i sosny. — Pan tak rozkazał.

INNI.

Zatrzymajcie go — wyrwijcie mu pochodnię!

PILADES.

W tył — nie zbliżać się do mnie — rozstać się — czy nie poznajecie mnie, bracia?

POMIESZANE GŁOSY.

Rzuć pochodnię — stój na miejscu, jeśli nie chcesz zginąć.

INNI.

Tam w dali już lecą orły Arystommacha.

INNI.

Z tej strony Tubero się wdziera.

IRYDION, (wchodząc.)

Mylicie się ludzie moi. — Tubero przeżył już wszystkie dni swoje!

(Wstępuje na podstawę obelisku.)

Cóż to znaczy? topory, puklerze na ziemi — sami w nieładzie stoicie jakbyście nie wiedzieli co czynić. Bracia, raz ostatni wołam was do boju — a potem sen i wieczne milczenie!

(Chwila cichości.)

Cóż to znaczy? patrzycie ku mnie wzrokiem bojaźliwych — opuszczacie ramiona — przelatujące połyski błędą od bladejście lic waszych! do broni!

JEDEN Z ŻOŁNIERZY.

Wodzu! biłem się od mroku aż do zachodu słońca.

DRUGI.

Kto ostał się przy nas? jedni leżą bez ducha — drudzy konają w torturach — inni sobie poradzili lepiej — przeszli do Cezara!

INNI.

Patrz na rany nasze — ledwo ustać możemy.

INNY.

Arystommachus pół żelazca w piersiach mi załamał. Daj wody — wody trochę!

IRYDION.

Ognia, ognia tylko ci dać mogę!

WSZYSCY.

Ty okrutny — ty bezbożny!

IRYDION.

Diomedesie, tyś rodem z Koryntu. — Czy chcesz uniżyć się przed tymi, którzy Ojczyznę ci wydarli? I ty La-stenes, i ty Glaucus, i ty piękny Eutellu?

CHÓR GŁOSÓW.

Żle, źle nam — mdło i posępnie — co z naszych mąk umarłej ojczyźnie?

IRYDION.

Chwała, Bluźnierce!

CHÓR.

Życia, życia, nie chwały —
Chleba, chleba, nie chwały!

IRYDION.

Nędzni! słyszałem wasze przysięgi — widziałem wasze zbroczone oręża — byliście dzielnymi kiedyś! — Lecz teraz nad grobem przyszedł na was koniec wspólny ludziom — nie rozpacz — nie wściekłość — nie zaślepienie, ale hańba podłości!

CHÓR.

Cezar kochał cię niegdyś — podaj nas i siebie do łaski Cezara — czas jeszcze, o Irydionie!

IRYDION.

I wy myślicie żyć długo po przebaczeniu Romy? — Ja wiem że niesława nie skróci dni waszych — ale posła was na wygnanie, kędy piasek zeżre wam stopy, a słońce głowy na węgiel rozsypie; ale poić was będą trucizną na biesiadach świątecznych: ale oskarżać co dzień o nowe zbrodnie! — Kto wejdzie w służbę, tego krew zawczasu wrogom przedaną będzie. — Kto zostanie w mieście, ten skona budując teatry ludowi i wszyscy zginiecie jako na was przystało, podle niewolniki!

JEDEN Z ŻOŁNIERZY.

Co ty nam złorzeczysz. ty któryś nas zdradził?

DRUGI.

Obiecałeś zwycięstwo — dotrzymaj!

IRYDION.

Pilades! pchnij tego, który cię trzyma i idź dalej.

ŻOŁNIERZ.

Głowa twoja skazana!

DRUGI.

Bracia, zanieśmy ją Cezarowi.

IRYDION.

Odrzuciłem tarczę — mierzcie — ale zanadto drżą wam ręce byście trafili. — Ach! biedny mój Pilades!

PILADES.

Los twój gorzej mnie boli, synu Amfilocha.

(Pada trafiony i umiera.)

CHÓR.

Czy widzisz te orły złote, tę purpurę cesarską? czy słyszysz trąby Legionów?

IRYDION, (zeskakując z podstawy obelisku.)

Każdy z tych mieczów gardło jedno przetnie — ty nędzny, przejrzyj się w klindze Sigurda — ale ani kroku bliżej. — Zdrajco, nie garnij się pod żelazo Tuberona — precz mi z drogi! Ułóżcie ręce do prośby — kolana w bruk wgnieście — módlcie się do Rzymian!

(Przechodzi wśród nich i wstępuje na stos Elsinol.)

CHÓR.

Synu nieszczęścia, niech krew poległych płynie przed tobą — niech przekleństwa żyjących grzmiały za tobą na ciemnych brzegach Styxu!

IRYDION.

Ojcie, umieram syt goryczy i krótkich dni moich! Ojcie, ty nie przebaczysz podłym!

(Powstaje Masynissa obok stosu.)

I ty przybyłeś nareszcie — ustąp się, człowieku! To nie twoja godzina jeszcze — to moja! Tam idź, idź — tam Cezar ci przebaczy!

MASYNISSA.

Za mną synu!

IRYDION.

Nie znam ciebie.

MASYNISSA.

Strzegłem cię wśród walki — ale tyś mnie nie widział — wspierałem w rozpacz — ale tyś mnie nie widział. — Teraz przychodzę cię zbawić!

IRYDION.

Giń wraz ze mną, jeśliś cnotliwy!

MASYNISSA.

A jeśliś nieśmiertelny?

(Porywa go w objęcia.)

IRYDION.

Czemże jesteś!

MASYNISSA.

Bogiem!

(Zapada z nim.)

(Wchodzą Arystommachus, Alexander Severus, Ulpianus, Rzymskie Kohorty.)

ALEXANDER.

Gdzie syn Amfilocha — odpowiedzcie, buntownicy?

CHÓR.

Wstąpił na stos siostry i głos jego słyszany był raz jeszcze i zniknął — ale my broń złożyli, ale my błagamy ciebie!

INNI.

O boski Cezarze, my go chcieli wydać Tobie.

ALEXANDER.

Przebrała się litość moja.

CHÓR.

Bądź nam miłosierny — on jeden winny. — On nas omamił i zgubił!

ULPIANUS.

Vae victis! Zbliźcie się, Liktory!

Szczyt góry. — Rzym w mglistej oddali. — Z drugiej strony morze. — Masy-nissa. — Irydion oparty na jego ramieniu.

IRYDION.

O ty, którą kochałem dla mąk twoich, Hellado, Hel-lado! czy byłaś tylko cieniem? Chmuro miłości mojej, czy ty odchodzisz na wieki? Wróg twój jak wprzód stoi nie-wzruszony i marmury wyszczerza przed słońcem jak białe kły tygrysa! po co mnie być tutaj? gorączka pali głębie czoła mego — myśli toczą mi duszę jak robaki trupa!

(Zsuwa się na murawę.)

MASYNISSA.

Odśwież siły w mgle poranku — pij chłodne powietrze i światło.

IRYDION.

Jak ogniwo do ogniwa, do mojej dłoń twoją spiałeś i przywlokłeś mnie, ale człowiek raz tylko żyje — ten raz przyszedł dla mnie — ja skołałem wczoraj.

MASYNISSA.

Synu! zawód twój nie skończył się jeszcze!

IRYDION.

Nie dręcz mnie. — Ojciec mój umarł w twoich ramionach — siostra skołała w pałacu Cezarów. — Ja u stóp twoich dogorywam. — Czyż nie dosyć tobie?

(Podnosi się na wpół)

Niewinna, którą ci poświęciłem rozplynęła się w powietrzu na żalosne jęki — głos jej drga w uszach moich — krzyż jej widzę na błękitach! Ach! gdyby jej Bóg żył nad wszystkimi bogi — gdyby on był jedyną prawdą świata?

MASYNISSA.

Cóżbyś wtedy uczynił?

IRYDION.

Umierając z tem prysniętem żelazem w dłoniach wezwalbym jego!

MASYNISSA.

Ojcie, któryś jest w niebiesiech, daj długich dni Romie! przebacz tym którzy mnie zdradzili. — Zbaw tych, którzy po wszystkie czasy nekali rodzinną ziemię moją!

IRYDION.

Nie — „Ojcie, któryś jest w niebiesiech, ukochaj Heladę jak ja ją kochałem“. — Odpowiedz mi w ostatniej godzinie, Masynisso, ty który mnie zwiodłeś, ty któryś mi obiecał tyle, ty na którego łonie głowa moja w dzieciństwie zasypiała, ty który w tej chwili stoisz nademną jakbyś światu rozkazywał, o mów, patrz, mieszają się myśli Irydiona, prędzej, mów prędzej czy Chrystus jest panem nieba i ziemi?

MASYNISSA.

Sam wyrzekłeś!

IRYDION.

A więc świadczysz jemu?

MASYNISSA.

Jak wróg nieśmiertelny, nieśmiertelnemu wrogowi! Dzisiaj on władnie starem niebem i zgrzybiałą ziemią — ale są przestwory kędy imię jego zmazane, jako moje starte jest w niebiesiech. — Są światy nieskończonej młodości, pracujące w bolach i odmiecie, słońca bez blasku, przyszłe Bogi w okowach, morze nie nazwane dotąd, wezbrane wiecznie ku szczęśliwym brzegom! a on już ustał, już zasiadł na tronie i rzekł: „jestem“ i opuścił skronie!

Nie zaprzeczam go — widzę go — oczy moje, ranna jego blaskiem odwracają się ku ciemnościom, ku nadziejom moim. — Z nich będzie zwycięstwo! Wybieraj.

IRYDION.

Statek żelaznego cierpienia czerni się na czole twojem — ale wśród tych zmarszczków pokaż mi nadzieję — nie — nie — ty z toni wieków nie podniesiesz się nigdy. — Tyś zwiódł mnie i zgubił!

MASYNISSA.

Nie opuszczaj mnie, jak ciebie opuścili nikczemni.

(Porywa go z ziemi.)

Stań nad przepaścią — wejrzyj ku miastu nienawiści twojej! Czy wiesz kto je wyrwie z rąk braci twoich, kiedy według przepowiedni Grimhildy przyjdą rozorać Italię na bruzdy krwi i zagony popiołów? Czy wiesz kto zlatującą purpurę Cezarów podchwyci w powietrzu? Nazaareńczyk! — i w nim zdrada senatu, i w nim okrucieństwo ludu żyć będzie niestartą puścizną — włosy jego białe i serce nieubłagane jak u pierwszego z Katonów — mowa tylko czasem niewieścia i słodka — u stóp jego zdziecinnieją męże północy i on drugi raz ubóstwi Romę przed narodami świata!

IRYDION.

Ach! żądałem bez miary, pracowałem bez wytchnienia by niszczyć, tak jak inni żądają bez miary, pracują bez wytchnienia, by kochać i błogosławić przy zgonie temu co kochali za życia. — Ach! a teraz ty konającemu zwiastujesz nieśmiertelność Romy!

MASYNISSA.

Nie rozpaczaj — bo przyjdzie czas, w którym cień

krzyża spieką się wyda narodom i on darmo wyteży ramiona by raz jeszcze odchodzących przytulić do łona. — Jedni po drugich powstaną i rzekną: „Nie służymy więcej.“ — Wtedy u wszystkich bram miasta słyszane będą skargi i narzekania — wtedy geniusz Romy znów twarz zakryje i płacz jego nieskończonym będzie — bo na Forum same prochy zostaną — bo na Cyrku same gruzы tylko — bo na Kapitolu sama hańba tylko! — i przechadzać się będę po tych błoniach, wśród trzód dzikich i białych pasterzy, ostatnich mieszkańców Romy — i walka moja na ziemi zbliży się do końca!

IRYDION.

Znów serce mi bije. — Ach! dzień ten czy daleki jeszcze?

MASYNISSA.

Sam ledwo go przeczuwam!

IRYDION.

O Amfilochu! więc syn twój był tylko marzeniem — tylko cieniem odbitym od późnej przyszłości — i jak zawczesną igraszkę rozbiły go losy!

(Do Masynissy.)

Odejdź — ni tobie, ni Bogu żadnemu nie oddam duszy mojej; na tej skale patrząc w oczy Romy umrę jako yłem w samotności ducha!

MASYNISSA.

O synu, słuchaj mnie!

Bładość lic twoich odrzucę nazad śmierci. — Ognisko siły na nowo w sercu twojem rozpalę. — Dam ci niepamięć przeszłości — dam ci niewiedzę przyszłości!

IRYDION.

Precz odemnie!

MASYNISSA.

Dam ci żądz tysiąc i sił tysiące. — Umarłych piękności wskreszę ci kształty — każda nim się rozemdleje, spali się w twoich uściskach — i Helena Trojańska i Italska Venus i Ptolomeów córą.

W przejrzystej fali, w ognia promieniu, w czarnej, twardej ziemi, jeszcze będą tchnienia rozkoszy dla ciebie!

IRYDION.

Nie kuś mnie!

MASYNISSA.

W dalekich stronach wydzielę ci plemię, posłuszne w progach pałacu, dzikie w dniu bitwy. — Wśród czarów pochlebstwa ukochasz siebie, jako Helladę kochałeś. — Zgrozą króla i miłością króla upoję cię, synu! Aż przyjdę, aż znów mój znak położę na tobie i rzeknę: „Czas wrócić do walki“.

IRYDION.

Nie kuś mnie! albo rozłam w gruzy sklepienia, których kamień każdy przeklinałem. — Ha! jeśliś potężny, choć raz wynijdź w pole.

MASYNISSA.

Na dzisiaj próżna prośba twoja!

IRYDION.

A więc tobie na dzisiaj nie być panem moim!

MASYNISSA.

Słuchaj, słuchaj mnie jeszcze!

IRYDION.

Słaby geniuszu! w twoich skarbach nie ma nic dla Irydiona. — Umierając gardzę nim i tobą!

MASYNISSA.

A jeśli wieki zniszczę dla ciebie?

IRYDION.

Co?

MASYNISSA.

Jeśli cię wyrwę z pośród pędzących fal czasu i złożę na miękkim brzegu, uspię cię na łonie nicości i zapomnienia, aż do chwili w której te wieże rozrzucę i wbiję do ziemi. — Jeśli wtedy obudzę cię takim jakim dzisiaj jesteś?

IRYDION.

W Rzymie, po latach wielu?

MASYNISSA.

Tak, by dopełniła się jedyna żądza twoja, byś deptał ruiny i popioły!

IRYDION.

Ale nie kiedy płomienie wrzeć będą — nie kiedy bracia matki mojej zatrąbią w rogi swoje na siedmiu wzgórzach!

MASYNISSA.

Kiedyż więc?

IRYDION.

Kiedy na Forum będą prochy tylko!
 Kiedy na Cyrku będą kości tylko!
 Kiedy na Kapitolu będzie hańba tylko!

MASYNISSA.

Ale wtedy, synu.....

IRYDION.

Będę twoim — przysięgnij!

MASYNISSA.

Przyrzekam zachować twoje ciało. — Przyrzekam ducha twój usnąć i wskrzesić. Przez to co on przezwiał złem, przez jedyne dobro moje przyrzekam! Teraz daj rękę!

IRYDION.

Bierz tę nieszczęśliwą co napróżno walczyła!

MASYNISSA.

Wszystkie potęgi nocy zgromadzone nad tobą i otchłań, matka moja, słucha twojej przysięgi! wyrzekasz się wroga mego?

IRYDION.

Wyrzekam się. — Ach! jęk rozpacz przeleciał mi nad głową!

MASYNISSA.

Nie zważaj!

IRYDION.

Patrz! skała porysowała się w krzyże i czarne krople na nich. — Ach! patrz krople krwi się sączą.

MASYNISSA.

Nie zważaj, synu.

IRYDION.

Burza zrywa się nad morzem. — Ach! ach! ktoś woła na mnie — tam — daleko — coraz dalej — czy słyszysz?

MASYNISSA.

A teraz?

IRYDION.

Milczenie.

MASYNISSA.

Razem więc na wieki, bez końca, bez odpoczynku, bez nadziei, bez miłości, aż dopełni się wiekuista zemsta.

IRYDION.

Razem — bylebyś wprzód dopełnił smiertelnej!

MASYNISSA.

Stało się — za mną teraz!

IRYDION.

Gdzie?

MASYNISSA.

Do brzegów jeziora, do chłodu jaskini, pod liście, winne i bluszczane wieńce — kędy ni zorzy, ni gwiazd nie masz, ni głosów, ni bólu, ni marzeń. — Tam spoczywać będziesz aż wnijdziesz do królestwa mego!

IRYDION.

Idźmy — mnie Rzym, tobie duszę moją!

DOKONCZENIE.

O myśli moja, ty przetrwałaś wieki! Ty senną byłaś w dniu Alaryka i w dniu wielkiego Atylli — ni brzęk korony cesarskiej o twarde czoło Karla, ni Rienzi trybun ludu nie obudził ciebie! i święte pany Watykanu jeden po drugim przesunęli się przed tobą jak cienie przed cieniem! Ale dzisiaj ty powstaniesz, o myśli moja!

Dzisiaj w Kampanii rzymskiej słońce wrzało nad pustynią i pośępnie teraz u brzegów pustyni zachodzi. Nad piołunem piasków, nad sitowiem bagnisk, nad samotnemi sosnami wzgórz, nad cyprysami dolin, już kołują cienie. Gwiazda wieczorna, dawnych ludzi bogini, żałobnie się wznosi i z nią kilka łez rosy tu i owdzie pada. — Tylko na morzu jeszcze w krwawych połyskach gra kipiąca piana.

W powietrzu skwar i milczenie — chmury żadnej, żadnego powiewu, a głębie się wzruszyły i pełnemi bałwany, piersią purpurową jęknęły ku niebu. Ten który zamieszkał w otchłani, ten który obiecał, stanął na wirach fal i stopą czarniejszą od nocy gniótł niewolnice swoje.

Od jego postaci luna wzbija się jakby drugie słońce zaszło. — Od jego ramion stacza się mgła na dalekie wody. — On idzie samotny i jak przed wiekami z nieśmiertelną starością na czole.

A kiedy dosięgnął lądu, odetchnęło morze i w zmierzchu znękane usnęły bałwany. — On szedł dalej. — Górom Samnickim ślad swój zostawił na szczycie i zstąpił ku brzegom jeziora. — Tam w potędze jego czarów, o Synu zemsty! budzić się zaczęło życie twoje.

Waż co strzegł stóp twoich zadrgnął i zdał się przeczuwać powrót pana swego. — Wzmogło się światło łusk

bladawych — roztoczył sploty i na murawy łoża z nich spnęły się iskry. — Wspiął się w górę i czeka teraz jak gorejąca pochodnia, a w jej blaskach jaśnieją czarne glazy i piekło rysy twoje!

Z razu połysk czucia tłał ci na czole jak ognik nocny nad grobem — ale od progów jaskini głosy uroczyste witając cię po imieniu wznoszą pieśń życia twego i za każdym ich ustankiem jedną siłą zmartwychwstajesz więcej. — I dana ci siła lat zbiegłych od chwili zaśnięcia twego. — Gdyby dzieje dnia jednego, ujrzałeś wszystkie męki Rzymu i tryumfy Krzyża!

Wszystkie, wszystkie na około ciebie wrą ognistemi barwy i kopyt tententy i chrzęsty pancerzy i brzęki dzwonów i odgłosy hymnów przelatują nad tobą jak przeleciały nad snem twoim.

Umarłe Biskupy ciągną się długimi rzędy — przed każdym idzie król jeden i na plecach swoich roztwartą, świętą księgę niesie. — Na siedmiu wzgórzach z dołu w górę i z góry na dół ciągle jednym kołem idą i wracają. — Jednym anioły wieńce kołyszą w powietrzu — drudzy samotni z znakiem zbawienia w ręku, z mieczem wojny u boku i czarą trucizny w lewicy!

A im bliżej obudzenia twego, tem mniej orszaku, tem głuchsze stapania, tem bielsze głowy panów Rzymu i bardziej drżące ich dłonie. — Wtedy ponad wszystkie śpiewające głosy wzniósł się jeden pełen sił i rozkazów — głos który nie dochodzi niebios, ale któremu ziemia odgrzmiewa w wnętrznościach swoich i ten głos zawołał: „o Synu!”

Wtedy na szybach jeziora, na darni brzegów, na sklepieniu jaskini błysnęło i piorun powtórnego życia uderzył cię w łono, i jakoś był wtedy młody, i jakoś był piękny przed laty, powstałeś na łożu! i gorejące oczy twoje spotkały za pierwszym spojrzeniem bladą twarz Cyntyi na szczytach Łatyńskich — i odparłeś: „Jestem“ a on skinął dłonią i prowadzi ciebie. — Stapań nie powtarzają echa —

jedno po czarnych wąwozach jak dwie czarne chmury żeglują wasze postacie.

Stałeś w Kampanii rzymskiej. — Przed twoim wzrokiem ona nie ma czem zakryć hańby swojej — gwiazdy migają jak tysiąc złotych wspomnień i uragań. — Czarne wodociągi idąc ku miastu, nie znachodząc miasta, stały — opadłe z nich głazy leżą pogrzebnymi stosy — tam powój się rozwlekl przysypan kurzawą — tam radzą ptaki nocne i jęczą!

Pojrzał syn wieków i uradował się w sprawiedliwości zemsty swojej. — Każda ruina była mu nagrodą: i niziny wdowy amfiteatrów i wzgórza świątyń sieroty — z lekkich stóp swoich otrząsał proch i perzynę tam gdzie cyrk Karakalli, tam gdzie Mausoleum Cecylii, żony Krassusa. — I ulicą grobów starodawnych wiódł go straszny przewodnik do bram Rzymu. One same się roztworzą — nie słychać zgrzytnienia zawiasów. — Weszli. — Straże nagle usnęły, oparte na broniach. Oni przeszli jak cienie!

I wśród długich, samotnych kaplic, ciasna im droga się wije.

O nocy jedyna, ostatnia! o nocy miłości mojej, coś słonecznego w twoich blaskach jaśnieje — nad każdą ruiną zasłone cieniów rozdierasz — i truchlejącą, nagą, wydajesz wrogowi. Twój księżyc nędzne domy i nędznych, rzadkich mieszkańców, wytyka szyderstwa promieniem!

W kruzganku Bazyliki stoi dwóch starców w purpurowych płaszczach. — Żegnają ich zakonnicy imieniem książąt kościoła i ojców — na ich twarzach wyryte ubóstwo myśli — wsiedli do powozu — czarne schorzone konie ich ciągną — i z tyłu sługa z latarnią, jaką trzyma wdowa nad dzieckiem konającym z głodu — i na ramach u okien i na listwach u dołu, ostatek pozłoty! Minęły zwolna jęczące koła, siwe głowy wychylone zniknęły. „To następcy Cezarów, to rydwan kapitolinśkiej Fortuny“ rzekł przewodnik a syn Grecyi pojrzał i klasnął w dłonie.

A teraz stromą pochyłością, sadzonemi schody wstąpili na puste dziedzińce — pośrodku posąg Aureliusza na koniu z wyciągniętą dłonią w próżniach powietrza. — Cezar bez poddanych. — Tryumfator bez pieśni — a z tyłu czarne tło murów Kapitolu!

Obok skały Tarpejskiej, ułamkiem miecza wracający na ziemię po latach tyłu zostawił znak swój na czole najlepszego z Cezarów — i dźwięk greckiego żelaza o spiż rzymski rozległ się jak dzwonu uderzenie pogrzebne, ostatnie! i z nad szczytów zamku odparł żałosny krzyk sowy i z odległych ulic odparło skowyczenie psa błądzącego po innych ruinach!

A przez *via sacra*, przez drogę zwycięstw, stopniami ze żwiru i błota zeszedli ku Forum. — Łuk Septyma Sewera aż po piersi, i świątyń ostatnie kolumny aż po szyję zakopane w ziemię, wystają jak głowy potępieńców. — Inne nie tak zagrzęzły, stoją wysoko, samotnie, wysmukłością szkieletów.

Ich kapitele, kwiaty, ich liście akantu, co tak białe, tak nieznośnie tobie świeciły przed wiekami, dziś jak zbrudzone włosy na czole włóczęgi, dziś na pół pęknięte marmury ich kibici rozlatują się w proch jak fontanna w krople. I nie mogłeś nic poznać, nie nazwać w godzinę tryumfu twego!

Tam pod resztą portyku dwóch nędzarzy spi pod łachmanami płaszcz jednego — w księżycowej bladości ich twarze jak dwa glazy grobowe — jaszczurki ślizgają wśród ich ramion splecionych — a teraz jak liście jesienne przed wiatrem, uciekły przed tobą.

Powitałeś ostatki ludu rzymskiego na Forum — przechodząc trąciłeś ich nogą — oni się nie przebudzili!

Przewodnik wskazał ku ulicy drzew zgrzybiałych. Tam cień Palatynu leżał na ziemi, tam Bogów poćwiertowane ciała się walały i bohaterów rozpadłe piersi z jaspisu, z porfiru. — Tam bramą Tytusa pękniętą, zlepioną jak ogromna rana, przeszli znów na jasne miejsca puste i stro-

skane. — Tu wydało się temu który zmartwychwstał, że Kolizeum dotąd stoi cało, ale starzec głośniej jeszcze się rozśmiał — i wziął go za rękę.

Na milczącej Arenie, na piasku srebrnym, wśród arkad przemienionych w dzikie skały, z bluszczami u wierzchołków, z szczelinami w łonie, tyś podziękował losom za spłodoną Romę.

Tu miał być koniec pielgrzymki twojej — ztąd miałeś pójść kędy miliony.

I wszystko coś widział niegdyś, wszystko czego częścią bywałeś, wróciło ci na pamięć — tam był tron Cezarów. — Ozwały się w myśli twojej trąby, piszczałki, poklaski, przekleństwa. — Słońca tylko nie ma, nie ma purpurowej obłony co powijała na wierzchołkach cyrku. — Księżyc blade świeci nad tłumem wskrzeszonych, przechodzących, niknących.

Z nich wszystkich został się głos Hymnu słyszanego niegdyś. — To niegdyś, było wczoraj. — Tu, wczoraj skończyli Nazareńczycy. — Ich twarze były pogodne jak wieczór letni — i otoż na miejscu na którym padli, krzyż czarny stoi dzisiaj, drewniany, cichy, na środku Areny — od jego spokojnych cieniów odwrócił przewodnik ponure oblicze.

Ale w tobie dziwne uczucie się budzi — nie litość nad Romą — bo jej żaloba ledwo za jej zbrodnie staje — nie strach obranego losu — ty zanadto cierpiełeś byś mógł się lękać — nie żal matki ziemi — boś miłości życia wśród snu wiekuistego zapomniał — ale jakieś wspomnienie twarzy dziewiczej, jakiś smutek nad tym krzyżem, którym dawniej pogardziłeś, boś go daremnie chciał zaostrzyć w żelazca!

Ale teraz zdało ci się, że walki z nim nie chcesz — i zdało ci się że on znużony jako ty — oplakany jak losy Hellady niegdyś — i zdało ci się w promieniach księżyca, że on świętym na zawsze!

Jednak nie uchylisz się od przyrzeczonej wiary — wstaniesz i pójdziesz ku starcowi pustyni. — On się wzdygnął, on przeniknął duszę twoją — i kołem ramion ogromnych, posepnych, otaczając ciebie, odrywa cię krok za krokiem od zbawienia znaku. — Ty stąpasz za nim zwolna jak ojciec twój w dniu śmierci!

I piękny, gibki, z tuniką czarną, z koturnem Argijskim stanąłeś, i ku niebu wyteżając ręce, byłeś wśród gruzów jako dźwięk szybki, ogromny, co połączy tysiąc innych zblakanych. — Koryneckich festonów szczątki westchnęły za tobą!

„Synu! czas! wypileś napój, który ci wieki sęczyły do czary, i kropli nie zostało. — Synu! czas! zorza niedaleka — nam ubiedz długą drogę trzeba.“

Jęki słyhać z pod ziemi, tam męczenników dosypiają koście — jęki słyhać w powietrzu — tam ulatują duchy Chrystusa — ale od szczytów amfiteatru po nad te dźwięki żałobne, zabrzmiał głos pełen chwały!

Tam postać bieleje przejrzystą jasnością — tam zebrały się wszystkie miłości księżycy i jak wstęgi powiewne to skupiają się, to rozpuszczają się w promienie około anielskich, cichych, zawartych skrzydeł dwojga!

Ty ku temu słodkiemu lieu podniosłeś oczy — poznałeś dawne kształty ale wyświeżone rosą, wyjaśnione techniem niebios i spoglądałeś na nie jak ten, co się żegna z pięknością na wieki!

Głos wzywał starca na powrót przed stopnie krzyża, na sąd nierozstrzygniony jeszcze. — On pod hymnem anioła opuścił śniade skronie i wrócił od bram Cyrku. — Zgrzytał i rwał ci ręce, i wołał: „Potępiony, potępiony, kto mi wydrze jego?“

Tu u stóp męki Pańskiej, kiedy do zorzy blisko już było, kiedy miesiąc zapadł niżej Amfiteatru, kiedy cała Arena świetniała polyskami bijącemi od skrzydeł, brzmiała

muzyką niewidzialnego chóru, zaczął się spór ostatni, wyroczny w około twojej poświęconej głowy!

A ty powyżej kusiciela, poniżej anioła, stoisz na stopniach krzyża — twogi nie ma na czole twojem, ni modlitwy na ustach — jesteś jako byłeś zawsze, samotny na świecie!

On, wparłszy stopy w kipiący piasek, głowę schyliwszy na spalone piersi, dopomina się o prawa swoje. „Wrogu nieśmiertelny! on moim, on żył w zemście, on nienawidził Romy.“ Lecz Anioł rozwiązując tęczę skrzydeł, potrząsając złocistymi puklami „O Panie! on jest moim, bo on kochał Grecyą.“

I od walki potęg zamgliło się powietrze — uczuleś powtórne konanie. — Życie twoje stało się całe oczekiwaniem i rozdarcie — ogień piekieł palił ci stopy, blaski niebieskie raziły ci oczy — tłumy rwały cię na dół i drugie tłumy ciągnęły cię w górę — wtedy nadzieja boska wszczęła się w sercu twojem i zemdląca i znów się obudziła jak iskra i znów zagasła i stało się czarno — pusto — głucho jak w nicości — boleśno — gorzko — nieznośnie jak w rozpacz — i słabo — nizeziemnie jak w hańbie.

O godzino przeznaczona każdemu z żyjących, oddal się od myśli mojej!

Ojciec niebieski! ty raz tylko jeden w wieczności, raz syna własnego opuściłeś, by odtąd już nieopuszczać żadnego z dzieci twoich — nie — żadne dzieło twoje nie pójdzie w rozsypkę na wieki!

Powstań, o synu Grecyi — patrz! wróg dłońmi zakrył lica i gmach starożytnych ludzi wstrząsł się od próżnych jego wysileń — w mgle zarannej coraz posępniej mdleją kształty jego. — On kona głowę oparłszy o bramy Cyrku — głos jego już teraz jak szum wód dalekich. Świadectwem Kornelii, modlitwą Kornelii ty zbawion jesteś, boś ty kochał Grecyą!

Powstań! czy słyszysz ten głos co zagrzemiał nad milczeniem wszystkich duchów? O pierwszych połyskach świtu on to zleciał jak piorun i woń wszystkich kwiatów dolin podniosła się ku niemu:

„Idź na północ w imieniu Chrystusa — idź i nie zatrzymuj się, aż staniesz na ziemi mogił i krzyżów — poznasz ją po milczeniu mężów i po smutku drobnych dzieci — po zgorzałych chatach ubogiego i po zniszczonych pałacach wygnańców — poznasz ją po jękach aniołów moich przelatujących w nocy“.

„Idź i zamieszkuj wśród braci których ci daję — tam powtórna próba twoja — po drugi raz miłość twoją ujrzysz przebitą, konającą, a sam nie będziesz mógł skonać — i męki tysięcy wciela się w jedno serce twoje!“

„Idź i ufaj imieniu mojemu — nie prosz o chwałę twoją, ale o dobro tych których ci powierzam — bądź spokojny na dumę i ucisk i natrząsanie się niesprawiedliwych — oni przeminą ale ty i słowo moje nie przeminiecie!“

„A po długim męczeństwie, zorzę rozwiode nad wami — udam was czem aniołów moich obdarzyłem przed wiekami — szczęściem — i tem, co obiecałem ludziom na szczycie Golgoty — wolnością!“

„Idź i czyn, choć serce twoje wyschnie w piersiach twoich — choć zwątpisz o braci twojej — choćbyś miał o mnie samym rozpaczać — czyn ciągle i bez wytchnienia, a przeżyjesz marnych, szczęśliwych i świetnych, a zmartwychwstaniesz nie ze snu jako wprzód było, ale z pracy wieków — i staniesz się wolnym Synem Niebios!“

I weszło słońce nad ostatkami Romy — i nie było komu powiedzieć gdzie się podziały ślady myśli mojej — ale ja wiem że ona trwa i że ona żyje!

K O N I E C.

PRZYPISKI DO WSTĘPU.

Strona 3, wiersz 1. *Już się ma pod koniec starożytnemu światu.*

Niniejsza powieść pomyślana jest w trzecim wieku po Chrystusie. — Stan państwa rzymskiego w tych latach był stanem konania — rozwiązywania się — dezorganizacyi. — Wszystko co niegdyś było życiem jego, co sprawiało ruch jego postępowy i byt, teraz wracało w nicość, słowem, umierało — przetwarzano się. Trzy systemata stały obok siebie. Pogaństwo już bez życia, ale uzupełnione w Rzymie wszystkimi religiami przybyłymi ze wschodu — jakby ciało we wszystkich częściach swoich, pysznie ubrane, leżące na marach. Chrześcijaństwo dotąd bez ciała prawie, bez kształtu, prześladowane, rosnące między ludem, wyzywające wszystkie wiary symboliczne przeszłości do walki, z filozoficznymi zaś, to ucierające się, to godzące na przemian — podobne do ducha potężnego w pracy wcielenia się swego; — i barbarzyństwo rozmaite, dzikie, ruchome jak morze wśród burzy, mające także swoje myty ale po większej części niepamiętne ich na łonie Rzymu, żyjące od dnia do dnia w legiach rzymskich, buntujące się przeciwko Rzymianom w północnych prowincjach, gwałtem jednak zewsząd cisnące się ku Włochom, czy zbrojną ręką, czy jako zaciężne żołnierstwo, pełne jakiegś niespokojności na wzór atomów kiedy się zrosnąć i skupić mają, ale bez pocucia się, bez wiedzy żadnej, bez *conscientia sui*, ślepe, straszne jak siły natury. Była to materja już wrząca, już gotowa stać się kształtem, przylgnąć jak ciało do ducha przechadzającego się w katakombach — do Chrześcijaństwa! Milezenie które poprzedziło tę wielką burzę w której Rzym zniknął i przetworzył się na Europę chrześcijańską, były to ostatnie biesiady Cezarów — była to nędza nieopisana ludu i niewolników we wszystkich częściach państwa. W rzeczy samej, zbytki materialne i nędze mate-

ryalne, są zawsze wielkiem milezeniem ducha, czy indywidualów, czy narodów — jest to życie zwierzęce na najwyższym lub najniższym szczeblu swoim — a życie moralne zda się odpoczywać tymczasem, by powstać i zagrzmieć — zresztą świat starożytny był raczej światem liczb i kształtów niż wolnych ruchów ducha — dla tego musiał konając konwulsyjnie, ogromnie się tarzać w materji swojej — nasz, zbytkuje duchownie raczej.

Strona 3, wiersz 5. *Fatum jedno spokojne, Rozum nieubłagany świata.*

Fatum u Rzymian, *ἀνάγκη* u Greków, według Hesioda, syn Nocy i Chaosu, znaczyło przeznaczenie, konieczność wyższą od wszystkich bogów i duchów czy niebieskich czy piekielnych; wystawiali go pod postacią starca gniotącego nogami ziemię a trzymającego w dłoniach urnę w której spały losy śmiertelnych — najczęściej jednak w sensie idealnym pojmowany, znaczył jedność boską, ostatnią przyczynę, matematykę, universe, której nie oprzeć się nie mogło.

Strona 4, wiersz 8. *Motłoch i Cezar, oto Rzym cały.*

Pod Cezarami ułożyła się równość wszystkich poddanych — przed Cezarem; — przyjęte zostały do prawa obywatelstwa tak skąpo rozdawanego przez patrycyuszów, wszystkie prowincye państwa. — Większa część Cezarów pochodziła z prowincyi. — Trajan był Hiszpanem, Helio-gabal Syryjczykiem, Maxymin Gotem, i t. d. Rzym, którego myślą było ujarzmić świat a samemu zostać na boku, tak jak Bóg po stworzeniu świata, musiał koniecznością okoliczności otworzyć bramy swoje ludom północy i południa. Egoizm jego nie mógł się utrzymać zawsze w tej samej, odległej, samotnej postawie — nie rozlał on swojej indywidualności, ale ci których podbił rozdarli ją stopniami — każdy przyszedł upomnieć się o jej część: — sztuki Greków, filozofia grecka, pierwsze wcisnęły się do miasta — nauczyły miasto — wyosobniły w nim część duchowną sobie. Tem samem zgubiły je — bo wielki egoizm materialny dopóty silny, dopóki zupełnie jest materialnym. Ducha w nim obudzić, a zgubić go, to jedno — bo naturą ducha

jest dążenie zewnątrz, jest siła rozlewania się — wcześniej czy później od jego usiłowań pęknąć musi skupienie materialne. Dalej wschodnie podania, myty, obrzędy i czary przybyły do Rzymu. — One w gminie to samo sprawiły, co filozofia grecka w Senacie i patrycyuszach. — One symbol egoistyczny wiecznego Kapitolu rozerwały — później okazały się dotykalnie skutki widome tych przyczyn niewiomych, moralnych. Rzym stał się Grecyą, Egiptem, Azją Mniejszą, a nie Grecyą, Egipt, Azja Mniejsza stały się Rzymem. Barbarzyńcy zasiedli w senacie rzymskim — pomieszały się wszystkie wiary i prawa w tej *collurio nationum*, w tym składzie dezorganizującym się, upadły wszystkie dawne porządki i podania rzymskie. Arystokracja zupełnie wyginęła, to przez zawiść Cezarów, to przez wyczerpnięcie sił żywotnych. Cezar, konfiskując jej dobra lub biorąc zapisy, stał się jej dziedzicem — również zgromadził w sobie wszystkie prawa Kapłanów i ludu — co mógł zniszczyć na swoją korzyść, zniszczył. Siły zniszczonych zebrał w sobie. Jednej tylko rzeczy, jednej jednostki nie mógł zniszczyć — to jest ludu któremu panował. Został się więc sam na sam z nim — a że w tej drugiej połowie państwa była siła materialna, siła prosto bytu, musiał jej nieraz ulegać, podchlebiać jej darami, igrzyskami i t. d. Lecz prócz niego i ludu nie już nie było w Rzymie.

Strona 4, wiersz 21. *Czy gdzie nie spotka Odyna, Boga
ludów swoich.*

Ze względu religii rozróżnić można plemiona Germańskie na dwa wielkie oddziały. Germania, o której Tacyt mówi, a w której górują Suevy (Hermiones), ma religię natury, czei żywioły, drzewa, krynice. Bogini Hertha (*Erde*, ziemia) każdego roku na wozie przesłoniętym, powstaje z gajów dalekich od wysp północnego morza. Rozmaite zapewne były u rozmaitych hord miejscowości, obrzędy, ale ogólnie biorąc, ich wiary jeszcze były bardzo pomieszane, niepewne. Na tem tle bladawem mocne wycisnęły się barwy przez napad hord dalej ku północy mieszkających, Rzymianom nie znanych. W tych hordach wszczął się już był ruch postępowy, bohaterski, objawienie jakieś religijne. Temu objawieniu na imię było Odyń od Islandyi,

gdzie później jego religia najdzielniej i najobficiej się rozwinęła, do brzegów Renu opanował umysły ludów. Gothy, Saxony, Gepidy, Lombardy, Burgundy były to Odyńskie pokolenia wierzące w wcielenie się Odyna, w pewne, opisane obrzędy, w nieśmiertelność za grobem, w nadgrody w pałacu Odyna w Walhalli, w jakieś miasto Asgard, święte na ziemi, z kąd wyszli ich ojcowie, a do którego wrócić mieli wcześniej czy później — z tego kształtu nadanego ich wiarom, z tych mytów już opisanych wyszła ich siła popędowa. Oni to poruszyli plemie Germańskie leżące martwo w niższej Germanii. Oni to ze Skandynawii zeszli po nad brzegi Bałtyku, spuścili się ku Dunajowi i przebiegli całe Niemcy ocierając się wszędzie o granice Cesarstwa. Z ich runięcia od północy wszczął się chaos w Germanii, który później cały na Włochy się zwałił — u Gothów później Odyn przybrał imię Wodana. Saxony jeszcze przez czas jakiś nieporuszonymi zostali na brzegach morza niemieckiego. Myty odyńskie w krótkości są następujące:

Przedewszystkiem był olbrzym Imer. Tego zabił Odyn wraz z braćmi swymi Vile i Ve — z czaszki zabitego powstały niebiosy, z jego ciała ziemia, morze z krwi jego. Inny olbrzym Norw, był ojcem Noey. Noc porodziła Dzień. Oboje nieustannie na niebie na dwóch wozach kołują. Hrim — fax (zmarzła grzywa) koniem nocy. Skin — fan (grzywa światłana) koniem dnia. Most wielki wiedzie od ziemi do nieba — z trzech barw złożony, a na imię mu tęcza — przerwie się on kiedyś, kiedy złe duchy po zwycięstwie nad Bogami, przechodząc nim będą. Świat ma skończyć pożarem. W ostatniej walce świata złe duchy zwyciężą.

Odyn jest Bogiem nad wszystkimi innymi. Dają mu imię Alfader, ojca wszystkiego, ojca bitew. Zowią go jeszcze Hor, Janfchar i Thridi (wyższy, równy wyższemu i Trzeci — Trójca), on poległych bohaterów bierze do swego pałacu w niebiesiech, do Walhalli, pięćset czterdziestoma bramami tam wchodzi. Na ramionach Odyna siedzą dwa kruki — jeden zowie się Hugin (rozum) drugi Munin (pamięć) — przez nich wie co się dzieje w przestrzeniach. Synem Odyna jest Bóg Thor, Bóg wojny, z młotem w ręku.

Młot stał się u tych plemion symbolem zdobycia. Boginie dziewice wojny zowią się Walkiryjes. Jest ich dwanaście — a najpotężniejsza Frygga. Loke jest Bogiem złudzeń i złego. Bogi niebios okuły w kajdany syna jego wilka Feuris — w tym Loke skandynawskim jest jakby przeczucie Mefistofelesa. Wodzowie pochodzący od Bogów, szlachta wiodąca do bitew zwana u Gothów Amali i Balty. Saxoni dłużej pozostali spokojnymi — dopiero kiedy z jednej strony Franki, z drugiej przyparli ich Słowianie, ułożyli się w horde wojenną oddawna już przemagającą w składzie Gothów i rzucili się na Anglię. Gothy zaś, Lombardy, Burgundy zaraz poddali się wodzom; u nich to rozwinęło się przywiązanie żołnierskie, słowo niezłomne żołnierskie, początek feudalnego składu. Oni to pierwsi rzucili się na dalekie błędy, goniąc za złotem i niewiastą. To wszędzie było ich bohaterskim celem — ztąd później wyrosła poetyczna postać Sigurda w poemacie Nibelungów — w niej zarazem połączone rada i waleczność, to co rozdzielonem było w mytach greckich: Achilles i Ulisses. Z tego więc pierwiastkowego objawienia się formy religijnej w Skandynawii wyszedł ruch i życie. Ruch gwałtowny, dzikie życie jak źródło z którego wypływało. Nieopisaną jest ponurość podań Skandynawskich. Jedyną w nich moralnością jest chwała obiecana za odwagę. W Walhalli biesiadują bohaterzy i wśród biesiad te szkielety zbrojne wstają i walki przeszłe odnawiają między sobą. We wszystkich mytach odyńskich przebija wpływ natury północnej — znać w nich jakby brak nadziei, jakby rozpacz wieczną połączoną z dzikiem, bohaterskim męstwem, idącym zawsze naprzód, nie dbającym o to, że koniec będzie straszny i fatalny. Myśl że świat skończy nieszczęśliwie, że na końcu wieków złe duchy przemogą, kołuje jak zorza północna, krwawa, nad tą całą mitologią — w jej blaskach biją się do upadłego wojownicy na ziemi i goniąc wszędzie za niebezpieczeństwem, nie przepuszczając ni sobie ni wrogom, szukają zapomnienia — żyją tak gwałtownie zewnątrz by nie myśleć wewnątrz! Taka myśl matka, takie przeczucie zniszczenia wszystkiego, musiało wcielać się w zniszczenie szczegółowe — musiało z tych ludzi utworzyć Alaryków, Genseryków, Attylów. Jako chrześcijaństwo w swoim naj-

głębszym początku jest duchem postępowym miłości, tworzenia, spajania, tak myty barbarzyńskie, północne, były siłą postępową niszczenia, rozprzegania. Ale kiedy chrześcijaństwo postawiło się w środku tego koła zdarzeń i plemion, działać na nie zaczęło atrakcyjnie, i zdarzenia i plemiona północne przetworzyły się na okrąg porządný, zamknięty — po dopełnieniu klęski, po ukaraniu Rzymu, ta materya rozerwana, ciężąca wszędzie śmiertelnie, ożywiła się i stała się. Chaos powoli zaczął przechodzić w organizm — miłość ducha zwyciężyła opór materyi. Nasza powieść dzieje się jeszcze przed poczęciem się chaosu i tworzenia. Irydion jest tylko przeczuciem chaosu a zatem i życia — bo chaos na to zdał się tylko, by stało się życie.

Strona 5, wiersz 12. *Morituri te salutant, Caesar....*

Formuła którą przechodzący zapaśnicy przed rozpoczęciem igrzysk witali Cezara. „Mający zginąć witają Cezara.”

Strona 5, wiersz 14. *Na Palatynie, na wzgórzu ruin i kwiatów.*

Na wzgórzu palatyńskim stał pałac Cezarów — dziś ostatki pałacu Farnezów na głębszych jeszcze gruzach pałacu Cezarów.

Strona 5, wiersz 22. *Wzlatywały z katakomb.*

Katakomby, przestronne lochy wydrążone pod całym Rzymem i częścią kampanii rzymskiej, dochodzące nawet jak twierdzą aż do morza, pierwszych Rzymian cmentarze dla chowania ubogich i niewolników, których nie stać było na stos; później schronienie chrześcian podczas prześladowania; dziś w niektórych miejscach jeszcze całe, dostępne, po większej części zaś zasypane, składające się z mnóstwa niskich i ciasnych manowców, czasem rozprzestrzeniających się w kwadratowe lub okrągłe ciemnice. Ściany zaś zasute nadgrobkami męczenników. Dotąd kości męczenników z nich wykopują.

Strona 6, wiersz 26. *W Chersonesie Cymbrów.*

Rzymianie tak nazywali półwysep Jutlandzki, i wszyst-

kie plemiona Skandynawskie nazywali ogólnem imieniem Cymbrów.

Strona 6, wiersz 26. *W ziemi srebrnej potoków...*

Sami barbarzyńcy tak nazywali Chersones od białości śniegów i potoków tam płynących.

Strona 6, wiersz 27. *Brat za brat z królami morza.*

U Anglów, Saxonów, Nord-Manów, u wszystkich Skandynawów wodzowie nazywali się królami morza. Ich życiem były ciągle rozboje morskie.

Strona 12, wiersz 13. *Błota meockie (palus maeotis).*

Azowskie morze.

PRZYPISKI DO CZĘŚCI PIERWSZEJ.

Str. 16, w. 10. *A tymczasem w Gineceum.*

U Greków kobiety jeszcze nie były doszły europejskiej wolności, coś jeszcze wschodniego zostało w sposobie ich życia i Greczynki wychowywały się w haremach zwanych Gineceum od słowa *γυναικός* (kobieta) i nie wychodziły zamtąd przed zameżciem.

Str. 16, w. 14. *Murzynny Heliogabala.*

Tak przezwany został syn Scemidy i Variusza Marcella, Varius Bassianus od Boga Halgah-Baal czyli Mitry, którego Arcykapłanem był w Emezie nim został Cesarzem rzymskim. Dzieje Heliogabala są najmocniejszym dowodem, najwyraźniejszym symbolem zgrzybiałości ówczesnego świata; w piętnastym roku życia wstąpił na tron, w ósmnastym zaś zginął zamordowany przez pretoryanów; a w tym znikomym przeciągu czasu zużył wszystkie rozkosze jakie potęga przynieść może.

On nigdy nie był młodym. Imię jego, starość uosobiona. Zdawałoby się jakoby przeszłość działalności, przeszłość czynnego Rzymu zostawiła w nim próżnię, której nieczem zapłacić nie mógł. Dwa znamiona jego charakteru są: Nuda i Lubieżność, to samo zupełnie co starców cechuje. — Nuda albowiem jest męka pochodząca z uczucia

wiecznej próżni i z daremnej żądzy jej odsunięcia. Lubieżność zaś jest pracą wyobraźni na wynalezienie czegoś, coby rozbudzić mogło martwe zmysły. Namiętność jest zawsze silną, prostą, jest to synteza, jest to poezya ciała. Lubieżność przeciwnie jest wymyślną, rozkładającą się na tysiąc szczegółów, jest raczej prozą, analizą. Heliogabal nie dogadzał swoim namiętnościom bo ich nie miał, on miał tylko żądzę ich mienia, on szukał w całej naturze, w całym państwie swoim, w całym sobie tylko podniety, iskry coby zapaliła jakiekolwiek ognisko w jego piersiach, na tym trudzie nieszczęśliwym przeszło mu życie, dla tego wszystko co czynił było kaprysem. Taki skład niepojęty byłby w człowieku młodym, gdyby na nim nie ciążyła już fatalna starość świata, w którym się urodził. Heliogabal był starcem przez świat otaczający a był młodym przez siebie, ztąd wieczna sprzeczność, niemoc i żądza.

Ten starzec, ta jednostka spróchniała i zmagająca się sama z sobą, to dziecko zgrzybiałe wychowało się w Syrii, w kraju czarodziejskich mytów i pochłaniającego klimatu. Babka jego Moesa była siostrą Julii, żony Septymiusza Severa — po śmierci tego Cesarza cała familia jego żony odsunięta od potęgi, poszła na wygnanie do ojczystego kraju, do Syrii. — Moesa miała dwie córki, Scemidę i Mammę matkę Alexyana, sławnego później pod imieniem Alexandra Severa. Heliogabal, przed cztertnastym rokiem życia jeszcze, został Arcykapłanem w świątyni Emezkiej. — Czczono w niej wielkiego boga Halgah-Baal, czyli Mitrę, boga Chaldejskiego, w którym zeszyły się wszystkie podania wschodnie i Egipskie. — Był to symbol słońca uważanego za boga, czystego, najwyższego, jedyne, że tak powiem, oderwanego. — Dla tego też nie miał posagu żadnego, tylko kamień czarny, ostro-kręgowego kształtu był jego symbolem. — W tej samej świątyni inne były bogi — Baal-Fegor, czyli słońce już zmateryalizowane, jako siła obudzająca vegetacyę; — Gad-Baal, czyli słońce jeszcze bardziej ucieleśnione, ogłaszające wyrocznie, Phoebus-Apollo-Astarte. Baalis, wielka Bogini, żona Halgah-Baala. czyli księżyc oświecony słońcem, natura ożywiona przez słońce. — Baalis-Benoth czyli Venera i Baalis-Dercoto czyli Afrodyte grecka, obie wyrażające naturę już uczło-

wieczoną, niewiastę. — Obchodzono w świątyni śmierć i zmartwychwstanie Adonisa czyli symbol natury opuszczonej w zimie od słońca i znów przezeń na wiosnę ożywionej. — Cała Azya słała dary do tej świątyni. — Z nadludzkim przepychem odbywały się jej obrzędy, i z zwierzęcą sprośnością zarazem. — Tam rozwinęły się nasamprzód myśli Heliogabala — tam wola jego wolna i siła wszelka, zabitemi zostały u wstępu do życia, przez sceny fantastyczne, dalekie od rzeczywistości świata, przez wpływ rozwiązłego, zachwycającego klimatu — podług wszystkich podań był on niezrównanej piękności. — Biegały wieści pomiędzy ludem, że matka jego niegdyś była kochanką cesarza Karakalli, że on synem Karakalli, którego pamięć ubóstwiali żołnierze legionów. — Makryn, prefekt pretorium po zamordowaniu Karakalli, panował podówczas Rzymowi i światu, — ale jego rządy słabemi były. — Legia przechodząca przez Emezę, ujrzała młodego Heliogabala. — Piękność jego i pamięć ojca wzruszyły Legionistów — do tego przydać należy wszystkie przebiegi i starania się Moesy, nie mogącej zapomnieć, że niegdyś siostra jej była pierwszą w Rzymie. — Ona to w nocy przyprowadziła Heliogabala i Scemidę ze świątyni do obozu Legii. — Tam syn Karakalli ogłoszony Cezarem. — Ulpius Julianus posłany przez Makryna, zbity na głowę — w tej bitwie Heliogabal pierwszy i ostatni raz w życiu pokazał się odważnym. — Makryn sam uciekając, dowiedziawszy się o zabiciu syna, zeskoczył z wozu i ramię złamał — głowę mu ucięli, zanieśli ją Heliogabalowi. — Odtąd poczynają się dni jego panowania, czyli ciągle marzenie, jakby się nie nudzić.

I żeby się nie nudzić, Halgah-Baala sprowadził do Rzymu — do jego świątyni kazał zanieść wszystkich innych Bogów, bohaterów, palladium trojańskie, Vestę i puklerze Numy — z nich porobił służalców, urzędników, prokonsulów i nałożnice bogowi swemu — potem szukał mu żony. — Palladę Ateńską dał mu zrazu, potem ją rozwiódł i z Kartagi Venerę sprowadził — ta została.

I żeby się nie nudzić, jeździł wozami z Sycylii, trzymał fletniarzy z Egium, kucharzy z Elidy, piekarzy z Aten; kobiercami libijskimi zaścielał posadzki, kadził woniami

z Syrii, posyłał po gołębie do Cypru, po perły do Lidyi, po konie do wyspy Melos, po ostrygi do przylądka Pulos, po ryby do Hellespontu, po raki do Minturnu, po gruszki do Eubei, po śliwki do Damaszku, po winograd do Rhodu, po pomarańcze do Persyi, po cedraty do Palmiry, po granady do Antyochii, po daktyle do Fenicyi, po migdały do Naxos, po wino z Tasos woniejące jabłkami, i po wino z Sapias rozlane wonią fijołków, róż i hyacyntów.

I żeby się nie nudzić, zaprzęgał do wozu swego wielbłądy, lwy, słonie — nosił długą szatę medyjską zamiast krótkiej rzymskiej tuniki, z wielkiem zgorszeniem Rzymian, nosił diadema na czole wewnątrz pałacu, bo nie śmiał tak występować przed ludem, nosił koturny z drogich kamieni. Nigdy dwa razy nie widział tej samej sukni, ni obuwia, ni pierścienia tego samego — pływał w ogromnych wannach marmurowych, w wodzie zaprawionej szafranem i najdroższymi woniami — spał na łóżach srebrnych, na puchu łabędzim lub kuropatwim — pijał z czar kryształowych, bursztynowych, onyxowych lub złotych — za każdym daniem odmieniał wieniec na głowie — podczas pierwszego nosił wieniec róż — podczas drugiego wieniec z fijołków, na trzecie kładł mirtowy, na czwarte narcysowy, na piąte bluszczowy, na szóste wieniec z papyrusu i róż splecionych — na siódme wieniec z lotusów alexandryjskich.

I żeby się nie nudzić, kazał sobie podawać grzebienie wyrywane żywym jeszcze kogutom — języki pawie i słowicze — mózdzki z kwicołów i kuropatw, głowy z bażantów, kanarków i papug — przed stąpającym w portykach pałacu, lub w ogrodach, idący niewolnicy rozsypywali róże i piasek srebrny. Raz kazał przynieść sobie dziesięć tysięcy pajaków — inną razą dziesięć tysięcy myszy — to znowu zachciało mu się dziesięć tysięcy kun i kotów — po odbytych igrzyskach rozrzucał między ludem zgromadzonym żmije i bazyłiszki. Parasytom swoim posyłał w darze naczynia najdroższe, zalutowane; pełne ropuch i niedźwiadków. Spraszał ich na biesiady do sal, których podniebia się roztwierały i wypuszczały deszcz z fijołków, róż i innych kwiatów — z razu rozkosznie się rozciągali pod temi spadającymi wieńcami — ale deszcz nie ustawał — coraz więcej przybywało kwiatów, sala przepełniała i nazajutrz wyciągano

ich ciała przyduszone pod małgorzatkami i liliami — czasem znowu kazał wprowadzać do sali lwów i tygrysów ułaskawionych — i napawał się trwogą senatorów, konsulów, dworzan biesiadujących.

I żeby się nie nudzić, spróbował jak się jeździ po cyrku za pieniądze — został powoźnikiem, i zbierał sztuki srebra rzucane przez widzów — potem został płatnym muzykantem. Zdaje się, że jak ojciec jego Karakalla namiętnie naśladować chciał Alexandra, tak on sobie za wzór obrał był Nerona — tego Nerona, który przebijając się w jaskini jakiejś kampanii rzymskiej, wykrzykiwał do towarzyszków: „Patrzenie, jak artysta umiera!”

I żeby się nie nudzić, zamordować kazał Pomponiusa Bassusa — żonę jego młodą oderwał od ciała, które oblewała łzami i do swego łóża wprowadził — nazajutrz o świcie odesłał ją, już znudzony.

Dalej próbował czy też Vestalka święta, niepokalana, nie potrafi go zabawić, rozerwać. Nikt nigdy w całej starożytności na Vestalkę się nie targnął — tem ten pomysł nowszym się mu wydał i przyjemniejszym — sam Akwilią Severę porwał z przed ognia Vesty — nazajutrz odesłał ją, już znudzony. Wyprawił potem naumachią czyli igrzyska wodne, wśród cyrku na jeziorze z wina i wody piotłunowej.

Siostra Scemidy Mammea odziedziczyła po matce silną wolę, bystry rozum i żądę wywyższenia się. Jako Scemis wdała się była we wszystkie czary, symbole rozwiążności wschoǳnie, tak Mammea oddawna poszła była drogą idealizmu, filozofii neoplatońskiej i nauk chrześcijańskich — syna swego Alexyana obznajomiła z niemi. Alexyanus miał w swoim *sacrarium* (kaplicy) posągi Pitagora, Abrahama, Orfeusza, Apolloniusa z Tyjany, i Chrystusa — żył tylko owocami i nabiałem — wiersze sam pisał, i czytał nieustannie Senekę, Virgiliusa i Cycerona. Mammea w mówiła w siostrzeńca, że najprzyzwoiciej jemu jako arcypapłanowi słońca, by trudnił się tylko nadziemskimi czarami, a ziemskie sprawy, nędzne i mierne poruczył komuś. Heliogabal zrazu uwierzył, uznał tę radę za godną siebie i przybrał do spraw ziemskich Alexyana, którego zaraz mianował Alexandrem Sewerem, Cezarem i konsulem — wtedy zaczęła się z po-

czątku ukryta, potem otwarta walka w pałacu. Heliogabal chciał Alexandra na swój obraz przetworzyć, a że Alexander mu się nie dawał, rozwściekł się na jego matkę i nauczycieli: Retora Sylwina skazał na śmierć; Ulpiana, sławnego prawnika, wygnał; Mammeę otoczył szpiegami; wreszcie Alexandra kilka razy otruć usiłował, ale nie udało mu się, bo czynne oko matki go strzegło; wtedy kazał Senatorom by tytuł Cezara odebrali Alexandrowi, a Pretoryanom, by jego posągi zrzucili. Senatorowie zbledli, nie śmieli usłuchać. Pretoryanie podjudzeni i przekupieni przez Mammeę, rokosz podnieśli. Heliogabal ten sam, który przed trzema latami na czele Legii Emezkiej, wyzwał był potęgę Makryna, i dzielnie sobie poczynił na polu bitwy bez zbroi, bez hełmu, prawie nagi, z jednym tylko mieczem w rękę, teraz uniżony, struchlały, udał się do obozu za miastem, i obiecał szanować i poważać brata Alexandra. Wróciwszy, zaczął rozmyślać jakby się jego pozbyć najrychlej. Po jakimś czasie dla wywiedzenia się ducha Pretoryanów, kazał rozsiać fałszywą wieść śmierci Alexandra. Znowu bunt się wszczął w obozie, znowu cesarz musiał brata żywego i całego pokazać żołnierzom, by ich uspokoić; ale kiedy stojąc na wozie, przemawiał do nich oparty na Alexandrze, usłyszał zewsząd wznoszące się groźby; zdjęty gniewem, każe chwytać winnych zbrodni zelżonego majestatu; zamieszanie się powiększa, z jednej strony Mammea zagrzewa żołnierzy, z drugiej Scemis obiecuje im nagrody; ale Heliogabal ogarnięty strachem i przeczuciem śmierci, ucieka — w tej jednej chwili w życiu się nie nudził. Stronników jego wyrzynają Pretoryanie. Alexander ogłoszony imperatorem.

Wieszczbiarze Syryjscy oddawna byli zgadli, że ich Arcykapłan niezwykłą śmiercią zakończy życie, przepowiadali mu więc zawsze że sam się zabije, do tego on był sobie różne przygotował narzędzia: czary zatrute, klingi zatrute, podwórzec brukowany u stóp wieży marmurowej drogiem kamieniami. On chciał sobie śmierć przypisać jako przypawiał biesiady, rozpusty, igrzyska; ale w chwili śmierci, w tej jedynej chwili mocnego czucia, nie nudy, zapomniał o wymarzonych, przygotowanych lubieżnościach zgonu. Z matką po prostu, bez dalszej analizy, skrył

się w najodleglejszych tajnikach pałacu, w miejscach najnieprzystojniejszych Cezarowi Rzymskiemu, o których nawet Neron nie był nigdy pomyślał w ostatecznem niebezpieczeństwie. Tam pretoryanie go wykryli i zabili, głowę mu ucięli, ciało jego i matki wleczone po ulicach miasta w końcu wepchnięto do kloaki, ale że otwór był ciasny wyciągnięto nazad i do Tybru rzucono. Ostatnie przezwisko Heliogabala było Tiberinus.

W nim uczłowieczyły się myty wschodnie, symbole pozostałe same w całej sprośności kształtów swoich, symbole głębokich, prawdziwych myśli, tylko że nie pamiętanych, zatraconych, i uczłowieczyły się, by tem pewniej, jaśniej, zniknąć z powierzchni ziemi. Symbol wschodni mógł być tylko takowym. Myśl najczystsza nie mogła na wschodzie przybrać formy czystej, bo jak tylko wcielała się, wpadała pod prawa Natury tamtejszej, Natury pochłaniającej wolność ludzką, nęcącej do rozkoszy, porywającej do zapomnienia, zaprzeczającej ducha przez własną piękność i siłę swoją. Zwykle historycy z pogardą mijają krótkie dni Heliogabala. Jako indywiduum, on jest jej godny, ale nie jako faktum historyczne. Od niego albowiem zwycięstwo Chrystusa codzien staje się pewniejszym, przez niego pogaństwo zeszło na najniższy szczebel, przez niego ukazało się oczywiście: że ono spruchniało, że owocu już żadnego nie wyda, bo w całej potędze, w całej rozległości swojej się w nim objawiło, nadaremnie. Heliogabal we wszystkim co czynił, i wyobrażał, jest starością i śmiercią, jest brakiem ducha, jest materią w gniciu. Opowiadają, że był nad miarę urodziwym, było to materii *a Lightning before Death*, jak Szekspir mówi.

Str. 17. w. 7. *Że Senat przezwiał cię już boską.*

W łacinie *Diva*; zwyczajnie wyrokiem Senatu Imperatorowie i żony ich stawali się bogami, stawiano im posągi, świątynie. Dla tego tylu Chrześcian ginęło, że nie chcieli rzucać kadzidła na ołtarz pałacy się przed obrazami Cezarów. Antinous, ulubieniec Adriana po śmierci zapisany został w registr bogów za Senatuskonsultem, i za wolą Adriana.

Str. 23. w. 30. *Jam August, Antonin, Aureliusz.*

Imiona wielkich Cezarów policzonych po zgonie między bogi, stawały się tytułami dla ich następców lub książąt z rodu cesarskiego. I tak cesarze mianowali na Augustów, na Cezarów. Tak Heliogabal przybrawszy jako honoryfikcyjne tytuły imiona najlepszych cesarzów, zwał się Antoninem, Aureliuszem i t. d.

Str. 25. w. 16. *Evoe Bachche!*

Wykrzyknik używany przy tańcach świąt Bachusowych, oznaczający wesołość i komiczność.

Str. 26. w. 2. *Me hercule!*

Przez Herkulesa — wykrzyknik używany przez Rzymian.

Str. 27. w. 29. *Perystyl.*

Perystyl był to salon starożytnych. — Domy ich po większej części składały się z ciągu komnat idących jedna za drugimi tak, że stanawszy w *vestibulum* t. j. u wejścia najczęściej ciasnego, można było od razu przejrzeć aż do *viridarium* czyli ogrodu zwykle kończącego dom z drugiej strony. Zaraz po *vestibulum* następowało *atrium* czyli sieni, w której niewolnicy siedzieli i goście podrzędni przyjmowani byli. To *vestibulum* pośrodku którego było *impluvium* czyli sadzaweczka okrągła lub kwadratowa na zbieranie się wody deszczowej, otoczone było małemi izdebkami sypialnemi. Przez otwór nad *impluvium* wchodziło światło dzienne. Dalej było *tablinum* czyli podłużna sala wystrojona w kosztowności domu, za nią dopiero *perystyl*, kwadratowa przestrzeń otoczona zwykłemi kolumnami, zwykle bez dachu, przeznaczona przechadzce i rozmowom, potem następował *triclinium* czyli pokój jadalny, połączony z *viridarium* lub często w samem *viridarium*, gdzie stały posagi, kwiaty, krzewy. Ten cały ciąg komnat był na oko jako jeden korytarz długi, urozmaicony tylko występującemi to rozstępującemi się ścianami, posagami, freskami, ołtarzami bogów domowych w *vestibulum*, bogów innych w *perystylu* i w *viridarium*. Izdebki, w których mieszkali niewolnicy, w których spali panowie, kuchnia, spiżarnia i t. d. były tylko przydatkowemi ciupkami do tego korytarza głównego, z obu stron ciągnącemi się przy nim. Rozumie

się że w Rzymie i że w pałacu Cezarów wszystkie części domu nabyły większych proporcji, ale w ruinach Pompei ten tylko korytarz główny przeznaczony na publiczność domowego życia t. j. na przyjmowanie gości, na biesiady i t. d. jest obszernym i pięknym, reszta złożona z pokojów ciasných, niskich, słowem z ciupek.

Str. 32. w. 26. *Wielkiego Septyma.*

Septymiusz Severus, którego żona Julia siostra Moesy, matki Mammei i Scemidy. Po Septymiuszu nastąpił syn jego Karakalla, po nim Makryn, prefekt straży pretoriańskiej a dopiero potem Heliogabal.

Str. 33. w. 6. *Do cyrku Flaviana.*

Dzisiejsze koliseum, wystawione przez Flaviusa Vespaziana.

Str. 35. w. 17. *Czyż boska Sofia....*

Sofia, σοφεία mądrość po grecku, ztąd φιλοσοφεία miłość mądrości.

Str. 36. w. 9. *Przez Bogi many Antonina.*

Bogi many czyli cienie, duch czyjś po śmierci. Na grobach nie pisali starożytni, poświęcone temu lub owemu: ale Bogom manom tego lub owego n. p.

*Diis manibus
Pueri Septemtri
onis. annor. XII. qui
Antipoli in Theatro
Biduo saltavit et
placuit —*

Napis znaleziony w Antibes — w nim cała nieużytość świata starożytnego rzymskiego się odbiła, dlategośmy go tutaj raczej od każdego innego przywiedli.

Str. 37. w. 22. *Sztuką Danaów.*

Timeo Danaos et dona ferentes. — Virg.

Str. 38. w. 22. *Lucius Mummius nic nam nie zostawił.*

Lucius Mummius zabił Grecyę zburzeniem Koryntu.

Str. 39. w. 6. *Dulces moriens reminiscitur Argos.*

Cytacya z Eneidy... Niech słodkie umierając wspomina Argos.

Str. 40. w. 6. *W Termach Karakalli.*

Były to kąpiele wystawione przez Karakallę. Gmach, którego gruzy dzisiaj jeszcze są gmachem. U starożytnych, kąpiel nie była rzeczą tak krótką i mało znaczącą jak u nas. Najśłodsze godziny życia przepędzali w Termach. Były to budynki pełne portyków, ogrodów, bibliotek, przyozdobione arcydziełami sztuk pięknych. Tam wyszedłszy z wanien marmurowych, namaściwszy się najdroższymi kadzidłami, przechadzali się lub słuchali filozofów, lub grali w różne gry, ćwiczyli się w gimnastyce. — Czasem w Termach były Teatra i Cyrki.

Str. 40. w. 18. *Chyba go Tyresias w piekle zrozumie.*

Tyresias sławny wieszczbiarz, syn nimfy Charycloe — oślepiiony przez Junonę, darem proroctwa obdarzony przez Jowisza. Do niego, do piekieł, zstępowali bohaterowie ciekawi przyszłości i objawień o tajemnicach życia.

Str. 41. w. 3. *Prawdziwego Krotoniatę.*

Mieszkańcy Krotony słynęli z siły i zręczności w zapasach.

Str. 41. w. 32. *Jacta est alea.*

„Kość rzucona!“ słowa Juliusza Cezara przesadzającego Rubikon.

Str. 42. w. 9. *Vae capiti ejus.*

Biada głowie jego — zwykle przekleństwo u Rzymian.

Str. 44. w. 21. *Proh! Jupiter.*

„Ach! Jowiszu“ — zwykły wykrzyknik u Rzymian.

Str. 44. w. 34. *Ręk potrząsających Tyrsami.*

Tyrsy, święte laski oplecione bluszczem, zakończone gronem winnem, niesione w igrzyskach i świętach Bachusa. Ukazanie się tego widma Alexandra wielkiego znane jest w historii.

Str. 45. w. 5. *Podaj mi Falernu.*

Falernum, sławne wino u Rzymian.

Str. 45. w. 8. *Dii avertite omen.*

Poświęcony sposób mówienia u starożytnych, dla odwrócenia złej wróżby.

Str. 45. w. 10. *Alboż wyszło ci z pamięci, że syn wielkiego Septymiusza (Karakalla) i t. d.*

Ta cała mowa Irydiona zasadza się na szalonej miłości, którą powział był Karakalla ku pamięci Alëxandra Wielkiego. Karakalla był to człowiek bardzo mierny o żelaznych kaprysach niewoli, niezmiernie chępliwy, pełny drobnej miłości własnej, cierpiący niejako pomięszanie mózgu, zresztą odważny żołnierz. Koniecznie mu się wydało, że jest bohaterem, i że do ogromnych celów stworzyło go Fatum. Postać, która najdzielniejszym bohaterstwa blaskiem świeciła nad światem Greckim i Rzymskim, postać Alëxandra W. obudziła w nim żądzę takiej samej chwały, we wszystkim go naśladował. Dworzanie twierdzili że podobny jemu jak kropla do kropli; posprawiał sobie podobne zbroje, hełmy, szablę; głowę pochyloną na wzór jego nosił, ale że nie mógł być zdobywcą i Geniuszem, pocieszał się musztrami legionów; a że nie mógł zdobyć Tyru ni Babilonu, pojechał do Alëxandryi, miasta swojego własnego, i tam w jednym dniu wyrznął połowę mieszkańców, udając przed sobą samym, że gdzieś zwycięża i morduje, jak niegdyś król macedoński. Nareszcie tyle kłamał sobie samemu, że uwierzył pod koniec dni swoich, że w rzeczy samej metempsychozą duch Macedończyka wszedł w niego, i zupełnie się ujednocił z Alëxandrem Wielkim.

Str. 46. w. 29. *Święty zamek.*

Kapitol, *arx sacra aeterna.*

Str. 47. w. 2. *Geniusz miasta.*

Każde miasto, każde państwo w pogaństwie miało Geniusza swego, Ducha opiekuńczego, niby Anioła Stróża.

Str. 47. w. 3. (z dołu) *Panowie amfiteatru.*

Tak nazywano motłoch rzymski.

Str. 48. w. 20. *Io Triumphe!*

Wykrzyknik używany w pieniach do Bachusa!

Str. 48. w. 2. (od dołu) *Ich fibule.*

Fibula, sprzączka na którą sprzągała się toga lub tunika na ramieniu.

Str. 49. w. 4. (od dołu) *Salve Eternum.*

Formuła używana przy pogrzebách, pieśń przed za-

niesieniem ciała na stos, tak samo jakby kto po polsku powiedział: „Ty wprzód nad nimi wyrzeczysz: Wieczny odpoczynek.“

Str. 52. w. 3. *Vale.*

Formuła pożegnania u Rzymian: „Bądź zdrów.“

Str. 53. w. 4. *Człowiek nowy.*

U Rzymian *homo novus*, zwał się plebejanin co dostał się do urzędu, lub człowiek z miasta obcego nie mającego prawa obywatelstwa, co przyszedł do Rzymu i urząd pozyskał. Cyncero był *homo novus*, (*un parvenu.*)

Str. 54. w. 16. *Skonał w Spoliarium.*

Spoliarium, nazywało się miejsce obok każdego Amfiteatru, do którego rzucano konających Gładiatorów, z ran odniesionych na Arenie.

Str. 57. w. 1. *Alma Venus.*

Alma przymiotnik zwykły Cybeli i Venery, znaczy wszytkorodząca.

PRZYPISKI DO CZĘŚCI DRUGIEJ.

Str. 63. w. 13. *Pod Mausoleum Cecylii Metelli.*

Zdaje się, że obok tego pomnika wystawionego żonie Triumvira Krassusa, było ukryte wejście do katakomb. Dotąd stoi obok kościół Św. Sebastjana w Kampanii rzymskiej od którego schodzi się w tę resztę katakomb, po której chodzić można.

Str. 64. w. 8. *Na forum romanum.*

Tak zwał się plac przed Kapitołem, na którym stały mownice i kurye, czyli trybunały, w których odbywały się sądy, a czasem narady Senatu. Od tego forum, wstępowały schody aż na szczyty kapitolńskiego wzgórza. Tam na lewej wyniosłości, nad skałą tarpejską, stał kościół Jowisza Fereryjskiego, na prawej zaś Jowisza Kapitolńskiego — *via sacra*, czyli święta droga tryumfujących, szła na Forum przez łuk Fabiana, wychodziła zaś z niego, by już iść w górę na Kapitol, przez łuk Septyma Severa. Na przeciwko Kapitolu z drugiej strony Forum, stała Świątynia

nia i klasztor Vestalek, bliżej zaś stóp wzgórza Kapitolińskiego, świątynia Fortuny i Zgody; na samym zaś środku, na czystem miejscu była mownica. Kształt całego Forum był równoległoboczny. Boki jego wszędzie zasute były rzędami kolumn ciągnącemi się przed świątyniami i bazylikami. Widok ten musiał być nadewszystko uroczystym i wspaniałym. W architekturze starożytnej nie było uniesienia Ducha odbijającego się w gotyckiej, ale za to, najwyższa powaga ciała wszędzie panowała.

Starożytny Patrycyusz niewzruszony, z zarzuconą togą, odpoczywający po ofierze złożonej bogom, jest obrazem Architektury starożytnej. W niej każda część opisana, ograniczona, doskonale skończona. Idea miary i piękności, przeniesiona do okręgu zupełnie zawartego. — Niewzruszoność i jedność, są zatem jej piętnami, kiedy w gotyckiej ruch prawdziwy, różnorodność i nieskończoność żyją. — Można by powiedzieć, że architektura starożytna jest duchem zupełnie wcielonym w rozmiary, w materję, a gotycka materję pracującą, by się zidealizować, by zduchownieć. Dlatego też nie ma kościoła gotyckiego prawie, którego by budowa zupełnie skończoną była, a nie było kościoła pogańskiego, któryby nie był zupełnie dokończonym w każdej części swojej. — Ztąd pochodzi, że architektura pogańska, przenosi o wiele chrześcijańską pod względem sztuki, chrześcijańska zaś pogańską pod względem myśli, Ducha.

Str. 64. w 28. *Że w tych cmentarzach śpią goście tylko.*

Napis był na jednym z wejść do katakomb. —

Ceameterium est domus, in qua hospites dormire solunt.
Cmentarz jest domem w którym spać zwykli goście.

Str. 64. w. 5. (od dołu) *To Lykański Orfeusz.*

W katakombach pełno było rzeźb i malowideł symbolicznych po ścianach i na sarkofagach. — W początkach chrześcijaństwa, sztuka była całkiem symboliczną. I tak Orfeusz pierwszy mędrzec, poeta, założyciel towarzystwa, u pogan wyrażał Chrystusa; postać Noego, Izaaka, Józefa patriarchy, to samo znaczyły. Złoty świecznik o trzech ramionach wyrażał Chrystusa. Latorośl winna to samo. Lira była symbolem krzyża, palma zwycięstwa niebieskiego, krzyż z drogiemi kamieniami, otoczony wieńcami róż, z wi-

szącemi na złotych łańcuskach dwiema literami greckimi *alfa i omega*, znaczyl Boga, koniec i początek wszystkiego. Paw, byl symbolem zmartwychwstania, a czasem znowu szatana. Oliwne drzewo bylo hieroglifem wieczności i pokoju. Cyprys i sosna, śmierci; kotwica, zbawienia; ryby, ludzi! — z powodu słów Chrystusowych do Apostołów: *Faciam vos piscatores hominum*. Delfin nadziei i umarłych, co z tego świata w lepsze strony się udali. Samson z wyrwanemi bramami na barkach, znaczyl Chrystusa na tej zasadzie: *Tollit portas civitatis id est Inferni et removit mortis imperium*. Tu *civitas* raz znaczy czyn Samsona realny, drugi raz oznacza świat starożytny cały, który byl tylko składem *civitatum* miast (*cité*) czyli egoizmów zamkniętych w sobie, najsrożej uciskających. W rzeczy samej, Chrystus zadal śmierć składowi temu, porządkowi całego świata starożytnego, powołując ludzi do braterstwa i wolności. To dowodzi, że i Chrześcianie pierwszych wieków, już czuli swoje powołanie polityczne. Dalej jeleń, znaczy Apostołów, kogut, czujność pasterską, a krzyż zawsze składał się z czterech gatunków drzewa: z cyprysu, cedru, palmy i oliwy.

Str. 65. w 19. *Przynoszą mu Prochristum.*

Prochristum, była to flaszeczka zawierająca trochę krwi męczennika, złożona na jego piersiach w trumnie, z wyrzniętymi literami: p. Ch. co znaczyło za Chrystusa. Dotąd w katakombach po takowym znaku, poznają ciała męczenników, gdyż nieraz żadnego napisu nie ma przy nich, ani na grobie.

Str. 67. w. 30. *Apage.*

Znaczy *precz*, używana formuła na odstraszanie szatana.

Str. 68. w. 15. *Czyś nie słyszała od wielu świętych, że już bliskie czasy.*

Od śmierci Chrystusa, aż do połowy prawie średnich wieków, trwała w chrześcijaństwie pośepna wiara, że świat bliski ciągle końca i sądu ostatniego. Im dalej w lata, im dalej od Chrystusa, tem bardziej słabnęła ta wiara, lub odkładana była na odleglejsze czasy; ale w pierwszych wiekach Chrześcianie, osobiwie mistycey, pustelnicy, anachorety, spodziewali się lada nie codzień powrotu Jezusa.

Osobliwie na wschodzie, w Egipcie panowało to oczekiwanie. Rzymski kościół od samego początku swego, był raczej praktycznym niż idealnym, raczej starającym się wcielić w kształt i potęgę, niż gotującym się na rozwiczenie się zupełne z wszelakiego kształtu; ale i na zachodzie jednak wielu wierzyło w blizkie ukazanie się Chrystusa, najbardziej do ustalenia tej wiary, przyłożyły się natchnienia Św. Jana na wyspie Patmos, zawarte w znanej księdze Apocalypsis. W pierwszych i następnych wiekach, mnóstwo było podobnych ksiąg objawień, widzeń. Niejeden męczennik konając widział otwarte niebiosy, przepowiadał koniec rzymskiej potęgi, a zatem świata, a zatem z niebios zstąpienie Chrystusa. Bardzo pomieszane były i zawikłane pod tym względem domysły, nadzieje, życzenia pierwszych Chrześcian. Jedni sądzili że wróci Chrystus, i że na ziemi zacznie się jego panowanie, tę wiarę nazwano później wiarą w *Millenium*; bo później przeniesiono ostateczny termin sądu na rok tysięczny. W rewolucyi angielskiej siedemnastego wieku, znów znalazła się sekta polityczna i religijna, która tę wiarę wskrzesiła. Drudzy myśleli, że w rzeczy samej próba materyalna się zakończy, że ziemia zniknie z przestworów wraz z Rzymem, umarli powstaną, i że się objawi w przestrzeniach obiecana przez Św. Jana nowa Hierozolima. Nic dziwnego w tem wszystkiem nie było. Najprzód, na niektórych słowach samego Chrystusa przed śmiercią mogła zasadzać się ta wiara. Dalej, ludzie przyjmowani na łono Chrześcijaństwa w pierwszych czasach, byli jeszcze bardzo materyalnie wszystko sobie wyobrażający; były to po większej części wyobraźnie rozgorzałe, cierpiące, rozdrażnione poniżeniem i niesprawiedliwością świata, pragnące by wszystko i ludzie i natura przetworzonymi zostali. Codzień powtarzano im formuły chrześcijańskie, że świat ten materyi, jest tylko złudzeniem, że życie ludzkie jest cieniem znikomym, że jest inny świat duchowny, wyższy; codzień widzieli ginących z nadludzką odwagą, by do tego drugiego się dostać — i jakże nie było im czasem pomyśleć, że ten drugi wkrótce znijdzie, zniszczy niższy i sam jeden zostanie. Oni czuli się powołanymi do obalenia świata realnego, prześladowającego ich. Oni jeszcze nie wiedzieli prawdy moralnej, że myśl zwycięża

zawsze materję, jak kropla co kamień przedraża po wiekach wielu; sądzili więc, nie widząc w samych sobie żadnej potęgi świeckiej, że im Chrystus i Anieli przyjdą w pomoc, że w dniu jednym runie Kapitol i zarazem rozpadnie się ziemia, bo wiarą także równie silną, zakorzonioną w świecie ówczesnym było, że Roma stoi, dopóki świat stoi. Wreszcie wspólnym to jest przesądem wszystkim ludziom, że nie jasno pojmują jakoby mógł świat żyć dalej po skonaniu tego w czem wyrosli, czego sami częścią byli. Państwo rzymskie oczywiście wtedy zbliżało się do śmierci. Co potem nastąpić miało, nie mogło wcisnąć się w mózgi ludzi żyjących wśród państwa tego, a zatem bez dalszych domysłów świat cały na śmierć skazywali, błędnem przecuciem. Zdaje mi się jednak, że to było tylko wiarą ludu, ale nigdy naczelników Chrześcijaństwa. Biskupi Romy przeczuwali, że nauka Chrystusa, wcieli się jeszcze na ziemi w jedynowładztwo materyjalne. Na tych to podaniach o końcu świata, o zmartwychwstaniu świętych, o zniszczeniu Romy, zasadza się spiszek Irydiona w katakombach. Str. 68. w. 4. (od dołu) *Trawa nie porośnie gdzie mój koń przeleci.*

Słowa Attylli.

Str. 70. w. 17. *Wyzwoleniec czytał mu Fedona.*

Dyalog Fedona o nieśmiertelności duszy, dzieło Platona, które Kato odczytał przed zabiciem się w Utyce.

Str. 78. w. 7. (od dołu) *Cenotafy po ścianach.*

Cenotaf, nadgrobek po grecku.

Str. 85. w. 4. *Przed laty Herman.*

Po teutońsku Herman, po rzymsku Arminius, ten sam który wyrzwał Legie rzymskie pod dowództwem Varrusa. Znany jest żal Augusta i słowa: Varrusie, wróć mi Legiony moje!

PRZYPISKI DO CZĘŚCI TRZECIEJ.

Str. 92. w. 3. *Irydion dobywa tabliczek i stylem pisze na nich.*

Starożytni nosili zawsze przy sobie tabliczki polane cieniuchną warstwą wosku, po której pisali ostrem metalowem piórem, zwanem *Stylus*. Ten Stylus zatknięty mieli zwykle u przepaski tuniki, używali go czasem miasto pugi-nału. Większa część spiskowych którzy zabili Cezara, przyszła do senatu uzbrojona tylko w Stylusy. Brutus pchnął go Stylusem.

Str. 92. w. 10. *Byśmy go na krzyżu rozbili.....*

Najohydniejszą śmiercią u starożytnych była śmierć na krzyżu, to samo co u nas na szubienicy.

Str. 93. w. 1. *Aż po Hyrkańskie Syrty i pustynie Jazygów.*

Hyrkania była nad brzegiem Kaspijskiego morza, blisko Partyi. Pustynie Jazygów między Dnieprem a Donem.

Str. 93. w. 30. *Przecię Hekatombę.*

Hekatomba, z Greckiego ofiara z stu byków złożona, w przenośni każda wielka ofiara.

Str. 95. w. 12. *Zemsta jest rozkoszą Bogów.*

Stare greckie przysłowie.

Str. 98. w. 19. *Od bram Kuryi.*

Kurya, każdy budynek w którym sąd lub senat się zbierał.

Str. 101. w. 7. *Eheu!*

Po łacinie: niestety!

Str. 104. w. 14. *Hesperus.*

Gwiazda wieczorna, Venera.

Str. 106. w. 14. *Polać źródłem nafty.*

Nafta gatunek oleju ziemnego, palnego.

Str. 107. w. 7. *Zwycięstwem pod Zama.*

Pod Zama, Scypion Afrykański zabił na głowę Hannibala.

Str. 107. w. 21. *Całun z Amiantu dla popiołów Romy.*

Żeby rozeznąć po spaleniu na stosie popioły ciała od popiołów stosu, starożytni zwykli trupy obwijać w koszule utkane z włókien kamienia zwanego Asbest. Takie włókna praść się dają i zowią się Amiantem.

Str. 108. w. 6. *Manipule Severa.*

Legia rzymska we trzy rzędy ułożona stawiała na pobojowisku. Pierwszy rząd składali Hastati, drugi Principes, trzeci Triarii. Każdy rząd dzielił się na dwanaście Manipul. Dwie Manipule stanowiły Centurię, której przełożony zwał się Centurion, a trzy Manipule składały Kohortę. W Manipuli bywało najmniej po sześćdziesięciu, najwięcej po stu dwudziestu żołnierzy.

Str. 109. w. 1. (od dołu) *Włosy Bereniki.*

Konstellacya z siedmiu gwiazd złożona, tak nazwana od siostry i żony zarazem Ptolomeusza Evergeta, króla Egipskiego. która przyrzekła włosy swoje uciąć i zawiesić w świątyni Marsa, za powrotem męża z wyprawy do Azji. Dotrzymała obietnicy, ale włosy tej samej nocy zniknęły. Conon z Samos, nadworny astronom, przysiągł wtedy, że wyobserwował, jako Zefir za rozkazem Venery wniósł je do niebios — i nazwał siedm gwiazd świecących obok ogona *Lwa*, włosami Bereniki.

Str. 111. w. 3. *Ludowi Rzymskiemu przypomnę Brennusa.*

Brennus, wódz Gallów, który zdobywszy miasto i senat wyróżnawszy, kiedy okup żądany brał od Rzymian, rzucił jeszcze do szali miecz swój z tem słowem: *Vae victis*, biada zwyciężonym.

Str. 111. w. 22. *Potrójna Hekato.*

Dla tego potrójna, że nazywała się Księżycem w niebiesiach, Dianą na ziemi, Prozerpiną lub Hekatą w piekle. Epitet jej zawsze jest: *Dea feralis* — zgubna bogini.

Str. 111. w. 25. *Jeżeli jesteś moim złym Geniuszem.*

Było wiarą ustaloną pomiędzy starożytnymi, iż każdy z nich ma dobrego i złego Gieniusza. Brutusowi ukazał się jego zły Geniusz przed bitwą pod Filippami.

Str. 120. w. 9. *Darujcie mi Kwiryty.*

Quirites, imię Rzymian od pocisku zwanego *Quiris*.

Str. 121. w. 25. *Sit tibi terra levis.*

Formuła, którą umarłych żegnali Rzymianie odchodząc od stosu lub od urny. Zwykle nawet te słowa pisano na każdym nagrobku: *Ziemia niechaj ci lekką będzie.*

Str. 121. w. 27. *Wśród tych Kolumbariów.*

Pomnik dla uboższych ludzi podobny z kształtu do gołębnika z framugami, w których stały urny, nazywał się *Columbarium*.

PRZYPISKI DO CZĘŚCI CZWARTEJ.

Str. 129. w. 24. *Stanął u progów Attala.*

Znaną jest rzeczą, że Senat Rzymski, wydzieliwszy najpiękniejsze prowincje zdobyte na Antiochu wielkim Attalowi, królowi Pergamu, kiedy tenże Attal umierał bezpotomnie, kazał je sobie zapisać i darować.

Str. 129. w. 27. *Podniósł się wśród Isthmijskich igrzysk.*

Przed wdaniem się jeszcze czynnem i zdobywczem do spraw greckich, poseł rzymski oświadczył publicznie na igrzyskach isthmijskich przed zgromadzonymi mieszkańcami wszystkich miast greckich, że senat i lud rzymski, wzięwszy na uwagę o ile niesprawiedliwe są żądania króla macedońskiego, i o ile piękną i pożyteczną jest niepodległość Grecyi, obiecują jej bronić wszelkiemi siłami przeciwko napadom tego króla.

Str. 129. w. 3. (od dołu) *Syn Latony.*

Phoebus Apollo.

Str. 130. w. 25. *Bite drogi Aedyłów.*

Aedyle, urzędnicy przełożeni nad budowaniem publicznych gmachów, dróg, mostów, wodociągów i t. d.

Str. 130. w. 29. *Od Gadesu po ultima Thule.*

Gades, Kadyx dzisiaj. Thule, Islandya; prawie zawsze starożytni przydawali do niej ten przymiotnik *ultima* ostatnia, bo ją uważali za najodleglejszy kraniec ziemi.

Str. 130. w. 31. *Stoików obłąkane cienie.*

Ostatnim wyrazem szkoły greckiej Platońskiej, byli przy kończącym się starożytnym świecie, Stoicy. Idealizm starożytny w nich się wcielił tak jak materyalizm u Epikurejczyków. Cnota stoika była wielką, ale niewzruszoną. Umieli umierać ale żyć nie umieli. Pierwszą ich zasadą było słowo *απεχον*, wstrzymuj się. Wstrzymywali się więc od wszystkiego, smutnym wzrokiem spoglądali na świat obumierający, ale nie szli go ratować. Zawarli w sobie, korzający się tylko przed sądem dumy własnej, którą nazywali sumieniem, wyszli na samolubów moralnych, pełnych nadzwyczajnej egoistycznej godności, ale niezwiązanych z sobą, nie natchnionych iskrą wspólnego, towarzyskiego życia. Ich myśli i przepisy krążyły ciągle w idealnym świecie, nigdy nie dały się przystosować do ziemskiego. I dla tego też zostały nam tylko podania o ich sławnych zgonach, nie zaś o ich życiu. Marek Aureliusz Cesarz tchnął ich najczystszym, najpiękniejszym duchem. Jego maxymy przez długi czas pocieszały niejako ten świat codzień bardziej się rozrabiający w rozprzęggnięciu śmierci; ale i one nie utworzyły wielkiego, żyjącego. Systema stoickie można by nazwać testamentem, w którym konający, nie nie zapisuje dziećcom swoim prócz kilku smutnych uwag nad życiem. Pierwsi Stoicy wprowadzili na świat chorobę zwaną *spleen*, odziedziczoną przez Anglików, której ostatecznem przesileniem jest samobójstwo.

Str. 131. w. 2. *Jako ojciec rodziny dzieci, jak Patrycyusz Plebejan.*

Wyobrażenia prawnika rzymskiego.

Str. 131. w. 12. *Jak w lasach Hercyńskich zbladłe kłękają pod nożem ofiary.*

W lasach hercyńskich Herman czyli Arminius otoczył legie Varrusa, pierwszych naczelników zabił w ofierze bogom Germańskim.

Str. 131. w. 13. *Nie lotnym gromem Alexandra....*

Nigdy nie idealnie wyniosłego nie było w dziejach Rzymu, ale za to nikt nigdy na ziemi nie był bardziej *realnym*, *praktycznym*. Praktykował Senat Rzymski nie-

słychane podstępny i podłości od samego początku aż do końca Rzeczypospolitej. Nieprzyjaciół najczęściej pozbywał się zdradą. (Hannibal, Jugurtha, Sertoriusz, zburzenie Kartagi, Mitrydat,) przyjaciół zaś i sprzymierzeńców oszukiwał na wszystkie sposoby. (Grecya, Azja Mniejsza, Pergam, Egipt, Gallia, i t. d.) Wytrwałość w złych losach, wiara że Rzym stać powinien, bo powinien, bezczelność która się niczego nie wstydziła, sprawiły wielkość tego miasta. Nigdy Rzymianie nie puścili się na wyprawę młodzieńczą, poetyczną na wzór Alexandra Wielkiego; nigdy myśl cywilizacyi nie powstała w ich sercu, jak w sercu ucznia Arystotelesa. Egoizm ciężko-materyalny wiódł ich wszędzie, dla tego nie starali się spajać ludów razem, nie usiłowali ich narodowości połączyć w harmonię, uczynić organicznej całości, ale zagubiali, niszczyli, wytępiali. Wyroki Senatu rzymskiego są wzorem obłudy i nieskończonego świadczenia się bogami, powtarzania rozmaitych przepisów cnoty, sprawiedliwości, pobożności. W imieniu sprawiedliwości wyzuwali z własności, kraje wolne zamieniali w prowincye, lub królestwa którym umarli królowie ogłaszali swojemi, na zasadzie praw najśmieszniej wynalezionych, najbezwstydniej utrzymywanych. Zarazem przybierali na się wszystkie pozory szlachetności, występowali ciągle niby to w obronie słabych, skrzywdzonych, a potem i skrzywdzonych i krzywdzących ogalacali z posiadłości i władzy; układy zawierane przy niepomyślnych okolicznościach przez wodzów Rzeczypospolitej były tylko igraszką, bo senat zwykle ich nie potwierdzał, tłómacząc się tem, że ów Pretor lub Konsul nie miał dostatecznej władzy i wydając jego samego za karę. Potem ciągnął dalej wojnę, korzystając ze straty czasu, wyludzonej na wrogach. Rzymian potęgą były także frazesy. Ich posłowie u dworów zagranicznych wciąż kłamali, wciąż opisywali siły swoje z największą bezczelnością i pychą. Udaowało się im. Popilius Lenas najpotężniejszego mocarza wschodu, Antiocha Wielkiego, nie wypuścił z okręgu zakreślonego na piasku, nim odpowiedział na jego żądania; a jednak jeszcze wtedy Azja ledwo była słyszała o Rzymie; słowem, nikt Rzymowi nie zrównał w praktycznym rozumie, ale nikt też tak ciągle, bezprzestannie światu nie kłamał, nikt tak

niecnie przysiąg nie łamał, nikt na tyle potęgi nie wydał tak ogromnego zapasu zlej wiary. W świecie ducha dla tego też słabymi pozostali Rzymianie: nie nigdy nie wynaleźli, nie odkryli. Literatury, sztuk nie mieli. Rozum ich, był przedewszystkiem adwokacki. Ich zdobycze, podobne procesom z wielką sztuką prowadzonym, a ich ostateczne zwycięstwo, ich panowanie świata stało się zepsuciem i śmiercią świata. Ludzkość zgniła pod ręką Rzymu. Jedność, o której marzyli, była tylko skupieniem mechanicznem cząstek, nieorganicznymżywieniem wielkiego ciała, na czem się znali, to nam zostawili: — Kodexa — prócz tego nie a nie, bo wszyscy ich pisarze są tylko odbłyskiem cywilizacyi Greckiej, prostem jej naśladownictwem i to bardzo niewolniczem. W świecie materyi, panami byli w świecie ducha, niewolnikami. Karę swoją wycierpieli w samych sobie, przez siebie samych. Zginęli przez to, że nigdy prawdziwego życia politycznego ni towarzyskiego nie pojęli, przez to, że podbijali — nie urządzali — że wygubiali — nie pomnażali, że uciskali — nie uwalniali, że zbijali siłą — nie spajali duchem. Kiedy przyszło umierać Rzymowi, obejrzał się na okół, czy gdzie iskry życia nie odkryje, któraby mógł w stare żyły swoje zaszczyć, ale nie nie ujrzał prócz trupów leżących u stóp swoich, i darmo wołał na nie w godzinie śmierci — one się nie przebudziły!

Str. 132. w. 25. *Euge, Euge!*

Wykrzyknik, to samo co nuż a nuż, po polsku.

Str. 133. w. 22. *Przy Rostrach.*

Rostra, mownica.

Str. 133. w. 7. (od dołu) *Ultimum Vale.*

Ostatnie pożegnanie przy pogrzebach.

Str. 134. w. 11. *Diespiter.*

Miasto *pater diei*, ojciec dnia.

Str. 134. w. 27. *Ojcem ludzi i Bogów.*

Epitet zwykły Jowisza.

Str. 134. w. 31. *Czyż posiał kły smoka.*

Jason, dobywając runa złotego zabił smoka i kły jego

posiał — z nich natychmiast z pod ziemi zbrojni męże wyskoczyli.

Str. 135. w. 3. *Marspiter*.

Zamiast Mars pater mówili Rzymianie.

Str. 138. w. 10. *Gemonii*.

Studnia, w którą rzucano trupy złoczyńców.

PRZYPISKI DO DOKOŃCZENIA.

Str. 150. w. (3. od dołu) *Błądą twarz Cyntyi*.

Imię Diany.

Str. 153. w. 13. *Nie ma purpurowej obłony*.

Podczas igrzysk, rozciągano nad całym Amfiteatrem zasłonę, zwaną *velarium* dla uchronienia się od promieni słońca.

K O N I E C.

TRZY MYŚLI.

TRZY MYŚLI

POZOSTAŁE

po

ś. p. HENRYKU LIGENZIE.

zmarłym w Morreale, 12 Kwietnia 1840 r.

PRZEDMOWA WYDAWCY.

Regestra, listy do przyjaciół i instrukcye dla officyalistów, pisać, pisałem, — ale co innego, ni umiem, ni chcę, ni potrzebuję, — a czemu dziś biorę się do pióra; ba! do druku, pokrótce opowiem.

Na wiosnę tego roku, przypłynąłem z żoną i dziećmi do Sycylii, sam nie wiem po co i na co — ale za co, to wiem. — Ja wiem i mój komisarz pan Ordasowski, chociaż siedzi w Polsce. — Święte przysłowie — gdy czego zachce się kobiecie to i sam szatan nic nie wskóra. Zachciało się żonie mojej do Włoch. — Z kraju więc mnie powlokła aż do Florencyi, zkąd chciałem powracać a z Florencyi do Rzymu, zkąd chciałem powracać, a z Rzymu do Neapolu, zkąd chciałem powracać: aż tu, patrzaj, dali-bóg musiałem z nią popłynąć morzem, do Palermu. Przeprawa jaka taka, w nocy wiatr się zerwał; niech mu Pan Bóg nie pamięta, ale tak kołysał się ten okręt parowy, że aż wszystkie gwiazdy nieustannie nam dygały pokłony na niebie — ale co prawda to prawda — nad rankiem cudne znów było powietrze. — Zatoka gdyby tylko błękitna, ale to aż granatowa — góry, wyspy, zdają ci się pędzłem malowane na niebie — a samo Palermo, miasto duże i porządnie stawione — lud tylko galgański, skacze, biega, piszczy, wrzeszczy, żebrze, kradnie, zdziera czy na ulicy, czy w gospodach, zwyczajnie Włochy, aż pfuj! do licha!

Lecz nie o tem mowa — podróży pisać nie myślę — niech moja żona, jeśli się podoba Jejmości, napisze. — Uczyła się języków, umie grać i śpiewać, czyta francuskie romanse, Balzaków, Szatobriandów i wielu innych, którzy mnie nudzą — ona może pisać. — Ja chcę tylko po prostu powiedzieć, jakom się dostał do tych rękopismów, które dziś wydawać muszę.

O trzy mile włoskie (pół naszej ukraińskiej) od Palermu, jest wioska Morreale, w której, mówią, że tam kiedyś mieszkali Królowie Sycylijscy. Gdyby nie katedra i cmentarz i parę pałaców, toby nie było na co patrzeć — nie ma nawet zajezdnego domu — brudno, pusto, ciasno. Da-libógci u nas lepiej! Żona moja koniecznie prosi się tam jechać. — Album bierze z sobą, chciała rysować widok — ja biorę dubeltówkę, bo mówili że niebezpiecznie; najalem powóz, sadzam dzieci, pojechaliśmy. Nie ma co mówić — znać że człowiek już za morze się dostał — wszędzie koło drogi wzgórza krągłe jak głowy cukru, najeżone w kaktusy, w aloesy — kwiatów czerwonych, jakich nigdzie nie ma, krocie — cyprysów tyle co dzid kozackich — a powietrze ma w sobie coś mydlanego, niby kapie ci do płuc, jako przedziwna oliwa, wyborne dla suchotników; szkoda że od urodzenia zawsze miałem piersi jak mur.

Jedziemy więc, bardzo powoli, bo wciąż pod górę. — Żona siadła na przodzie, patrzeć na dolinę w miarę jak się odkrywała. Ja fajkę palę. — Pułkownik Wileczek, któregom tej zimy spotkał w Liwurnie, wracającego z Orientu, dał mi dwa funty tytoniu — mówił że Sultan innego nie kurzy. Nie smaczniejszemu nie palił.

Przyjeżdżamy wreszcie — musieliśmy stanąć w kawiarni, bo gospody nie ma. Ledwośmy wysiedli, dwóch, trzech, czterech, dziesięciu obdartych, jak z pod ziemi wysypało się hultajów — każdy krzyczy że jest przewodnikiem — Ciceronem, jak to tam ich zowią — musiałem ich sam rozganiać, bo żonę chwyтали za suknię, wrzeszcząc, „*moro di fame*“, co znaczy, umieram z głodu; a potem, „*Complimentate me!*“ co znaczy, daj co, bo u Włochów komplement to miedziak — a jeden z nich mniej obszarpany, poznał że my Polacy; okropny węch mają Włochy do cudzoziemców, i wysunawszy się, rzekł do mnie, ja zaś

już po włosku nie źle rozumiem i gadam, choć nie lubię tej komedyi z łacińskiego języka przerobionej; otoż ten Włoch prawi do mnie:

„Eccellenza (nie ma z czego się pysznić, bo wszystkich tak mianują), ja znam Polaków, ja zaraz poznał, że Signor z tą piękną Signorą po polsku mówi. O Polacy to dobrzy panowie — niech im Madonna Santissima zdrowie daje.“

Zdziwiłem się nie pomalu i mówię: „kiedyś taki sprytny to cię biorę na Cycerona;“ a innych odpędziwszy, poszedłem razem z żoną i dziećmi do katedry, pytając się po drodze Włocha, jakimby on sposobem znał język nasz?

A ten mi zaraz bajać zacznie, że tu niedawno umarł na suchoty młody Polak, co przypłynawszy z Malty, mieszkał sześć miesięcy w Morreale, znać dla zdrowia. Że go wszyscy znali, co dzień widywali, kiedy w południe wychodził, opierając się na ramieniu służącego z którym rozmawiał tym samym językiem co ja z żoną — że ten służący nigdy słowa po włosku nie mógł się nauczyć — że tylko o swoim panu mówił „Liienza, Liienza!“ i płakał przed ludźmi, bo codzień pan gorzej się miał; chudł i bladł, aż nareszcie umarł; a służący go na cmentarzu pochował.

„Cóż to znaczyło to Liienza!“ zapytałem się.

„A to było imię młodego pana,“ odparł mi Włoch.

„Pleciesz — nigdy żaden Polak nie zwał się Liienza — to chyba Włoch jak ty sam.“

A hultaj mój kiwnął głową i powtórzył, zaklinając się na bożka Bachusa, że to był Polak, i że zwał się Enrico Liienza.

„Prowadź na cmentarz, ty! zawolałem — zobaczmy — jeżeli prawdę mówisz, piasra — jeżeli kłamiesz, kijem, by cię nauczyć, nie mieszać Włochów z Polakami.“

A on przystał, pewny swego i wesół jak chłop co idzie do karczmy — lecz chciał bałamucić — wprzódy katedrę nam pokazać.

„Na cmentarz!“ krzyknąłem, już zły, a chcąc zkądinąć prawdy dociec, czy też może być, by leżał wśród samych Włochów, sam jeden, biedny szlachcie polski. — Jeśli tak, to warto nasamprzód pójść do niego — a ciekawości i antyki na potem!

Żonę więc pod rękę, córkę i syna naprzód, i walę za Włochem — Włoch do klasztoru. — „Gdzie ty tam idziesz?“ pytam — on mi prawi że cmentarz w środku klasztoru — „kiedy tak, to idź.“

I prawda — prowadził nas poganin przez korytarzy malowanych mnóstwo — chciał freski tłumaczyć — ja go ręką w plecy, ale delikatnie. Co mi tam freski, kiedy o kilka kroków dalej Polak leży. — Aż tu weszliśmy w ogromny czworobok, bez dachu, otoczony rzędami kolumn — ładne kolumny — cienkie jak grube trzciny — dziwnie wyrabiane u spodu i góry, w grona winne, ptasie dzioby, głowy ludzkie — a każda obwiedziona mozaiką zieloną i złotą, gdyby pasem perskim.

Żona moja zaraz powiedziała że to architektura po Maurach — nie w ciemnię bite były te Maury, kiedy takie marcypany stawiali.

W środku czworoboku, na łące pełnej róż i cyprysów, kamień po kamieniu białym, pomniki, figle, posągi — aż w głowie się kręci. — Lecz to na potem wszystko; choć żona chciała oglądać, ja nie dałem i pchałem Włocha przed się — a mój wierzcipięta skacząc przez groby i krzewy, bieży do kąta pod murem i krzyczy, „*Eccolo!*“ i wyciąga rękę mówiąc znów: „*Complimentate me.*“

Dalibóg gdy się zbliżę, gdy spojrzę, znak święty krzyża uczynilem. Czym mógł się spodziewać?... oto stał przedemną krzyż drewniany, niski, ledwo że ostrugany, a na nim napis farbą czarną:

ZGON HENRYKA LIGENZY,

1840 roku, 12 kwietnia.

„A co nie Liienza, a co nie piaster?“ zawołał Włoch. Ja mu trzy rzuciłem, i zdjawszy furazerkę, mówiłem Zdrowaś Maryja, a potem zacząłem przypominać Imości, że to niegdyś wielka familija była w Polsce, z osiem kartek w Niesieckim jest o niej, ileż to dygnitarzy i senatorów z tego gniazda wyszło — a teraz co? — pożał się Boże! — Ostatni, bo nie słyszałem by inni jeszcze to imię nosili w kraju; a może są którzy go noszą, ale nie wiem o nich. Tak, zapewne, ostatni z Ligenzów tu leży za murem, na wyspie wśród obcych, prawda że pod ciepłym

niebem i między kwiatami — ale co mu po tem niebie i kwiatach!

Syn mój starszy Kazio (młodszy, Tadzio, został w domu z guwernantką), i moja Teodolincia (matka tak ją przezwała, choć ją ksiądz wyraźnie ochrzcił z wody i z ceremonii Barbarą — Urszulą), oboje ukłękli i pacierz zmówili.

Tymczasem żonie mojej przyszło na myśl, by zaraz kamień uczciwy sprawić P. Ligenzie wśród tych magnatów włoskich, bo aż wstyd że szlachcie polski tak nago spi na cudzej ziemi — z takim krótkim słowem, przez pocziwca służącego, niezgrabnie napaćkanem — i zaraz też, bo dowcipna kobieta, zaczęła, chodząc wzdłuż i wszerz, inny napis, zdaje mi się wierszami, układać.

A ja wołam: „Moja panno kochana, trzeba naprzód do wsi wrócić, a tam o wszystko się dopytać, wywieść — z kamieniarzem się rozmówić — i dopiero wtedy pisać, a nie teraz gdy jeszcze nie wiesz.“

Włochowi zatem obiecuję dobry komplement, jeżeli mnie zaprowadzi do gospodarza u którego mieszkał P. Ligenza — Włoch zaraz idzie, słowo w słowo żyd faktor u nas. Żonę z dziećmi zostawił na cmentarzu. — Tak Imość chciała, mówiąc, że będzie czytać na grobie włoskim, jakiegoś poetę Niemca.

Co niechlujnych i ponurych kątów w tym Morreale, to strach. — Wreszcie doszedłem do porządnego domu, na wzgórzu, z ogrodem, z kąd widać miasto Palermo i całą zatokę — anim patrzył — gospodarz stał na progu i jadł melona — mój Cyceron mrugnął na niego. — Już to oni sobie zaraz tam na migi, wszystko co chcieli, powiedzieli. Gospodarz jednak wyglądał na pocziwego i lebskiego ówika — z żalem prawie zaczął o panu Ligenzie:

„*Signore*, szkoda tego młodego pana. Taki był cichy, spokojny, wspaniały. — Żył miernie, ale regularnie płacił za wszystko — grosza długu nie zostawił — prawda że i grosza na pogrzeb także, ale ja i służący pochowaliśmy ciało. — Mówilem słuzącemu: „Zostań z nami, wy kieruje cię na Vetturyna“ — ale on nie chciał ani się po włosku nauczyć, ani tam zostać gdzie pan na jego rękę skonał, i odpłynął pierwszym statkiem — nie wiem gdzie — po-

dobno do Francyi — ale i on niedługo pożyje, bo po śmierci pana rozpił się z rozpaczy.“

Wtędym się zapytał czy nie zostawił P. Ligenza jakich papierów lub rzeczy.

Gospodarz jakby sobie nagle coś przypomniał, wziął mnie za rękę, i przez wschody zawiódł do porządnéj izby, na drugiem piętrze.

„Tu mieszkał — na tém łóżku umarł, patrząc się w morze i na *Concha d'oro* (tak przezwali sobie dolinę w której leży Palermo), a przed śmiercią sam widziałem że pieczętował zwój papierów, i zasuwiał potem w głąb téj szafy — służący pewno o nich zapomnieli, bo gdy ztąd ruszał, był jak waryat jaki“.

To mówiąc otworzył szafę. — Prawda, pod półką leżały papiery, wziąłem — ołówkiem na wierzchu napisano było: „Ostatni ślad myśli znikającej. — Jeżeli kiedykolwiek wpadnie w ręce Polaka, niech czyni z nią co mu się podoba — ja chciałbym, by ją wydrukował.“ I nie więcéj, tylko te słowa, i owe trzy ułamki, które w niniejszym tomiku wydaję.

Przyznam się że czytając je, małom co zrozumiał — nawet niezupełnie, oprócz dobrych chęci. — Są to i każdy powie to samo co ja, dziwaczne szusy umierającego na suchoty, bo jużci pytam się wszystkich wobec i każdego z osobna, co te wiersze o Cieniach znaczyć mogą, gdzie, jak twierdzi żona moja, która je na czysto przepisowała, raz to niby o człowieku, to znowu o Panu Bogu mowa? Co te widzenia Chrystusów, te święte Piotry co padają, kiedy świętego Piotra na własne oczy widziałem i wieki jeszcze stać będzie bo tak mocno stawiany jak żaden inny kościół na świecie — co ten niby kardynał, niby Jan apostoł, co papieża żegna i błogosławi — a to wszystko smalone duby — ale darmo, woli ostatniéj P. Ligenzy musiałem dopełnić kiedy mi Opatrzność jego dziełka do rąk wtrąciła. Z umarłym nie można jak z żywym! czy umarłemu co wyperswadujesz? a kiedy już tak żądał niechże i tak będzie! Tęskno mi było za nim, serdecznie tęskno — gospodarz mnie odprowadził aż do cmentarza. Idąc plótl rozmaite szczegóły o nieboszczyku — powiadał, że był śniadej cery, bardzo zapadłych ale świetnych oczu i dzi-

wnie powolnych ruchów — lecz że kiedy raz się rozgniewał na trzy miesiące przed śmiercią, to Włocha, który z nożem gonił za żoną, jak to zwyczaj u nich, gdy porwał za piersi i wrzasnął, to Włochowi aż krew z nozdrzy i z ust buchnęła. Zresztą nigdy nikt go niecierpliwym ni złym nie widział. Często grywał na fortepianie, który sobie z Palermu sprowadził. Lubił całe noce czuwać i grać — to mu nawet szkodziło! A na kilka dni przed śmiercią zawołał gospodarza do siebie i biorąc pałasz kosztownie oprawny rzekł do niego: „nie mam już z czego płacić tobie — wkrótce już za nic nie będę potrzebował płacić. Sprzedaj ten pałasz i weź com ci winien“, a gdy to mówił miał łzę dużą w oku.

„I cóżes wasan uczynił?“ zapytałem gospodarza.

„Sprzedałem“ odpowiedział.

Mało com Włochowi w oczy nie plunął, osobliwie, kiedy mi zaczął opisywać pałasz. — Zdaje się, stara to broń była po Ligenzach, na rękojeści turkus — na kłindze krzyż i imię familijne.

Jeszcze mi się tęskniej i smutniej zrobiło.

Ale czem był P. Ligenza, ale gdzie ostatni raz widział się z swoimi, czy miał krewnych jakich, czy odbierał od nich listy, czy przepędzał życie w kraju, czy za granicą, czy teraz tylko z Malty, czy z innych stron odleglejszych tu przybył, tego na żaden sposób dociec nie mogłem, bo i sam gospodarz nie a nie o tem nie wiedział.

Zatem nie wiele żonie do nagrobku pomogłem, gdym wrócił na cmentarz, ale już był w głowie napisany. Ułożyłem się z P. Balduccinim (tak zwał się gospodarz) by mi wynalazł rzeźbiarza. — Sztukę marmuru białego kupilem, a po tygodniu gdym wrócił z Palermu by przekonać się, czy mnie też czasem nie oszukali Włochy, zastałem na cmentarzu kamień mój z napisem żony mojej, zaraz przy krzyżu, który zostawić byłem kazał — bo co sługa na grobie pana postawi, to święte. — Po tem Bóg sądzi że to dobry pan być musiał!

A napis nasz taki:

TU. ZASNAŁ. DO. CZASU.
 Ś. P. HENRYK. LIGENZA.
 NARODEM. POLAK.
 ZNAKOMITEGO. NIEGDYŚ. W RZECZYPOSPOLITEJ.
 RODU.
 ŻYCIEM. NIEZNANY.
 ŚMIERCIA. WŚRÓD. OBOCZNYCH.
 NA WYSPIE. DALEKIEJ.
 GODZIEN. ŻALU. I MODŁÓW.
 POCHOWANY. PRZEZ. SŁUGĘ.
 WIERNEGO.
 POMNIKIEM. UCZCZONY.
 PRZEZ. PODRÓŻNYCH. ZIOMKÓW.
 KTÓRZY. GO. NIGDY. NIEZNALI.
 TYLKO. MYŚLI. JEGO. CZYTAJĄC.
 UCZULI. ŻE. ON. BYŁ. ICH. BRATEM.
 NA ZIEMI.
 A TERAZ. ŻE. O NICH. MODLI SIĘ.
 W NIEBIESIECH.

Tak żona moja chciała, trochę tam kadzidła co do tych myśli czytanych — no — cóż robić — lepiej podchlebiać umarłym niż żywym!

Com miał powiedzieć, powiedziałem — napisałem. — Ale kiedy to już ma pójść do druku, to jedno jeszcze dodam, że mi się we Włoszech dwie tylko rzeczy nadzwyczaj podobały — podpora w Koloseum postawiona przez papieżów by stare mury nie gruchnęły i błota Pontyńskie, całkiem do naszej Pińszczyzny podobne — chciałbym być w nich polować ale czasu nie miałem.

Niechże Bóg teraz świeci nad duszą pana Henryka Ligenzy — com mógł uczynić dla niej!

Pisałem w Szafuzie, na przejeździe, 1 Lipca 1849 roku
Stefan, Szczesny, Bogdan Mielikowski,
 przydomku i herbu Gozdawa.

SYN CIENIÓW.

5. Tedy Anioł, któregom widział na morzu i na ziemi, podniósł rękę swoją ku niebu.

6. I przysiągł przez żywiącego na wieki wieków, który stworzył niebo i to, co na niej jest, i morze i to, co w niem jest, że czasu już nie będzie.

OBJAWIENIE Ś. JANA, ROZ. X.

yn cieniów patrzy w otchłań, w ziemię, na dół.
Moc go nieznana z ciemni wyrzuciła,
Dzika wilczyca piersią wykarmiła,
I pod Tytanem stęknął ziemi padół.

Poszedł w pół senny i darł się po górach.
Zawisł; ssie wilgoć na gór szczycie, w chmurach,
Aż mgła wisząca pęknie u skał szczytu,
I światło spadło z krainy błękitu.

Pojrzy syn cieniów w oddal, w górę, w niebo,
Wyciągnął ręce do wyżyn wszechświata.
Choć z ziemi rodem, już ziemią pomiata,
Nektar gwiazd mlecznych, ust jego potrzeba!

Ale nim wdzieje szaty człowieczeństwa,
Nim się rozbierze z powicia natury,
Musi z nią walczyć i znosić tortury
Olbrzymie, straszne Tytanów męczeństwa.

Aż w starożytnej odmětu zawiei,
Wyjdzie przemienion i „Jestem“ zawoła,
Ludzka mu piękność wyjrzy wtedy z czoła,
W sercu zakwitnie kwiat błędnych nadziei!

Choć Boga tylko zna on gniewu panem,
Choć pozór dotąd mu prawdą jedyną,
I przeciw losom brata się z Szatanem —
Ta dola płynie, bole te przemina!

Przez długą pracę ludzkiego męczeństwa,
 Znów się rozbierze z szaty człowieczeństwa,
 Myśl która truje, krew własna co krwawi,
 Glinę mu z serca wyżre i przetrawi —

Cierniów koronę przywiąże do skroni,
 I łzę miłości nad bracią uroni,
 Cierpiąc i wierząc w Ojca Niebieskiego,
 Jak duch nieszczęsny — lecz wolny od złego!

Aż znów się zbudzi odwieczna tęsknota,
 Dni zwątpień wrócą, pokusa się wzmoże,
 Znów mu się wyda, że z niego sierota,
 Rzucony oślep na zaguby morze!

Ale złe przejściem — tylko pyłem drogi —
 Jeśli piorunem — to doczesnej burzy —
 Jeżeli cierniem — to łodygi róży
 Której kwiat płonie tam gdzie Bogów progi!

Ten co dziś wątpi — co od wieków jęczy,
 Gwiazd swych się dowie i zamieszka z niemi,
 Bo w gwiazdę nieba przetworzy krąg ziemi
 Wiążąc go z Niebem, innej wstęgą tęczy.

Stapaj więc dalej, o synu światłości!
 Stapaj ku światów nieodkrytych stronie!
 Wszystko co żyje, świeci, dźwięczy, płonie
 Twojem, na drogach twej nieśmiertelności!

Coś myślał pojął — dosięgniesz ramieniem —
 Ujrzysz na oczy — coś przeczuł natchnieniem —
 Z strun twojej lutni rozpierzechnięte dźwięki
 Weźmiesz jak perły widome do ręki.

Gdy wrócą kiedyś świeże i stwardniałe,
 W życiu wcielone, w próżni zmartwychwstałe.
 Na wieki wieków dane Tobie — Tobie.
 Coś marzył czasem że twój koniec w grobie!

A hańbą ową nie dręcz się, pielgrzymie —
 Gdziekolwiek idziesz tam wre anioł życia;
 Twarz jego czasem w czarnym śmierci dymie —
 Lecz jak kwiat róży nim wyjdzie z ukrycia,
 Jak uśmiech dziecka nim błysnie z powicia!
 Bądź znów jak Tytan, wielki — silny — dumny —
 Wszędzie kolebki — nie ma nigdzie trumny —
 I wszędzie niebo — nie ma nigdzie ziemi —
 I wszędzie Bogi — nad Tobą i w Tobie,
 Na każdym miejscu i o każdej dobie,
 Byłeś — nie jesteś, lecz znów będziesz z nimi!
 Aż kiedyś ujrzysz jak z lazurów łona
 Jasność jasności, Bóg Bogów powstaje.
 I znów do Niego wyciągniesz ramiona,
 I On cię porwie w inne — dalsze raje!

Znów za nim pójdiesz ty anioł, ty święty,
 Lecz on ci jeszcze będzie niepojęty —
 Choć w innem ciele, choć na skrzydłach gromu,
 Coraz to chyżej i wyżej niesiony,
 Ty tęsknisz dotąd — boś nie znalazł domu —
 I świat twój jeszcze nie jest nieskończony!

Choć wstęgi mleczne u stóp twoich płyną
 Jak niegdyś ziemskich oceanów fale,
 Ty na nie patrząc, nowe czujesz żale.
 Wiesz że i one jak tamte przeminają!
 Dotąd ci czegoś brak, synu światłości!
 Choć latasz wolny po światów przestworze,
 Cień twoich skrzydeł dotąd w nim się toczy,
 Mgła niepamięci dotąd émi ci oczy,
 Ostatek bólu w twojem sercu gości,
 I jeszcze wołasz na Boga: „Ty — Boże!“
 Duch twój dopiero u progów wieczności!
 Aż przejrzyś Pana jakoś ty przejrzany,
 I poznasz siebie — a w tej samej chwili
 Noc niepamięci w Tobie się przesili —
 Wspomnisz nareszcie, żeś z Panem nad pany
 Duch ten sam, jeden, na wieki i wszędzie,
 Co *jest* już teraz — nie był, ani będzie!

Bo pierwsze, wszystkie kształty przeminęły —
To sen twój mijał jak fal miliony —
Ten sam ty byłeś, lecz nieprzebudzony
Boś śnił o falach co w Tobie płynęły!
Teraz żyć poczniesz — boś uczuł żeś razem
Potęgą marzeń i marzeń obrazem!
W jednym wspomnieniu po długim pogrzebie
Tyś zlał się z sobą — tyś przypadł do siebie!
I wszystkie dusze co wierzyły Tobie
I przez ciąg wieków spać się kładły w grobie,
Coraz to wyżej z grobu w grób na zmiany
Wschodząc i żyjąc — do ciebie wróciły!
Tem są na końcu czem w początku były —
Świat jeden ducha z twoim duchem zlany —
Lecz każda dusza na *ciebie* wyrosła,
I siebie samą w twoje łono wniosła,
I wie o sobie — że stała się synem
Równym ci, Ojcze, i wiecznie jedynym.
Bo w każdej Jeden Ty jesteś, o Panie!
I w każdej wołasz „Ja“ a oprócz Ciebie,
Nigdzie nie ma i nie powstanie!

Teraz myśl—kochaj—stwarzaj—wiecznie niebo w niebie!

SEN CEZARY.

1. Choćbym mówił językami ludzkimi i anielskimi, a miłości bym nie miał, stałem się jako miedź brząkająca, albo cymbał brząający.

2. I choćbym miał proroctwo i wiedziałbym wszystkie tajemnice i wszelką umiejętność, i choćbym miał wszystką wiarę, tak żebym góry przenosił, a miłości bym nie miał, nim nie jest.

LIST PIERWSZY Ś. PAWŁA DO KORYNTYAN,
(Rozdz. XII.)

Głenie zewsząd w duszy mojej i w około ocz moich — głos mnie zawołał po imieniu: „Cezara, Cezara“ i wyszedłem i idę, sam nie wiem gdzie, ale za tym głosem pójdę, jeśli trzeba, aż na koniec świata!

Widzę wieżę czarną przy wielkim kościele — kazano mi wejść do niej; wstępuję ciasnemi wschody — głos przedemną leci i woła: „Cezara, Cezara.“

I nagle, grube mury stały się jakoby hafty, jakoby rąbki, jakoby kwiaty z kamienia; pośród ich liści i kielichów światło miesięczne się wkrada. Im wyżej, tem więcej takich kwiatów, tem wysmuklejsze, przejrystsze i światła też coraz więcej przybywa. — Głos wciąż woła: „Cezara, Cezara.“

Okrażyły mnie poręcze granitowe — przepaść bezdenna podemną — nademną dzwonnica pleciona przezroczysto, róże gotyckie kładzione na różach, arkady podslane arkadom, świat ostrołuków pnący się ku niebu — a przez każdego z nich gwiazdę jedną widać, a przez jeden z nich księżyc złoty, szeroki, tam daleko, tam nad górami!

Głos wstąpił w dzwonnice, i jak słowik ukryty w gaju, woła na mnie: „Cezara, Cezara.“ Okolica jak świat szeroka, roztoczyła się przedemną. Zdało mi się, że widzę pomieszczone wsie, miasta, wzgórza, doliny i bory uspione, księżyc nad niemi płynie, wszystko się stało bladem złotem i ciszą!

W tem z pod stóp moich nagle, od razu wzbily się dźwięki poważne, jakby organów szum pomieszany ze śpiewem ludu. I coraz głośniejszy i coraz pełniejszy te akkordy wschodzą z dolnego kościoła — idą do mnie — otoczyły mnie!

A za każdym akkordem światło miesiąca żywsem się staje, gwiazdy się rozszerzają jak źrenice coraz większe, ognistsze — niebo całe jak jedno morze jasności wisi nademną — ziemia cała, jak jedno zwierciadło kędy się ta jasność odbija, leży podemną — wieża tylko, i katedra tylko czarne, jak skała czarna!

I wszędzie, wszędzie ujrzałem jakoby tłumy narodów przechadzające się po tej jasności — usłyszałem krzyk ich mowy i odgłos ich stapań. — Szli nie zawracając — gdzie się spotkali tam wrzask się wszczynął, a czasem wznosiła się pieśń błoga pokoju — i szli coraz dalej w nieskończoność widnokregu — księżyc już teraz jak ogromne, krwawe słońce gorzał nad nimi, a gwiazdy wszystkie patrzyły z góry jak kolujące księżyce.

I ujrzałem pośród narodów garstkę ludzi, ubranych w szaty żałobne, garstkę ludzi ujrzałem niosącą sztandar na którym napisano było „naród,“ — ujrzałem ostatnie pokolenie wielkiego plemienia, idące zwolna jakby za pogrzebem, idące także w nieskończoność — a gdziekolwiek spotkały się z drugimi tłumy, torujące sobie drogę ostatkami szabel. — Wielu z nich dźwigali szczątki łańcuchów na nogach i dłoniach, byli bardzo bledzi i bardzo znużeni — nieśli dzieciątka konające w ramionach, inni w objęciach trzymali zemdlale niewiasty podobne do umarłych aniołów — wielu z nich, znaczyli ślady swoje krwią z ran płynącą i na ich piersiach głębokie rany widziałem — na ich czołach jakoby wieńce cierniowe — w ich ręku jakoby krzyże zwiedłemi kwiaty oplecione, a milczeli tak jak groby milczące, bez krzyku walczyli — bez jęku padali — bez pieśni zwyciężali — bez narzekania szli dalej na nową bitwę i śmierć tę samą!... Długom patrzył czy też kto ich nie przywita miłosiernem słowem lub uściskiem bratnim. — Lecz nigdy i nigdzie nikt im ręki nie podał, nikt z drogi się nie usuwał, by mogli ci umierający przejść w pokój. Tłumy narodów jak mury czarne stawwały w poprzek im; jak potoki czarne płynęły przeciwko nim — jak stada drapieżnych ptaków pastwiły się nad ich obalonemi ciałami.

I żał serce mi objął i lży do ocz mi się cisną. Zrozumiałem katedry ponure jęki, owe podziemne akkordy bijące ku niebu — one grały pogrzebną pieśń ludu tego!

— A głos z wnętrza dzwonnicy zaszumiał ku mnie: „Cezara, Cezara, oto lud co zehodzi z ziemi i nie powróci nigdy“.

A gdym spojrział znowu, oni bili się otoczeni zewsząd i już bez nadziei — bo ów księżyc jasny jak słońce oblewał ich promieniami, a nad ich wrogami wisiała jakoby mgła połyskami przetkana — i było im bardzo ciężko i skwarno, wszystkie kule i cięcia prosto w nich trafiały. Ich miecze, ich groty, daremno błędząc w cieniach, wrogów zabijać nie mogli. I było im nieznosnie gorzko!

I każdego z nich wzniósł w górę dziecko swoje, i rzekł: „leć do Boga, sieroto.“ — A zdało mi się że na chwilę zbladł księżyc i z nad ich głów się odsunął — i przepaść jakaś lazuruwa wydrążyła się w niebie — i w nią wleciały owe wszystkie maleńkie, jak rój białych aniołków — wlecieli i zniknęli — i zamknęło się niebo i znów księżyc roziskrzył się krwawym blaskiem i walka na nowo się rozpoczęła na ziemi!

A umierających coraz mniej, umarłych coraz więcej widzę! Jednak żaden dotąd nie rzucił broni, nie klął — nie błagał przebaczenia — nie zdał się na hańbę niewoli! Słyszę głosy wołających tłumów. — „Żyćcie i bądźcie naszymi sługami.“ Umierający wstrząśli korony cierniowe na czołach i odpowiedzieli jednym wielkim krzykiem, jak gdyby ostatniem wyzwaniem do boju!

Krąg wrogów jak pierścień żelazny ścisnął się koło nich, nad tym pierścieniem druga obręcz z dymu i błyskawic zaokrąglą się w powietrzu — wtedy każdego z umierających rzekł do zemdlalej niewiasty, którą trzymał w objęciu: „obudź się i powiedz, czy chcesz żyć dłużej odemnie?“

A owym aniołom bladym roztworzyły się oczy i każda odrzekła z westchnieniem: „Ziemia wasza, ziemią naszą. I grób wasz, grobem naszym. Tam razem z wami mieszkać będziemy.“ I uśmiech miłości nieskończonej zakwitł na tych wszystkich ustach. I każdego z umierających jak stał z podniesionym mieczem, tak utopił go w piersiach tej którą kochał — potem złożył jej ciało na murawie i pobiegł naprzód ku wrogom. — Znów się straszna walka rozpoczęła na ziemi!

I zdało mi się że z tych postaci białych, leżących na zielonej murawie, powychodziły dusze lekkie i srebrzyste, w wielkim smutku, i jak wieniec lilii nadpowietrznych zawisły tam w przestrzeni i płakały nad tymi którzy walcząc ginęli — i nad tymi którzy jeszcze dotąd zginąć nie zdołali, nad ostatkami wielkiego narodu!

Głos słowiczy jęknął z dzwonnicy: „Cezara, Cezara! patrz, patrz, bo to ich ostatnia godzina!“ Katedra zadrżała od akkordu co wzbili się z jej lochów. Ten akkord jak piorun co bije z głębin ziemi ku niebu, rzucił się i rozległ się wszędzie, i znów zebrawszy się razem pieśnią żalobną wyżej podniósł się, i wyżej jeszcze, i słyszałem go wciąż nad sobą, jakby doszedłszy kończyn świata jeszcze brzmiał tym samym dźwiękiem rozpacz, tam gdzie gwiazdy świecą i gdzie ten krwawy księżyc błyszczał.

A gdym oczy obrócił ku ziemi, ujrzałem tłumy narodów przechadzające się jako dawniej; na miejscu gdzie owa garstka poległa już trupów, ni krwi, ni broni nie było — murawa zieleniała — usłyszałem jakoby śpiew ptasząt w krzewinie — jakoby szmer ruczajów w oddali — uczułem jakoby woń spokojnych kwiatów lejącą ztamtąd i zdjął mnie strach, że tak cicho na tej wielkiej mogile!

A głos anielski mój, zawołał na mnie: „Cezara, Cezara, patrz co zostało się po nich.“ Ja w stronę głosu spojrzałem — a księżyc był znów mały i śniady — gwiazdy drobne i migające, okolica ta sama co na początku, wieńcem wzgórz otoczona, białych wiosek zasiana milczeniem.

Głos woła ciągle: „Cezara, Cezara“ ale zdało mi się że wyszedł z dzwonnicy i ciągnie mnie nazad ku wschodom wieży. I szedłem za nim coraz niżej zstępując, szedłem wśród dużej ciemności, w tęsknocie ducha mojego — i nie wiedziałem kędy idę, czułem tylko po wzrastającym smutku, że chyba do grobu.

I obrócił głos wzdychając, ku przejściu pełnemu blasków odbitego światła. — Szum dziwny słyhać jakoby szelest wielu liści suchych wijących się pospołu w lekkim wietrze — jakoby mowę wielu głosów przyciszanych bolem — jakoby skargę przebudzonych w trumnie i zasypiających znowu.

A głos rzekł: „Cezara! teraz módl się za nich“ — i ujrzałem przed sobą wewnątrz katedry bardzo długiej, nad którą stałem jak gdybym stał na podniosłości chóru, i z chóru zaglądał w tę głąb pełną kaplic, ołtarzy, filarów, ławek czarnych i lamp płonących przed obrazami, przed posągami, tu i ówdzie nad pomnikiem rycerza, tu i ówdzie nad chrzcielnicą, nad amboną, wszędzie u stóp i na szczytach słupów gotyckich i na arkadach i wzdłuż ostrołuków — ale ich promienie przyćmione były i zwiedłe, jakoby od lez wiszących w powietrzu — od mgły ledwo widzialnej co się przesuwiała w przestrzeni!

I ujrzałem pośrodku katedry wielki otwór rozwarły jakoby wstęp do podziemnych grobów czekających na kogoś — i ogromny kamień leżał przy tym czarnym otworze, kamień ogromny, biały jak alabaster i długą taśmą krwi obrabiony, krzyżem krwi pośrodku znaczony, a pod krzyżem było to słowo, także krwią napisane: *naród*.

I pusto było w tym wielkim kościele. — Wtem zdało mi się, że słyszę jakby przecucie muzyki tajemniczej w sercu, i z serca mego na jaw powstąpiły słabiuchne dźwięki — i już teraz chwytam, słucham nuty, do kropel kapiącej rosy podobne — i z nich powiązała się plecionka szmerów melodyjnych — i ta wielka katedra rozplakała się dźwiękami.

Każden jej ołtarz, każdy filar, każdy głaz jej posadzki zadrgnął jak struna — każdy jej posąg jęknął, ale pieśnią; i ta pieśń rosła spokojnie, poważnie, jakoby śpiew duchów niewidomych, cierpiących serdecznie i serdecznie modlących się o ulgę, o sen zapomnienia, o miłości i litości trochę — do wielkiego Boga!

W tem grzmot z organów uderzył — raz tylko — i rozwarły się bramy katedry — i głos mój rzekł do mnie: „Cezara, Cezara, patrz, bo to oni wchodzą.“

I szli polegli, szli umarli, szli jeden za drugim, sztandar swój niosąc jak za dni życia, trzymając w objęciach pozabijane anioły swoje — trzymając w ręku pęknięte oręże; szli jak mgły chodzą, bez szelestu, szli ze spuszczo-nem czołem, pełnem wspomnień bólu. — Dzieciątek ich tylko nie było z nimi — ale jak tylko przestąpili próg katedry i zaczęli stapać w stronę wielkiego ołtarza, tam,

kędy zdało mi się, że marmurowych aniołków grono wychyla się ze sklepień, ot! muzyka stała się miękka i tkliwą jak szczęścia wspomnienie — ot! jakieś wieńce nagle błysnęły w powietrzu i róż białych tysiące spadły na posadzkę — ot! tych aniołków grono motyli skrzydeł opasało się tęczę i każdy rączki wyciągnął, oderwał się od sklepienia, zawisł w powietrzu, i ważąc się w powietrzu, jasnymi oczętami zdał się szukać i poznawać, a poznawszy leciał ku nim, ku nadchodzącym, i skrzydełkami wieńczył głowy ojców poległych i matek uspionych snem śmierci!

A męże podnieśli czoła i uśmiechnęli się poznając przemienione dzieci — a matki rozemknawszy oczy krzyknęły z radością i z objęć mężów zstąpiły na ziemię i podnosząc dłonie ku tym aniołkom, nazywały je po imieniu, wołały każda swojego i wspinając się na palcach stóp, ustami goniliły te nadpowietrzne twarzyczki, przesuwające się jak kwiaty i gwiazdy nad niemi.

Aż drugi raz zagrzmiały organy — wtedy w pustych ławkach usiedli męże i odetchnęli jakby po męce życia całego — przed nimi koło stopni wielkiego ołtarza usiadły niewiasty i wnet zdały się na nowo bardzo blade i niewzruszone i głęboko śpiące. — Męże broń poskładawszy na ziemię, zdjęli z głowy korony cierniowe i podnieśli je w stronę posągu Chrystusa; ale nie wyrzec, ale o nie prosić nie mogli, bo ich piersi przebite były i usta oniemiały z bólu i znużenia.

A lampy ciemniały coraz bardziej — mgły zstępujące z sklepień wiły się na kształt całunów — gromnice gasły jedna za drugą — tony owe miękkie i tklive eichły pod jękami organów. — A im ciemniej i huczniej się stawało, tem posąg Chrystusa ów biały, wysoki, daleki, bielał i rósł bardziej przedemną — aż cały kościół zanurzył się w mrok szary — aż przestrzeń cała przemieniła się w grzmot nieustanny, podobny do huku trąb archanielskich. I postać owa wysoka, daleka, nad wielkim ołtarzem, jasną, bliską, żywą, zstępującą się wydała. — Ona jak słońce — oni wszyscy czarni i cały kościół czarny i drżący jak drzewo w wietrze jesiennym. — A postać zstąpiła i stanęła nad samemi niewiasty i pojrzała ku mężom siedzącym — a wzrok jej, była to jasność biała jak dyamentu!

Niewiasty się podniosły i zasłaniając oczy rękoma westchnęły: „O Panie, oddaj nam dzieci nasze.“ I mężę padłszy na ziemię, zawołali: „O Panie, oddaj nam Ojczyznę naszą.“

A postać zstąpiła jeszcze niżej i oni wszyscy powstawszy szli za nią, a ona wiodła ich ku roztwartym grobom, nietykając ziemi stopami ale płynąc i unosząc się.

I pierwsza w grób wstąpiła jak słońce co zachodzi, w grób ten czarny, mówiąc: „Odpocznijcie — kamień nad wami jak nademną zasunięty będzie. — Alboż ja nie przywas? Czemu się wahacie?“ I oni wszyscy zeszli i zniknęli, wszyscy aż do ostatniego, idąc za postacią Chrystusa. — I widziałem jak się podniósł ten głaz ogromny, z napisem *naród* i zapadł nad nimi. — I ostatni grzmot uderzył — i zgasła ostatnia gromnica.

A wśród ciemności usłyszałem jakoby chór duchów śpiewający ostatnie pożegnanie im:

„Złóżcie dłonie na zimnej pościeli — złóżcie czoła na trumny wezgłowiach — niech ostygną rany wasze — niech odpoczną serca. — Zapomnijcie! aż przyjdzie na was na ziemię waszą powtórnej wiosny godzina!“

„Ten sen będzie siłą wam; bo Pan czuwa nad waszymi trumny i czeka aż chwile przeznaczone miną, a teraz pokój wam — teraz zaśnijcie głęboko.“

I stało się wielkie milczenie — a głos który mnie strzegł, powtórzył z cicha te same słowa co pierwej: „Cezara, Cezara, patrz, co zostało się po nich.“ — A ja nie widząc zapytałem: „co?“ A głos rzekł znowu: „Patrz — oto ślad jeszcze po nich na ziemi.“

I nagle ujrzałem jakoby modrych wyziewów gromadę a w samym środku ich jakoby obraz malowany, powiewany powiewami wiatru — ujrzałem twarz niewieścią i całą postać niewieścią na pozór przemijającą — a doskonale piękną, z smutku wiecznego wyrazem na czole! — Jej szaty lekkie jak myśli, na wzór myśli tęsknych na około niej płynęły, takie białe! — Jej wzrok wbity był w próżnię przestrzeni. I dumny był ten wzrok choć łzawy — i harde to czoło choć obarczone cierpieniem — i uroczysta ta postać choć do snu nikłego podległa!

A głos zawołał na mnie: „Strzeż jej — Cezara, bo

ona siostrą tych, którzy walcząc polegli. — Ona jedna ocalała, by piękność rodu tego nie zaginęła całkiem na ziemi.“

A gdym drugi raz spojrział, uczułem że kocham ją — i zdało mi się że idę za nią, w świat mi nieznajomy; gdzieś pośród mgieł jesiennych, gdzieś w puszcze stroskane, kędy słyszać potoków przesłoniionych szumy, kędy liści żółkłych kręcą się tumany i orzeł jakiś krwią zboczony, mgłę przecinając, prowadzi panią swoją.

A ona stąpa, zawsze równie blada i lekka i piękna — zawsze równie samotna i smętna i dumna — zawsze do snu podobna, a jednak widna ciągle — ciągle błędząca, ciągle w milczeniu — a ja strzegę jej wiecznie. I gdzie ona pójdzie tam i ja pójdę — i gdzie ona spocznie tam i ja usiądę — i gdzie ona zniknie tam i ja zniknę z nią razem!

I zdało mi się że dni i nocy mijają jak fale białe i jak fale czarne jednego potoku — czasem widzę widmo słońca za chmurami, czasem księżyc przesuwający się na szczytach gór — niekiedy po za mgłą słyszę miast dalekich gwary — i w górze pieśń przelatujących Duchów — i gdzieś w dole, pod stopami, zdało mi się że słyszę płacz kopiących w kopalniach — i niżej jeszcze, śmiech podziemny szatana!

Lecz nie słucham, lecz nie patrzę. — Ja tylko idę za nią. — Zmierzch nas wiecznie otacza — smutek nas wieczny pojednał — nadzieja ta sama nas wiedzie. — Ona czasem odwróci oczy od przestrzeni w którą patrzy, od przyszłości w którą zagląda i spojrzy na mnie — ona czasem rozemknie usta i zawoła: „Cezara“. — Czasem z mgły śnieżną dłoń wychyli, a ja dłoń tę chwytam i opieram na sercu, aż odpocznie anioł mój — i tak idziem w nieskończoność. Jeśli żyć mamy, ożyjem, — jeśli zagnąć, zginiemy. — Gdzieś słońce to samo świeci, gdzieś grób ten sam czeka na nas — a idziem niepewni, czy w stronę słońca, czy w stronę mogiły. Tylko Bóg nam dał, że idziemy razem!

I nie zliczę czasu i nie powiem jak, lecz zdało mi się, że już część życia mego ubiegła, a sen mój trwał, w dalsze mnie coraz uwodząc pustynie — a miłość moja coraz większą była i smutek jej coraz większy także!

I nie pomnę gdzie, i nie pomnę kiedy, wydało mi się że ujrzałem cypel skały, po nad mgłę wytknięty. — I duch tam siedział podobny całkiem do czerstwego, starego człowieka, tylko że mu z ramion wisiały bezpieczne skrzydła jak u nocnych ptaków.

A siedząc na urwisku, trzymał harfę o jednej strunie i zaśpiewał:

„Wstrzymaj się, niedoświadczony — tu granica między krajem życia a padolem śmierci. — Jeśli ją przekroczysz, dusza twoja osłabnie na wieki.“

A jęk żelazny z owej struny się rozległ i strach mnie ogarnął.

„Opuść tę, która nie odżyje nigdy — piękność jej tylko przeszłości wspomnieniem — nie wierz, gdy spojrzysz na ciebie lub rękę ci poda — bo iskry miłości nie ma w tej żrenicy — bo siłę uścisków los wybrał z tej dłoni.“

I znów uderzył w jednostrunną harfę!

A postać stanęła i obróciła twarz ku mnie. Wszystkie sny niedopełnione, wszystkie zabite nadzieje jej rodu, całe życie ich, cała duma ich, i zgon ich, i sen ich teraz w grobie, razem w jednej chwili, odbiły się na niej!

A Duch znów zaśpiewał:

„Wracaj i żyj pośród ludzi żywych. — A ja tu z nią zostanę i śpiewać jej będę śpiew mój bez nadziei na tej strunie ostatniej — bo inne przebrzmiawszy, pękły — wszystkie razem niegdyś zwały się wiarą, odwagą, Kochaniem. — Ta jedyna dzisiaj zowie się nicością.“

I zdało mi się, że powstał i harfą rozcina mgłę na prawo i w lewo — i odsłoniły się za skałą wielkie cmentarze, stopy kości i stopy pruchów, koni szkielety i psów szkielety i sępów szkielety na ostatkach zwłok ludzkich ubranych w płaszcze, w ornaty, w korony, wśród pancerzy i mieczów i siodła — i rozwalone kaplice i ruiny bez końca na brzegach zamarzonego morza — i kłęby śniegu chodzące jak olbrzymy po szybach lodu — i chmury niewzruszone jakby drugi taki sam ocean ścięty mrozem na niebie!

A Duch wskazał w tę wielką przeszłość i rozśmiawszy się wskazał znów ku drugiej stronie skały — a tam rozwiodła się zieloność i błękit zaświecił — tam na tysiącach

wież tysiące sztandarów, każdy w barwach wiosny, tam białe kłęby pary i słupy żywe dymu.

Ale wnet oczym odciągnął i znów je wlepiłem w twarz postaci.

I zdało mi się, że zebrawszy ostatek sił, ona postąpiła naprzód, jakby dójść jeszcze chciała do tego brzegu ruin — by przynajmniej wśród umarłych ludu swego rozemdleć się i zniknąć!

Duch szczytu skały, Duch złego, Duch co mnie kusil, rzekł do mnie: „wybieraj.“

W tej samej chwili głos jej zawołał: „Cezara.“

A jam poszedł za nią, za tą, która nie powróci nigdy, na śmierci cmentarze.

Śnieg krąży nad nami jak grób nadpowietrzny. — Orzeł co leciał przed nią, padł na umarłe sępy i skonał. — Ledwo już dostrzedz mogę płynących jej włosów — daremno szukam raz ostatni jej dłoni wśród cieniów. — Ta, którą ukochał, wśród zawiei znika!

I sen mój się przerwał — ucułem wszystkie męki rozdziału, wszystkie próżnie nicości. — Zdało mi się, że ich postać Chrystusa oszukała zstępując z nimi do grobu; bo oni już się nie przebudzą! — i że ta, którą strzegłem oszukała mnie także; bo zostawiła mnie wśród umarłych na wieki! I usiadłszy na brzegach morza tego, prosiłem się duszy mojej by wyszła ze mnie.

A głowem trzymał na rękę, a przez palców szpary widziałem na lodach cień owego Ducha z harfą, przechadzający się w oddali. — I przechadzając się urągał mi.

Potem usiadłszy na wzgórzu śnieżnem, naprzeciwnie mnie, zaśpiewał:

„A co teraz?“

I z pod stóp jego, zerwało się stado kruków i każdy terazh ciągnąc mi nad głowę, powtórzył krakając: „A co z nic?“

I zdało mi się, że ze stosów kości i z głębi ziemi zamarzłej wydobyło się to samo słowo: „A co teraz?“

Duch wtedy bez żadnego brzęku zerwał ostatnią strunę i rzucił ją pod lody, mówiąc: „Wieczność się zaczęła.“

I zdało mi się, że duszę własną przeklinam, konając.

W tem głos dawny, głos anielski, co mi śpiewał na tej

cudnej wieży, odezwał się gdzieś — czy w głębiach serca mego, czy za temi chmurami!

A jam się zerwał i wołał: „Ratuj mnie; bo konam; a konam, boś ty zwiódł mnie.“

Lecz słowik mój, lecz Anioł mój na to: „Cezara, Cezara, czemu żalujesz, żeś życie poświęcił dla umarłej? Alboż nie wiesz, że jest zmartwychwstanie? A jakżeż zmartwychwstaną serca umarłe jeśli ich nie ukochają żywe i krwi im swojej nie udziela połowy? Ta co zabrała życie twoje odda je tobie, bo śmierć jej była tylko złudzeniem! Patrz!“

Jak nowonarodzoną gwiazdę ujrzałem postać wschodzącą z kończyn widnokręgu. — Uczulem, że będę nieśmiertelny bom nieśmiertelną ukochał — i koło mnie z prochu dźwigali się mężowie i widmo Chrystusa bielało nad nimi w powietrzu. — Zamknąłem oczy i padłem twarzą na ziemię wśród zmartwychwstających.

LEGENDA.

18. Zaprawdę, zaprawdę, powiadam tobie: Gdyś był młodszym, opasowałeś się i chodziłeś kędyś chciał; lecz gdy się zestarzejesz, wyciągniesz ręce twoje, a inny cię opasze i poprowadzi gdziebyś nie chciał.

20. A Piotr obróciwszy się, ujrzał onego ucznia, którego miłował Jezus pozad idącego, który się też był położył przy wieczerzy na piersiach Jego, i rzekł był: Panie, któryż jest ten, co Cię wyda?

21. Tego ujrawszy Piotr rzekł Jezusowi: Panie, a ten co?

22. Rzekł mu Jezus: Jeźlibym chciał, żeby on został aż przyjdę, co tobie do tego? Ty pójdź za mną.

EWANGELIA WEDŁUG Ś. JANA, (Roz. XXI.)

Zdało mi się, że w samą wigilię Bożego Narodzenia, wychodzę z bram Rzymu, i że idę przez kampanię. — Pogańskie tam grzały się groby w promieniach słońca — ranek był — niebo czyste jak zawsze i pustynia smutna jak od wieków.

Szedłem dzień cały, niesion ducha potęgą. — Stare wodociągi póki mogły szły za mną, lecz jam poszedł dalej. — Bluszcze, jak zielone żłoby Chrystusa szumiały po świątyni ruinach. Leciały nademną białych ptaków stada, przedemną w dole pełzał gad błyszczący. — Huk morza zaczął wołać na mnie!

A kiedym stanął na ostatniem wzgórzu ziemi — kiedym ujrzał wody, słońce już zachodziło! — a daleko na wodach stała plama czarna, jakby żywa, coraz większa i lecąca ku mnie — wreszcie ogromna, gdy słońce zgasło a zmierzch padać zaczął.

Wielki to i posępny okręt, bez płócien i masztów — a wszystkie fale kołami rozbija na pianę — i z pośrodku jego bucha słup dymu, który leci nazad w nieskończoność.

Coraz to ciemniej — on jak widmo czarne toczy się w przestrzeni, grzmiąc — dwa ogniki nocne spadły przed nim w morze — głos wtedy z pokładu się odezwał: „Czy dziś ostatnia wigilia Bożego Narodzenia?“

Ja w duchu przerażony odparłem ze wzgórza: „Zaprawdę dziś wigilia jest“; i wnet stanął okręt przy samych brzegach, blada para rozwiódła się nad nim, żużle i iskry sypnęły się z jego boków — w świetle czerwonym zajaśniał pokład na znikomą chwilę.

Stały tam postaci w karmazynowych czapkach i w płaszczach bielejących — usłyszałem niby zgrzyt łańcuchów —

zdało mi się, że pada ciężki most, długi most od okrętu rzucony do brzegów — po nim w ciemnościach wiją się te postaci i dążą ku mnie.

A gdy niedaleko już były, zapytały jednym głosem: „Kędy droga do Rzymu?“

Jam odparł: „nie ma tu drogi — tu pustynia.“ A oni odrzekli: „prowadź nas zatem.“ — A kiedym się wahał, znów się odezwali cichym i tęsknym głosem: „Myśmy ostatki szlachty polskiej. — Anioł pokazał się nam, anioł niepodobny tym, których oglądały ojce nasze, bo miał skrzydła bez blasku, i welon żałobny na czole — lecz wiemy, że on z nieba zesłan — a on nas tu posłał. — Długośmy płynęli — wielkie tam były wichry i sloty na morzu — lecz dopełni się wola Pańska, jeżeli dziś o północy stanem w Bazylice Piotra.“

A ja im na to: „Idźcie za mną, nieszczęśliwi ludzie.“ I nazad ku miastu od brzegów morza stapać zacząłem, drżąc i modląc się, jakbym przechodził przez cmentarz, a z tyłu za mną wstawali umarli.

Wiatr się zerwał, a żadnej chmury nie widać — gwiazdy wszędzie lśnią na ciemnym, na głębokim niebie — w dole taka czarna równina! szare tylko czasem mijamy mogiły — czasem bladych gruzów zaspę — czasem wodociągów bramy — z daleka słychać wielkich trzcin szelesty — w górze niekiedy krzyk nocnego ptaka — i bliżej, gdzieś wśród rozwalonych grobów, tam, szmery podziemne!

Oni idą za mną, z tyłu — czuję na moich barkach ich piersi oddechy — a chyżo stąkam, bo oni się spieszą — słyszę jak ich czapek kity łamią się w powietrzu — jak ich płaszców fałdy wiją się z wiatrami!

I zdało mi się, że widzę ognik błędzący w oddali — wnet drugi i trzeci — a gdym jeszcze postąpił, ujrzałem wielką mnogość świateł na równinie — przesuwwały się one, dążąc z stron różnych, a ku jednej stronie — i oto zaczął gwar głosów wielu szumieć w pustyni.

A gdym podszedł bliżej, obaczyłem jakoby mnóstwo pielgrzymów, idących przez kampanię, z pochodniami w ręku. — Łuna koło nich rozpostarta, szła razem z nimi, wśród dwóch wielkich ścian ciemności, a w niej wysokie

krzyże i obrazy świętych, i różnych narodów sztandary w powietrzu.

W sam środek tych tłumów wwiodłem hufiec mój — wtędym ujrzał zasepione lica ich — tych, którzy szli za mną i jakieś natchnienie w ich oczach, ale nie życia natchnienie — i szable, na których się opierali, jak tamte pielgrzymy na kosturach swoich.

A ledwom wszedł z nimi pod światło pochodni, zdało mi się, jakoby stanęły tłumy, pytając ich: „Co wy za jedni, i zkąd idziecie?”

Oni się zatrzymali, i dziwny uśmiech rozbiegł się po ich ustach — a odrzekli zaraz: „Ażaj nikt nas nie poznał na świecie?”

Cichy szmer, szmer rosnący rozległ się na okolo, zdało mi się, że wszystkie hufce pielgrzymów zawołały razem: „Znamy was — wyście ostatnie bohaterzy ziemi.”

Wtedy oni ciągnęli dalej: „Widzieliśmy anioła z czarną zasłoną na czole — a on nam kazał spieszyć do Rzymu — a wy, mówcie, czyście słyszeli głos jaki?”

Wzbił się wielki jęk tłumu odpowiadający im: „Amen”. — Ten sam anioł kazał nam domy porzucić — głos jego rósł nocą nad nami w powietrzu, i nie dawał nam zasnąć. — Dni onych, mówił, Chrystus raz ostatni narodzi się u grobu Piotra, a odtąd rodzić się już, ani umierać nie będzie na ziemi.”

I umilkło mnóstwo, i stało jakby własnymi przerażone słowy.

Pierwsi Polacy, ruszyli z miejsca, białe na ramiona zarzuciwszy płaszcze. — Z wszystkich stron kampanii coraz więcej tłoczy się pielgrzymów — już widne mury miasta — już słyhać dźwięk dzwonów — a im bliżej tem jaśniej, bo na bramach, na wieżach palą się wieńce światła — i tem huczniej, bo tu i tam i jeszcze dalej jeden po drugim, budzi się i grzmi, każdy kościół Rzymu.

Zdało mi się, że noc w dzień biała zmieniona — ulic, którem z rana opuścił, nie poznaję wcale. Tam gdzie gruzy tylko, tam gdzie puszczyk siada tylko, kołyszą się teraz snopy kwiatów, i lampy płonące — i rzymski lud ciśnie się tłokiem, wołając: „Weselmy się, weselmy, bo Chrystus dzisiaj narodzi się nam.”

A gdy ujrzeni szlachtę Polską, wstępującą w bramy, i pielgrzymów potok, płynący za nią, krzycząc, skakali z radości — pytają się tylko: Czemuście tak ponurzy, goście? Jeżeli was długa droga znużyła, odwilżcie usta sokiem pomarańcz. — Zrzućcie białe czapki i ciemne kapelusze — oto są mirtu gałązki — oto kamelie — skrońiom je waszym rzucamy na wieńce.“

Ale w milczeniu i brew zmarszczywszy, idą pośród nich Polacy, a idąc mówią do mnie: „Gdzie Bazylika Piotra? nam spieszo — nam tęskno — wszak już bliska północy godzina?“

A ja ich prowadzę przez Forum.—Zdało mi się, że Amfiteatr Flaviana, ten pusty, ten ciemny, ten stary, jak ogrom światła stoi teraz, od stóp po olbrzymie szczyty kagańcami rozwieszon — każdy listek bluszczu znać na nim — w jaskrawych szatach niewiasty i dzieci przechadzają się po piętrach gmachu i klaszcząc w dłonie, witają nas przechodzących.

I wszystkie łuki na Forum i wszystkie kolumny palą się, jaśnieją — i na wzgórzu ścianą z złotych ogni wznosi się Kapitol — od wielkiej łuny gwiazdy pomdlały na niebie.

Lud ciągle krzyczy: „Hosanna, Hosanna!“ A pielgrzymy śpiewają psalmy pokutne.—Lud ciągle bieży i zawraca, brzdąka na gitarach, roztrząsa iskry w powietrzu, a samym środkiem morza tego, my idziem czarno — powoli, w ducha żałobie.

Z wszystkich ganków, z wszystkich dachów, ulic, spadły na nas fiołki i róże.

Już dzwon Kapitolu brzmi daleko z tyłu — a przed nami dzwon świętego Piotra odezwał się w przestrzeniach — on jeden, sam bije teraz — głośniej ponad wszystkie inne!

W stronę wołania tego spieszym się — most na Tybrze przechodzimy — domy na brzegach, jak ciche pożary — rzeka jak wstęga z płomieni. — Zamek Anioła najeżon działami — co chwila jedno działo, to błysnie, to zagrzmie.

Zawracamy teraz — już wchodzimy na dziedziniec Piotra — kopuła w lamp szkarłatnych tysiące ubrana —

krzyż na jej szczycie jak dyament — z obu stron kolumny dziedzińca wydały mi się kręcone z ognia. — Fontanny pośrodku jak tęcz płynących dwoje — i lud wielki obaczyłem czekający tam — i bramy kościoła rozwarłe — i wewnątrz kościoła jakoby nieskończoność płonącej jasności!

Póki mogli, szli Polacy i pielgrzymi, lecz na wschodach, u stóp portyku, mnóstwo zewsząd zamknęło im drogę. — Stanąwszy, o przejście wołają — lecz coraz bardziej, i z przodu i z tyłu i z boków, zgraje ciążą na nich.

I powstały głosy Rzymian: „Alboż my nie pierwsi — alboż ten kościół nie nasz od wieków i na wieki?“ A wśród pielgrzymów inne słyhać głosy: „Dotąd szlachta Polska torowała nam drogę — czyż i ona teraz przed nami wejdzie do świątyni?“

I ujrzałem jako Polacy wzniesli pałasze na znak, że się bronić będą — szczerym ogniem zaświetniały ich klingi w jaśni powietrza!

Lecz w tej samej chwili, na krużganku Bazyliki, wysoko po nad ludem, ukazała się postać w purpurze, która rzekła, a głos jej donośnym był bardzo: „Puszczaście tych, którzy dla wiary katolickiej niegdyś naród cudzy od śmierci zbawili, a później za tęż wiarę poginęli sami. — Umarłych puście naprzód.“ — Wzniósł rękę kardynał w prawo i na lewo, jakby tłumy rozdzielał — w dole rozdzieliły się tłumy — a on zobaczył i cofnął się nazad do gmachu.

A jam poszedł zaraz z Polakami prosto przez wschody, prosto przez portyk, w sam kościół, i przez kościół cały, aż przed wielki ołtarz, aż przed lampy, co się palą na grobie Piotra. — Tu stanęli, i zdjawszy karmazynowe czapki i białe płaszcze rozklamrowali na pierśsiach — przyklękli i modlili się, naga broń trzymając w rękę.

Pogoda śnieżna marmurów jaśnieje w pustym kościele — dymy kadzidel srebrno, przejrzysto, wstępują pod kopuły sklepienia wiszące nad nami — na mozaikach posadzki rozrzucone kwiecie i palmy. Ze wszystkich kaplic odzywają się chóry miękkich głosów radujących się — tam, w dali,

koło drzwi, zaczyna się przestrzeń napępiać. — Pielgrzymi idą przez ten świat śpiewu i światła, jako szli przez miasto całe, czarni i niepokieszeni. — Potok też ludu rzymskiego wbucha do Bazyliki, huczając.

A gdy każdy orszak zajął miejsce pod sztandarem swoim, przy ołtarzu swoim, przestrzeń ta wielka, cała, znów umilkła jakby pustą była — śpiew ustał po kaplicach — a od strony Watykanu odezwą się trąby na znak że Papież zbliża się do nas.

Przechodzą środkiem kościoła wszyscy zakonniacy Rzymu, starce po starcach, i inni starce i znów starce jeszcze, w białych habitach, w szarych włosienicach, z krucyfixem w ręku — przechodzą Biskupi w infułach, srebrne pastorały wlokąc za sobą — idą kardynały w rażącej czerwieni, koło nich księża w dalmatykach i tłum śnieżnych dzieci niosących wino, kadzidło i wieńce.

A gdy przelał się ten potok w stronę wielkiego ołtarza — tam gdzie rozstąpiły się tłumy, tam na pustej ulicy między dwiema ścianami z żywych ludzi — które teraz ukłękły nagle — szedł bardzo powoli siwy starzec w potrójnej koronie, z białą komżą na złocistych szatach.

Daleko za nim zostali się żołnierze i służba i tron niesiony przez kapłanów — on sam jeden stał w środku ludu i kościoła — sam jeden stapał ku wielkiemu ołtarzowi i zdało mi się że każdy krok jego trwa chwil wiele i że nigdy nie dojdzie do nas.

A gdy tak szedł wśród bijących czołem — niekiedy oczy przymykał jakby ulgi oczom szukał od światła tyłu — czasem nad ludem kreślił, nie dokreślał drżące znaki błogosławieństwa w powietrzu — aż stanąwszy westchnął i wznosił ręce ku niebu — lecz nie mógł ich utrzymać — opadły!

Na to westchnienie ludzie głowy podniosą. Od smutku ojca wszystkich pobledli wszyscy — wtedy zdało mi się że od wielkiego ołtarza zawrócił jeden z kardynałów, ten sam który wpuścić nas kazał, i wzniosłym chodem poszedł ku starcowi starców i podał mu rękę, oczyma jak błyskawicą wskazując mu grób Piotra. — Starzec znów postąpił kroków kilka i wzdrygnął się — kardynał długich włosów pierścienie wstrząsł ruchem głowy na bok i znak

dał tym co zostali z tyłu — oni pospieszą, tron złoty niosąc.

Wtedy ojciec który jest na ziemi, uchwycił bladą ręką za poręcz tronu i siadł na nim — a wzniesiono go zaraz w górę i trąby znowu grzmiały w kościele — kardynał idzie przy tronie. — Lud zrywa się z ziemi — dzwon uderzać zaczyna — dwanaście razy zdało mi się że zadrżały sklepienia — koło wielkiego ołtarza chmura kadzideł się wznosi, w niej papież na wschody wstępuje — a kardynał rzekł: „Chrystus się narodził.“

Zaraz z tłumu pielgrzymów wzbil się jęk żałosny: „wszak nie sprawdzają się słowa anioła, że po raz ostatni?“

A lud rzymski krzyknął wściekle: „kto śmie bluźnić w kościele Piotra?“

Jeden z szlachty polskiej wystąpił, wołając: „oni nie bluźnią, a my się nie lękamy was — oni prawdę mówią — ja sam i bracia moi widzieliśmy smutnego anioła.“

A kardynał znów jak książę potęgi ręką skinał i rzekł: „pokój ludziom dobrej woli, niech się modlą bo msza się zaczęła — a czas krótki — a modlitw dziś potrzeba na ziemi i niebie.“

I my wszyscy zaczęli się modlić w wielkiem oczekiwaniu.

A ojciec nasz święty siedział przed nami na tronie.

Z kaplic znów wzniosły się głosy gdyby chóry anielskie, pełne niebieskiej rozkoszy. Część nocy upłynęła — przyszli bieli kapłani, podali ręce ojcu naszemu — on z tronu zstąpił i poszedł ku ołtarzowi i wziął kielich w ręce, bo pora świętej ofiary nadchodzi — kardynał nalewa doń wina.

A w samą chwilę podniesienia, gdy wszyscy przypadli do marmurów usłyszano jakoby głos w powietrzu który wymówił: „Jestem“ a gdyśmy drżąc podnieśli głowy, ujrzeli wszyscy wielką postać opartą czołem na środkowej bramie, znikającą zwolna, coraz bardziej mgłą — a ręce jej były krwawe i nogi krwawe, lecz sama cała śnieżna — i jak śnieg topniejąc, zniknęła.

Wtedy kardynał, gdy papież trzymając jeszcze kielich w ręku wzdrygał się, sam rzekł: „*Ite missa est*“ a potem zawołał głosem ogromnym: „Czasy dopełniły się“

i rozdarłszy purpurę na piersiach, rękę wyciągnął w stronę grobu Piotra mówiąc: „Obudź się i mów.“

Z każdej lampy nad grobem rzucił się język ognisty i wieniec płomieni rozkołysał się nad ciemnicą grobu — a z dna tej ciemnicy podniosło się ciało, z rękoma ku sklepieniom — i stojąc po piersi zanurzone w grobie, krzyknęło: „Biada!“

A za tym krzykiem zdało się nam wszystkim że sklepienia kopuły pierwszy raz się porysowały.

A kardynał rzekł: „Piotrze, czy poznajesz mnie?“

A ciało odpowiedziało: „Głowa twoja ostatniej wieczery spoczęła na piersi Pańskiej i tyś nigdy nie umarł na ziemi.“

A kardynał odparł: „A teraz kazano mi, bym wśród ludzi zamieszkał i ogarnął świat i przytulił go do piersi, jako Pan głowę moją ostatniego wieczora.“

A ciało odparło: „Czyni jako ci kazano jest.“

Wtedy kardynał skinął znowu jak książę potęgi — a ciało powtórzyło „Biada mi“ i zapadło z strasznym łoskotem, jakby w otchłań, nazad w grób swój — i rwać się lepiej jeszcze w górze zaczęły sklepienia.

Nam wszystkim tak straszno się stało. — Jedna szlachta polska patrzy śmiałem okiem, oparta na szablach.

A papież w potrójnej koronie przykląkł na stopniach ołtarza i jak posąg niewzruszony klęczy.

Kardynał rzekł: „Wychodźcie wszyscy, i wy i wy i wy i wy jeszcze, by żaden z was nie zginął pod gruzami tych murów.“

A ludy odrzekły zewsząd: „prowadź nas Ty, które-muśmy się dzisiaj dostali w opiekę.“

I wzniósł się krzyk trwogi, bo coraz huczniej pękały sklepienia, bo wszędzie drżały kolumny i słupy, a lampy tłukły się w wietrze wielkim i gasły.

Wtedy kardynał: „Ojcie mój, czy tu się zostać chcesz?“

A starzec rękę podnosząc i przytrzymując koronę, odparł głosem zbolałym: „Ja tu umrzeć chcę — zostaw mnie, synu.“

I lud wszystek usłyszał tę odpowiedź i krzyknął: „Uciekajmy.“

I pierwsi Rzymianie zaczęli się zrywać i uciekać.

I kaźden hufiec ruszył się z pod ołtarza swego, z swoim sztandarem i jął uciekać.

Kardynał wtedy, przyklękawszy raz ostatni, złożył usta na czole starca i znak błogosławieństwa koło Jego korony, gdyby wianek siniego światła w powietrzu, potem zstąpił i z przedziwną jasnością koło skroni, szedł ku bramie kościoła. — Cały kościół giał się w podrzutach jak ciało umierające, ale on wzniesioną dłonią zatrzymywał rozdarte sklepienia nad ludem i patrzył aż wyjdzie ostatni z ludu.

A przechodząc rzekł do szlachty polskiej: „Ludzie, idźcie za mną.“

Nie nie odpowiedzieli.

On jeszcze głowę odwrócił i rzekł: „Idźcie za mną.“

Oni się nie ruszyli.

A gdy dochodził bramy pędząc lud przed sobą jako pasterz, raz ostatni jeszcze ręką skinął ku nim.

Lecz oni podnieśli tylko szable w górę, jakby na ich ostrzach wstrzymać chcieli spadające mury, i zawołali razem: „Nie opuścim starca tego. — Samemu gorzko jest umierać — a kto z nim umrze jeśli nie my? — Wy idźcie wszyscy — my nie umiemy uciekać.“

Kardynał zatrzymał się na samym progu i rzucił im zdaleka znak błogosławieństwa, wianek sinego światła także — i lżę miał tej chwili w oku, mówiąc: „Chwila jeszcze a poginiecie.“

Lecz oni szli już wtedy ku wielkiemu ołtarzowi po dać ręce klęczącemu i umierającemu — szli w białych płaszczach i w połysku szabel — a owe cztery kręcone filary ołtarza pękły jak ścięte drzewa i runęły — i baldakin spiżowy runął — i kopuła cała jak zstępujący świat, biało spadała na ziemię.

I wszystkie portyki i pałac Watykanu i kolumny dziedzińca łamały się, rwały, w proch się sypiąc — i obie fontanny jak dwa białe gołębie przypadły do ziemi konając, a lud uciekał coraz dalej jak morze wyparte z brzegów i zdało mi się że już ranek jest — że słońce dotąd nie wschodzi — i że widzę tylko gwiazdę jutrzeńki nad stosem gruzów tak wysokim, tak ogromnym, jako była niegdyś bazylika Piotra.

Wstępował na ten olbrzymi kopiec kardynał, a mnie się zdało, że poszedł za nim, niesion Duchą potęgą.

A gdy on doszedł szczytu, zasiadł gdyby na tronie i spojrzał na świat — a nawet szaty purpurowe opadły mu z ciała i przemienił się w postać białą, łagodnem światłem osrebrzoną — i księga była w ręku Jego — i schylił głowę ku jej kartkom i uważnie czytał.

A twarz Jego była jakby przepojona miłości wyrazem a pełna pokoju.

Zbliżyłem się zatem do niego i rzekłem właśnie w chwili gdy wschodziło słońce: „Panie, czy prawda że ostatni raz wczoraj Chrystus narodził się w tym kościele, którego już dziś nie ma?”

A on z dziwnym uśmiechem, nie podnosząc ocz z nad księgi, odrzekł mi: „Odtąd Chrystus ani się rodzi ani umiera na ziemi.”

A ja to słysząc zbyłem trwogi wszelkiej i zapytałem się: „Panie, a ci których przywiodłem wczoraj czy na zawsze już leżą pod temi gruzami, wszyscy umarli koło umarłego starca?”

A ów biały święty odrzekł mi: „Nie trwóż się o nich. Za to że wyrządzili mu ostatnią przysługę, Pan odwdzięczy im — bo zachodzący tak jak wschodzący, umarli tak jak żywi są z Pana — owszem — im lepiej będzie i synom synów ich.” A gdym zrozumiał, ucieszyłem się i Duch mój się przebudził.

PRZEDŚWIT.

Ultima Cumaei venit jam carminis aetas:
Magnus ab integro saeculorum nascitur ordo.
VIRGILIUS (Ecloga IV).

Hodie scietis quia veniet Dominus et salvabit
nos et mane videbitis gloriam ejus.
MISS. ROM. in vigil. Nat. Dom.

A Jezus im odpowiedział: Ojciec mój aż dotąd
pracuje i ja pracuję.
(EW. Ś. JANA. R. V. v. 17).

Za dni Cezara poprzedzających wielki dzień Chrystusa, świat starożytny był doszedł do ostatnich wyników historyi swojej — w Religii do zupełnego zwątpienia — w Filozofii do zupełnego obalenia zasad Politeizmu. Augur śmiał się z Augura — a grecki sofista z samego siebie. Krytyka rozumu zniszczyła wszelką wiarę dawną, wszelkie życie żywiące wśród ludów, a nie równie żywotnego lub żywotniejszego na to miejsce nie postawiła. Gdzie tylko spojrzeć w świecie ducha, ruiny, swawola, rozstrój — *quot capita tot sensus*. — Epikureizm, Stoicyzm, Platonizm, przechadzały się jak mary po owdowiałych piersiach Ludzkości. Z tyłu wojen, proskrypcyi i rewolucyi, wielkie znużenie było się zostało w sercach — wszystkie wiary polityczne spełzły na niczem; i plebejanin Maryusz i patrycyusz Sylla nie zdołali urzeczywistnić myśli swoich — choć niesłychanym krwi ludzkiej rozlewem, gwałtami, niesprawiedliwością, terroryzmem, starali się dawnego i znikającego porządku kształty raz jeszcze z przeszłości wywołać, i żywą teraźniejszością uczynić! — Śmierć tylko śmiercią wprowadzać można — jedno życie tylko, nie broni się rzezią — nie wtłacza się na karki ludzkie jarzmem — ale żywotnie wstępuje w serce ludzkości, stawiając a nie niszcząc, kochając a nie kaząc zabijać. Wszyscy ci wiecy czy *zatracciele*, czy *odnowiciele* z ostatnich czasów Rzymu, jedną cechę na sobie noszą — pragną nieznośną postać rzeczy odmienić, ale nie wiedzą ku czemu dąży Hi-

storia świata. — Jedni trzymają się podania Grakków, i chcą demokracji — drudzy wierzą jeszcze w *bogi Many* Appiuszów i marzą o arystokracycznej Rzeczypospolitej. — Takiem marzeniem obłąkany Brutus, ojca własnego, największego ze śmiertelnych przed Napoleonem, zamorduje i nazwie to cnotą, a konając zwątpi o sobie, o ojczyźnie i o Bogach, i krzyknie: „Cnota jest także złudzeniem.“ — Dusza zabijającego się Brutusa, to najprawdziwszy obraz duszy świata całego naonczas. Słabość, niepewność, gorączkowa żądza czegoś lepszego, i gorączkowe przerażenie po każdym czynie dokonanym, który do pożądanej przemiany nie doprowadził, oto są duszy takiej piętna — i z tych znamion łatwo rozpoznać, że świat ten bliski dnia sądu i przeobrażenia swego!

A nietylko umysłowy stan ten bez wiary i daremnych tęsknot lub żalów świadczy o tem. Inna jeszcze występuje tu cecha — nad wszystkie ważna — dowodna — niechybna — choć z wręcz przeciwnego stanowiska zarwana, choć tycząca się tylko materyjalnej strony ówczesnego człowieczeństwa; kiedy albowiem wszystko na polu Ducha się rozprasza, skądinąd, na polu materyjalnych spraw i celów, coraz bardziej się kupi, zrasta, ześrodkowuje. Rzym choć rozdarty sam w sobie i już własnej nie mający idei, zwycięża, gromi, podbija wciąż i staje się wreszcie człowiekiem jednym tylko, któremu na imię Juliusz Cezar — a człowiek ten ziemię nauczy jedności i wspólności; na pozór wojnami ją skaleczy, na pozór bratu przeciw bratu, synowi przeciw ojcu krótki miecz do rąk włoży — przejdzie Rubikon bezbożnik — powie *jacta alea est*. — Cywilnej wojny ohydę śmiało weźmie na czoło swoje — Gallią o Egipt uderzy. — Germanom pokaże błękit niebios Greckich pod Farsalą — Greków za sobą porwie do Afryki — wszystko pomiejsza, rozkrwawi, napelni świat szczękiem broni, krzykiem boju, nienawiści krzykiem — a jednak wszystko mimowoli, mimowiedzy połączy, pobrata; granit plemion nieznających siebie zetrze na piasek jeden, ten sam gładki i równy, jednego uniwersalnego państwa! I o nim Żydzi myśleć będą że on jest Messyaszem — i ziemia o nim pomyśli na chwilę że on jej Bogiem! Lecz wiecie, że on był tylko poprzednikiem jej Boga, Na polu historycznego czynu, on

tym aniołem, któremu przykazano usuwać zapory z przed stóp idącego Pana! On świat przywiódł do materyalnej jedności, bez której żadne słowo życia rozejść się nie może — on ziemię znaną podówczas zamienił w jeden wielki i szeroki gościniec!

A lat nie wiele później, któż zaczął stąpać po tej bitej drodze? Kto kazać i oznajmiać że nowe życie już zesłane — i że zmarli nie umrą i że Bóg nieznany w Atenach, objawion w Hierozolimie? — Czy nie Piotr — czy nie Paweł — czy nie Jan święty? — Szaleli następcy wielkiego Juliusza — prześladowali wiarę nową — żartowali wśród biesiad ze słowa opowiadanego — chrześcian przybijali do krzyżów — a nie wiedzieli, że trzeba było zniszczyć dzieło pierwszego z Cezarów, by zaszkodzić rozprzestrzenieniu się nowej religii — że to samo co ich na *krótko* i *kroto-chwilnych* Bogów ziemskich wynosiło, torowało też drogę ruchowi poczętemu z nieba — i że jedność materyalna Państwa, które w sobie resztę świata pod nazwą prowincyi podbitych zamknęło, była podścieliskiem, warunkiem, zakładem, środkiem koniecznym postępu dla Chrześcijaństwa. — Dbali o tę jedność, pielęgowali ją, brónili jej o ile sił zniewieściałych im stało — a tem samem ślepo i bezwiednie opiekowali się coraz wyższym Chrześcijaństwem wzrostem! W ręku Opatrzności narzędziami byli — prawa historii dopełniali, wiedzeni własnym pożytkiem, tak jak handlarze i kupcy za czasów naszych — i tak z tyłu Szatanów widomych na ziemi, każdy był sługą bożych myśli — każdy jedną cegłą więcej rzuconą do budowy Kościoła. — Jako Imperatory przeszli oni obarczeni przekleństwem ludzi — jako *ceglę* zostali się — i dotąd potomni ludzie po nich deptają w Historii.

Discite historiam exemplo moniti! — Lat dwa tysiące upływa a te same znaki rozciągnęły się po falach czasu — ostatnie podrzuty Rzeczypospolitej Rzymskiej odbiły się w strasznem epileptycznem zadrgnięciu rewolucyi francuzkiej. Zerwały się cienie Maryusza, Sylli, Katyliny, pod krwawą postacią Dantona, Saint-Justa, Robespiera — wreszcie dni Cezara przelały się w dni Napoleona! — A chrześcijański Cezar, wyższy całą ubiegłą epoką od poprzednika, przepelniony wiedzą siebie samego i celem, któremu kwoli

Duch Boży kierujący dziejami go zesłał, rzekł umierając na skale wygnania: „*odemnie liczyć się będzie nowej Ery początek.*“ W tem słowie zawarta prawda i jego całej przyszłości. — Lecz nim ta prawda się rozwinie i dopełni, nim ze stanowiska Napoleońskiego, przejdzie świat do innego, całkowitszego i świętszego przeobrażenia się, musi się sam wyczerpywać jak wyczerpywał się starożytny, musi sam się zaprzeczać jak zaprzeczał się starożytny. — Nie od dzisiaj, nie od wczoraj ruch ten postępowy w *niszczeniu*, zawrót ten głęboki w zastanawianiu się nad sobą samym poczęty! — Od Grakków świat pogański nie spoczął aż usłyszał obietnicę Chrystusa — od Lutra nowożytny nie ma pokoju — cywilną ogromną wojną i myśli i miecza rozłamuje się coraz bardziej — i on też nie spocznie aż dojdzie nie już do usłyszenia ale do zrozumienia i dopełnienia obietnicy Chrystusa!

W okęgach religijnych wszędzie rozbrat — Kościół katolicki jakby snem od wieków trzech, od ostatniego Soboru, ujęty — Schizma grecka w dzieciennym kształcie pierwotnego chrześcijaństwa, na tysiąc kacerstw rozerwana — protestantyzm sam siebie rozwiązujący i mówiący *consumatum est!* W okęgach filozoficznej wiedzy, pewność — ale *braku* tylko — dowód, ale krytyczny tylko, że przeszłość niezdolna potrzebom ludzkości zadosyć uczynić. *Wściekło-flegmatyczne*, że tak powiem, zaprzeczenie filozofii niemieckiej, do najwyższego bezkształtu doszłe. Jednostronność *myśli* tknięta tą samą niemocą postawienia czegoś żywotnego, jak wprzód jednostronność *materji*, której się trzymał ród Encyklopedystów francuzkich. Ztąd mniemań, teoryi, przypuszczeń, systematów zagmatwany rój brzęczący nad Europą!

Wszystkich wieków co przeszły nad Ludzkością marzenia, nadzieje, szlachetne wiary i straszne bluźnierstwa, herezye chrześcijańskie wszystkie, Panteizm indyjski cały, Dualizm perski, Monoteizm hebrajski, Idealność wyłączna i zmysłowość wyłączna; wskrzeszone razem i w tej mieszaninie wykształcone, ogładzone, jedno na drugie się zasuwając tak iż trudne do rozpoznania — a wszystkie wołające do nieba o dzień sądu, o chwilę rozstrzygnięcia, same proszące się o śmierć by się prędzej przemieniły, i no-

wą iskrą życia pojednane zmartwychwstały młodemi napowrót! — Oto obraz umysłowej sfery czasów naszych!

Anarchia taka okropna, że koniecznie dąży do przesilenia — żądza taka wielka a dotąd daremna, że wzywa koniecznie pomocy Ojca, który jest w niebiesiech! — Kiedyż ta pomoc odmówiona była? Kiedyż Bóg opuścił Historyą, kiedy Historya wzniosła ku niemu ręce i językiem wszystkich ludów ziemi krzyknęła: „*Pokaż się nam, Panie!*“

Żądza nieskończona ciągnie za sobą wieczną tęsknotę i żal nieskończony — jak w osobniku tak i w rodzie ludzkim zdarza się melancholia — ze zbiorowego człowieka także cieknie czasami pot krwawych udręczeń na górach oliwnych Historyi. — Gdyby inaczej było, Ducha ludzkiego własną wolą wyrabiającego się by nie było — gdzieżby się podzielała zasługa którą on zasługuje w *czasie*? Czemże ona, jeśli nie życiem tem jego w Historyi, jeśli nie tym ciągiem pracy, podzielonej na momenta śmierci i z martwych z niej wstawania? A jakżeż się umiera, jeśli się nie zwątpi? A jakżeż się zmartwychwstaje, jeśli się nie uwierzy? By nie umrzeć, na to Bogiem być trzeba — człowiekiem na to by umierać. — Gdy Boży Duch połączy się z naturą człowieka, życie Boże grób ludzki rozwała — Chrystus umarł i wstał z martwych.

I Epoce wszczętej w słowie Jego, tak samo uczynić potrzeba, nim zdoła czynem treści całej tego słowa dorównać; — otoż ojcowie nasi stali na tej pochyłości co wiedzie do grobu — nas, dalej już losy zanosły i głębiej złożyły — my w grobie — myślę się — my już za grobem!

Wszyscy wiecie to, bracia moi, żeśmy się urodzili na łonie śmierci — i od kolebki oczy wasze wzwyczajone, poglądać na sińce zgonu rozciągające się po ciele Europejskiego świata! — Ztąd ból wieczny, co toczy wam serca — ztąd niepewność, co życiem waszem się stała. — Idziecie a nie wiecie dokąd — i nie modlicie się już jak za dawnych lat, jedno powtarzacie „*Żle nam jest*“. Lecz wszelki koniec, mieści już w sobie następny początek — dzień zgonu tylko poprzedza godzinę przebudzeń. — Alboż wy nie wiecie że to chrześcijańska wiara — a jakożby miała omyloną być, kiedy z Boga jest? Więc patrzcie uważnie,

a znaki śmierci przemieniają się wam nagle w znaki zmartwychwstania!

Nikt średnich wieków nie nazwie cywilizowanemi — nikt naszego aż dotąd religijnym; — cywilizacya się poczęła w chwili gdy wiara konała — cywilizacya jest to jedność materialnego bytu, jest to wspólność interesów ziemskich czekająca na zjawienie się Słowa Bożego. — Patrzcie! jak rosła i ugładzała wszystko, na to by idące Słowo Boże łatwiej się rozlało, prędzej się udzieliło z domu do domu, z kraju do kraju! — Czemże Napoleon jeśli nie tym drugim w Historyi Aniołem co usuwa zawady z drogi Pańskiej, gdy już bliska godzina Pańskiej podróży? — Państwo jego uniwersalne rozwiał się jak złudzenie — on umarł na dalekiej wyspie, a syn jego jedyny w stolicy nieprzyjaciela. — Bracia pozostali i ród ich miernością; — gdy pomrą te ciała, nie zostanie śladu, że za życia, każde z nich nosiło królewską koronę — a jednak mimo to, pamięć tego człowieka, nie pamiątką po umarłym ale Duchem żywym i coraz potężniej żyjącym jest! Co on pchnął do biegu, to teraz dalej się toczy — co ta dłoń na chwilę wszechmocna spoiła, to samo przez się coraz ściślej się spaja i wiąże. — Zapoznane ludy już się nie odpoznają — skupiony razem duch germański już się nie rozpręże — włoski toż samo i hiszpański toż samo! On narodowości ziemskie przebudził z uśpienia.

Chrystus objawił ludziom ideę ludzkości. — Przed nim prawdziwych narodów, oprócz hebrajskiego nie było: bo nie znano celu do którego dążą narody, ku któremu ciążą jak planety ku słońcu. — On to obiecał że będzie na świecie kiedyś jedna tylko owczarnia i jeden pasterz; on to przykazał modlącym się do Ojca powtarzać codziennie te słowa: *"Przyjdź Królestwo Twoje"* — i takim westchnieniem od lat dwóch tysięcy, my wszyscy prosimy Boga o uwidomienie się ideału ludzkości na ziemi!

Nie w nas naszego nie masz — wszystko od Stwórcy, myśl i ciało — Bóg nam niejako pożyczył nas samych. Naszym jedynie użytek, jaki czynimy z tych udzielonych nam zasobów; naszym tylko czyn nasz, zasługa którą stajemy się tem, czem mamy pozostać kiedyś w obliczu Boga, którą dopracowujemy się rzeczywistej i ostatecznej osobi-

stości naszej. Lecz ona tylko na ziemi, tylko wśród ludzkości położoną być może; ludzkość zatem wśród której zarabiamy na wieczny, przyszły żywot nasz, musi być sama wielką i świętą w Bożym pomyśle harmonią a nie znikomą marnostką bez wagi i celu! Ludzkość na planecie i nieśmiertelność każdego osobnika za grobem, są to dwa okręgi równe sobie, posługujące się nawzajem, nie dające się rozdzielić sercem ani rozumem; każdego drugiego poboczną, warunkiem, dopełnieniem, a oba zlewają się w trzecią, wyższą samego Boga potęgę!

Lecz czemuż jest planetarna ludzkość? Oto, całością, i jednością wszystkich możliwości Ducha człowieczego, wyrażoną widomie na tej ziemi przez zgodę i miłość członków swoich: to jest *narodowości*. Jako albowiem członki ciała ludzkiego są widomemi i rozmaitemi częstkami niewidzialnego *Ja* ludzkiego, które je wszystkie spaja i im wszystkim panuje, tak samo narodowości widome, muszą w różnitości swojej a zarazem harmonii, stać się kiedyś żywemi członkami powszechnej, że tak powiem, katolickiej ludzkości:

„A wszystko sprawuje jeden i tenże Duch, udzielając każdemu z osobna jako chce.“

„Albowiem jako ciało jedno jest a członków ma wiele, ale wszystkie członki ciała jednego choć ich wiele jest, są jednym ciałem, tak i Chrystus!“

Ś. PAWEŁ, List I. do Koryntyan, R. XII. w. 11—12.

Objawienie syna Bożego musi więc przechodzić wiekami ze stanu idealnego do stanu uwidomienia i rzeczywistości; na takim ruchu postęp zasługi ludzkiej, postęp człowieczeństwa zależy.

Słowo Chrystusowe nie mogło od razu przetwarzać polityki pogańskiego świata; bo skład polityczny i byt społeczny epoki jakiej zależy oczywiście od stanu moralnego indywiduów w niej żyjących i musiało zatem *schrześcianić* szczególne dusze przed chrześcianceństwem stosunków między narodami i państwami!

Ale za dni naszych, osobnik każdy chrześcianinem jest i wszystkie stosunki między nimi chrześciańskimi są. Gdzież dalej iść idei chrześciańskiej? Oczywiście w sferę niedotkniętą, nieprzerobioną dotąd, a tą jest sfera poli-

tyki. — Świat bliski, nie wielkiej odmiany (bo nie ze słów Chrystusowych odmienić się nie może) ale wielkiego *przemienienia* się ich, głębszego zrozumienia ich, wyższego ich uwielbienia! — Już w tych wyrazach: „Oddajcież tedy co cesarskiego cesarzowi, a co Boskiego Bogu“, zawarty jest cały dalszy ruch człowieczeństwa. — Bo ponieważ wszystko *Bożem* jest, musi stan rozdziału owego chwilowego między właścią Cezarową a Bożą, coraz bardziej się zmniejszać, i to co jeszcze wczoraj liczyło się za własność Cezarowi, dziś być już policzonem za należne Bogu: aż stanie się państwo Cezara nicością a Królestwo Boże *wszystkiem*.

Świat już dzisiaj pojmuje ku czemu garnie się Historia; wie że nią rządzi mądrość Boża i że celem jej jest Ludzkość czyli cała powszechność zgodna z wolą Bożą, znająca i wypełniająca prawo które Bóg jej nadał! Środkami zaś do tego celu, narzędziami, członkami żywymi są *narodowości* w których odbiły się jako w najwyższym swoim rozkwicie, wszystkich plemion ludzkich różnice. — Czem nuty w akkordzie, tem one w człowieczeństwie, rozmaitością i zgodą zarazem. — Bez nich nie podobna pomyśleć ludzkości, bo byłaby to wtedy jedność bez rozmaitości, a zatem właściwie nie żadna jedność, tylko martwa jednostka!

Państwa są utworu ludzkiego; są zbiorem przysypkowym cząstek. Jedne narodowości są kreacyi Bożej i dla tego właśnie nie państwa bez narodowości ale narodowości upaństwowione, jedne tylko mogą być chrześcijańskimi, czyli należeć do składu powszechnej ludzkości. Już w średnich wiekach taki wysoki ideał byli pojęli Papieże — i oni, zapragnęli wszystkie stosunki polityczne uchrześcijanić w Europie. Była jednak w ich pomyśle ta niedokładność, że pojmowali raczej zwierzchnictwo Kościoła nad świeckim bytem, aniżeli pojednanie się zupełne boskich rzeczy ze świeckimi, woli Bożej z ludzką wolą. — Ich ideał też rozsypał się. Kościół został na jednej stronie, polityka odbiegła na drugą — i od czasów Reformy zupełnie pogańska się stała.

Tu machiawelizmu, tu dyplomacyi początek: interes ziemski ubóstwiony, Boże Królestwo ścieśnione do progów

Kościola każdego. — Za murami przybytku, Wszechprzemyślnego Boga już nie ma — umarli tylko śpią na cmentarzu — a dalej na bitych drogach świata stoją żywi — wojskowi, ministrowie, kupcy; pod nimi zaś — ucisk i niewola albo bunt i zwierzęcy szal!

Wszystkie państwa na przekór narodowościom się tworzą; wszystkie państwa są rozświetlaniem jednej lub kilku narodowości na korzyść martwego ideału gabinetowego. — Idea Chrystusowa, idea wszechmiłości zapomniana i gwałcona co krok; nigdzie jednak tak antychrystycznie jak rozbiorem Polski!

Trzy państwa wzrosłe nie według praw bożych, oparte li tylko na interesie samolubnym, na dyplomacyi, słowem na tem co zowie się polityką, rozdzierają narodowość żywą, czyli jednego ze członków widomych ludzkości! — Tym czynem polityka przesięga za własne granice.

Dziecko, kto mówi że to polityczna zbrodnia — zbrodnia to daleko głębsza, bo religijna, bo przekraczająca za sfery świeckie i dotykające okręgów Bożych. — Państwo utworu ludzkiego, państwo z gry chuci ludzkich powstałe rozszarpać, byłoby to polityczną zbrodnią, ale narodowość świętą rozebrać i chcieć zabić kiedy bez niej obejść się nie może urzeczywistnienie idei ludzkości na ziemi, jest targnięciem się przeciwko prawdzie Bożej — prawdzie wiecznej: jest świętokradztwem! Tak samo jak z drugiej strony — nieuznanie tego gwałtu, opieranie się tej bezbożności: jest Religiją!

W chwili rozbiorów stało się to jako *factum*, ale Duch Polski dopiero teraz wsumienił się w siebie, nabrał świadomości o sobie, uczuł się narzędziem wybranem w historii do posunięcia jej postępu dalej. — Inaczej być nie mogło — prawo Boże albowiem skaleczone i obrażone na tym świecie, musi mieć wewnętrzną siłę wyleczenia się z rany zadanej i wrócenia do właściwej postaci! W narodowości, której krzywdą najsrożej ludzkość pogwałcona — najsilniej zadrgnąć musi, najjaśniej zabłysnąć — idea ludzkości.

Płciowość, polarność, jest prawem powszechnem, prawem jednym i wszechobecnem tak w naturze jak w duchu, tylko że pod coraz wyższemi kształtami się objawia; na przykład, biegun dodatni i ujemny w galwanizmie, planeta

i słońce w porządku kosmicznym, mężczyzna i niewiasta w rodzie ludzkim, myśl i ciało w człowieku. — Prawo to na tem zależy że jedna i taż sama siła w naturze lub idea w Duchu, objawia się na dwóch ostatecznych końcach swoich niby to sprzecznie, a wtedy między temi dwoma końcami powstaje działanie i oddziaływanie ciągle, czyli ruch i życie tejże siły, tejże idei. W stosie galwanicznym, z bieguną dodatniego wypadająca iskra gdzież leci? w biegun ujemny! — Mężczyzna, do kogoż się ma, w kim się odbija? w niewieście! Myśl, czem się wyraża? ciałem! Zawsze jedna połowa posługuje się drugą, przewciela się w drugą, na to by *całość* istnieć mogła.

W podobnym, analogicznym stosunku dzisiaj mają się do siebie, nadchodzący postęp historii i Polska; — koniecznym pierwszego warunkiem drugiej zmartwychwstanie! Gdzież więc musi najwierniej odbić się świadomość tegoż postępu? gdzież najżywiej zajaśnić przewidzenie tej przyszłości? zaprawdę że w Polsce.

Trzeba było śmierci naszej; trzeba będzie naszego wskrzeszenia — na to, by Słowo Syna człowieczego, wieczne słowo życia, rozlało się na okręgi społeczne świata. — Właśnie przez naszą narodowość umęczoną na krzyżu historii, objawi się w sumieniu Ducha ludzkiego, że sfera polityki musi się przemienić w sferę religijną — i że Kościół Boży na tej ziemi, to nie tylko to, lub ono miejsce, ten lub tamten obrząd, ale cały planeta i wszystkie jakiegokolwiek być mogą stosunki tak osobników jak narodów między sobą!

„Domini est terra, et plenitudo ejus orbis terrarum et universi qui habitant in eo.“ (PSALM. 24—1.)

Oczywiście tu nastąpi w sumieniu ludzkim rozszerzenie obecności Bożej. — Pan, w całej sferze politycznej, kędy dotąd go nie było, przytomnym się stanie; a narzędziem jego Opatrzności do tego nikt inny — jedno naród Polski.

Jedno z dwojga — albo święta przyszłość ludzkości przepada, albo warunkiem jej dopełnienia się jest życie Polski. — Słowo jedyne, słowo Chrystusowe, albo żadnych dalszych owoców nie wyda, albo gwałt zadany temu świętemu słowu, dalej trwać nie może. — Taką jest prawda,

ale prawda nie już interesu świeckiego jedno Bożego — przeto nazywam ją religijną! — Ona musi ściślej jeszcze połączyć (*religare*) ziemię naszą z Niebem!

Niechaj się o niej sumienie każdego Polaka przekonana, niech pojmie myślą co dotąd czuł sercem tylko, a zrozumie i wierzyć będzie że tylko przez Polskę zdoła się zasłużyć na ziemi i zbawić duszę nieśmiertelną, bo tylko w Polsce i przez Polskę, zacząć się opatrzenie może nowy okres w dziejach świata. — Od tego zaś postępu zależy coraz wyższe dopełnianie się Objawienia Chrystusowego w ludzkości!

Dnia 17 Marca 1843 roku.

PRZEDŚWIT.

Z Ojców mych ziemi, przez wroga wygnany,
Deptać musiałem obcych ludzi łany,
I słyszeć zdala tych szatanów wycia
Co ziemię moją okuli w kajdany;
Jak Dant — przez piekło — przeszedłem za życia!

Z razu jam ufał że Bóg miłosierny,
Na pyszne pyszny, ale wiernym wierny!
Z razu jam ufał, że za dni niewiele
Zlecał zesłane Anioły mściciele

I grób ten pęknie co stoi wśród świata,
Przyparty ręką olbrzymiego kata!
Leż dni płynęły, upłynęły lata,
Darmo brzask walczył z ślepą nocy siłą,
Nie weszło słońce nad Świętych mogiłą,
I coraz podłej na tej ziemi było!
Więc duch mój upadł w tę próżnię zwątpienia,
Gdzie światło wszelkie w noc wieczną się zmienia,
Gdzie trupem gniją arcydzieła męztwa,
Gdzie gruzem leżą wiekowe zwycięstwa,
I z dni tych wszystkich wybranej kolei
Wyrasta napis: „*Tu nie ma nadziei!*“

Ach! żyłem, żyłem w tej przepaści długo,
Miotan rozpaczą bezbrzeżną i wściekłą!
I śmierć mi będzie tylko śmiercią drugą:
Jak Dant — za życia — przeszedłem przez piekło.
Lecz i mnie także zbiegła w pomoc Pani,
Której się wzroku czarne duchy boją;
I mnie też Anioł wybawił z otchłani,
I ja też miałem Beatricę moją!

O równie piękna! nad planety ciemnie
 Nie wzniosłaś skrzydeł twoich precz odemnie,
 By zasiąść w niebie — bez bólu — niebiańska!
 O równie piękna! i bardziej chrześcijańska!
 Tam gdzie ból rośnie, tam gdzie łąza się plemi,
 Tyś z bratem twoim została na ziemi!
 W jednych my cierniów chadzali koronie,
 Krew moich dłoni krwawiła twe dłonie,
 I z jednych trucizn piekielnego zdroja
 My pili razem, o Beatrix moja!

A jednak, jednak, mój jęk, two westchnienia
 Zmieszane, złane, przebrzmiały na pienia!
 Z dwóch smutków w duszne spojonych zamęcie,
 Wzbił się głos jeden — a tym głosem szczęście!
 Ach! szczęście wiary, ach! nadziei siła
 Co w serce moje, przez wzrok twój, wróciła!
 Tak chmury ciemne, pełne łez na Niebie,
 Gdy w nadpowietrznym zetkną się pogrzebie,
 Z ich płaczu, światło wypada wnet gromem
 I mgła się staje, złotym Boga domem!

Pieśń tę więc zacznę, siostró, twem imieniem!
 O! bądź na wieki ze mną połączona
 Jednych pamiątek i uczuć pierścieniem!
 My tu skonamy, lecz pieśń co nie kona
 Powróci kiedyś, wierna mnie i tobie,
 By jak stróż Anioł, strzedz nas śpiących w grobie!
 A może przyjdzie chwila że wskreszeni
 W czasie dusz wszystkich, nie już w ciał przestrzeni,
 Wstaniem jej dźwięków znów spójni łańcuchem;
 I żyć będziemy w serc ludzkich pamięci,
 Już duch zbawiony, ze zbawionym duchem,
 Oboje czyści, świetlani i święci!

zy pamiętasz nad Alp śniegiem
Rozwieszone Włoch błękity?
Nad jeziora włoskim brzegiem
Czy pamiętasz Alp granity?
Tam — z daleka — w niebo przodem
Pną się ostrza kryte lodem,
A tu bliżej, a tu niżej
Po za wzgórzem, spływa wzgórze,
Z winnic kapią bluszcz i róże!
Jednym rajem gór podnóże!
W wieczór, z rana — zwierciadłana
Fala pije niebios smug!
Na wód dole — na skał czole —
Jedna piękność — jeden Bóg!

Widzę jeszcze, widzę ciebie!
Z harfą stoisz na mej łodzi,
Gwiazd już kilka drży na Niebie,
Z nad Alp szczytu księżyc wschodzi!
Widzę jeszcze, widzę ciebie;
Na twych strunach twoje dłonie,
Iskra natchnień skrzy ci z lica,
Światłokręgiem twoje skronie
Rozanielił blask księżycy!
W fal przezrocza, w sieć z promieni
Zewsząd postać twa ujęta,
Na błękitnem tle przestrzeni
Całaś srebrna — wniebowzięta!

Nabijaną światłem drogą
Łódka moja zwolna płynie;
Jakże lubo, jakże błogo
Na szafirów tych głębinie!
Za jeziora przezrociami
Majaczeją wzgórze, skały,

I ty ze mną i my sami,
I tak piękny świat ten cały!

Nabijaną światłem drogą
Coraz dalej łódź ma płynie;
O! Anieli czuć nie mogą
Co ja czuję w tej godzinie!
Takim silny, takim dumny,
Siostró moja! mnie się zdaje,
Że w tej chwili — ze snu trumny
Nasza *Święta* gdzieś już wstaje!

Co raz dalej twarz miesiąca
Nas prowadzi smugiem fal,
Płynimy, płynimy tak bez końca
W ciszę — w jasność — w błękit — w dal!

Wód zwierciadła, gór widziadła,
Ziemia, niebo, jeden kraj!
Rzeczywistość się pomału
W świat przemienia ideału,
W sen ze srebra i kryształu!
Daj mi teraz marzyć, daj!

.

.
Bądźmy dumni, mój Aniele,
Bo nim zstąpi cud i zbawi
Tych co w dawnym drżą kościele,
Nam zwątpienie serc nie krwawi.
Nam nie brudzi czoła trwoga;
My podnosim wzrok nasz w górę
I gdy widzimy tę naturę,
W niej i za nią czuję — Boga!

My w natchnieniu wspólnych marzeń,
Gnani wirem smętnych zdarzeń,
Idziem kędy wiedzie droga!
Lecz w tej zmiennej życia męce,
Gdy ściśniemy sobie ręce,
W niej i za nią czuję — Boga!

My zabitej matki dzieci,
 My, co nigdy nie widzieli
 Jak się matki oko świeci
 I nad dzieckiem swem anieli;
 My z mogiły naszej rodem,
 Po niej wiecznie krwawym chodem
 Jak upiory stanąć musim!
 Jednak w każdej życia dobie,
 Za tym grobem i w tym grobie,
 Wiarą w Nie! o — Niebo kusim!
 Pozywamy na sąd wroga,
 Bo dzień sądu w piersiach nosim.
 I ufamy, że wyprosim
 To co boskiem jest — u Boga!

Módl się ze mną, moja siostro!
 Módl się, klęknij tu w pokorze;
 Lecz patrz w górę śmiało — ostro,
 Jak sierota spojrzeć może!
 Wpatrz się w harfę tę bez końca,
 W której księżyc, gwiazdy, słońca
 Tkwią jak szruby niewzruszone;
 A od dołu aż do szczytu
 Struny z światła i błękitu
 Drgają, w bezmiar naciągnione.
 Po tych strunach Duch przelata,
 Na tych strunach Duch przegrywa
 I w tej pieśni sam spoczywa:
 Ta pieśń — zgodą — ciszą świata!

Słuchaj! dźwięków tych wszechzgodzie
 Brak jednego dziś imienia!
 Patrz, w tych światłach wszechpogodzie
 Brak jednego dziś promienia!
 Módl się ze mną, wymów imię
 Co wypadło z lutni życia;
 Wskaż tę gwiazdę którą drzemie,
 Lecz nie zgasła w dniu rozbicia!
 Wymów, wymów *Polski imię*,
 Może słucha nas Duch Boży,
 KRASIŃSKI II.

I stracony dźwięk ten przyjmie,
Znów do pieśni świata włoży!

Módl się ze mną, módl się śmiało,
I spokojnie i bezpiecznie!
Jak Bóg w Niebie — tak koniecznie
Bóg nas wcieli w drugie ciało!
Bośmy w żadnej zgonu chwili
Ducha nigdy nie stracili.
Próbę grobu my odbyli.
Prawem naszym — Zmartwychwstanie!
Dziś lub jutro, dasz je, Panie!
O! dasz w swej sprawiedliwości,
Nie coś winien nam — lecz sobie!
Bo któż w naszym wyżył grobie?
Kto nam dotąd w piersiach gości?...
Nikt na ziemi — oprócz Ciebie!
Żadna inna moc ni siła,
Jedno Twoja się zjawiała
Tu — po naszym, w nas — pogrzebie!
Twoja wszechmoc tylko Boże,
Cośmy zniesli, przetrwać może!
Twej potęgi tylko chwała
Tak jak Polski — jest bez ciała!
Duch Twój tylko jeden zdoła
Nie zatracić — w śmierci siebie.
Więc gdy dzisiaj z ziemi woła
Ty odpowiesz mu na Niebie!

Gdym tak mówił tyś ukłękła,
Strunnym jękiem harfa jęła,
Bo o struny, które w koło
Porozzłacał blask miesiąca,
Tyś oparła śnieżne czoło!
I tak klęczysz wzdychająca!
Z za tej kraty strun — twe oko
Patrzy mglisto i głęboko.
Na twych ustach słów już nie ma
Tylko jedno drżące tchnienie
Całość duszy na nich trzyma!

Módl się, siostró, módl westchnieniem;
 Bóg wie dobrze, że westchnienie
 Dziś Ojczyzny twej imieniem!

My umarli pośród świata
 Z świętej do świata miłości!
 On nam bratem — zbawić brata
 Trzeba było z win podłości.
 Przyjść na się — nie grzech — karę!
 My przyjęli — i widziano
 Śród narodów Polski marę
 Zstępującą w grób na trzy dni!
 Dnia trzeciego się rozwidni
 I na wieki będzie rano!

Ha! myślicie że kto kocha
 I umiera, ten już ginie?
 Dla ócz waszych, dla ócz z procha,
 Lecz ni sobie, ni wszechżyciu!
 Kto w poświęceń zmarł godzinie
 Ten się przelał w drugich tylko!
 Mieszka w ludzkich sere ukryciu
 I z dniem każdym, z każdą chwilką
 Żywy rośnie w tej mogile!
 Jak uczynił Bóg co w Niebie,
 Daje wszystkim, daje Siebie,
 A nie traci na swej sile!
 Musi długo, niewidzialny,
 Lecz w sere głębi wciąż słyszalny,
 Palić ogniem sere tych skazy,
 Miękczyć łzami dusz tych glazy,
 I przez grobu męki, trudy,
 Harmonijną pieśnią śmierci,
 Choć rozdarty sam na ćwierci,
 W jedną miłość spajać Ludy!

Ha! wy dziwnie tu marzycie!
 Wam śmiertelnym się zachciało
 Nieśmiertelnym zabić życie!

Raniliście tylko ciało!
 Śmierć i miłość — wy nie wiecie,
 Że to jedno w Duchów świecie?
 Wy, w piekielnej już topieli,
 Wyżej piersi zanurzeni,
 Z Boga tylko to pojęli
 Czem objawił się w przestrzeni!
 Myśl, co w mózgach waszych gości,
 Myślą tylko ciał martwości!
 Tu z was każdy jak morderca
 Chee pozbawić ludzkość — serca!
 I kościotrup po niej nagi
 Rządzić prawem równowagi!
 Rozdajecie, jak świat wielki
 Wszystkim więzy albo sidła!
 Nie tak — nie tak — bo duch wszelki
 Ma w anielskie porość skrzydła!
 Wiecznotrwały ten na ziemi
 Kto swą śmiercią życie plemi!
 Lecz kto życiem swem — śmierć daje
 Ten gdy skona — już nie wstaje!

O wy niscy, o wy ciemni,
 I okrutni i nikiżemni!
 Wy, przewiedle w nicość dusze,
 Bez ducha Faryzeusze!
 Wy, kuszący piorun Boży,
 Aż was w prochu tu położy!
 Wy szpiegowie i wy katy,
 Z wypranemi od krwi szaty;
 Wy, półśrodków sztucznych pany,
 Co kładzicie żar na rany,
 A gdy jęknie wam męczennik,
 Ogłaszacie mu — że zmiennik:
 Kłamcy wieczni z prawem waszem,
 Czy z kupiecką zysku szalą,
 Czy z bagnetem i pałaszem;
 Wy, bożyszczą — którym palą
 Dym kadzidła dzieci trwogi;
 Ziemia waszym struta jadem,

Wyście tylko ziemi — gadem,
Choć się macie za jej Bogi!

Nie znam na was hańby słowa!
Nie że język mój ubogi,
Lecz że boską ludzka mowa!
Nadto piękna — czysta — święta,
Bo z anielskich krain wzięta —
By was nazwać po imieniu!
Jabym rzucił w grzmiącym pieniu
Wam serc wszystkich wszechprzekleństwo!
I jak zemsty jędza wściekła
Gnał was biczem żmij do piekła,
Starł wam z czoła człowieczeństwo!
Bładych, krwawych, skutych w pęta
Stawił w wieków sądnem kole,
By wydeptały na czole
Wam nadgrobek ten — „zwierzęta“ —
Ale w duchu jest pogarda
Co ma także swe panieństwo,
I gdy gardzi — nadto harda
By znamiętnić się w przekleństwo!

Co zalewasz się tak łzami,
Co tak patrzysz bezprzytomnie?
Siostró moja! wstań, chodź do mnie,
Prawda z Polską — Polska z nami!
Nie klęcz więcej, spojrz wesoło —
Skróń mi oprzej na ramieniu;
Niechaj widzę twoje czoło
Przebóstwione w mem natchnieniu!

Nim ten księżyc już ponury
Zstąpi całkiem za te góry,
Nim te gwiazdy się dopalą,
Nim powróci promień słońca
I przeminie czar co trąca
Piersi moje nad tą falą:
Niech ci wyższy cud obwieszcze
Nad uciski, nad boleści!

O Aniele mój niewieści,
Słuchaj jeszcze... słuchaj jeszcze!...

Znasz ty miłość która nęci
Wiecznie duszę w kraj pamięci?
Czy po nocach ciebie woła
Rodowego krzyk Anioła,
I twym oczom patrzeć każe
W dawno zmarłych żywe twarze?

Znasz zimowy step ten głuchy,
Gdzie śpią w grobach ojców duchy?
Gdzie w powietrzu twarz księżycą
Jak trupiego widmo leca:
I gwiazd nie ma — tylko ona
W środku niebios niewzruszona!
W jej promieniach przestwórz cały
Znicestwiony, zkamieniały.
Kędy spojrzeć na wsze strony
Zaspy — śniegi — lody — szrony.
Strach jak białe — pusto — marno!
Groby tylko z głazu ryte,
Żadnym śniegiem nie pokryte,
Śród tej bieli stoją czarno!

A gdy wspomnień tajna woła
Myśl twą rzuci na te pola,
Zda się tobie że bez końca
Po nich błądzisz nocną dobą,
I że wisi wciąż nad tobą
Ten przejrzysty trup miesiąca!
A za każdym twoim krokiem
Rozszerzają się te niwy —
Nieskończoność przed twym wzrokiem —
I nad głową — ten straszliwy
Kąg ci Niebios także rośnie!
Coś pod ziemią brzmi żałośnie,
Cały cmentarz drga jak żywy,

Z grobów wieją modły — jęki!
 Głucho dzwonią gdzieś pałasze,
 Twardych zbroie słyhać brzęki,
 Jakby dotąd ojce nasze,
 Pomne życia — tęskne chwały,
 Tam się w trumnach przewracaly
 Z boku na bok — i marzyły
 Mękę Polski, w snach mogiły!
 Nie! co znikło nie umiera!
 Jak zaklęte czarem bóstwo
 Przeszłość wraca w jawu kraje!
 Patrz! grób kaźden się roztwiera
 Umarłego ci oddaje.
 Antenatów blade mnóstwo,
 Dawne króle, radne pany
 I rycerze i hetmany
 Obwiązują cię do koła.
 Cmentarz z lodu i z kamienia
 W sejm — w zjazd — w Polskę się przemienia!
 Zgon się darmo wrył w te czoła;
 Choć wzrok próchnem błękitnieje,
 Znać w nim Wiare i Nadzieję!
 Patrz, z pod rdzawych tych szyszaków,
 Z pod tych koron i kołpaków
 Bije dotąd iskra ducha,
 Senatorska tli wspaniałość,
 Lwi się szlachty stara śmiałość
 I niewoli wzgarda bucha!

Jam ich widział i szlochałem!
 Na tej białej snów mych ziemi
 Jam ich widział — i przed niemi,
 Tak jak pada trup, padałem!
 Na ich stopach kładł ja skronie,
 I podrywał ku nim dłonie!
 Tam łzą — krzykiem — sercem całym
 O zgon Polski ich pytałem,
 Ja, urodzon po jej zgonie.

Za co życie w życia chwili
 Z taką pychą roztrwonili,

Że potomkom nie zostało
 Ni potęgi, ni puścizny.
 Jedno w zamian ich ojczyzny
 Rozebrane kraju ciało?
 Co ich wichrem takim gnało
 Po dziejowej czasu fali,
 Że tak dbając o nas mało
 Krew nam, i w tej krwi — śmierć — dali!

Ledwom spytał, ich zbroice
 Zagrzegocą w głuchy dźwięk,
 Z wszystkich piersi wypadł jęk;
 Wszystkie zmarłe te źrenice
 Z pod tych przyłbic — jak gromnice
 Płoną ku mnie — razem, górą
 Wszystkie wzbily się prawice,
 Przesłoniły księżyc chmurą!
 I tych białych rąk sklepienie
 Drży przysięgą potajemną,
 Na słów moich zaprzeczenie
 W niebo rośnie ponademną?
 Tak jak rosa z polnych kłosów
 Pot mi trwogi ścieka z włosów,
 A na piersiach zmora siedzie;
 Ni odwrócić mogę wzroku;
 Tu — przedemną — za mną — z boku,
 Oni stoją tłumem wszędzie!
 Zewsząd słyszę ich oddechy
 I pogardy słyszę śmiechy.
 Patrzą na mnie ci umarli
 Jak półbogi — a z ich lica
 Patrzy wieków tajemnica,
 I z nich każdy ją rozumie,
 Więc mną gardzą w świętej dumie.
 Aż pogardą mi rozdarli
 Serce — i serce ze stali
 Gdy tak śmiechem mi łajali
 Pękłoby — O tej snu porze
 Ach! pamiętam strasznie smętno!
 Więc jak mogę tak się korzę,

Aż znów zerwie się namiętno
 Duch mój — krzyknę; „O ojcowie:
 „Zdejmcie ze mnie wasze gniewy;
 „Kto na świecie mi tym powie
 „Prawdę świętą, jeśli nie wy!
 „Jam was przyszedł pytać o nią,
 „Odpowiedzcie więc synowi:
 „Niech się Polska wasza dowie
 „Że jej duchy wasze bronią.“

Wtedy Hetman co przy grobie
 Oddalonym zwykle trzyma
 Na szablicy ręce obie,
 Żadnych pętlic złotych nie ma,
 Ni turkusów w buzdyganie,
 Jedno pancerz za ubranie;
 A na rysiej z wierzchu skórze
 Miasto haftów — kul przestrzały —
 I na licu — blizny duże —
 I na czole — hełm nie cały!
 On wódz zmarły, co tam zawsze
 Na mnie oczy ma łaskawsze,
 Choć z nich wszystkich najbutniejszy
 I z nich wszystkich najsmutniejszy;
 Jak stał cichy i ponury
 Nagle czoło wznosił do góry,
 Wyprostował się ogromnie
 I szedł jęcząc zwolna do mnie.
 Jam znów przykląkł — i z wyż głowy
 Usłyszałem głos grobowy:
 „Ani z soli, ani z roli,
 „Ale z tego co mnie boli
 „Ja wyrosłem — i snąć tuszę
 „Że ból tylko, tam na świecie
 „Kiedys pysznych w piekło zmiecie.
 „Komu dawa Pan katusze
 „Obietnice temu składa!
 „Słowo Pańskie — żadna zdrada
 „Ono musi zbawić duszę!
 „Jakie lądy, jakie morza

„Jam zbiegł niegdyś — wiedzą ludzie!
 „Za dni moich źle już było;
 „Jak się mogło tak służyło
 „Szczerą chęcią, w krwawym trudzie
 „Braci szlachcie. — Łaska Boża
 „Nas weгнаła w te bezdroża:
 „Niechaj będzie pochwalona!
 „Bo ojczyźnie mojej dała,
 „Z piekieł ziemskich wyniść łona,
 „Nie żyć w innych ludów modle,
 „Raczej umrzeć — jak żyć podle;
 „Za to Panu wieczna chwała!

„Ty nie szukaj w ojcie winy,
 „Ty nie wdawaj się w szyderstwo!
 „Bo to potwarz i bluźnierstwo!
 „A zaż ty wiesz jak z godziny
 „Dni się snują, jak z dnia wieki?
 „Tylko zmarły — co w żałobie
 „Tęskni, czeka, marzy w grobie,
 „A nie żywy — wiedzieć może
 „Co czas bliski, co daleki,
 „Co noc wieczna, a co zorze.
 „I co Boskiej znak opieki!

„Gdyby niegdyś ojcie twoi
 „Cudzoziemców świeckich chodem
 „Weszli byli do podwoi
 „Tego gmachu — który stoi
 „W koło Polski, a dziś pada!
 „Bylebyście dziś jak oni
 „Kramem tylko — nie narodem;
 „Sklepem śpiącej pełnym broni:
 „Wyście Duchem co nią włada!
 „My nie mogli żyć w przeszłości,
 „Bo my znali się za gości
 „Innych wieków. — Wiecznie, wszędzie
 „Przez roztwartych dziejów pole,
 „Los nas pędził w wyższą dolę,

„Ku tej Polsce która *będzie!*
 „I przez ojców waszych życie
 „Porywani dotąd skrycie
 „Mimo wiedzy — wy musicie
 „Ku królestwu iść Bożemu
 „Co ma jaśnieć na tym świecie:
 „*My szli tamże po staremu,*
 „*Wy dziś, z młoda, tam idziecie!*

„Jedną spójnią, w jednym duchu,
 „Jak ogniwa na łańcuchu
 „Pan powiązał ojców z syny.
 „Ni ten łańcuch kiedy pęknie;
 „Wszystkim razem dobrze, pięknie!
 „I z krwi naszej, z naszej winy,
 „Nim ten jeszcze wiek przeminie,
 „Wyjdzie *Ludów Lud jedyny:*
 „Błogosławcie ojców winie!“

I umilka Hetman mowca;
 Znów wstecz idzie do grobowca.
 Grobu glazy się rozwarły,
 Śród czarnego ich przełomu
 Ten umarłych wódz umarły
 W granitowym znika domu.

I wnet w górze się roztrąca
 Rąk nademną mgła wisząca,
 W oczach tają mi widm twarze —
 Step się łamie — Niebo kruszy —
 Znów te wszystkie mi cmentarze
 Zapadają w przepaść duszy!
 Lecz drga w uchu, jęczy w duchu
 Jeszcze z rana głos Hetmana
 Ze snu tego, rozwianego
 Myśl ta jedna — nierozwiana!

Coraz smutniej już w przestrzeni orze,
 Coraz czarniej na jeziorze!

Pogrzebowa z chmur przesłona
 U gór szczytu rozwieszona —
 I w nią księżyc spadł i kona!

Przebóg, siostro! co się dzieje?
 To nie wiatru szum tak wieje;
 Ktoś tam z cicha — płacze, wzdycha —
 Z nad wybrzeży jęk się szerzy;
 W nocnym wietrze, przez powietrze
 Tysiąc jęków do nas bieży.
 Już brzeg cały — wzgórze, skały
 Brzmia modlitwy głuchej kołem:
 Wielki Boże! czy być może,
 Duchy ojców tu ściągnąłem!

Za wodami — tam przed nami
 Jak sny lekkie — lekką zgrają
 Na opokach się wieszają;
 Jak płomyki — jak ogniki,
 To się wznoszą, to zniżają!

Do strun, siostro! uderz w struny;
 By ich łącniej pieśń zakłęła
 W akkordowe graj pioruny,
 Graj im: „*Jeszcze nie zginęła....*“
 Harfą — głosem — płacz, proś, szalej!
 Pieśń rodzinna, tu powinna
 Przyprowadzić ich z oddali!

Widzisz, widzisz, usłyszeli;
 Na ciemnościach tacy bieli
 Z skał spływają już do brzegu!
 Ot w powietrznym już pochodzie
 Po tej czarnej kroczą wodzie
 Jak olbrzymie słupy śniegu!

Czy to cuda?
 Czy to złuda?
 Dźwięk po dźwięku
 Skrzy ci w rękę;

Harfa cała
 Tli i pała.
 Każda nuta
 Z strun wysnuta
 Przestrzeń trąca
 Gorejąca!
 I w zwyż fali
 Pieśń się pali,
 Ku mar stronie
 Pędzi — goni
 I wciąż płonie
 I wciąż dzwoni!

Przewodowo — zwolna — święcie
 Przez to dźwięków rozbłyśnięcie
 Idą, idą wszystkie mary;
 Patrzaj, patrzaj, w dziwnej chwale
 Wszyscy z trumien polskich rodem
 Idą — idą przez te fale
 Chrystusowym do nas chodem!
 Tam buńczuki, tam sztandary.
 Śnieżne pióra i korony.
 Katolicki krzyż wzniesiony;
 W koło herby — tarcze — znaki
 I tłum szabel — i szyszaki
 Przeciągają — Patrz! tam żywa
 Twarz z powietrza się wyrывa,
 Twarz, czy widzisz, Anielicy!
 Jak gwiazdeczka na ciemnicy
 W górze, w górze zawieszona,
 Wschodzi — weszła — tli — drga — płonie.
 Ot! z błękitów i szkarłatów
 Już otęcza ją przesłona!
 Na tle z pereł, na tle z kwiatów
 Dyamentowa lśni korona....
 W krzyż na piersiach zwite dłonie,
 Złote gwiazdy na jej łonie;
 Czy poznajesz ty, kto ona?
 Witaj, witaj — to królowa —

Po swym ludu długo wdowa,
 I dziś wraca w tej koronie,
 Którą w polskiej Częstochowie
 Niegdyś dali jej ojcowie;
 I tych ojców przez te tonie,
 Patrz! prowadzi:

Nie graj więcej —

Z fal tych drugiej takiej tęczy
 Nasza harfa nie wydźwieczy,
 Ni te Duchy tu przynęci!
 Już ich tknęło światło Boże
 I gdzieś spieszą — zbrojnie — skoro.
 Złotem w okół szklni jezioro,
 Na ich hełmach błyska zorze;
 W dawnym polskich bitew stroju,
 Przebóstwieni — rozzłóceni,
 Przesuwają się w przestrzeni
 Jakby znowu szli do boju!
 Srebrne skrzydła w zbroję wtknięte
 Im z nad ramion w górę lecą,
 Jak anielskie skrzydła świecą;
 Turkusami zbroje spięte,
 Z żywej stali rękawice,
 Strusie pióra wyżej głowy,
 I dobyte do połowy
 Damasceńskie ich szablíce.
 Każden oczy ma wzniesione,
 W przeanielską patrzy Panią,
 I po falach stąpa za nią
 W nieskończoną jakąś stronę;
 I miecz dławi w swej prawicy
 Wyżej serca, na zbroicy,
 Jakby miał się ku obronie
 Tej lecącej w gwiazd koronie:
 A Królowa ta nie z ziemi,
 Jak sen wije się przed niemi
 Coraz dalej....

Pani! Pani!

Wszak z pomarłem sług plemieniem

Ty zstępujesz do otchłani
 Po raz drugi zdeptać węża!
 Wszak z nowego wieku dnieniem
 Sprawiedliwość się odnowi,
 I ty powiesz szatanowi,
 Że Lud Polski Twój — zwycięża!

Uderzyła łask godzina!
 Znowu Tobą i przez Ciebie,
 Myśl przedwieczna, żywa w Niebie,
 Życ pod niebem rozpoczyna.
 Płynże, płynże, Lilio Boża,
 Po za lądy, po za morza,
 Nad piekielne wzbij się jary!
 Świeć im oczu twych spojrzeniem,
 Niech przepada kłamca stary
 Który wieków był złudzeniem;
 U stóp twoich on poleże,
 A ci zbrojni polscy męże
 W pierś mu wetkną miecz ze stali,
 Podeptają w imię Boga
 Odwiecznego ludzi wroga:
 Wszakżeć na to z grobu wstali!
 Wtedy, wtedy na tym świecie
 Wzrosną życia kształty trzecie!
 Wtedy, wtedy nam z powieki
 Pan łzy otrze — i na wieki!

Wiem już teraz, o Ojcowie!
 Gdzie z Królową tą w szkarłacie
 Tak spieszycie — przemijacie!
 Ale czyjże głos mi powie
 Kiedy nazad z tej oddali
 Na tę ziemię powrócicie;
 By i żywi w złotym świecie
 Z letargowych trumien wstali!

Już daleko wy na fali!
 Coraz dalej — coraz dalej
 Ku wschodowi, ku jutrzence
 Lśnią wzniesione wasze ręce!

Na te góry, na te brzegi
 Dnia już padły jasne gońce;
 Czerwienieją skał tych śniegi,
 Mgła się płoni u wód końca,
 Za nią pierwszy promień słońca!
 I te białe ich szeregi
 Idą prosto w to wschodzące
 Wielkokrężne — złote słońce!
 Płoną, mdleją, nieznacznieją,
 Już ich nie ma — z tych topieli
 Poszli w światło i zniknęli,
 Poszli z światłem i z nadzieją!

Nic nie ujrzyć już w przestrzeni
 Prócz lazurów i promieni!
 Znów spokojna toń jeziora,
 Znów te skały i te góry,
 I to Niebo, i te chmury
 Tak jak zawsze — tak jak wczora!

Noc minęła — lecz z jej cieni
 Wiara w piersiach się została?
 Ni tej wiary los już zmieni;
 Naszą, naszą przyszłość cała!

Chciałbym objąć te błękity,
 Tych wód brzegi, tych Alp szczyty,
 Ten widnokrąg objąć świata,
 I przycisnąć świat, jak brata
 Do mych piersi — bom szczęśliwy!
 Wszystko moje, wszystko piękne —
 Moje — ziemi, Nieba niwy!
 Z skał tych życia głos wydźwignę,
 Bo w mem sercu Słowo Boże!
 Wszędzie cuda — wszędzie dziwy —
 Ja roztopię się w przestworze!
 Ja ci mówię — żem szczęśliwy.
 Polska moja — Polska będzie!
 Dzięki wszystkim i wszystkiemu
 W wieki wieków dzięki wszędzie

Bogu — duchom — ludziom — tobie —
 I umarłym dzięki w grobie,
 I każdemu kto jest żywy:
 Temu światu wszechcałemu
 Wieczne, wieczne dziękowanie!
 I powietrzu powiem: „Panie!
 Dzięki tobie — bom szczęśliwy!“

Wszystko ludzkie znika — ginie —
 Pryśła ziemskich chwil zawilość:
 Myśl już płąsa w tej krainie,
 Gdzie wszechświatło i wszechmiłość!
 Z dusz się naszych wzbił duch trzeci,
 Wyższy od nas — niepojęty —
 Bo nam w piersiach wre i świeci,
 A zarazem w górę leci,
 Już z tych piersi wniebowzięty.

I w tej chwili przemienienia,
 O pamiętaj! wspólnym wzrokiem —
 Tej istoty trzeciej okiem —
 Jej nie naszym — my ujrzeli
 Głęb rozkrytą przeznaczenia!

Czy pamiętasz? my widzieli,
 Gdzie? — ja nie wiem, nie powtórzę —
 Ni na dole, ani w górze,
 Ni na wodach, ani w chmurze —
 Lecz w bezdennej gdzieś topieli,
 Gdzieś w odwiecznych światłach bieli,
 W próżni — kędy się przed nami
 Niewidzialne wskrós rozdarło,
 Jak ocean się rozwarło
 Po nad czasu przepaściami!
 Oto nagle — tam — ujrzeli
 Jak się Polska, Polska cała,
 Jednem widmem zmartwychwstałem
 Archanielsko wielkiem, białem
 Z dni przyszłości wychylała

I na głębi dni tych stała,
 Jeszcze widna — niby ciałem —
 Lecz już w wieczność przebóstwiona —
 Nieśmiertelna — nieskończona!
 Jak blask słońca, tak jej lice!
 I z błękitu ma źrenice —
 A jej wzrokiem — błyskawice!
 Nad jej czołem z krwi korona,
 Wieniec wspomnień purpurowy;
 Lecz już przeszły wszystkie bole
 I duch Boży na jej czole —
 Na około już świat nowy!

Na zerwanych jej kajdanach
 Miecz u piersi zawieszony!
 Na tym mieczu trzy korony,
 Po trzech dawnych świata panach!

Choć już złego wiek skończony,
 Na tej miecza rękojeści,
 Oplecionej w trzy korony,
 Rękę dotąd trzyma ona!
 I ta ręka krwiąznaczona
 W Chrystusowy znak boleści!
 I z tych koron czasem błyska:
 I ta ręka wtedy ściska
 Miecz olbrzymi — a z tej ręki
 Na pamiątkę wiecznej męki
 Krew w Wieczności jeszcze tryska!

A tam za nią — tam, wysoko —
 Tam, daleko — tam, głęboko —
 Za nią w czasie i przestrzeni,
 Na tłach z światła — na tłach z cieni,
 I z stron wszystkich — w koło, wszędzie —
 Jak mgły w ogniu — w tęczach pary —
 Zewsząd wstają Boże mary
 Tego świata który będzie!
 Lecz już nie tak jasno-białe,
 Mniej olbrzymie i wspaniałe,

Ni znaczone krwią przeszłości,
 Bohaterską krwią męczeństwa,
 Tą boskością człowieczeństwa!
 W znak królewski — wśród Ludzkości.

Wszystkie płoną pierwszym wschodem
 I potęgi — i zwycięstwa —
 Każda — wielkim jest narodem.
 Ale tylko z niebios rodem,
 A nie rodem z swego męztwa!
 Młody listek ich wawrzynu,
 Nie wywiodła ich z cmentarzy
 Nad zgon wyższa wola czynu!
 Ni im dano — czem śmierć darzy!
 Bo jak ojciec, grób ich skrycie
 Nie wyuczył ścieżek Pana!
 Wtóra mądrość im nie dana,
 Pierwsze tylko dane życie!

Patrzaj, patrzaj! z chmur powodzi
 Coraz więcej widm tych wschodzi;
 Na ich skroniach róże wiosny —
 Maj nadziei — maj żywota —
 W ich spojrzeniach, cisza złota,
 Na ich ustach, hymn radośny.
 A pod niemi drży w przestworze
 Szafirowych światel morze.
 I tam wszystkie przechylone
 Z szczytu wieków swych patrząją,
 Wszystkie, wszystkie obrócone
 W archanielskiej Pani stronę,
 Coraz niżej się schylają!

Widzę — widzę! — wzniosły ręce,
 Rwą ze skroni życia kwiaty,
 Rwą — ciskają życia wieńce
 Pod Jej stopy — na Jej szaty!
 Leci tuman róż w przestrzeni,
 Na tem Niebie, każda róża
 Nagle w iskrę się przemieni,
 Wieniec każdy tęcza tryśnie!

Spadająca kwiatów burza
 W jedną zorzę się rozbłyśnie,
 I w powietrzny płaszczy z promieni,
 W karmazynu wielką chmurę
 Archaniola opierścieni!
 Polskę moją — w jej purpurę!

Wszystkie, wszystkie Duchy-Ludy
 Na szafirach swych do koła
 Pochyliły przed nią czoła
 Jeszcze głębiej niżli wprzód!
 Rozkochane — zachwycone,
 Widzę, widzę — już przyklekną;
 W niej uznały Boże piękno,
 Dadzą Jej świata koronę!

I przyklekły — i słyszałem
 Głos co woła w wiecznym Niebie:
 „Jak im Syna niegdyś dałem
 „Tak im, Polsko! daję ciebie!
 „Syn mój jeden był — i będzie,
 „Lecz myśl jego żyje w tobie;
 „Bądź więc prawdą jak On wszędzie;
 „Ja cię Córka moją robię!
 „Gdyś do grobu zstępowała
 „Byłaś częścią człowieczeństwa!
 „Ale teraz w dniu zwycięstwa
 „Imię twoje: *Ludzkość cała!*
 „Ziemia tobie powierzona
 „Byś ją wiodła *czynu* torem,
 „Aż się staną jej plemiona
 „Jednym Ducha arcytworem!
 „Wzbij się w bezmiar nieskończony
 „Nad ubiegłych lat padołem,
 „Wtedy pójdą te miliony
 „Za planety archaniołem!“

I ujrzałem Archaniola,
 Postać w bieli i purpurze

Z nad klęczących ludów koła
 Podnoszącą się ku górze!
 Obrócone w zwyż jej oczy,
 Lecz ku Duchów-Ludów stronie
 Wyciągnięte na dół dłonie —
 I tak znika wśród przeźroczy.

W tę porwaną patrzą postać
 Rozklęczone Duchów grona,
 Już nie mogą w dole zostać,
 Już się wzięły pod ramiona
 Pojednane — połączone —
 Wzbić się muszą tam gdzie ona,
 Wichrem Bożym poniesiona,
 W coraz wyższą — wyższą stronę!
 I zerwały się pospołu
 Z szafirowych niw padołu:
 Za mą Polską — jak za słońcem
 Popłynęły już do góry.
 Narodowe — ziemskie chóry,
 Popłynęły tak jak chmury
 Opasane tęcz tysiącem!

I ujrzałem — wszechświat cały
 Jak myśl jedną, która płonie
 Skier milionem, w jednym łonie!
 Ach! widziałem — Bożej chwały
 Wszechprzysłomny kształt bez końca!
 Komet — planet — wiry, kręgi,
 Nad wstęgami gwiazd — gwiazd wstęgi,
 Nad słońcami — jeszcze słońca!
 Wszędzie światów, tak jak kwiatów
 W lazurowym tym ogroju;
 I przez światła oceany
 Jeden życia dźwięk rozlany,
 Pieśń wszechgrzmiąca — wszechjedyna
 Niebieskiego świata — Syna,
 O niebieskim Bogu — Ojcu!
 I przez wszechświat ten — do Boga
 Szła narodów ziemskich droga;

I wciąż Polska moja — przodem
 W nieskończoność — z ludzkim rodem
 Tam leciała.....!

Czyje oko
 Ją dosięgnie tak wysoko?
 Kto uderzy ziemskim czołem
 Aż o stopy Stworzyciela?
 Kto poleci z Archaniołem
 Tam gdzie Ludzkość się odwciela?
 Już mi w piersiach serce mdleje—
 Obraz znika — myśl się chwieje.
 Siostró moja! czym w mogile?
 Mnie tak słabo, konajaco —
 O jam prosił tak gorąco,
 Jam się modlił Bogu tyle,
 O tę jedną — jedną chwilę
 I ujrzalem!.....

W tej godzinie,
 O pamiętaj, żeśmy byli,
 Na najwyższej dusz wyżynie —
 Tam z kąd źródło życia płynie;
 My u źródła życie pili!
 Oko nasze już chwytalo
 To co jeszcze bez imienia;
 My na wolność rozpętali
 Z głuchych więzów przedstworzenia,
 To co jeszcze w nich drzemało,
 I na chwilę temu dali,
 Co Bóg daje, kształt i ciało!
 Siostró moja! my tej chwili
 Naszą wieczność już przeżyli.

Zrzuć więc smutek — zrzuć więc trwogę,
 Daj mi rękę w jedną drogę!
 Wiem co trudu na niej jeszcze,
 I co bólu — i co klęski;
 Ale ufaj w czucie wieszczę,
 Już nam błysnął świt zwycięzki!

W tę Ojczyznę nieśmiertelną
 Mimo działów niepodzielną,
 Na tę ziemię ukochaną,
 Na tę naszą — naszą ziemię
 Przyjdzie nowych ludzi plemię,
 Jakich jeszcze nie widziano!

By pogodzić świata dzieje
 Z wolą Pana po nad Pany,
 Duch im prawdy z Nieba dany,
 I z ich starą krwią się zleje!

Gdzie nam dotąd śni się *mnóstwo*,
 Częstek rozdział lub rozbicie,
 Tam już dla nich jedno Bóstwo,
 Jedna miłość i wszechżycie!

Krwia się brzydzą — choćby winną!
 Duch już przez nich tylko stwarza,
 I gdy stworzy ziemię inną
 Nie ma na niej już zbrodniarza!

Nie ma także podrzędnicy!
 Bo niewieście w końcu serce
 Po lat długich poniewierce
 Błysło z pączka tajemnicy!

Dawne pany biorą sami
 Swe, za dłonie, niewolnice
 By jak duchy iść z duchami,
 I wstępować na stolice!
 Przemieniony ten planeta
 Już zapomniał — co kobieta —
 Wie — co bracia i siostrzyce!

I świat nowy ten radośnie
 Jak świątynia Panu rośnie;
 W polskim kraju — w polskim raju —
 Na wiekowych nieszczęść niwie
 Już nie pusto — ni żałośnie;
 Nigdzie — nigdzie już nie ciemno,
 Ani za mną, ni przedemną!

Wszędzie jasno — sprawiedliwie!
 Zrozumiana przeszłość święta,
 Zrozumiane czysca męki
 I ten kielich z kata ręki,
 I te krzywdy i te pęta,
 I duch złego który kusi
 Do podłości serce dzielne,
 I to serce — które musi
 Wstać z tej śmierci — nieśmiertelne!

Duch twój nigdy już nie skona,
 Polsko moja przemieniona!
 Po nad ziemskich szum zawiei,
 Tyś się wzbiła w kraj idei!
 Inni pomrą bez nadziei,
 Śród otchłani lub w dolinie,
 Lecz ty stoisz na wyżynie!
 U stóp twoich czasu fala
 Niech się pieni i przewala:
 Wszystko przejdzie na potoku,
 Wszystko zuiknie na głębini
 Co widome tylko oku;
 Lecz Idea nie przeminie!

Ty nie jesteś mi już krajem,
 Miejscem — domem — obyczajem,
 Państwa skonem — albo zjawem:
 Ale Wiarą — ale Prawem!
 Ten już odtąd Bogu kłamię
 Kto Cię zdradzi — kto Cię złamię;
 Bo myśl Boga w twojem łonie
 I los świata — w twym Zakonie!

Wiekuisty ojców Boże,
 Ty, co górny i daleki
 Coraz jaśniej w nas przez wieki
 Tu zstępujesz — i jak zorze
 Z bram wieczności w Czasu tonie
 Skry twe sypiesz, aż czas spłonie!
 Teraz idzie znów Zaranie,

Które dajesz nam z miłości;
— I po grobach zadrzą kości
W szelest hymnu Tobie, Panie!

Darmo — darmo nasze wrogi
Ach! bluźniły żeś bez serca,
I mówiły — żeś morderca!
Tyś umarłym wytknął drogi
Co w niebieskie wiodą progi,
Aż wskrzeszonych zmienia — w Bogi!

Za ból ciała — za ból duszy,
Za stuletnich ciąg katuszy
Dziękujemy Ci, o Panie!
Choć my nędzni — słabi — marni,
Z naszej wszechło się męczarni
Twe na ziemi królowanie!

My jak prochy — my jak pyły —
I wywiałeś nas z mogiły,
I nam rzekłeś: „*O tej porze
Z was ja wszystko nowe tworzę.*” —
— Prochy, lecim już w przestrzenie —
I w piorunach twego głosu:
„Światło, stań się“ śród chaosu
Z prochów stały się — promienie!
I do świata który kona
Tyś nas posłał nazad w gości,
By, promyki z Twego łona,
My świadczyli o przyszłości!

Wiekuisty ojców Boże,
Błogosławim ci w pokorze!
Gdy wiek wieków się przemienia,
Przed Twym tronem nasze Duchy
Zapadają w przepaść skruchy,
W śmierć przed Tobą — z uwielbienia.

*

*

*

Alleluja! — dniom boleści
Wnet skrzydłami zaszeleści

Anioł zwiastun *dobrej wieści!*
 Alleluja — moc szatana
 Co udawał ziemi pana
 Już na ziemi pokonana!

Niby skryte zło w naturze
 Od początku walczył z nami,
 Chadzał dumny w wiatrów chórze,
 Wył na fali — grzmiał na chmurze
 I zabijał piorunami!

Chwila jeszcze a upadnie,
 A gdy czoło w pył pokładnie,
 Ze zwłok jego się przetworzy,
 Przeanieli — wydobędzie
 Inna postać — seraf Boży
 Co planety stróżem będzie!
 I przejasnych widzeń darem
 Po za trumien czarnym jarem,
 Żywym wskaże białe Raje
 Gdzie duch zmarłych zmartwychwstaje!

Wszystkie, wszystkie spreczne siły
 W jeden nastrój się złączyły,
 Jedna drugiej nie przeklina —
 Wirującym ziemia jękiem
 Już przestworu nie przecina —
 Lecz szczęśliwa brzmi i śpiewa,
 Harmonijnym śpiewa dźwiękiem!

Słabszych silny już nie gniece;
 Tak jak w Niebie na planecie
 Wszystko świętej woli słucha;
 Martwa dotąd bryła Ludu
 Już przekuta dłutem Cudu
 W nieśmiertelny *posąg Ducha!*

Piersi ludzka, na śpiew się sil:
 Wił się wieków rój
 I walk mijał stek;

Lecz skończony bój,
I szczęśliwy wiek
Ujrzy chwilę chwil!

Nie widział wzrok, ni słyszał słuch
Jaka piersi głąb,
Jaki serca czar;
Myśli twórcza zstap,
Daj przebudzeń dar,
Niech się ocknie Duch!

Długo trwała snu tego moc
Uwierzyli weń,
W wieczny ból i trud!
To przybytku sień —
To po wschodach, wschód;
To zasługi noc!

Piersi Ludzka — kędyż twój srom?
Spojrzyj w siebie — patrz!
Gdzie wrzał dawniej płacz,
Stęk — zgrzytanie — wrzask;
Dziś z niebieskich łask
Drugi Boży dom!

Rozszerzyła się piersi cieśń
W niezmierzoną błoń,
W jasnowidną toń!
Jeden z Nieba kwiat
Przyszłych wieniec lat,
Jedna w Bogu pieśń!

Tak śród przedświtów lepszego poranka
Marzył wygnaniec — marzyła wygnanka!
Co czuli w sercu — rzucili w te słowa;
Lecz słowo tylko — to marna połowa
Arcydzieł życia; — modlitwa jedyna
Co godna Stwórcy, od hymnu się wszczyzna,
Lecz nie zna myśli i czynów rozdziału;

Co głosem śpiewa, to wciela pomalu
W kształt dotykalny — aż tak jak Duch Boży
Świat rzeczywisty w okół siebie stworzy,
Równy pięknością światom Ideału!
Taką nam odtąd modlić się potrzeba;
Bo póki łódka na marzeń jeziorze
Falę natchnienia — w samotności — porze,
Myśl tylko weszła — nie człowiek — do Nieba!
Cokolwiek będzie — cokolwiek się stanie,
Jakkolwiek pieśni nie pojną szyderce,
My już w niej całe wyśpiewali serce,
I tu jest nasze ze *Słowem* rozstanie!
Niech nucą jeszcze dzieciątka niewinne;
Harfy już nigdy, nigdy nie nastroję,
Drogi przed nami otwarte są inne:
Zgińcie, me pieśni — wstańcie *Czyny* moje!

Lecz Ty, Piękności, którą ukochałem,
Siostró, jedyna w mojem życiu całym,
Ducha męskiego niewieści Aniele!
Czuwaj nademną — i zostań się przy mnie
Aż zginę — częstką — w trudów arcydziele —
Aż skonam — zwrotką — w poświęcenia hymnie!

PSALMY PRZYSZŁOŚCI.

Dam chwałę Bogu; prawdę powiem; niech boli
jako chce.

Teofil SZEMBERG.— Wyprawa na Wołoszczyznę.

PSALM WIARY.

29. A odpowiadając Jezus rzekł im: błazniecie nie będąc świadomi pisma ani mocy bożej.

30. Albowiem przy zmartwychwstaniu ani się zenieć, ani za mąż chodzić będą, ale będą jako aniołowie Boży w niebie.

31. A o powstaniu umarłych nie czytaliście, co wam powiedziano od Boga mówiącego:

32. Jam jest Bóg Abrahamów i Bóg Izaaków i Bóg Jakóbow? Bóg nie jest ci Bogiem umarłych ale żywych? Ś. MATEUSZ, Roz. XXI.

47. Pierwszy człowiek z ziemi ziemski, wtóry człowiek sam Pan z nieba.

48. Jaki jest ten ziemski, tacy też i ziemscy, a jaki jesi niebieski, tacy też będą niebiescy.

Ś. PAWEŁ. LIST I. do KORYNTYAN, Roz. XV.

Dusza i ciało to tylko dwa skrzydła,
 Którymi Czasu i przestrzeni sidła
 Duch mój rozcina w postępowym locie!
 Gdy się zużyją przez chwil i prób krocie
 Odpadać muszą — lecz on nie umiera —
 Choć to się śmiercią nazywa u ludzi!
 On zwiędłe zrzuca, a świeże przybiera
 I w nie otulon, znów na jaw się budzi!
 A to się zowie, narodzin godzina!
 I duch mój, wzięwszy skrzydła niezmęczone,
 Niemi znów leci — lecz już w wyższą stronę!
 Tak coraz wyżej ku Panu się wspina,
 Ciała i dusze własne po za sobą
 Sypie jak liście żółkłe i strząśnięte,
 Wciąga do siebie siły im odjęte —
 On sam wciąż żyje ich zgonów żałobą!

Za nim — przeszłości zmierzchające tonie!
 Przed nim — rozwarte wszechbezmiarów błonie!
 Przed nim świat wszystek --- Czas, przestrzeń bez końca,
 Piętra z dróg mlecznych i dni z lat tysiąca;
 A dalej, wyżej, nad niemi — za niemi —
 Ten co jest wszystkim i wszystko obleka,
 Duch twórczy gwiazdy, anioła, człowieka,
 Cel a początek i nieba i ziemi;
 Ten, który zawsze, i wyżej i dalej,
 Niedoścignięty, nad wszystko się pali:
 Spokój — a jednak razem siła tchnąca —
 Blask najwyższego duchów Ducha-Słońca!

K'niemu wciąż dążę — z razu tam iść muszę
 Przez piekła trudu — przez czyszcze zasługi —

Aż zacznę wdziawać i ciała i dusze
 Bardziej promienne, i wstąpię w świat drugi!
 W świat co od wieków zwan okręgiem nieba —
 I w nim letargów mi już nie potrzeba,
 Ani przebudzeń z grobu, by iść wyżej!
 Tam żywot wieczny — żywot nieustanny —
 Grób i kolebka konieczne są niżej:
 Na tych planetach, gdzie świt Ducha ranny,
 Gdzie człowiek Boga niemowlęciem jeszcze
 I kwili tylko przeczucia swe wieszczę --
 Lecz dla aniołów, śmierci nigdzie nie ma!
 Przeszłość i przyszłość ostremi oczyma
 Widzą i znają — dla nich, przemienienie
 To jedna chwila — to dalsze natchnienie!
 Jak my na ziemi w godzinę zachwytu
 Nikłą pieśń z serca czerpiem — tak tam oni
 Kształt rzeczywisty czerpią z fal wszechbytu,
 Szaty przemienne czerpią z życia toni
 I coraz dalej ku Panu — ku górze
 Lecą w królewskiej ciał i dusz purpurze!

W koło, niebieskich coraz więcej darów,
 Grzmiących dzwięczności i światła pożarów,
 Mnożą się mleczne pierścienie i pręgi,
 Coraz to szersze lazururowe kraje,
 — Przestrzeń pełniejszą potęg się wydaje —
 — Czas coraz bardziej się przeterażniejsza —
 A jednak przyszłość, co od końca dzieli,
 W nieskończoności swej, nigdy nie mniejsza.
 Bo Pan wszystkiego jest wszystkim na wieki,
 Choć coraz bliższy, on równie daleki!
 Jego-to, Jego żądają Anieli!
 Żądza bez miary co chwila rosnąca,
 Miłość bez granic — to życie bez końca! —

On, ogniw wszechstworzenia wiązannym łańcuchem,
 On Bytem, Myślą, Życiem — Ojcem, Synem, Duchem!
 On jak Myśl w świecie mieszka i jak byt wieczysty,
 Lecz za świata krańcami, On jest osobisty. —
 On Duchem Świętym, jednym, który wie sam siebie,

Rozlał się po wszej ziemi, a został na niebie!
 A my wszyscy i wszędzie Jegośmy obrazem,
 I wstępując stopniami w coraz wyższe włości,
 Żyć musim nieśmiertelnie, z Nim żyć musim **razem**,
 Zrodzeni z Jego łona, żyć w Jego wieczności!
 I jako On nas stworzył, tak my tworzyć dalej,
 I z wnętrza nas samych, wyprowadzać światy,
 By prząc Mu, jak nam uprządl, wiadomości szaty,
 O ile możemy, biedni, w Anielskiej pokorze,
 To coś Ty nam dał z łaski — oddawać Ci, Boże,
 A nigdy nie módz, nigdy, nie ci oddać, Panie,
 I tak żyć w Tobie wiecznie, przez wieczne kochanie!

* * *

Lecz szkołą Duchów są Ludzkości dzieje —
 Droga do niebios, planety koleje!
 Na nim to, na nim pójdą zasłużeni
 — A wszyscy razem — do innych przestrzeni.
 Gdy Syn Twój, sędzia, zmartwychwstałych książę
 Losy tej ziemi w dzień sądu rozwiąże,
 I z nich anielstwo ludziom wypromieni!
 A do dnia tego, wiodące tu wschody
 To w łasce Twojej poczęte narody! —
 Garsć im powołań sypnałeś z wysoka —
 W każdym z nich żyje, myśl jakaś głęboka,
 Co z piersi Twoich zesłaniem jest technieniem
 I narodowi odtąd — przeznaczeniem!
 A są wybrane jedne przed innemi,
 By o Twą piękność walczyły na ziemi,
 I krzyż lat wielu wlokąc krwawym śladem,
 Były wśród świata — anielskim przykładem!
 Aż nie wywalczą, straszną walką w grobie
 Wyższego w ludziach pojęcia o Tobie,
 Więcej miłości i więcej braterstwa,
 W zamian za tkwiący w piersiach nóż morderstwa!

Takim jest naród Twój polski, o Boże!
 Kto częstką jego — niech wie się Twej woli
 Częstką na ziemi — i choć go świat boli
 Tak, że aż zwątpić o nadziei może

Niech w tem cierpieniu wytrwa niesłuchanem,
 Boć on zaprawdę w Twego Ducha chrzczony,
 Boć on zaprawdę Twym ziemskim kapłanem,
 Jeźli się cierniów nie wstydzi korony,
 Jeźli pojmuje, że kochasz bezmiernie
 Synów tych, których koronujesz w ciernie,
 Bo cierń w krwi maczan — to kwiat wiecznotrwały —
 I nim odmładzasz świat ludzkości cały!

* * *

Chrystus wciąż w tobie mieszka o Ludzkości!
 W twych piersiach żyje, w twoich losach gości,
 Krwią twą, krew Jego i ciałem twem, ciało!
 Stanie się tobie, co Jemu się stało!
 On wcielił w siebie wszystkie twe nadzieje.
 Zkądś zrodzona: — z przeczystej dziewicy,
 Bo z myśli Bożej, w Boże podobieństwo!
 Ku czemu idziesz: — ku ojca stolicy. —
 Przez co przejść musisz: — przez trud i męczeństwo!
 A kiedy Chrystus nad Taboru szczytem
 Już się otacza wieczności przedświtem,
 Czy ty nie widzisz, co ten znak ci wróży?
 Nim los twój ziemski, w pełni się dokona,
 I ty, Ludzkości, będziesz przemieniona!
 Zostawisz w dole u stóp ciemnych wzgórz
 Wszystko co zwodzi i wszystko co boli;
 Zostawisz w dole szataństwo niewoli!
 Zostawisz w dole kłamstwa opętanie,
 Zostawisz w dole tajemnic zawisłość,
 A weźmiesz z sobą duchowe poznanie
 I serca wieczną, nieskończoną miłość!
 I z tem dwoma świętymi potęgą
 Jak Chrystus w światła wzbijesz się okręgi!
 Z czoła się twego grzech wszelki twój zetrze;
 Jak pióra, lekkie będą twe ramiona!
 Ręce pokładniesz na białe powietrze,
 I w niem się ważyć będziesz — spowietrzona! —

II.

PSALM NADZIEI.

16. A ja prosić będę Ojca, a innego pocieszy-
ciela da wam, aby z wami mieszkał na wieki:

17. Onego Ducha prawdy, którego świat przyjąć
nie może, bo go nie widzi ani go zna. — Lecz wy
go znacie, gdyż u was mieszka i w was będzie.

18. Nie zostawię was sierotami — przyjdę do was.

Ś. JAN, Roz. XIV.

6. I widziałem drugiego Anioła lecącego przez
pośrodek nieba, mającego Ewangelię wieczną, aby
zwiastował siedzącym na ziemi i wszelkiemu naro-
dowi, i pokoleniu, i językowi, i ludowi.

OBJAWIENIE Ś. JANA, Roz. XIV.

Dość już długo—dość już długo
Brzmiał na strunach wieszczów żal!
Czas uderzyć w strunę drugą,
W czynów stal! —

Wszystkim ciała dał Jehowa —
Duszę wszystkim Chrystus dał,
A Duch święty, żywot chowa
By wraz ciało z duszą zlał!

Ja wam mówię — niedaleki
Zbawiciela Objawiciel!
Niedaleki — nam przed wieki
Obiecany Pocieszyciel!

Oto idzie już godzina.
Poznan będzie — niepojęty!
Z Ojca weźmie, weźmie z Syna
I rozleje się Duch święty! —

A nie trony — ni korony
Pierwsze ujrzą Cię na niebie, —
Lecz niewinnie umęczony,
Ten, o Duchu! ujrzy Ciebie!

Kto lat tysiąc wieku strawił,
Kościół broniąc od poddaństwa!
Milionową pierś wciąż krwawił
Aż rozdeptał gad pogaństwa!

Kto śród ludów nie miał brata;
 Ten, na czym już pogrzebie
 Były wszystkie króle świata,
 Ten o pierwszy, ujrzy Ciebie!

Bo choć krwawy — choć zemdlony,
 Wzrok utopion trzyma w niebie!
 A kto patrzy w Ducha strony
 Ten, o Duchu, ujrzy Ciebie!

*

* * *

Ni zmysł kupców, ni dłoń kata
 Przeciw prawdzie nie pomoże!
 O przyjdź prędzej, wiosno świata!
 O przyjdź prędzej, Duchu-Boże! —

Wszak my duchy, Duchu święty?
 Wiecznie wstajem z własnych kości —
 Wszak jak Chrystus wniebowzięty
 Wniebowstąpię w Raj miłości?

Wszak my jedni i ciż sami,
 Tylko coraz wyżsi, Panie?
 I garniemy się wiekami
 W ostateczne Zmartwychwstanie?

Jawem życia — czy snem w grobie
 Z wiosny w wiosnę — wciąż ku wiosnie —
 Kwiat niebieski — duch nasz — rośnie,
 Wszyscy rośniem wciąż ku Tobie!

Kto opíše — kto opowie?
 Bóg jest jeden — jeden — sam!
 Przecież, w Bogu, dano nam,
 Że my będziemy jak Bogowie!

*

* * *

Lecz wprzód ziemia ta stroskana
 Pokój przyjąć musi wszędzie!
 Wszak kazana w imię Pana
 Ewangelia wieczna będzie? —

Wszak z planety, co się rozciął
 Na odłamków tyle — tyle —
 Będzie jeden świat i kościół?
 Daj nam, Duchu — daj tę chwilę! —

Chrystusowy uścisk bratni
 Gdy okoli wszystką ziemię,
 Wejdzie, wejdzie wiek ostatni,
 I ostatnie ludzkie plemię.

Żegnaj, ziemio, z bolem! z żalem!
 — Wszędzie święte ze świętymi —
 Nowe błyszczy Hieruzalem
 Na padole starej ziemi!

Długa droga — trud był śliski —
 Krwi spłynęło i łez morze!
 Lecz anielstwa czas już blizki —
 — Pójdą — pójdą w Ciebie, Boże!

* * *

— Tak wam z krzyża, o plemiona,
 Dziś proroczy Polski naród:
 Choć mówicie: „Ot, już kona.“
 W nim przyszłości waszej zaród. —

Polsko! Polsko! grób twój tylko
 Był kołyską nowej zorzy!
 Śród wieczności jedną chwilką,
 W której począł się dzień boży!

Czas już zedrzeć z wieku chmurę!
 Idącego Pana chwalmy!
 Rzucąć palmy — rzucąć psalmy —
 Kwiaty na dół — pieśni w górę!

O rzucajcie pieśni, kwiaty!
 Oto idzie — idzie Pan;
 A nie smętny jak przed laty,
 Wolny cierniów, gwoździ, ran! —

Przemieniony, z niebios szczytu,
Z nad wszechświata gwiezdnych ścian,
Jak widnokrąg wszechbłękitu
Ku nam spływa — spływa Pan!

O! ten błękit pijcie duszą,
A wam wszystko zbłękitnieje!
Choć was męczą — choć was kuszą —
Uwierzycie w mą nadzieję! —

Niech was darmo nie przestrasza
Że dziś podłość górą wszędzie!
Z wiary waszej, wola wasza —
Z woli waszej, czyn wasz będzie!

Nie powróci stara klęska —
Duchom — duchom tryumf dan!
Oto idzie moc zwyciężka,
Panujący idzie Pan!

Dość już długo — dość już długo
Brzmiał na strunach wieszczów żal!
Czas uderzyć w strunę drugą,
W czynów stal! —

III.

PSALM MIŁOŚCI.

1. Chociażbym mówił językami ludzkimi i anielskimi, a miłości bym nie miał, stałem się jako miedź brząkająca albo cymbał brząający.

2. I choćbym miał proroctwo i wiedziałbym wszystkie tajemnice i wszelką umiejętność i choćbym miał wszystką wiarę, tak żebym góry przenosił, a miłości bym nie miał, nicem nie jest.

Ś. PAWEŁ, LIST DO KORYNTYAN, Roz. XIII.



Przeciw piekłu podnieść kord!
Bić szatanów czarny ród!
Rozciąć szablą krwawy knut
Barbarzyńskich w świetle hord.
Lecz nie nęcić polski lud
By niósł szlachcie polskiej mord!
Marne wrzaski — próżne mowy —
Z krwi i z błota — stary świat!
My do innych idziem lat,
Promień z Niebios spadł już nowy!

Gdy z kolebki duch się budzi,
Niemowlęstwem wolnych ludzi
Gilotyna i grabieże!
Dzieciom luby wściekły gniew!
I w wylaną, bratnią krew,
Wierzą ciemne w ślepej wierze!
Nie wolności dotąd człowiek,
To wolności wstało zwierzę!
Lecz czas łuskom odpaść z powiek —
Czas już przejrzeć Boga wolę!
Czas anielski podjąć trud,
Czas odrzucić wszelki brud,
I tem samem znieść niewolę! —

Nie jest czynem — rzeź dziecinna!
Nie jest czynem — wyniszczenie!
Jedna prawda boska, czynna,
To przez miłość, przemienienie!
Jeden tylko, jeden cud,
Z szlachtą polską, polski Lud,

Jak dwa chóry — jedno pienie! —
 Wszystko inne, złudą złud!
 Wszystko inne, plamą plam
 I Ojczyzna tylko tam! —
 Jeden tylko, jeden cud,
 Z szlachtą polską, polski Lud.
 Dusza żywa z żywym ciałem
 Zespojone świętym szaleń;
 Z tego ślubu jeden Duch,
 Wielki naród polski sam,
 Jedna wola, jeden ruch,
 O! zbawienie tylko — tam! —

Kto chce iskier z czarta kuźni,
 By przepalić czarta moc,
 Ten, świat w gorszą wpycha noc,
 Ten, mądrości wiecznej bluźni. —
 Choćby nie był Moskal rodem,
 Ten, Moskałem stał się z ducha,
 Ten, mongolskich natchnień słucha —
 Moskwa-piekło, mu narodem.

Szata Polski nieskalana,
 Przenajczystsza i świetlana —
 Jak niewinność trudu trudów,
 Jako odkup wszystkich Ludów
 Dotąd w Polski grobie leży!
 Ten kto wzniesie pierwszy rękę
 By śnieg zetrzeć z tej odzieży,
 Kto przemieni w zbrodnią — mękę,
 Kto przekuje nóż w kajdany
 A nie w szablę — ten przeklęty!
 Tego straszna gna pokusa —
 Ni mu rozwój światów znany —
 Ni objawion mu Duch święty,
 Ni pamiętan Duch Chrystusa!
 On bez myśli, on bez serca —
 W Boga skarbcach nic nie kupi —
 On nieszczęsny i on głupi —
 Jak kat każdy i morderca!

Gdy zstępują w świat geniusze,
 Innym sprawę wiodą torem!
 Nikt przez mordy i katusze
 Nie był wieków Dyktatorem!
 Raczej żyją niebezpiecznie,
 Raczej w końcu giną sami,
 Lecz zwycięztwo ich trwa wiecznie —
 A z nich żaden się nie splami
 Terroryzmem — by do szaty
 Purpurowej brał szkarłat
 Z braci swoich z żętej głowy —
 Ani Cezar stary w Rzymie!
 Ani Francyi Cezar nowy!
 Każde krwawe w dziejach imię,
 Ach, nosiła mierna dusza!
 Słaby tylko rzeź wybiera:
 Czy mu imię jest — Marjusza,
 Czy mu imię — Robespiera!

W poświęcenia świętej dumie
 Poprowadzi Lud do bitwy,
 Kto prowadzić Lud ten umie:
 Szlachta Polski — Rusi — Litwy!
 Pierwsze czyja kwitnie w blizny?
 Kto się palił wciąż ofiarą
 Na ołtarzach tej Ojczyzny?
 Kto nad Ludu błędną marą,
 Nad przepaścią ciemną jeszcze,
 Skrzył się cały w żary wieszczę?
 Kto sam z władz swych się rozbiierał.
 Narodowi pootwierał
 Przyszłe, wielkie bytu niwy?
 Ani kupcy — ni Żydowie —
 Ani mieszczan też synowie —
 Lecz ród szlachty nieszczęśliwy! —
 Ród, co nie znał z wrogiem miru,
 Żniwem trupiem ścinan w boju
 Lud zapędzan do Sybiru —
 Oni tylko — dotąd oni,

Z Polską w sercu — z mieczem w dłoni —
Dniem i nocą bez pokoju!

Któż, zachwycon zdarzeń ściekiem,
Nie popełnił nigdy winy?
Chyba jeden — ten jedyny,
Co był Bogiem a Człowiekiem!
Jakiż naród — jakiż stan —
Wiekże jaki, z czystem czołem
Krzyknąć może: „Jam Aniołem!
„Jam nie zadał drugim, ran.“

Lecz się grzechy mazać winny,
Gdy z grzesznika człowiek inny
Wylatuje wśród cierpienia —
Tak jak Fenix, co się zmienia,
Nieśmiertelny — śród płomienia!
A wyleciał ptak ten nowy,
Syn zbudzonych z snu, rozbiorem!
Ani zasnął ojców wzorem!
Zj żył skrzydła — ścisnął szpony —
I w powietrzu gryzł korony,
Berła, miecze i okowy,
Które trzyma ptak dwugłowy!

Wszędzie, wszędzie, na planecie
Braci moich ryty ślad!
Wy go słowami nie zmażecie,
Bo teźnie w dziejach boży ład!
Ich za Polskę — ścigał świat!
Ich za Polskę — męczył kat —
Nie od wczoraj — od lat wiele
Pierś im palił skwarny brzeg —
Lub krył oczy wygnań śnieg,
I więziła Cytadela! —
Na alpejskich skał wyżynie,
Po śródziemnych fal błękiecie,
Na Italskim Apeninie,
Na Hiszpańskich *Sierrów* szczycie,
Na Germańskich niw równinie,

Po moskiewskich wszystkich lodach,
 Na francuzkiem każdym polu,
 Po wszechziemiach—po wszechwodach,
 Sieli przyszłej Polski siew!
 Boże ziarna — własną krew —
 — I wy — syny tego bolu! —

Tam lud święty — Szlachta święta
 Nie kto inny — prowadziła,
 A ja natchnień wiodła siła —
 Bez niej, dzisiaj, wam by pęta
 Ducha żarły a nie ciało —
 Bo Lud martwy, sam— to mało —
 Ogrom leży a bez czucia —
 Jeszcze trzeba iskry z nieba
 A nie z ziemi — do rozkucia
 Marzącego w śnie olbrzyma —
 I bez szlachty, Ludu nie ma!

Z życiem wiernie przechowanem
 Ona stoi na mogile,
 W której zmartwychwstańców tyle!
 Ona Ludu dziś kapłanem! —
 Dzierży w ręku moc ofiary —
 Groźb nie lęka się, ni kary —
 Bo zdeptała świat wasz stary,
 Świat zawiści—mordu—ciemna—
 W którym tylko moc ujemna;
 Wie się ona przeznaczoną
 Do noszenia tu korony!
 Lecz jedyną tu koroną
 Wylać ducha na miliony!
 Ciałom wszystkim rozdać chleba —
 Duszom wszystkim — myśli z nieba!
 Nie nie spychać nigdy w dół,
 Lecz do coraz wyższych kół
 Iść przez drugich podnoszenie
 Tak Bóg czyni we wszechświecie!
 Bo cel światów — szlachetnieje!

Wy co niższe zniżać chcecie,
 Patrzcie! patrzcie! — Od kamienia
 Jak stopniami Pan przemienia
 Duchy stworzeń. — Z razu senny
 Wszczętek życia, aż powoli
 Wydobędzie się z niewoli
 — Walka trudna i trud boli —
 Lecz podnosi się kształt zmienny,
 Wreszcie, przywian Duch z daleka
 Wdziewa na się pierś człowieka —
 Głaz, kwiat, zwierzę, śniły z cicha,
 On, ku niebu pnie już głowę —
 Do Aniołów pieśnią wzdycha
 Między gwiazdy eterowe!

Wszystko, wszystko, wiecznie, wszędzie
 Rwie się w górę, z Bożej myśli!
 Z wiecznym Bogiem ten nie będzie
 Kto inaczej świat swój kreśli! e
 Kto nie zszlachcić naród cały,
 Lecz chce szlachtę zedrzeć z chwały,
 Może chwilkę w gruzach siedzie,
 Braci zehłopi lub obali —
 Lecz nie wzniesie Ludu dalej. —
 Bo wszechświata prawom wbrew
 Sennych zbudzi, nie na ludzi —
 Zbudzi sennych, na zwierzęta!
 Miasto światel wielkiej burzy
 Ujrzy ziemskiej dno kałuży,
 I w niej polską, spiekłą krew!
 — To nie polskie będą święta!

* * *

Powiedz, orle! orle mój!
 Białoskrzydłny, niezmazany,
 Zkąd tych czarnych myśli rój!
 One rosna — gdzie kajdany!
 Ach! niewola sęczy jad
 Co rozkłada Duchów skład!

Niczem Sybir, niczem knuty
I cielesnych tortur król!
Lecz narodu Duch otruty —
To dopiero bólów ból! —

* * *

Wiecznie stoi przywłaszczyciel
Przed wszystkich oczyma! —
Tem, że stoi, już kusiciel,
Chyba Boga niema!
Sprosnościami hydnej dumy
Pomięszał rozumy!
Rozwiązuje sam sumienia
Przez ogrom cierpienia!
Sieje kłamstwo i ciemnotę,
Zmieni zbrodnię — w cnotę!
Bohaterów on przekaci
Na trupach ich braci!
On przyuczy dzieci małe
Wierzyć w mord jak w chwałę!
Wezmą sztylet mdłe panienki
Jak różę do ręki!
Powie siostra: „bracie, weź,
„Bo zbawieniem rzeź!“ —
Oszaleją jego szaleń
Rozwściekną — wściekliżną!
Jak on będą — piekłem całem,
Nie niebem, ojczyzną!

Precz tym złudom, o ma Święta!
Złej godziny to są mary!
Ty zostaniesz niedotknięta!
Ty nie zbędzisz dawnej wiary
Że ten tylko więzy przetnie
Kto namaszczone cnoty znakiem,
Że na ziemi być Polakiem
To żyć bosko i szlachetnie!

Niechaj szepcą Jezuity,
Niechaj wrzeszcza demagogi,

Że cel wielki a ukryty
 Odwszetcznia podle drogi —
 Że przypadków idąc kołem
 Wolno w bagna zejść szatana!
 Potem dusza w nich skąpana
 Znów odnajdzie się aniołem;
 Że się zmaże hańby kartę!
 Że królestwo Boże z czarta;
 Że wszechdobro złego warte —
 Że wszechmiłość — zbrodni warta!

Precz tym złudom, o ma Święta,
 A otacza cię ich wiele —
 Wszystkie świata chcą zwierzęta
 W zwierzę zmienić cię, Aniele!
 U stóp świętych twej Golgoty
 Wszystkie złości zgromadzone!
 Wszystkie Fałsze i Ciemnoty —
 Wszystkie czarne wieku Duchy!
 Ci z nożami — ci z łańcuchy —
 A chcą wszystkie mąk koronę
 Zwiąć ci z czoła w piekiel stronę —
 Byś zmartwychwstań wielkim czynem
 Nie zabłysła Serafinem! —
 By krwi twojej i łez strugi
 Nie mieszały w przyszłym niebie!
 By się na nic nie przydało
 Chrystusowe w tobie ciało
 Umęczone poraz drugi!
 By z najdroższej Panu — z ciebie,
 Pozostała w dziejach świata
 Jakaś brudna tylko szata —
 By ty znikła — ty! zbawczyni,
 Córką bożą, ty — daremno —
 I w sławiańskich niw pustyni
 Już na wieki było ciemno! —

Jakież straszne ich postaci
 Tych kuszących bezbożników!
 Tysiącami wściekłych ryków

Proszą ciebie o mord braci!
 Inni każą — w imię Cara
 Wierzyć tobie — żeś ty mara!
 Kościotrupie u nich lice —
 Boże! Boże! to upiory
 Z cmentarzowej wyszłe nory —
 W oczach żądla — nie źrenice —
 Pod żebrami — serca nie ma —
 W miejscu serca, wąż się zżyma,
 I wyłazą z piersi gady:
 Wszystkie hańby — wszystkie zdrady —
 Obrzydliwym gnąc się ruchem,
 Każda wije się łańcuchem
 Z drugą wiąże się w przestrzeni!
 Już się coraz bardziej zbliża
 Tłum plugawy ten do ciebie!
 Łańcuchami żmij złączeni,
 Do twojego idą krzyża
 Co na wzgórzu, w czystym niebie.
 Już stanęli — wznoszą głowę —
 Plwają śliny swe nieczyste
 Na twe ciało promieniste,
 Zarzucają z węzów wieńce
 Na przebite twoje ręce,
 Na twe stopy marmurowe!
 Oni ciebie by rozdarli,
 Ciebie, przyszlą — ci z przeszłości —
 Ciebie, żywą — ci umarli,
 Co nie wejdą do twych włości!

* * *

Polsko moja! Polsko święta!
 Nad zwycięztwa stoisz progiem;
 Kres to męki twój ostatni,
 Niechaj tylko uwydatni
 Żeś wszechzłego wiecznym wrogiem! —
 Potem prysną śmierci pęta,
 I Ty będziesz wniebowzięta,
 Bo aż w śmierci byłaś z Bogiem!

Gdy ostatnia chwila
 Zgon w życie przesila,
 Najsroższy bój!
 Szloch zwątpień — jęk skargi
 Jęczą mrące wargi —
 O! Boże mój! —

W męczeńskiej twej sile
 Pokonaj tę chwilę,
 Ten zwycięż ból!
 A wstaniesz na nowo,
 A wstaniesz królową
 Sławiańskich pól!

Moskiewskie mamidła,
 Obietnice, sidła,
 Nie zwodzą już!
 Dziesięć Ludów czeka
 Na myśl — lub człowieka —
 Myśl twoja — tuż!

Nie zsambójeżona
 Z własną krwią u łona
 Przed Bogiem stań!
 By wziął cię z kolei
 W poczet swych idei,
 Tych świata pań!

Dziś wschodni ład
 Dwóch bójką wiar —
 — Ty i Car. —
 Car, życia trąd —
 Ty, życia prąd,
 Ty, życia dar!

Niech miłośnie
 Jak ku wiośnie
 W twą patrzą twarz!
 Bądź mistrzynią
 Co krzywości

Świata prości;
Przewodczynią
Wszechmiłości!

Grzech wszelki maż —
Łzę wszelką susz —
Depc ziemski szal —
Rządź światem dusz,
Gardź państwem ciał.
Nieś dech Pana
Nieskalana
Żadnym kałem!
Ludy, z trzody
Stwórz w narody;
Stań nad niemi,
Ich na ziemi,
Ideałem!

Przeciw piekłu podnieść kord!
Bić szatana czarny ród!
Rozciąć szablą krwawy knut
Barbarzyńskich w świecie hord!
Lecz nie nęcić polski Lud
By niósł szlachcie Polskiej mord!
Jedno tylko ach! zbawienie,
Jeden tylko — jeden cud,
Z szlachtą polską, polski Lud,
Jak dwa chóry — jedno pienie! —

Hajdamackie rzućcie noże,
I oszczerstwa i bluźnierstwa!
By Carycy w grobie kości
Nie skleiły się z radości,
Trup nie parsknął w śmiech szyderstwa!
Hajdamackie rzućcie noże!
By nie klęły na was wieki,
Że cel wieków — znów daleki!
Żeście w dumie — żeście w szale
Przewrócili losów szalę
I rozbili się na skale.

Kędy wiecznie się wyrodni
Rozbić muszą — bo na zbrodni!..

Hajdamackie rzućcie noże!
Jeżeli w głębi serca wiecie,
Że w planety tego dzieje
Pan wciąż z niebios myśl swą sieje.
— Nie przypadek rządzi w świecie —
Nikt nie stawia gmachu z błota:
I najwyższy rozum — cnota!

Hajdamackie rzućcie noże!
Bo gdy miną fale godzin
Co nas dzieli od odrodzin,
Będzie Polska zmartwychwstała
Wszystkich zbójców przeklinała!
Tamci lepsi — i mniej śmieli,
Skradli ziemię, czei nie tknęli,
Sławy wieków nie zatarli!
Niech głos ludów to opowie!
My, jaśnieli, choć umarli
Jako jaśnia aniołowie!

Hajdamackie rzućcie noże!
A gdy zagrzmie — o żniw porze,
Wtedy naprzód — w imię Boże!
Bierzcie szable—sierpy—kosy—
Dać żniwiarzom wszystkim grunt,
Rozpłomienie święty bunt; —
Lecić będą, lecić kłosa,
Ziemię zboczy gęsty wróg.
Twierdz i więzień prysną mury —
Duchem zatłon, ogrom zgorze
Jak suchego siana stóg!
A patrzący wiecznie z góry
Nie odwróci twarzy, Bóg!

IV.

PSALM ŻALU.

2. . . . mają oczy, aby widzieli, a nie widzą,—
uszy mają aby słyszeli, a nie słyszą. .

EZECHIEL, Roz. XII.

17. Boć nie posłał Bóg Syna swego na świat,
aby sądził świat, lecz aby świat był zbawion przezeń.

Ś. JAN, Roz. III.



Psalm następny, z następnego powodu:

Przeciw trzem poprzedzającym, a szczególnie trzeciemu, zaraz po ich ukazaniu się, zatem nie mały czas jeszcze przed bezbożnej pamięci miesiącem lutym 1846 r. napisano pieśń w podobnym ich kształtowi kształcie. — Ta pieśń w rękopiśmie *), jedna z przedziwności języka polskiego, brzmiąca cudownemi dźwięki, a głębokiego mistycyzmu piętnem naznaczona, wyobrazicielką jest niektórych dążeń i myśli krążących po widnokręgach umysłowych Epoki naszej. — Jeden ją wybrzmiał z piersi swych — ale po wielu piersiach drzeźnią zawarte w niej technienia. — Niesposób jej tu w całości wydać, bo imię wieszczę, który ją wyśpiewał i wola jego o niej, nieznanymi. — Pokróćce więc tylko treść w niej leżących zarzutów i pomysłów się opisze. — Teć albowiem nie tylko są jednego wyłączną, rzeczywistą, ale zarazem pewnej liczby drugich wspólną, idealną własnością. — Kształtu się nie przywodzi — Ideę tylko się podaje!

Pieśń owa w uroczych, a ironijnych strofach zaczyna od zarzucania Psalmowi Miłości przeczuc zupełnie fałszywych i bojaźni niczem nie usprawiedliwionej przed pewnemi wypaść mogącemi klęskami — i zapowiada absolutnem twierdzeniem, że nigdy nic podobnego na ziemi polskiej się nie zdarzy. — Dalej, szydząc, utrzymuje, że chyba upiory snuły się wieczorem po drodze zadumanego szlachcica i plemion dawno zmarłych po księżycu mglily się kurhany — lub też nad zasypiającemi oczyma pobłysk padł od czerwonych kotary firanek — ztąd krwi

*) Wiersz, o którym tu mowa, został wydrukowanym w Lipsku, u Bobrowicza pod tytułem: DO AUTORA PSALMÓW PRZYSZŁOŚCI i znajduje się w wydaniu Pism Słowackiego, Lipsk Brockhaus, 1869, na końcu tomu IV.

(Przypisek wydawcy.)

widzenia, ztąd strach złowieszczy, bo *„Któż gdzie i kiedy nożem zagroził lub stanął ci sporem?”* — Próżne mary — wcale ni mord ni rzeź — ale z wieńca kwietnianego nadpowietrznych duchów obrywające się postaci, przelatujące w przestrzeniach *„a ty zląkł się, syn szlachecki”*.

Po takowym wstępie, pieśń przechodzi do ocenienia stanowiska całej szlachty polskiej — przyznając, że jej niegdyś było sto tysięcy, ma ją teraz za zupełnie już nieistniejącą i oświadcza, że wcale i nigdzie *„jej nie ma”*. — Że w głębiach czasu gotuje się wichrowy płomień, co wybuchnąwszy zgasi i zdmuchnie jak świecę wszelkiego szlachty onej przypomnieli. — Przyjdą światła jakieś boże, widzialne, wśród burz apokaliptycznych palające — i rzucają się na lud i popchną go — a ztąd cudowne powstaną strachy i przerażenia, żywe jakoby Śmierci przechadzające się po ziemi — a w nich i z niemi będzie Duch!

„Słaby, mówisz, rzeź wybiera, a czy wiesz co on, ten Duch, wybierze?” — Po tem zapytaniu, pieśń Jehowicznem wzbierając natchnieniem — głosi, że zapewne Duch on młody wybierze za środek wcielenia się swego, ludów zatracenie — z wichrów, komet i płomieni okropne odmety, w których króle drżą, matki ronią, ziemia się rozpada i gruzy po gruzach tylko chłonie; — a z onych zwalisk wszystkich korzysta duch — którego definicya, że jest *„wiecznym rewolucjonista.”*

Nad tak w pył i popiół rozsypanym światem nowa zorza unosi się w górze; — a pod jej blaskami, w jakieś smętnych przestworach zatracenia, jęczy przeszłość historyczna kraju. — Nieskończone westchnienie słychać z tej otchłani ojczystych dziejów — ale po nad nią wszechwładny Duch *„uciska, mroczy i błyska”* aż stopniowemi uciski uzupełni nowego Boga i wiek absolutnie nowy.

Po takich przejściach, kończy pieśń modlitwą gorącą i uroczystą o rychłe ziszczenie się dopiero co wyżej przytoczonych obrazów, z najmisterniejszą sztuką odmalowanych!

Na takiej treści wieszczby, odpowiedzią następny Psalm.

I.

Więc strach, mówisz, mówił ze mnie,
Gdym przeczuwał że się w Ciemnie
Zasuwamy, a nie w Zorzę —
I że Lud się zhańbi może!

Prawdę mówisz — pewnem mężstwem
Ja się nigdy nie pochlubię: —
Ja przed bliźnich drzę męczeństwem —
W otchłań spychać — ja nie lubię;
Gdzie brud ujrzę — wnet mi serce
Jakaś bojaźń chwyta, boża, —
Braćmi nie są mi morderce, —
Szablę kocham, — wstyd mi noża!

Jakbym zląkł się — na stolicy
Z gwiazd i tęcz, Bogarodzicy
Widnej w widzeń błyskawicy
A mówiącej sprośne słowa,
— Samby zląkł się i Jehowa! —

Tak się lękam i truchleję,
Kiedy w Polskie spaść ma dzieje
Mord i srom!.....

Lepszy grom!

Zmartwychwstaje się z pod gromu, —
Nie zmartwychwstaje z pod sromu!

Tys odważny — ja się boję
Kazirodczych ran!

Bojaźń moją — mężstwo twoje
Niech osądzi Pan!

* * *

Więc gdy padać miały trupy
Twych nieszczęsnych braci —

Gdy z nich mieli zdzierać łupy
 Chłopi — Żydzi — Kaci; —
 Kiedy ziarno siane w śmieci
 Od Wersalskich dzieci
 Zdradą miało zejść niemiecką, —
 Więc i ty, jak dziecko,
 W bańce własnych siedząc marzeń
 Nie przeczułeś zdarzeń?
 Nie wcieliłeś się w to ciało
 Co tak cierpieć miało!
 Ach! nie wzięłeś ran — przed ciosem
 W pierś twą, magnetycznie, —
 Aleś jednym wciąż piał głosem
 Tylko fantastycznie!
 Wzrokeś wlepił w tve niebiosą; —
 Ukraińska kosa
 Na nich Krzyżem wybawienia; —
 W koło błyskawice —
 Z światła cepy i kłonicę —
 I wichry z płomienia!
 A w otchłaniach, gdzieści w dole,
 Z przekleństwem na czole
 Polska Szlachta — Polskie Pany —
 Czyściec z świata zwiany,
 Jak smętne bałwany,
 Czarne fale — siwe piany,
 W burzliwą noc! —
 Tam Zborowskich ścięte głowy,
 Topór i kloc!
 Placz bez końca — zgrzyt echowy —
 Miłość — chwała —
 Przeszłość cała
 Rozdeptana przez wiek nowy!
 O mój wieszczu, stój!
 Oto jutro rano
 Na powstański bój
 Polskie Pany wstaną!
 Szlachta — której nie ma —
 Bohaterskiej niżli kiedy,
 Wyzwie Trój-Olbrzymą!

Lecz z twych niebios spadną wtedy
 Twoje tajemnice —
 Cepy i kłonice —
 Twój ach! spadnie cud!
 I tych Polski namiestników
 Za kilka srebrników
 Twój rozsieka Lud!
 I strun twoich granie
 Zagłuszy wrzask mordu!
 I nie nie zostanie
 Z twojego akkordu! —

* * *

Bodajbyś, wieszczu, był wieszczyl prawdziwie!
 Bodajbym zdjęty przerażenia dreszczem
 Był kłamcą tylko — ty natchnionym wieszczem —
 I plam nie było na ojczystej niwie!
 Bodajby Polska nierozdarta — cała —
 Tak jak się czuła dniem przed rzezią jeszcze
 Pieśni twe, wieszczu, uwielbiała wieszczce
 A z moich marnych na gardło się śmiała! —
 Bodajbym nawet — zapozwan przed sądem
 Za potwarz moją na Lud nieskalany.
 Co żadnej hańby nie owrzodził trądem,
 Usłyszał wyrok: na śmierć lub kajdany!
 I ty w tryumfie stał z harfą twą złotą
 Uragający — i pytał: „A co to?”
 I mnie prowadził aż do rusztowania
 Śród przekleństw gminu — co tobie się kłania
 I milionowym dziękuje poklaskiem,
 Żeś odgadł światła wschód czysty — przed brzaskiem —
 Szlibyśmy oba — i szczęśliwsi oba —
 Ty chwałą własną — ja Polski zbawieniem; —
 Bo i mnie, wieszczu, wciąż śni się ta doba, —
 Lecz wiem, że wściekłość — nie jest zduchownieniem. —
 Lecz wiem, że wszelka zwycięstwa godzina
 Bić w sercu Boga nad światem zaczyna,
 Nim tu narodom, na świecie, uderzy! —
 Więc przed nim stanąć narody wprzód muszą
 Nie z rykiem zwierząt — lecz z anielską duszą; —

Lud tylko święty — Królestwo odzierży!
Przemień go — przemień w Króla i Kapłana —
Lecz zanim jeszcze nie przekrólewszczony
Nie klękaj przed nim — nie kładź mu korony, —
Lecz ufaj w szlachtę Polską — i moc Pana! —

* * *

Ależ, wieszczu — boś ty wiary
Dni zaprzyszłych — tyś wieszcz stary!
Cóż o Duchu ci się śni?
Duch twój wiecznie grzmi w twej pieśni
Jak pogański Jowisz jaki; —
Lub kataklizm wśród natury,
Co świat chwyta na tortury;
To Indyjskich bóstw oznaki!
Duch-że twój — inkwizytorem?
Lub wandalskich dni upiorem,
Co powtórzyć ma do joty
Historycznych kręgów zwroty,
I z postępów wynieść tyla,
Tylko tyle co Atyla?
Duch twój, tyłkoż myślą czystą
A nie życiem istnem, szczerem?
Tylko rewolucyonistą,
Tylko Robespierrem?
Filozofią — a bez serca?
Kościoł trupem — a bez skóry?
O! tyś ducha jest oszczerca —
Bo go nie znasz; tylko chmury
Co go kryją widzisz mgliste,
A nie światło jego czyste,
A nie kształty powietrzniane,
A nie ruchy przefaliste; —
Te ci dotąd są nieznane!

* * *

Ciało jest — konserwatorem,
Dusza — wieczną buntownicą, —
I do siebie stoją sporem;
Im pogody nie zaświecą, —

Im nie ma pokoju
 Odkąd rajski wąż
 Pchnął je do rozstroju,
 Dusze z ciałmi, nad otchłania,
 Psują się i ranią
 Bratobójczo wciąż!
 Ach! idea — i zwierzęta —
 Anielice — i tygrysy!
 I w tej walce, bywa snadnie,
 Że gdy ludzkie rysy
 Idea pokładnie,
 Wnet i w Bogu ta poczęta
 Oszaleje!
 I jej dzieje
 Na tej ziemi
 Szkaradnemi!
 Potok krwi czerwony
 Przez wszystkie Ojczyzny:
 Gwałty i wścieklizny,
 Upadki i zgony.
 Wieńce kwitną dziś wawrzynem
 Jutro z nich ciernia korony —
 Każdy starzec-wiek, stracony
 Przez wiek drugi, co mu synem;
 I ojcobójstwami
 Ciągnie się i plami
 Płynący Czas!
 Któż zbawi nas?
 Kto z żywiołów klótni,
 Z bitwy miejsc i lat
 Harmonią wylutni,
 Rytmu stworzy świat?
 Ten, w kim głębie życia gorą,
 Co nie duszą, w lekkość chorą,
 Ani ciałem w ciężar chorem; —
 Ten, co trzecim idzie torem. —
 W kim ciał i dusz wspólny ruch,
 Ten który — tryumfATOREM —
 Święty Duch!....
 Lecz on płynie — a nie skacze,

Lecz on wschodzi — a nie spada, —
 Ziemia pod nim krwią nie płacze —
 On nie woła: Biada!
 Arcy-światła w nim potęgi
 On zapełni widnokręgi
 Niewidzialne — a błękitem
 Nad niziną i gór szczytem
 Równy promienieje.
 Rankiem budzi
 Sennych ludzi
 Na nadzieję!
 I do ciemnej zbieży studni,
 By wysrebrzał cień —
 Aż się ranek wypołudni
 W bieluteńki dzień! —

II.

Moc Jehowy — nie gniew,
 Zlana z myślą Chrysta
 W jeden wiew
 Iskra wiekuista,
 Wiew bez końca
 Wskroś przez ziemie — słońca —
 I oddech ten
 Taki jak sen, —
 I przepływa
 I porywa
 I ciągnie za sobą
 Okryte żalobą
 Wszystkie wieki
 Jak kaleki,
 Jak trupów rząd!
 Gwar — jęk — i szum —
 Wlecze się tłum: —
 Będzie sąd! —

* * *

Oto w dole
 Jozafackie pole, —

Jednej trumny wieko
 Niebios dach!
 Łzy wiekom z ócz cieką. —
 Wiekom strach!
 A wszędzie w krąg
 Widm krwawych ciąg; —
 Przeszłości wspomnienia
 Jak zmory chodzące
 Miecz potrząsające —
 Jak anioły gońce
 Zatracenia!

* * *

Do kata-Anioła
 Każden z wieków woła:
 „Zlituj się nademną,
 „Gdzież zbawień świat?“
 A anioł-kat:
 „Precz w otchłań podziemną,
 „Boś żył nadaremno —
 „Bo z wieki innemi
 „Braćmi twemi
 „Tyś niezbratan! —
 „Ja cię znam —
 „Jam jest: — Ty sam —
 „A twój, Szatan!“

* * *

W bezmocy
 Śród nocy
 Wiek po wieku stęka —
 Obalon przyklęka! —
 Leje się żar
 Zgryzotnych kar; —
 Duszni i cielesni
 W krwi i pleśni —
 Przepaść tuż!
 A Anioły w górze
 Jak burze
 Strącające już!

Nad dołem
 Drżą potępieni! —
 By nie paść
 W tę przepaść
 Wspierają się spolem!
 Jak łańcuch pierścieni
 Łono na łonie —
 — I zetknięte dłonie —
 Twarze obok twarzy;
 Miłość się im marzy
 Przy zgonie!

* * *

Aż z męczarni doliny
 Krzyk jeden, jedyny,
 Ziemskich wieków wstanie:
 „W piersiach, nam, o Panie,
 „Twoje strzały tkwią!
 „My piekielni
 „Pókiśmy rozdzielni,
 „Ale biedni,
 „Gdyśmy w jedni,
 „Twąśmy krwią,
 „Twym obrazem!
 „Miej, o Panie,
 „Zmiłowanie, —
 „Już my razem!“ —

* * *

A gdy tak jęczą,
 Od ich skrucch
 Niebo spłonie tęczę,
 Głos im wpadnie w słuch,
 „Oto idzie Duch“
 I ujrzą w przestrzeni
 Zstępujący grom —
 Świat się przepromieni
 W dyamentowy dom!
 Potępionych wieków ile
 Spada gromów tyle!

Wiek kaźden w piorunie
 Na złocistej łunie,
 Co go niesie w dal! —
 On się pali,
 Przepostacia; —
 Jak na morzu z fal
 Przepostacieni
 Idą w mgle z promieni,
 A wszyscy jak bracia!
 Oto z gwiazd korona
 Na czasie niesiona, —
 Ludzkości to wieca!
 I przeszłość zbawiona
 I przyszłość zaświeca!

* * *

Znów po wszem-lazurze
 Stworzenny wiew —
 Słyszać w dole w górze,
 Anielski śpiew:
 „Chwała z wieków w wiek.
 „Bo stał się sąd!
 „Łez krwawych ściek
 „Zmienion w światła prąd!
 „Z dni starych, grzech
 „Już zwian jak puch —
 „I wlał w Duchy dech
 „Wiekuisty Duch —
 I objął rząd.“ —

III.

Stój, o wieszczu, w takiej wierze, —
 Ni mów, że ty nie wiesz jeszcze
 To co Duch wybierze, —
 Tak nie mówią boży wieszcz! —
 — Ze świętości duch jednolit —
 Ni mongolskich bieży,
 Ni czerwonych Rzeczpospolit

W swe cuda nie wliczy!
 Wolna tylko ludzka wola
 Gdy zła i nieszczera
 Taki tór — obiera
 I nim ziemskie brudzi pola!
 Bo tak wolna, że aż zdolna
 Drogi Boże same
 Przepiekielnąć w zguby jamę!
 Bo tak wolna, że aż zdolna
 W imieniu braterstwa
 Rozsiewać morderstwa;—
 W imieniu nadziei
 Świat wytrącić z swych kolei,
 By bez wstępnych sił
 Zśliznął się po wiekach w tył!
 Wie, że kłamie—a wciąż kłamie:—
 Obluda — jej znamię!
 I toć straszna wina,
 Co ni Ojca ani Syna,
 Lecz dotyka Ducha!
 I tej winy nie zmaże
 Żaden ból ni skrucha,
 Ni żadne cmentarze!
 Ach! nietylko wiek przeszłości
 Faryzejskie rodzi dusze —
 Za dni naszych i przyszłości
 Są Faryzeusze!

*
* *

Powtarzacie: „Chryste! Chryste!”
 A nie macie w sercu Jego; —
 Jakżeż Ducha wam świętego
 Przejąć dobro wiekuiste?
 Z was się kaźden nad odłogiem
 Własnej próżni, wspina Bogiem
 Na paluszkach wzdętej pychy! —
 — I tak wy zwierzęciejecie. —
 Bo kto sam się bóstwi w świecie,
 Ten na odwrót swego szalu
 Odczłowiecza się pomału; —

Aż się stanie taki lichy
 Że padając — dojdzie chyba
 Do roślinnej istni grzyba! —
 Lub też dziki — sępny — chory —
 Miasto widzeń — widzieć zmory,
 Miasto natchnień — czuć wściekliznę
 Będzie; — zmać wiary, dzieje,
 Człowieczeństwo i ojczyznę,
 Zwątp rozpaczy i nadzieję! —
 Wtedy wśród błędów swych pędu
 Wezwie drugich do oblędu. —
 Za każdym się krokiem
 Przenazwie prorokiem —
 Zbawicielem — bożym bratem:
 I dusz wielu będzie katem!

Aż nie wątpiąc że się zbożył,
 Że jak Boga stwórcą znał,
 Tak się stwórcą sam tu stworzył,
 Coraz pełnszy własnych chwał,
 Pocznie wierzyć jadowicie,
 Że mu sługą — ludzkie życie:
 Stanie się i katem ciał!

*

Nie tak z Duchem się obcuje —
 Nie tak w Ducha się wstępuje!
 — Gdy pochyłisz kornie czoło
 Zadrży serce — drga szpik kości

Z anielskiej rzewności; —
 I klęczący spojrzysz w koło
 Na niesprawiedliwości —
 Klęski — smutki — gromy —
 Babilony i Sodomy; —
 Ujrzysz Carów w chwale,
 Lub zdąsane ludu fale
 Świat zatracające!

I przyćmione w górze słońce,
 I niebieskie mocy
 Wstrząśnięte, wśród nocy; —

A uczujesz miłość trudu
 I męki odwagę!
 Wstaniesz ludzi zbawiać z brudu.
 Kryć ich wstydy nagie. —
 A za rany — i za ciernie
 Podziękujesz tkliwie —
 I dotrzymasz wiernie
 Na nieszczęścia niwie!
 Śród podłości — niespodlony, —
 Śród krzywd — nieodmiłośniony. —
 Wciąż twe usta Pana chwałą —
 Wciąż pierś twoja — twardą stałą,
 Co się błyszczy nieskalalnie,
 A twe oko płacze żalnie
 Po nad każdym cudzym bolem; —
 I tak stąpasz ofiar polem,
 Nigdy w kłamstwa podziemnice,
 Ciemnie i tajnice
 Nie zstępując; — bo do Boga
 Wiesz że jedna tylko droga,
 I jej światłem widny — biały —
 Nie dbasz o wrogów nawały,
 Co z lochów piekielnych
 Czyhają — na dzielnych; —
 Co czarni i nocni,
 Tylko zdradą mocni,
 I orężni pychą
 Zabijają cicho!
 A gdy stawiać tak twe kroki
 Ty nie mówisz: „Jam wysoki“
 Ale czujesz, żeś wciąż niczem
 Przed Pana obliczem!
 Wtedyś ty dopiero
 Duszą czystą, szczerą —
 I czynów łańcuchem
 Połączasz się z duchem: —
 A z Boga co w niebie,
 Powraca do ciebie
 Miłości spływ!
 I kiedyś po męce

W jego pójdiesz ręce
 Wszechwiecznie żyw!
 I ja patrzę śród zamieci!
 W niebios kir!
 I ja widzę — kędy leci
 Zdarzeń wir!
 Słyszę śród chmur
 Zmartwychwstałych chór —
 Ach! znany głos!
 Lecz nie we krwi,
 Którą zemsta leje,
 Cel Polski tkwi. —
 Zemsty dzieje
 Zemstą tylko,
 Chuci chwilką: —
 To nie Polski los!
 Jej od Pana
 Pomyślana
 Cudniejsza cześć!
 Nie pożogi
 Ani trwogi
 Ma świata nieść!

* * *

Tu, Sybiry mroźne
 I Iwany groźne, —
 A po drugiej stronie
 Klubowe tyrany,
 Kule strute — kwas siarczany,
 Ludożercze bronie!
 Boże! zmiłuj się nad wami!
 Między dwiema szkaradami
 Wstać ma Polska kojarznicą!
 Dwóch barbarzyństw — ma być spojem —
 I to zwiecie — *Tajemnicą* —
 To — wieków pokojem! —
 W jedno zło jedyne
 Wszetecznym poswatem
 Siostrę gilotynę
 Ślubić z knutem bratem!

Rozdeptać kościoły,
 Pomieszać plemiona,
 Sumienia anioły
 Wygnać z ludzi łona!
 I mieć Polskę — tego *dzieła*
 Czarną spełnicielką!
 W krew truciznę jej lać wszelką,
 By *sprawy* się ją! —
 Trząść przed wzrokiem jej pochodnie

Wszechświata pożaru, —
 Obiecywać jej za zbrodnie
 Nadziemską moc czaru!
 Kusić dziejów anielicę,
 By pod koniec męki
 Odrzuciła świętych wdzięki,
 Upiorowe wdziała lice, —
 I odkłąkszy z przed ócz Pana,
 Zecerwieniona — rozczochrana —
 Zakochała się w szatanie,
 Świadczyła mu o tej chwili,
 Jak pierwsi Chrześcianie
 Niebiosom świadczyli!

To wasz pomysł — to *Rzecz* wasza!
 Takie świty
 Duch wasz skryty
 Nam przynasza!

* * *

Wszak nie w takim stroju,
 O wiekuisty Panie,
 Do ostatniego boju
 Polska twoja stanie!

Nie jędzą z niej przebrzydła!
 — W ustach z twym pacierzem —
 A nad jej pancerzem
 Spływające skrzydła. —
 W jej dłoniach kształt dwóch mieczy
 Z przedziwnej jasności,
 Co nie rani — ale leczy!
 I woła: „Ja się spieszę,

„Bo zapraszam w gości
 „Do niebieskich włości
 „Ludzkie rzesze!

* * *

Lecz wprzód jeszcze — sądy pańskie —
 Na czas, czasów zwrót!
 Rzeczpospolity szatańskie
 I północny knut!
 I trząść będą każdym krajem
 Wytracając się nawzajem!
 Patrz! świat kat twój, Polsko! — leży
 Rozciągnięty w pyle —
 Ten co obrał cię z odzieży,
 Urażał ci tyle,
 Co związawszy tve ramiona,
 Dziki — podły — dumny —
 Wbijał gwoździe ci do łona
 Jak do desek trumny; —
 Patrz! świat kat twój, Polsko, oto
 Zapadł w krew i błoto?
 Od morza do morza
 Porwał się do noża —
 Bratobójczo się przewala,
 Wiję naksztalt gada,
 Podnosi — i pada,
 Aż znękany czci Moskala!

* * *

Zleć, o Polsko — zleć, Aniele,
 W promienistym ciebie!
 Nie bądź katem twego kata!
 Ach! śmiertelny pył
 Gdy raz w śmierci zstąpi kraje,
 Tylko cnotą znów dostaje
 Nadśmiertelnych sił!
 A inaczej — rwie zatura
 W głąb tej samej kary
 Ofiarników i ofiary!
 Zostaje ruina —

I nadgrobek na niej świata! —
 — Chrystus tylko z grobu wzłata
 Lecz nie Katyliną!

* * *

Przyjdź, o Polsko — zleć, Aniele,
 W promienistym ciele! —
 — Pragnęli wolności
 A Boga nieznali!
 Po ziemiach — ich kości —
 Ich prochy — na fali; —
 A żyjących, co zostali,
 Samo życie boli:
 Bo w niewoli!
 Z jednych ojczyzn — puste cisze —
 Nad gruzami się kołysze
 Bluszczy wietrzany!
 A gdzieindziej w pysze
 Sprośne Pany!
 Bez koron na głowie
 Lecz z różgą ze stali, —
 I służą Jehowie,
 Lub z Schizmy powstałi!
 Duchoborce — Roskolniki — *)
 I po nocach słyhać ryki
 Rozrzynanych ciał
 Na cześć Molochowi. —
 Tak panują ludzie nowi!
 Jak z Tarpejskich skał
 W zad przez dziejów wschody
 Zepchnięte narody. —
 I zlatują do ciemności
 Coraz głębiej — dalej
 — Bo chcieli wolności
 A Boga nie znali! —

*) Nazwiska sekt powstałych na łonie grecko-rosyjskiego Kościoła, a których krwawe obrzędy przypominają to, co najszkaradniejszego było pod względem rozpusty i okrucieństwa w starożytnych wschodnich, fenickich i kartagińskich religiach.

* * *

Przyjdź, o Polsko — zleć, Aniele,
 W promienistym cie!e!
 — Zwiesz się: — Bogumi!a —
 Czerwonym sztandarem
 I moskiewskim carem
 Zarównoś wzgardzi!a!
 Od dwóch tych zatracicieli
 Tak czarno w Europie!
 Śród nawalnic — na potopie
 Jedna świecisz w bieli!
 Ledwo stopa się twa zetrze
 Z wierzchołkiem bałwanów —
 I przemijas!z przez powietrze
 I ścigas!z szatanów!
 Przed dwóch mieczy tych jaśnieniem,
 Przed twych skrzydeł tęc!ą
 Obalają się i jęc!ą
 Jak przed Boga cieniem!

* * *

Idź, o Polsko — idź, Aniele,
 W promienistym cie!e!
 Świat nie poznał ciebie z lica —
 Świat cię zabił — aż na męc!ę
 Sam jest wzięty, — a ty rękę
 Dasz mu — jego męc!ennica!

Idź, o Polsko — idź, Aniele,
 W promienistym cie!e!
 W tobie Ludzkość przechowana!
 Po nad złości i nad sz!ały,
 Po nad hańby i nad ka!y —
 Tyś niepokalana!

Idź, o Polsko — idź, Aniele,
 W promienistym cie!e!
 W dłoniach twoich nie puginał
 Gminnym uwieńczon wawrzynem,

Co pierś wroga porozrzynał!

— Innego blask oręża!

Bożoczłowieczym tu czynem

Duch tylko zwycięża!

Nadziemsko ty bożą —

Boś boleści tu boleścią!

A miłością Bożą!

I powracasz z dobrą wieścią!

W okół ciebie — Zło się pieni,

Ty nie zważasz przecie, —

Sypniesz z dłoni garść promieni

I znów jaśniej w świecie!

Aż przelecisz wszystkie kraje

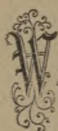
I światłością obosieczną

Śmierć odęgnasz od nich wieczną; —

— Tak się zmartwychwstaje!

V.

PSALM DOBREJ WOLI.



Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie,
Z skarbu wiecznego miłościwej łaski!

Tysiącoletnie dałeś panowanie

Ubrane w śnieżne, przedchrześcijańskie blaski
Nadeuropejskiej cnoty! — Twego Syna
Dałeś nam pierwszym w świeckie wpoić dzieje —
Z Polski — Ojczyzna w przeszłości jedyna,
Co z piersi miłość, a nie rozbój sieje;
Co mieczem — tylko świat ewanieliczy,
Gardzi grabieżą — nie garnie zdobyczy —
Spaja się z braćmi — a dumnych roztrąca,
Lecz i tych jeszcze w jawnem świetle słońca!
Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie
Po nad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
Daj nam, o Panie, świętymi czynami
Śród sądu tego samych wskrzesić siebie!

* * *

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie!
Gdyśmy zstąpili z życia Kapitolu
W porozbiorowej doliny otełłanie,
Zmarłych żywemiś trzymał na walk polu!
Choć nas nie było, przecieśmy bywali
Ponadgrobowo — choć w grobie złożeni —
Na bojowiska każdego przestrzeni,
Z orłem ze srebra i szablą ze stali!
Do serc wsmętnionych w cierpienia czyscowe
Wlewałś bicie, śród nicestwa, nowe —
Wiecznieś nas kąpał w jakiejś dziwnej cnocie —
Wrzкомо z nas trupy — a Duchy w istocie:

Co elektrycznych nadziemnych strumieni,
Wszystkieś zgromadził w okół naszych cieni,
By nam powrotne, wstające z mogiły,
Na wstyd Europie — ciało uiskrzyły!
Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie
Po nad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
Daj nam, o Panie, świętymi czynami
Śród sądu tego samych wskrzesić siebie!

* * *

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie!
Żywot najczystszy — a więc godzien krzyża,
I krzyż — lecz taki co do gwiazd twych zbliża —
Najwyższe dałeś w czasie powołanie!
Tchem dzieje świata Tyś przegiał jak kłosa
Do pełniejszego dla nas wszędzie żniwa!
Ziemiś nam ujął — a spuścił niebiosy
I serce twoje nas zewsząd przykrywa:
Lecz wolną wolę musiałeś zostawić; —
Ty bez nas samych nie możesz nas zbawić!
Boś tak ugodnił wysoko człowieka
I naród każdy — że twój zamysł czeka,
Zawieszon w górze, aż własnym obiorem
Człowiek lub naród jego pójdzie torem!
Z wolnością tylko twój Duch się wciąż swata —
Nikt niewolnikiem w bezmiarach wszechświata!
Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie
Po nad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
Daj nam, o Panie, świętymi czynami
Śród sądu tego samych wskrzesić siebie!

* * *

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie!
Przykład nieszczęsnej Twej Hierozolimy,
W której tak długo było Twe kochanie,
Aż się rozwiała w perzyny i dymy,
Rozdarta w sobie — a zemstą do końca
Przeciw ludzkości całej szalejąca!
I ona kiedyś być miała królową
Pogańskim katom, świecącą w koronie!

Lecz że wciąż śniła o tych katów zgonie,
 A dość Twych iskier nie miała w swem łonie,
 By nad nich podnieść się życiem na nowo,
 Odkrólewszczona — i stała się wdową —
 I dotąd płacze na twojego Syna
 Za to, że plemion toporem nie ścina,
 Jedno krzyż wzięwszy w zmartwychwstałe dłonie
 Światy obala — gdzie tym krzyżem wionie!
 Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie
 Po nad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
 Daj nam, o Panie, świętymi czynami
 Śród sądu tego samych wskrzesić siebie!

* * *

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie!
 W ciemieczach naszych sprośne gwałtu wzory,
 Szkaradne rzezie i nieczne zabory,
 Za które dzieciąt przeklina ich łkanie,
 Za które sami, z łaski Twej promieni
 Jakby z pancerza już odpancernieni
 Stoją w nagości popelnionych czynów,
 Bez starożytnych na czole wawrzynów,
 Z żałób największą okryci żalobą —
 Hańbą sere własnych zhańbionych — przed Tobą!
 Nie drugich śmiercią — lecz własną bezpłodnie
 Kończą na ziemi wszystkie ziemi zbrodnie!
 Żadna z nich, żadna nie ma przywilei, —
 Król czy gmin jaki dopuści się zdrady
 Słowu Twojemu — przepada z kolei!
 Aniołów nawet przepadły miriady!
 Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie
 Po nad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
 Daj nam, o Panie, świętymi czynami
 Śród sądu tego samych wskrzesić siebie!

* * *

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie!
 My nad otchłanią, na ciasnym przesmyku, —
 Skrzydła nam rosną już na zmartwychwstanie —
 Usta rozwarte do wesela krzyku,

Ku nam z błękitów — jakby z twego łona
 Złote jutrenki — jakby Twe ramiona,
 Spieszą już na dół od nieba po ziemię,
 By zdjąć nam z czoła wiekowych klęsk brzemie.
 Wszystko gotowe — wschód rozpromieniony —
 Anioły patrzą — a tam z drugiej strony
 Ciemność pod spadem bezgłębnym wybrzeża!
 I pnie się — wzdyma — rośnie — ku nam zmierza —
 Przepaść — śmierć wieczna — w której nie ma Ciebie,
 Co od początku złych i pysznych grzebie,
 A sama pychą i złością i swarem,
 I mężobójstwem onem, jak świat starem,
 I kłamstw i bluźnierstw rozkipionym warem!

I wstała siwa w pasach z czerwoności!
 W czarnych błyskawic czarnej jaśni płynie!
 Rdzę z krwi pokoleń i gruzy i kości
 Na swych topielach piętrzy ku wyżynie,
 Gdzie wpół nad grobem, a wpół jeszcze w grobie
 Stoim w tej pierwszej odrodzenia dobie!
 Jeżeli zawrotnem na nią spojrzym okiem,
 Jeżeli się jednym ku niej ruszym krokiem
 Wnet zórz nam światło poblednie na skroni
 I Syn nad nami Twój łzy nie uroni,
 I Duch nie będzie nam Pocieszycielem!
 Na dnie jej sobie nicestwo pościelem!

Zmiłuj się, Panie! broń nas — bądź Ty z nami!
 Nie! — darmo; — teraz tu stać musim sami!
 Ach! wiem! — ta chwila już do nas należy;
 W ostatniej losów tej naszych przemianie
 Żaden Twój Cherub nam w pomoc nie zbieży!
 Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie!

Lecz wspomnij — wspomnij, żeśmy dawne sługi,
 Że nim wiek począł się ten dziejów drugi,
 My w przeszłym wieku twój nakaz już czcili
 I nie czekali chwil spełnionych chwili,
 By uznać Ciebie za ziemskiego władcę
 W Królowej polskiej — Twojej ziemskiej matce!

Odkąd z mgły czasów naród wyjawiony,
 Z ciał polskich — polskich dusz wyszło miliony
 Z Jej świętem w śmierci na ustach imieniem;
 Niech im dziś Ona odwspomni wspomnieniem;
 Niech w wielką zmarłych tych ubrana chmurę!
 Na tych niebiesiech do Ciebie się modli,
 By nie związali nam stóp dążnych w górę
 Szatani z piekła — lub też ludzie podli.

Spójrz na Nią, Panie! — gdy z dusz onych rzeszą
 Co w okół wieńcem powietrznianym spieszą,
 Zwolna ku Tobie wznosi się bezmiarem;
 Wszystkie się ku Niej gwiazdy rozmodliły,
 Wszystkie w przestworach wirujące siły
 Zmiękły pod smętnym rozrzewnienia czarem!
 Coraz to wyżej — jakby na promieniach
 Wschodzi niesiona na tych białych cieniach,
 Płynie w lazury, za dróg mlecznych chmury,
 Płynie za słońca, taka bielejąca,
 Coraz to wyżej, do góry — do góry!

Spójrz na Nią, Panie! — Śród Serafów grona
 Oto u Tronu Twego rozklęczona —
 A na Jej skroniach łśni polska korona.
 I płaszczy błękitny zamiata promienie
 Z których tam przestrzeń; — i wszystkie przestrzenie
 Czekają: — modli się bardzo po cichu —
 Po za Nią stojąc, płaczą ojców mary; —
 W dłoniach Jej śnieżnych jakby dwa puhary —
 Krew Twoją własną w prawym Ci kielichu
 Podaje, Panie; — a w lewym, co niżej,
 Krew krzyżowanych na tysiącach krzyży
 Poddanych swoich, krew płynną przez lata
 Po wszystkich ziemiach, pod mieczem Trój-kata!
 I boskim, tamtym wzniesionym kielichem
 Błaga drugiemu przełaski Twej, Panie!
 Przepaść tymczasem wielkim huczy śmiechem —
 Podplanetarnych fal jej słyhać granie!
 Węzowych głębin splotami wciąż toczy,
 Mgłą, wichrem, pianą zalewa nam oczy,

By nas prześmiertnić w kłamce i morderce!
 Nie widzi marna, co dzieje się w górze —
 Nie widzi marna, że niczem jej burze,
 Gdy takie za nas tam dręczy się serce!
 O Panie, Panie! więc nie o nadzieję,
 — Jak kwiat się sypie; — więc nie o zgon wrogów,
 — Zgon ich na chmurach jutrzejszych już dnieje;
 — Więc nie o przestęp cmentarzowych progów,
 — Przebyteć, Panie: — ani o broń władną, —
 — Z wichrów nam spada; — ni o pomoc żadną —
 Zdarzeń otwarłeś już przed nami pole!
 Lecz wśród tych zdarzeń straszego wybuchu,
 O czystą tylko błagamy Cię wolę
 Wewnątrz nas samych — Ojczy, Synu, Duchu!
 O Ty najdroższy, wszędzie utajony,
 Widny z za światów przejrzystych opony,
 Wszech Ty przytomny, nieśmiertelny, święty,
 W serc i gwiazd wszelkich mieszkający ruchu,
 Co tak gwiazd bunt rozwiwasz na szczęty
 Jak serc przewrotność — Ojczy, Synu, Duchu,
 Ty coś rozkazał człowieczej isticznie,
 By nędzna siłą i kolebką mała
 Przez moc ofiary się wyanielala —
 I Polskiej naszej rozkazał ojczyźnie,
 By wwiiodła w miłość i mir ludy bliżnie
 Niezatraconej prawości przykładem,
 Choć wciąż pod głązów grobowych opadem
 Wszystkich tych ludów otruwana jadem!
 Ty, co w dziejowych odmetów rozruchu
 Wściekłych piorunem przybijasz do darni —
 A zacnych zbawiasz — bo zacni — z męczarni —
 Błagamy Ciebie, Ojczy, Synu, Duchu,
 Z prostotą dzieciąt, w niewieściej pokorze,
 Przed Tobą dzieci i niewiasty, Boże,
 A światu mężcy; — my, co się nie boim
 Od wieków walczyć przeciw wrogom Twoim,
 Błagamy Ciebie, razem z naszą Panią,
 Co za nas Twego doprasza się słucho,
 My, zawieszeni pomiędzy otchłanią
 A Twem królestwem, Ojczy, Synu, Duchu!

Błagamy Ciebie z wrytem w ziemię czołem,
Skronią już w wiosen twych kapani dmuchu,
Błagamy Ciebie — stwórz w nas serce czyste —
Odnów w nas zmysły — z dusz wypień kąkole
Złud świętokradzkich — i daj wiekuiste
Śród dóbr Twych dobro — daj nam dobrą wolę!
Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w Niebie
Po nad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
Daj nam, o Panie, świętymi czynami
Śród sądu tego, samych wskrzesić siebie!

K O N I E C.

RESURRECTURIS.



Świat ten cmentarzem z łez, ze krwi i błota!
Świat ten jak wieczna każdemu Golgota!
Darmo się duch miota,
Kiedy ból go zrani!
Na burze żywota
Nie ma tu przystani!
Los z nas szydzi w każdej chwili!
Dzielnych strąca do otchłani —
Gina święci — gina mili —
Żyją niecierpiani!
Wszystko się płacze — i nierozgmatwanie!
Śmierć w pobliżu — a w oddali
Gdzieś na wieków późnej fali
Zmartwychwstanie!

Więc trzeba skrzepnąć — stwardnieć — być bez serca?
Pośród morderców, stanąć jak morderca?
Pośród zbrodniarzy, wystąpić zbrodniarzem?
Kłamać — nienawidzić —
Zabijać i szydzić —
Tak świat, tem samem co dawa, obdarzym!
— Oto potęga! — lub stańmy się niczem!
Jedźmy i pijmy — bądźmy śmiecią złotą —
Ciała wygodą a myśli nędzotą —
Tak się do głupich i szczęśliwych wliczym!

O! nie! o Duchu mój!
Wstecz się cofnij — stój!

Nie taką to bronią
 Na ludzkości czele
 Z złem na ostre gonią
 Zła Ukróćciele!
 Jedna tylko w świecie
 Moc ofiary cicha
 Los gniotący zgniecie —
 Oto dziejów lew!
 A podłość czy pycha
 To jednakie śmiecie,
 Które w otchłań spycha
 Lada dziejów wiew!

O! poznaj sam siebie!
 Nie żądaj być panem
 Jak Pan, który w niebie!

Ni chciej jak bydle gnić nad paszy łańcem!
 Z tej strony grobu przed zmartwychwstań wschodem
 Bądź ty w człowieku męką z niebios rodem,
 Bądź arcydziełem nieugiętej woli!
 Bądź cierpliwością — tą panią niedoli —
 Co gmach swój stwarza z niczego — powoli!
 Bądź tą przegraną — której cel daleki,
 A która w końcu wygrywa na wieki!
 Bądź spokojnością — wśród burz niepokoju —
 W zamęcie miarą — i strojem w rozstroju —
 Bądź wiecznem pięknem — w wiecznym życia boju!
 Dla podłych tylko i Faryzeuszów
 Bądź groźbą — gniewem — lub świętem milezeniem!
 I nie miej żadnych z obłudą sojuszów!
 Dla wszystkich innych bądź anielskiem tchnieniem!
 Bądź tym pokarmem który serca żywi —
 Bądź im łąką siostry — kiedy nieszczęśliwi —
 A głosem męzkim — gdy się w męztwie chwieją!
 Tym, którzy z domu wygnani — bądź domem!
 Tym, co nadzieję stracili — nadzieją!
 A śpiącym trupio — bądź przebudzeń gromem!
 W walce z tem piekłem świata, co się złości,
 Zawsze i wszędzie, bądź siłą co skłania —

Nad śmierć silniejszą siłą ukochania —
 Bądź piekłem miłości!

W ciągłej przykłady i słowa postaci
 Rozdawaj siebie samego twej braci!
 Mnóż ty się jeden przez czyny żyjące
 A będą z ciebie jednego — tysiące!
 Bądź i w kajdanach niestrudzonym trudem!
 Niech ból cię każdy choć boli, nie boli!
 W jednej twej piersi — bądź twym całym ludem!
 Bądź niebo z ziemią spajającym cudem!
 Świętością w niewoli!

Ni spiesz się na śmierć — aż jak ziarno w ziemi
 Myśl twa się w serca wsieje — i rozplemi!
 Póki męczeństwo nie pewnią zwycięstwa —
 — Twem dobrem tylko — a nie człowieczeństwa,
 Unikaj męczeństwa! —
 Marnej sławy wieńce
 Chwytają szaleńce!
 W niebezpieczeństw wiry
 Skaczą bohaterzy!
 Lecz wyższa moc Ducha
 Tych ulud nie słucha!

Dopiero kiedy jęczący dokoła
 Dzwon zdarzeń wszystkich na ciebie zawoła,
 Byś ty się w odkup ofiarował za nie —
 A usłyszawszy to ziemi wołanie
 Ty padniesz duszą w pokornianej skrusze
 U rozstajnego obu światów proga
 I w twą rozslaną tam przed Bogiem duszę
 Spłynie śród ciszy natchnienno głos Boga,
 Wstań — i jak szermierz dobiegły do mety
 Ze stóp twych strząśnij pył tego planety —
 Wstań — i z miłości co gdy kocha, kona,
 Odlatujące wznies w niebo ramiona!

Wstań i do katów co spieszą ku tobie
 Sam spiesz się naprzód i witaj tych gości
 Cicho — spokojnie — błogo — w bezzalobie —
 Litośnym wzrokiem twej nieśmiertelności!
 Wtedy świadectwem skończ w przyszłość obfitem,
 Śmiercią, bądź życia najwyższym wykwittem.

Co świat przezwiał snem i marą
 Uczyni jawem,
 Uczyni wiara,
 Uczyni prawem,
 Czemiść pewnem i ujętem,
 Czemiść świętem,
 Co głęboko w serca
 Jak sztylet się wwierca
 I tkwi w nich bez końca,
 Choć tylko je trąca
 Westchnienia powieniem....
 Aż świat twój morderca
 Sam klęknie i wyzna,
 Że Bóg i ojezyzna
 Narodów sumieniem!

Gdy z krwi płynnej twego ciała
 Myśl twa szkarłat będzie miała,
 Myśl twa będzie — światła prądem,
 Skrzącym w górze bożym sądem
 Nad bezbożnych dolną zgrają, —

Jej nie dotrzymają
 Ni męże, ni działa,
 Ni kłamstwa, ni złudy
 Ni Geniusz, ni chwała,
 Ni króle, ni ludy;
 I o trzeciej dobie
 Na męki twej grobie
 Ze zdarzeń powodzi
 Po nad klęsk otehlanie
 Niezrodzone się narodzi —
 Sprawiedliwość wstanie! —

UŁAMEK

NAŚLADOWANY Z GLOSSY Ś. TERESSY.

Vivo sen vivir en mi
Y tan alta vida espero,
Que muero porque no muero.

(GLOSSA Ś. TERESSY.)



Pprzed życiem czuję — nie przed śmiercią — trwogę —
Bo takie światy widzę tam przed sobą,
Że mi ten ziemski, grobową żalobą
I tem umieram — że umrzeć nie mogę!

Umrzeć lub cierpieć! — a cierpieć bez miary!
Bo mnie się z Tobą trza zlać w Twojem niebie,
Lub gdy nie można — żyć w piekle dla Ciebie!
Ślij mi więc męki jak niebieskie dary!
Im sroższe będą, tem mi więcej błogie —
Ja przed spokojem tylko czuję trwogę
I tem umieram że umrzeć nie mogę!
Jedynej ulgi na moje męczarnie,
— A jedna tylko i *Śmierć* się nazywa —
Śmierci dać sobie nie zdołam bezkarnie!
O bardzom, Panie, bardzom nieszczęśliwa!
Tę jedną szczęścia Tyś zamknął mi drogę
I tem umieram, że umrzeć nie mogę!

Czasem Cię tylko widuję w widzeniu,
Lecz Ty nie raczysz długo ze mną zostać,
Wnet niknie Bożo-człowiecza Twa postać
I w gorszem jeszcze konam znicestwieniu!
— Przed chwilą byłam w Wieczności rozlana —

— Nikt nie rozeznałby sługi od Pana —
 Ty, Bóg, Ty dla mnie stawaleś się mały,
 A ze mnie malej wyrastał Bóg cały!
 Tyś się zamykał w mem sercu jak w grobie —
 — Jam się jak Bezmiar szerzyła ku Tobie!
 Przez nieskończoną Łaski zezwolenie
 Stwórca przechodził na chwilę w stworzenie —
 Stworzenie w Stwórcę, przez jedno westchnienie.

Mnie już tak było jakby po pogrzebie —
 Bez ciała byłam na ziemi i niebie.
 Na wieki z Tobą — przy Tobie — u Ciebie!
 W twarz Ci patrzyłam — ale nie oczyma —
 Bo na to wzroku ócz śmiertelnych nie ma.
 Głos Twój słyszałam — lecz nie ziemskim słuchem —
 Wszystkom widziałam i słyszała — duchem! —
 A jednak, Panie, Tyś jaśniał przedemną
 Jakby słońce słońce, w którym kształt człowieka!
 Ach! światło dzienne nocą wiecznie ciemną
 Przy tym promieniu, co z twych skroni ścieka.
 — Choć nie cielesny — widomszy niż ciało —
 I słowo każde, co z ust Twych spływało
 Dźwiękiem dźwięczniejszym, niż dźwięk ssan przez uszy,
 Niebrzmiające, brzmiało jak pieśń w mojej duszy!
 I byłam z Tobą — oglądałam Ciebie —
 Nie ukrytego w przenajświętszym Chlebie,
 Nie tajonego przesłonami Cudu —
 Lecz jakim bywasz wśród Aniołów ludu,
 Tam, gdzie nad światem królujesz z Świętymi!
 Takim Cię — takim — tu miałam, na ziemi!
 — Lepiej od Świętych widziałam Cię, Panie!
 Bo silniej kocham, goręcej niż Oni!
 — Już w domu wiecznym Tyś dał im mieszkanie —
 A ja gdzie mieszkam? — co mnie strzeże, broni?
 Gdy mnie porzucasz, zostaje w rozpacz —
 Lecz ból i rozpacz, cóż to dla mnie znaczy?
 Im bardziej tęsknię, tem kocham goręcej,
 Im więcej męki, tem miłości więcej,
 W tem piekle bożem Bożego kochania,
 Gdzie Twa obecność mnie nawet rozrania —

Bo chwilą później Tyś znowu daleki,
 I nim powracasz, upływają wieki!
 Bez Boga mego — a z Boga wspomnieniem
 Leżę na ziemi grobowym kamieniem —
 A pod tym głazem mej niewzruszoności
 Smutek przejada do szpiku me kości!
 Żądam bez miary — miłuję bez granic —
 Miłość i żądza nie zdały się na nie —
 Zmienionam cała w jedno upragnienie,
 Lecz Twojej woli w tych chwilach nie zmienię!
 Pan nieśmiertelny nie zstąpi do sługi,
 Aż kiedyś — kiedyś — znowu po raz drugi!
 I mimo Twoją, o Ty mój, przestrogę
 Ja tem umieram, że umrzeć nie mogę!

Albo Ty myślisz, o Ty wiecznie żywy,
 Że Ciebie kocham za przyszłe nadgrody,
 Za obiecane w królestwie twem gody,
 Za palmy — harfy — i cuda — i dziwy —
 Za jakąkolwiek bądź w niebie zapłatę,
 Którabyś spłacił mi dni mych utratę?
 Ja kocham Ciebie — żeś był nieszczęśliwy!
 Że przeboleś tu wszystko co boli,
 Że zniosłeś wszystko co tylko poniża,
 Ty Bóg, w kajdanach cielesnej niewoli,
 Ty Bóg, przez katów prowadzon do Krzyża!
 Ja Ciebie kocham — że Cię o tej chwili
 Niebo odbiegło — i ludzie zdradzili!
 Ja Ciebie kocham — żeś był przymuszony
 Wołać do Ojca: „O jam opuszczony“ —
 Ja Ciebie kocham — za Twoje konanie
 I za śmierć więcej niż za zmartwychwstanie!
 Bo mi się zdaje, że Ty Zmartwychwstały
 Nie tyle biednej potrzebujesz sługi; —
 Już wtedy służy Ci twój wszechświat cały —
 Stopą powietrzne przelatujesz smugi! —
 Lecz kiedy konasz, mnie się wiecznie zdaje,
 Że wracam duchem w widziane już kraje,
 Że oglądałam już wprzód to wzgórze
 I krzyż ten zboczony w krwi Twojej purpurze!

Że Magdalena, ta święta, Twa miła,
 Co tam tak jęczy — to ja chyba była!
 Bo w sercu mojem jej serce mi płacze,
 Bo drżą mi w oczach wszystkie łzy jej oka,
 I rozpacz moja, tak straszna — głęboka —
 Że być nie mogą dwie takie rozpacz! —
 Nie — ona Ciebie więcej nie kochała —
 Ja wiem że Ona wielka, a ja mała,
 Bom mniej czynami Tobie zasłużona —
 Lecz więcej Ciebie nie kochała ona!
 Jakżeż to będzie, mój Panie, mój Boże?
 Jakżeż rozdzielić sądem Salomona
 Tę jedną miłość, między te dwa łona?
 — Bo dwóch miłości być takich nie może!

— Nie — Ciebie więcej nie kochała ona!
 Raz tylko w życiu na Golgockim pyle
 Leżała w płaczu, krwią twoją zroszona —
 Raz jeden tylko — a ja razy tyle! —
 Bo co noc prawie dla mnie się odtwarza
 Kalwaryjskiego przytomność cmentarza
 I z po za wieków upłynionych tyla
 Wraca ta do mnie zobecniona chwila,
 W której śród Niebios i ziemi zaćmienia
 Zmarł Wszechstworzyciel w obec wszechstworzenia!
 Aż padnie z zorzą pierwszy promień dzienny
 Widuję w celi tej krzyż Twój męczenny
 I na tem drzewie oglądam Twe ciało
 Ostatkiem światła jeszcze tłące białe,
 Gdy wszystko w okół, jak w grobie, zczerniało!

Ty i ja, Panie — nikt więcej — my sami —
 Tak blizcy siebie — a tak rozdzieleni —
 Bo ja tu w dole pod Twemi stopami
 A ty nademną, w tej strasznej przestrzeni,
 Do kłód tych z cedru przybity gwoździami!
 Z razu ja klęczę w milczeniu — a cała
 Drgająca ciałem od mąk Twego ciała —
 Kolcuja w skroniach mi kolce Twych skroni,

Rwą mnie w mych dłoniach żelazca Twych dłoni —
W boku mnie szarpie, boku Twego rana —
I choć tum w dole, takem z Tobą zrana,
Żem z Tobą w górze tam ukrzyżowana!

.
.

DZIEŃ DZISIEJSZY.

Iluz ich zwiędło w samym życia Maju —
Czy w własnych domach — bez domu i kraju —
Czy na wygnaniu! — i milczeli długo
Z dziwnym uśmiechem nad zadziwem świata,
Co im chciał darmo Ojczyznę być drugą; —
Milczeli z dziwną litością przez lata —
Aż wpadli w niemoc; — lecz w skonu godzinie
Dan im wzrok w przyszłość cudowny — proroczy —
I ona Świętą widzieli na czyi,
Co nie zginęła i nigdy nie zginie!

Możem ja zasnął — umarłem już może,
Dajcie mi pokój, przyjaciele moi:
Próżno mnie wskrzeszać — nie mi nie pomoże,
Nikt rany mojej, pod niebem, nie zgoi.

Jam bardzo smętny — jam bardzo znużony —
A jednak muszę pójść tą drogą ciemną,
Kędy z was żaden nie pójdzie dziś zemną, —
Zdejmcie mi z serca waszych uwag szpony!

Dajcie mym skrzydłom wybujać z tych cieśni,
Już i tak długo byłem z wami razem.
Wy życia tylko rozbitym obrazem —
We mnie brzmią głosy nieznanych wam pieśni.

Na co czekacie? czegoż jeszcze chcecie
Czy żebym przystał, że dobrze na świecie?
Czy żebym płakał, że umieram młody,
Lub też zapragnął pośród ludzkiej trzody

Zostać i starzeć; — zaprządz się do pługa —
Wić się po ziemi jak ucisku sługa —
Czuć tylko w nocy — w dzień działać inaczej;
Niech Bóg wszechmocny przebaczyć wam raczy!

Nie pójdę w starych ojczyzny kościołach
 Zasiąść do biesiad na braci popiołach
 I katów zdrowie pić w Boga imieniu, —
 — Wolę tu skonać w zgrozie i milczeniu.

Czemu patrzycie takim dziwu wzrokiem,
 Jakbym was urzekł szaleństwa urokiem?
 Ja brat wasz — człowiek — ja na was spozieram
 Z miłością brata — i cicho umieram;

I prawdę mówię pod skrzydłami śmierci:
 Kraj wam trzy sępy rozdarły na ćwierci,
 A sprzedaż go nazad woła nie umiecie!
 — Ż was niewolniki też dotąd na świecie.

Darmo z natchnieniem czyn pogodzić chciałem —
 Ciało w Myśl natchnąć i Myśl stworzyć Ciałem.
 Ach! nie czas jeszcze z lotnej marzeń wstęgi
 Snuć węzły życia i wieńce potęgi!

Nad grobem świętym — nędznych waśni sporem
 Nie Chrystusowem płomieniem my gorem;
 Jedni w bojaźni swej się zasklepili —
 Drudzy żądają gwałtu w każdej chwili.

Śni się wrzeszczącym, że Lud się przez rzezie
 Rzeką krwi bratniej do Raju przewiezie!
 Boże pioruny — nie ziemskie trucizny —
 Z upadku martwe dźwigają ojczyzny!

A czy wy wiecie, wy, na podłość chorzy
 Lub na bezrozum — gdzie ten piorun Boży?
 On w piersi ludzkiej drga — i zwie się Miłość —
 I on rozcina tu Losów zawilóść!

Tem, że się brudem szatańskim nie plami,
 Mści się straszliwie po nad Szatanami.
 Ryje na czole im potępień znamię
 I z krzywd budowne Cesarstwa ich łamie.

Wiedzieć gdzie zemsta, gdy tak zemsty chcecie.
Kto strachem wzgardzi, a nie tknie się zbrodni,
I wskaże światu — świętość Polski — w świecie,
Ten w arcy-zemstę czyny swe zapłodni.

A czas zwyciężyć już, o przyjaciele!
— Nie rozumiecie może, — dni za wiele
Na martwych myślach wyście przeegrali —
I na wosk zmiękły wam serca ze stali. —

O pójdźcie — pójdźcie przez rodzinne sioła,
Przez łąk zielenie i przez kłosów fale;
Tam w kłosie każdym szemrzą ziemi żale,
Tam lilia polna o pomstę zawoła! —

Szum tylko borów słyszać tam w przestrzeni
A w borach groby z zielska i kamieni,
A w każdym grobie męczennik spoczywa —
I nad nim sosna hymn umarłych śpiewa.

Na polach w okół tajemne grabarze
Kopią w głąb ziemię — i broń poszczerbioną,
Obrazy świętych i stare ołtarze,
Na pył rozbiwszy, rzucają w jej łono.

By nie stał żaden przed oczyma ludzi
Pomnik dni dawnych, — by ziemia ta cała
Nagim — bez krzyżów — cmentarzem się stała —
Gdzie z snu wiecznego mój lud się nie zbudzi.

Ach! u bram miasta — patrzcie — tam w dolinie,
Rota żołnierzy o brzasku godzinie
Strzelby nabija — i stoi — i czeka
Na wóz ten czarny — na tego człowieka,

Co zwolna jedzie w śmiertelnej koszuli
Skazan od sędziów by poległ od kuli,
Za to, że wygnan śmiał wrócić na łąny,
Gdzie ojców rola i braci kajdany.

Starców i sierót lud za nim się tłoczy —
 Słońce z za wzgórzów wznosić się zaczyna —
 Dzwon z wieży słychać — to zgonu godzina;
 Lud podniósł w niebo obłąkane oczy!

On zstąpi z wozu, — on w jaskrawe słońce
 Spójrzy jak orzeł i słów kilka doda:
 „Chleb ten był gorzki i zatrutą woda,
 „Którą żył tutaj — teraz na tej łące

„Upaść mam ciałem jak nieczułe brzemie —
 „Jedna myśl tylko mej duszy się śniła —
 „Tę myśl jak ziarno rzucam na tę ziemię,
 „Niech dziś się skryje — by jutro odżyła.“

Gdzież jestem? mówcie! — co się zemną dzieje?
 Ten obraz cały tak prysnął przedemną —
 Mgła mi śmiertelna jakaś w oczy wieje —
 Lud — łąka — miasto, zapada w noc ciemną —

Jakby mój naród zapadał w otchłanie!
 Dni tylem płakał i prosił Cię, Panie,
 O błysk nadziei! — Podajcie mi ręce —
 Ja nie chcę skonać w tej Zwątpienia męce!

Trzymać mnie, ścisnąć — przykuć mnie do ziemi,
 Ja tu chcę zostać z temi umarłemi, —
 Lub nim odejdę, przeczuć w mojej duszy
 Że duch zmartwychwstań ich prochy poruszy.

Mówcie co do mnie — już nie nie wiem zgoła. —
 Czy tam nie widać mojego Anioła,
 Który obiecał — czy to mi się śniło?
 Śnieżnem mnie skrzydłem przykryć pod mogiłą!

On stoi — widzę — niech chwilkę poczeka —
 Co będzie z Polską? Patrzcie! — do człowieka
 Całkiem podobny! Czyż to twarz Anioła?
 Nie — to mój Szatan, który na mnie woła!

Znam cię, dusz słabych siwy kusicielu,
 Tyś przepsuł Wiarę — zatrul Miłość wielu;
 Wiem — ty przyszedłeś w ostatniej godzinie
 Mnie prorokować, że mój naród zginie.

GEOS SZATANA.

Ja jestem Rozum — ja jestem Konieczność!
 Nie Czas mi bratem — ale siostrą Wieczność;
 A choć mnie ludzie przewali Szatanem,
 Mój Duch świat stworzył — i ja ziemi Panem!

Ostatni jesteś z wielkiego plemienia,
 Ostatni jesteś z Bohaterów rodu,
 Żyłś bez domu — umrzesz bez imienia —
 Zwiany jest z ziemi ślad twego narodu.

Matką ci mara upadłej swawoli, —
 A bracią twoją proch, co gnije w trumnie!
 Życiem twem było — tylko konać dumnie,
 Lub siać łzy marne na nicestwa roli!

Śmiercią trza umrzeć — śmierć jest poświęceniem —
 Gdy niepojęta — tylko wtedy karą,
 A gdy ją pojmiesz, Rozumu ofiarą,
 Przez zgubę cząstek całości zbawieniem.

Tem bieży potok, że fale mijają,
 Tem ogół stoi, że szczególnie płyną,
 Tem Ludzkość żyje, że narody giną,
 I trwa tem Wszechświat, że światy konają!

Lud Twój się dostał drugiemu Ludowi
 Na krew i pokarm. — Ojców twych puściznę
 Wróg dziś przerobił na śmierć i zgniliznę;
 On życie świata tą śmiercią odnowi.

Bo w piersi weźmie zagadkę przyszłości.
 Którą rozwiązać — nie wam — było dano!
 On ją rozetnie depcąc wasze kości —
 Śpijcie na wieki — wam Noc, jemu Rano!

Lecz ty — odpowiedz! — na coś z umarłemi
Zawarł przymierze? Czemuś w blaskach słońca
Żyć nigdy nie chciał — lecz w czarnej zaciemi
Sny swe jak lampy rozstawiał bez końca?

Darmo się zżymasz — przegrałeś w tym boju —
Rozum na ciebie raz ostatni woła --
Przed koniecznością ugnij wreszcie czoła,
Zrzuć z duszy upór — a zaśniesz w pokoju!

Uznaj że dobrze — i mądrze — i święcie;
Kłękni przed zgodą widomą w zamęcie,
Co sprzęgła razem w okrąg nieskończony
Trumny pogrzebów i życia korony!

A w tem uznaniu schwycisz wieczność całą,
Myśl twą pojednasz z naszej myśli chwałą,
I wtedy będzie darowane tobie,
Żeś wprzód nam bluźnił — płacząc gdzieś na grobie!

JEDEN Z PRZYTOMNYCH.

Jakkolwiek straszny ten czarny Jegomość,
Zda się rozległą ma rzeczy świadomość.

DRUGI.

Mógłby on dużo nam ująć cierpienia
Przez myśl tę nową, co sprawy tor zmienia.

TRZECI.

Kołowrot w głowie — i tamto — i owo —
Lecz czuję wielką odrazę sercową.

GŁOS UMIERAJĄCEGO.

Czemu bledniecie — obróćcie się ku mnie —
Bracia, nie patrzcie w posępną twarz jego!
— On duchem wprowadzie — ale duchem złego,
Falsze więc prawi nadęto i szumnie.

Ach! gdzie mój Anioł — ten siostrzany — biały —
Co miał przyjść po mnie — czemu nie przybywa?
Sam głos twój tylko pieśń zgonu mi śpiewa —
Lecz nie drzę, Duchu — boś nędzny — boś mały.

Boś jedną tylko Wszechżycia połową,
 Niedopełnienie — wieczna twoja dola!
 — Z ust twoich płynie wiecznej śmierci słowo,
 Bo wiesz co przymus — a nie wiesz co wola!

Żądza serc wielu może pod mogiłę
 Zstąpić jak Anioł — i anielską siłę
 Wlać w kość i popiół — nazad stworzyć naród;
 Bóg w Wolę ludzi rzucił cudów zaród!

Byle się nigdy w pychę nie spodliła,
 W cud się zolbrzymi — wciąż wzrastając Czynem!
 Pycha — to karłów zbuntowanych siła —
 Wawrzyn jej zwycięstw — na krótko — wawrzynem.

Taki dziś kwitnie na twych lubych czole —
 Ich tryumf głosisz w człowieczeństwa kole!
 Lecz wierzaj, Duchu, — ciału bez Idei
 Nie zwiastuj nigdy nic, prócz — Beznadziei!

Pogromcy wieków, na dziejowej niwie,
 Tak jak my walczym — walczą nieszczęśliwie,
 Jak my, po grobach żyją — nie na słońcu —
 A czemuż — powiedz — ich wygrała w końcu?

Czemuż przed niemi, na wydarzeń polu,
 Świat wręście zadrży z niewymownej trwogi?
 Na niebie — z niebios pospadają Bogi, —
 Na ziemi — Cezar spada z Kapitolu?

Bo wciąż się z tobą pasowali, Duchu,
 Gdyś na ucisków trzymał ich łańcuchu;
 Bo wolni w wolnych głębokościach woli
 Przysięgli wtedy — że i śmierć nie boli!

Coś nieznanego stworzyli pod słońcem —
 Stworzyli hańbę na wieki, dla ciebie,
 Stworzyli ciało wśród katów, — a w niebie,
 I krew z żył wziętą męczarni tysiącem

Która wciąż świadczy o Dobru i Pięknie! —
 Mówże, u jakich piekieł znajdziesz proga
 Moc, co się woli praw strasznych nie złąknie,
 Gdy cierpi w świecie — a poczęta z Boga?

I dziś jak niegdyś wytknięta jój droga
 Łaską niebieską — i dziś zdoła wroga
 Obalić ona — i zespoi razem
 Słowo dni zbiegłych z przyszłych dni wyrazem.

Konieczność, Duchu, jest sługą wolności.
 — Ten żyć nie umie kto prawa nie rości
 Myśl wieczną wcielać — ale w swoje ciało —
 — A kto męczennik temu się udało!

Zdejm z nas twój Rozum bez Czynu i Woli,
 Nie nam przydatny tylko tobie kwoli,
 Byś karki ludzkie, jak podle bydłęta
 Na dół przeginał i kuł w hańby pęta.

Wieczna pokora w łzach i krwi — przed Bogiem —
 Bunt nieśmiertelny w łzach i krwi — przed wrogiem,
 To los nasz — zakon — to nasze sumienie —
 Przeszłości chwała — przyszłości zbawienie!

Idź innych zwodzić — Tyś duch cudzoziemiec!
 Gdy zbrodnię jaki gdzie spełni morderca,
 Wraz ją uprawnisz teorią bez serca; —
 — Tyś idealny Moskal — chybaś Niemiec!

I prawdęś wyrzekł — Ja żyłem na grobie!
 Wszystkie kajdany wszystkich moich braci
 Mnie skrępowwały — zmarniałem w żałobie —
 Lecz Bóg mi wstydem twym ból ten odplaci.

Zanim na łożu tem ciało me skona,
 Zjawi się duszy mej dusza rodzona —
 Zjawi się — wróci — obiecała przecie —
 Raz mnie ostatni gdy żegnała w świecie.

Widzę, pamiętam — gasnąć na mem rękę
 Tak mi przyrzekła — i zagasła w jęku!
 Mówię ci, Duchu, że z niebieskich błoni
 Wróci tu do mnie i przyszłość odsłoni!

Precz ty uciekaj przed tem objawieniem,
 Bo z ust twych wścieklizn łać się będzie piana,
 Albo też padnij mi tu na kolana
 I Polskę uczcij serca nawróceniem!

Coś ty mi radził, ja ci radzę teraz,
 Radzę i szczerze; — wielu zwieść i nieraz
 Jeszcze ty możesz, — lecz to nie wygrzebie
 Z grobu przyszłości ni twoich, ni ciebie.

Za to, że wiarą twą — był topór kata —
 Że twą pięknością — co podle a harde —
 Skazany jesteś na plwociny świata,
 Skazany jesteś na wieków pogardę.

Patrzcie! — on znika — bracia! już go nie ma!
 W sercach się waszych tylko strachu zima —
 Na licu waszem tylko zwątpień znamię
 Po nim zostało; — ożyjcie — on kłamie!

Na walkę, bracia — na godność bez końca
 Wyście skazani. — W ciepłym świetle słońca
 Zwierzętom igrać; — lecz wam działać trzeba;
 A przez Czyn — ziemi przychylicie nieba!

Jam ciężko grzeszny — wyznaję — o bracia —
 Bom dał zamieszkać w sobie tej żalości,
 Co z czucia w końcu w krew się przepostacia
 I myśl zatrutą przewciela w szpik kości.

Mnie, smutek zabił — mnie gorzkie koleje —
 Mnie, gwałt namiętych, nieskończonych marzeń, —
 Mnie, krok leniwy ognuśniałych zdarzeń —
 Mnie, te dni naszych wciąż tak podle dzieje!

Jam pił zanadto z krynie mętnych łzami, —
 Za dużo trumien przeszło mi przed wzrokiem!
 Wiek wołał „czekaj“ — rok ciągnąc za rokiem
 Codzień świeżemi witał mnie trumnami! —

Wszystko, com kochał, w ziemi pogrzebałem,
 Miłości moich — krzyże — tam po błoniach.
 Gdzie blade jeźdźce śpią przy śpiących koniach
 Z orłem na piersiach — sennem, krwawem, białem

Gdzie leżą w węgiel rozsypane chaty,
 A w bagnach rosną niezabudek kwiaty
 I czajka woła — jak wprzód — na dzieci,
 I słońce cicho nad równiną świeci!

Wszystko, com kochał, w ziemi pogrzebałem,
 Ciężko mi — ciężko — pod wspomnień nawalem;
 Czemu nie wraca moja utracona —
 Ta, co mnie kocha za grobem — gdzie ona?

Nikt z was nie widział piękności na oczy,
 Bo piękność dotąd gdzieś jeszcze w zamroczy!
 Zwolna kwiat ziemi z toni wieków wzrasta, —
 Lecz przyjdą czasy — lecz kiedyś się zjawi
 Córką człowieka i Boga — Niewiasta!
 I męskie serca od śmierci wybawi!

Ach! ona była nadejścia jej wskazem —
 Zorzą przecucia w ciemnych nocy kole,
 Wolnej a świętej — odbitym obrazem —
 Z nieba dni przyszłych na tych dni padole!

Widziałem niegdyś jak wszyscy klęczeli
 Plotąc jej z kwiatów więdniejących wieńce!
 Ona, na sercu w krzyż złożywszy ręce,
 Gardząc, miała grono kusicieli.

Jak mgły pod słońcem szaty się jej śnieżą,
 Na ciemnych włosach z jasnych róż korona,
 I z czarnych rąbków na głowie przesłona,
 Pod którą róże — jak w śnie smutku — leżą.

I tak szła zwolna przez tłum ludzki cały,
 Jak siostra zmarłych — mileżąca z żywymi,
 Jak córka Bogów — samotna na ziemi,
 Duch — wszystek z bólu i z promieni chwały!

Ach! teraz wszystkie — te wszystkie obrazy
 Wałą się na mnie jak grobowe glazy,
 Mówcie mi, bracia — spokojne pacierze —
 W ostatnich zgonu podrzutach już leżę!

.

CHÓR PRZYJACIÓŁ.

Umilkł, — już skonał — na grobie mu wieniec
 Z cierniów złożymy i napis pod spodem:
 „Choć żył na ziemi — nie był z ziemi rodem;
 „Los jego — Rozpacz, — a imię — Szaleniec!“

JEDEN Z PRZYTOMNYCH.

Co też za życie tego człeka było!
 Ciągłe mu tylko w mózgu się roilo!
 O nieskończonych błękitu obszarach,
 A tu na ziemi o kochanek marach —
 I o Ojczyźnie!

DRUGI.

To był patryota!

TRZECI.

Nie ma co mówić — lecz to stara cnota!

CZWARTY.

Cenię go mocno — ale ganię za to,
 Że nigdy nie był dość arystokratą,
 Bo tylko silny pierwiastek takowy
 Może kraj podnieść w byt lepszy i nowy.

PIĄTY.

Cenię go mocno, — lecz nie cierpię za to,
 Że nigdy nie był dosyć demokratą,

Bo tylko ostry ten pierwiastek zdoła
 Ze zgniłych wyrwać nas przesądów koła. —
 Tuszę, że Polskę niechybnie uzdrowi,
 Każdemu rzezią grozić szlachcicowi,
 A potem — później — jeśli będzie trzeba —
 To i dać paszport Ichmościom do nieba!
 Krwi sobie utocz — gdy stoisz nad grobem, —
 W łeb sobie wypal — kiedyś mocno chory, —
 Takim się Francuz wciąż leczy sposobem,
 A zdrów i silny, — z niego więc brać wzory!
 Żadnych półśrodków, — precz z niemi do kata,
 Wolność i równość *et caetera* świata;
 — Wreście komunizm — co bądź — wszystko jedno —
 Byłem Ojczyznę uratował biedną!
 — Wszak tak, Panowie?

SZÓSTY.

Mylicie się srogo —
 Będzie nam tylko z Panslawizmem błogo!
 I oszukamy tak gracko Moskali,
 Że ujrzą w końcu, iż my się dostali
 Do steru rządów. — Wtedy krzyknąć: Brawo!
 Oni nam będą — a nie my im strawą!
 Tak sztuki stanu radzi polityka!
 Żal mi niezmierny tego nieboszczyka,
 Że się z tą prawdą minął oczewistą —
 On był powinien umrzeć Panslawistą!

SIÓDMY.

On był powinien umrzeć komunistą!
 — Pozwólcie chwilkę — nad tym trupem — szczerze
 Powiem wam, bracia — w co ufam, w co wierzę.
 By zrzucić ucisk, nie lez nam i pisku
 Ale gorszego trza jeszcze ucisku!
 Despotyzm zbijesz tylko despotyzmem,
 Nie liberalnym żadnym krytycyzmem!
 — Czem postępować? — Nie zważać na prawa,
 Kiedy gdzie jaka przyjęta ustawa
 Celom się twoim na nic nie przydawa!
 — Czem znów genialność? Ot, w jednym momencie

Przełamać naród w odmiennie nagięcie,
 I wciąż twórczości trzymając pochodnię
 Czuć się nad wyrzut wyższym i nad zbrodnię!
 Cnotliwym ludziom zanadto wygodnie —
 Żadnej wewnętrznej nie spełnią ofiary —
 Nie narażają się na zgryzot mary,
 Nie chcą się shańbić i skałać dla Ludu
 Jak *Saint-Just* — *Marat* — ci dwaj Święci Brudu!
 I są spokojni nawet na szafocie!
 To — moralności jakby wielkie Pany
 Co chodzą w uczuć jedwabiu i złocie!
 A co z tej cnoty — gdy kraj podeptany?
 Uwagę oną zrobił mimochodem, —
 A nią dowiodłem, że gdy Twórczość każe,
 Słuszną wziąć nawet przemoc nad narodem,
 I że tyranią marząc, źle nie marzę.
 Niech się wam serca zbytnie tu nie zrania:
 Bo oczewiście komunizm tyranią!
 Ni takiej znają niewoli na świecie
 Ci, których Turek albo Chińczyk gniece!
 Przed komunizmu dopiero obliczem
 Każden szczegółnik w społeczeństwie — niezem!
 Własność przepada — twe włosy — twa skóra
 Nie twe — lecz Rządu; — to mi Dyktatura!
 Aleć wiadomo — Sławiańskiej natury
 Normalnem prawem — żądza Dyktatury!
 Myśl, pot, grosz wszystkich, przez władzy przetaki
 Wciąż przelatuje, — I władzy tartaki
 Wciąż kraj pilują — ot! Centralizacya!
 — Nie dość krwi tylko chcieć jak Demokracja; —
 A któż krew przyjmie za co gdzie w zapłacie?
 Wprzód niż krew — pieniądz wojnę rozpoczyna, —
 W skarbie drga zwycięstw ukryta sprężyna —
 A skarb oparty na dóbr konfiskacie!
 Rząd gdy jedynym właścicielem będzie,
 Zaraz się zjawi moc i pogrom wszędzie!
 Ci wywłaszczeni wszyscy, w jednej chwili
 Jak lwy się będą — obaczycie — bili!
 Nie tak człowieka w animusz nie wpędza
 Jak zwrot do stanu zwierząt — głód i nędza!

Mnie się to widzi lekarstwem jedynem!
 Stare przysłowie: klin wybijać klinem.
 Więc dla mass wynajdź jakby kształt Caratu,
 Więc podnieś Moskwę jakby do kwadratu,
 A taką Moskwą obalisz Moskale,
 — Piekłem na piekło. — Tak Duch świat ocala!

ÓSMY.

Patrzcie Panowie, — na tej zgasłej twarzy
 Jakby sen dotąd cierpienia się marzy!
 Choć oko szklanne — choć jak z glazu wargę —
 Z ust i z ocz płynie jeszcze na was skarga. —
 Od wszelkich stronnictw napuszonej mowy
 Pełniejsze życia — milczenie tej głowy,
 Na której rysach się ból narodowy
 Rozpostarł wszystek, — on ból, co od wieka
 Każdego w Polsce rozdziera człowieka!
 Błogosławiony on ból — co dowodem
 Nieśmiertelności — bo już z grobu rodem!
 On ból czyscowy — opatrzny — obrońcy —
 Co nas rozbitych, jak Religia, łączy,
 Aż cud niezaznan w świecie zeń wykwita:
 Pośmiertna Polskich dusz Rzeczpospolita!
 — Z takiej tajemnie i ofiar głębiny
 Świeższe, ja tuszę, i prawdy i czyny
 Wyjść na jaw muszą, niż gwałt, konfiskata —
 Lub rzeź gdzie jaka, — cześć — siła — czasu strata —
 Małpiarstwo tylko starych zbrodni świata!
 Co wy myślicie — ty i ów — i drugi?
 Zamiarów Bożych nieświadome sługi!
 Wy źdźbła przyszłości, z których każde śmiało
 Prawi o sobie: Jam przyszłością całą!
 Wy mędry — twórcy — wy krzykacze — zuchy, —
 Wielkiej Idei studenty — nie Duchy!
 Żaden z was kraju pod dłoń swą nie zgarnie:
 Nie na toć naród zniósł takie męczarnie; —
 Nie — nie zwycięstwem stronnicych mierności
 Kończą się sprawy, w których Bóg sam gości!
 Lecz myśl się Boża tutaj Dobrem zowie —
 Dobrem zaś tylko jest dobro, Panowie!

A brud jest brudem — myj go sofizmami,
 Pierz i lat tysiąc — on zawsze cię splami!
 Wszystko cochwilnie rusza się i zmienia,
 Prócz w piersiach ludzkich — ludzkiego sumienia!
 Tu, wynalazków — daremna ochota!
 Środków działania i w myśli i w ciele
 Masz do odkrycia nieskończenie wiele,
 Lecz jeden tylko w sumieniu tkwi: — Cnota!
 Inaczejś bracie — nie człowiek — lecz zwierzę!
 Oto, Panowie, w co ufam i wierzę. —
 Żadna Genjalność w tym razie nie nada,
 Bo to nie moja, ni twoja zasada —
 To prawo światów co światami włada!
 To nie Sławiańskiej wynik Dyktatury,
 Lecz Bożej w ludzką zstąpionej natury!
 A nieboszczyka owszem chwale za to,
 Że Komunistą, ni Arystokratą,
 Ni Panslawistą, ani Demokratą,
 Ni jakimkolwiek bądź innem przezwiskiem,
 Co z klęsk ojczyzny tylko pośmiewiskiem,
 Nie zwał się nigdy. Jeśli jakim znakiem
 Znać go chcecie, — zwijcież go Polakiem,
 Bo kochał Polskę oną wiekuistą,
 Ziemsko-potęzną — i anielsko-czystą,
 W której się zaród wieków szlachetności
 Tak dowielmożni i tak dochrześciani,
 Że z niej się stanie jak Duchowa Pani
 Innych narodów. — On żył w tej miłości
 I w niej też umarł. Serce jemu wrzało
 Goręcej w piersiach niż u innych ludzi!....

DZIEWIĄTY.

Kogoż już teraz taki zapał złudzi?
 Praktyki trzeba — sercem żyć za mało.

DZIESIĄTY.

Aha! tak — prawdę mówi obywatel;
 Poszło już serce teraz w rzęd bagatel;
 I lepsza jedna z Londynu młockarnia
 Niż poetyczna wszystkich dusz męczarnia.

CHÓR.

Nie traćmy czasu — bo życie praktyczne,
Którym żyjemy, liczy w sobie liczne
Zajęcia. — Zatem gdy już dni na niebie,
Bądź zdrów umarły — pożegnamy ciebie!

GŁOS UMIERAJĄCEGO.

Dzięki wam ludzie! — jam nie skołał jeszcze!

CHÓR.

Jak! — Co? — ty żyjesz?

GŁOS UMIERAJĄCEGO.

Ja z śmiercią się pieczęję!
Ból zwątpień przeszedł — noc ducha ustała —
Coraz mi płynniej cięży ciężar ciała,
A już nie marzę, nie walczę, nie mdleję —
Cały w błękitną zmieniam się nadzieję!
Słodko umieram — słyszę głos Anioła —
Głos wiosen moich — głos tak dawniej znany, —
Wiecznie pamiętan i wiecznie kochany,
Tu, — przy mnie — wszędzie — nademną — dokoła!

CHÓR.

Nie my, na honor, nie słyszymy zgola.
Cieszy nas tylko że cię myśl wesola
Cieszy w tej chwili — winszujemy tobie!
Może się kryzys w twej zjawi chorobie. —

GŁOS UMIERAJĄCEGO.

O, ty nademną tak się kołysząca,
O, ty coś piękna, pięknoscia bez końca,
Bo wiesz już Pana niebieskie wszechcele —
I na twem licu tej wiedzy wesele. —
O sestro! błagam cię — słuchaj — niech oni
Ujrzą cię także — niech światło z twych skroni
W pierś im przypłynie — niech głos twój usłyszą!
Nastrój ich myśli ducha twego strojem,
By wrzask ich niezgód stał się odtąd — ciszą,

I walczyć mogli zwyciężkim już bojem!
— A co — widzicie?

CHÓR PRZYTOMNYCH.

Jakież ciebie licha
Znów opętało? Leż spokojnie — cicho.
Wnet ci się nerwy wściekłym skręca spazmem,
Gdy z takim będziesz gadał entuzjazmem.

GŁOS UMIERAJĄCEGO.

Czy ty mnie słyszysz? Siostró, błagam ciebie!
Zjaw się im wszystkim, tu, nagle, od razu!
Może ci na to Bożego rozkazu
Potrzeba — proszę — prosz Ojca co w niebie
By ci pozwolił — módl się — módl — mów: „**Panie**
„O co mnie błaga mój brat, niech się stanie.“
Nie bój się, — dobry jest Pan — On pozwoli
Byś im zwiastunką była Jego woli, —
Byś słowom moim w mej śmierci godzinie
Dała świadectwo, które nie przeminie!
Bóg ciebie kocha, boś kochała wiele,
Najnieszcześniejsza z niewiast człowieczeństwa
Niewiasto Polska niegdyś. — Ty męczeństwa
Duszo i iskro — a dzisiaj Aniele!
Słuchaj ty — wymóż to na sercu Boga —
Uczyni to dla mnie, o Siostró! o droga!
— A co — widzicie?

CHÓR.

Wciąż się łudzisz marą!
A nasze oczy widzą co widziały —
Ten pokój, lampą wpółoświecon cały;
Fortepian — stolik — po ścianach broń starą,
A pod tem oknem ten splot róż co wzrasta
Z tych donic kilku — wreszcie piec — i basta!

GŁOS UMIERAJĄCEGO.

Prawda, we wszystkim dotrzymałaś wiary!
Póki na ziemi — kochałaś do zgonu, —
A teraz z góry — aż z pod Boga tronu —

Przez zagrobowe wróciłaś bezmiary,
 I czekasz na mnie — i stoisz przedemną —
 By mnie wprowadzić w noc grobu tajemną!
 Prawda, o Sostro! a to wszystko na nic. —
 Słuchaj — niech raczej w tę otehlań bez granie
 Spadam bez ciebie — niech bez twej opieki
 Tam błdzić muszę — może błdzić wieki —
 A w zamian żądam, by im się twa postać
 Ukazać mogła i Słowo twe zostać
 Z nimi wszystkimi. — Spiesz się — wszak cierpienie
 Me widzisz! śpiesz się, ja woli nie zmienię!
 Nie mem mi moje zbawieniem Zbawienie,
 Lecz ich i Polski. Było zostać raczej
 Gdzieś była, Sostro — bo pomódz inaczej
 Mnie ty nie zdołasz. — Krótka nasza radość,
 Jeśli mej prośbie nie uczynisz zadość!
 W jaki bądź Zaświat odejdziem oboje,
 Ściagać mnie będą zgryzot niepokoje,
 Żem już gdzieś z tobą schroniony i żywy
 A kraj mój Polski dotąd nieszczęśliwy;
 A oni wszyscy wciąż w kłótni i w błędzie!
 I choćby w niebie — źle mi w niebie będzie!
 I będę gorzki — i będę okrutny —
 I ty choć anioł, będziesz anioł smutny;
 Aż patrząc na mnie krzykniesz: „Nieszczęśliwam.“
 Więc mnie wysłuchaj — raz jeszcze cię wzywam,
 Wysłuchaj, Sostro — patrz! — już dogorywam!
 — A co — widzicie?

CHÓR.

Co to za muzyka?

Strun niewidzialnych szum dźwięczy w przestworze
 I dźwięk nam kaźden wskrós duszę przenika.

GŁOS W GÓRZE.

Wszechświęty Ojczy, Synu, Duchu — Boże!
 Dzięki Ci, Panie, żeś w ostatniej chwili
 Dał znów być razem tym, co razem byli
 W życiu przeszłości; — na ziemi on bratem
 Był mi, a teraz go z umarłych światem

Przyszedł pobratać; — lecz nim mu ust pieniem
 Duszę odwiążę — i jednym westchnieniem
 Porwę go z sobą — wysłuchaj mnie, Panie!
 Niech serca jego spełni się żądanie!

JEDEN Z PRZYTOMNYCH.

Już nie dźwięk tylko — wyraźnie brzmią słowa.

GŁOS UMIERAJĄCEGO.

Czemu się jeden za drugim tak chowa?

JEDEN Z PRZYTOMNYCH.

Słowo honoru! gdybym wierzył w Boga,
 Toby mnie zdjęła w tym momencie trwoga!....
 — Daruj mi, Boże! padam na kolana!

INNY.

Jakby w płomieniach cała stoi ściana!
 O Jezu! biję się w piersi żałością;
 Zgrzeszyłem, Jezu! — Jakżeż blask ten rośnie!

GŁOS UMIERAJĄCEGO.

A co — widzicie?

CHÓR.

Oszaleję wszyscy!
 Czy my zbawienia czy też zgonu blizcy!
 Widzim, ach, widzim bielejące szaty
 I skrzydła widzim — i na głowie kwiaty —
 Tyś prawdę mówił — twoja ach! wygrana!

GŁOS W GÓRZE.

I będzie Polska — będzie w imię Pana!

CHÓR.

Umieramy po kolei!
 Serca nasze, jak tłum liści
 Gdzieś niesionych wśród zawiei
 Opadają w dół zawiści;
 Rwie nas w górę wir nadziei, —
 Umieramy po kolei!

GŁOS W GÓRZE.

Będzie Polska w imię Pana!

CHÓR.

Gdzie dusz naszych wieczna rana?
 Już nas wewnętrzny ból nie gnecie!
 Piersi skaczą — myśl pijana
 Od radości, co nieznana!
 My umarli już na świecie!

GŁOS W GÓRZE.

Będzie Polska w imię Pana!

CHÓR.

Wszystko w okół — gdyby rajem —
 Wszystko wewnątrz — gdyby siłą —
 Tak nam dobrze — tak nam miło —
 Święty Boże! zmartwychwstajem!
 Pierś do piersi — do rąk ręce —
 Zesplatajmy się jak wieńce
 I rozwieńczmy się nad krajem!
 Coraz jaśniej przed oczyma —
 Jednym Duchem już się stajem —
 Tam gdzie Miłość — Śmierci nie ma —
 Ach! kochajmy się my wzajem! —

GŁOS W GÓRZE.

Będzie Polska w imię Pana!

JEDEN Z CHÓRU.

Mgła przyszłości z sere nam zwiana,
 Alleluja! — wraca życie;
 Ojców Duchy! czy słyszycie?
 — O wy, niegdyś bardziej z Bogiem
 Niżli Franki — niżli Niemcy —
 W każdym czynie czuciem błogiem
 Zbawiciele lub rozjemcy!
 Wy zdobywce — lecz Uniami,
 Których ludzka krew nie plami —

Wy pogromce — lecz tyranów,
 Schizmatyków lub poganów!
 Przez dziesięciu wieków burzę
 Europejskich bram — wy stróże!
 Króle — Wodze i Rycerze
 Weszli z światłem w wszechprzymierze;
 Przeciw nocy, wiecznie ze dniem
 Czy pod Moskwą — czy pod Wiedniem; —
 Wy — jak w dziejach sny niebiańskie —
 Wy — godzące sprzeczne tory,
 Męczenniki wy Chrześcijańskie
 I rzymskie Tryumfatory!
 O! natchnijcie nas w tej chwili!
 Wprzyszlić przeszłość — oto pora:
 Niech skra wasza, co w nas chora,
 W płomień zdrowia się rozsili —
 Z głębi ludu — szlachty ród
 By wczłowieczać w Ludzkość — Lud!
 Na to, z Bożej ją opieki
 Wybierały los i wieki!
 Póki przodem przed narodem
 Poświęcenia stąpa chodem,
 Żadna rana w pierś zadana
 Jej nie zmoże; nie pochowa
 Żadna otchłań Kurcyszowa —
 Z tych otchłani — ona rodem!
 — O Aniele! patrz Aniele!
 My tu wszyscy jedną bracią,
 A kto ofiar spełni wiele
 Ten na ofiar pała czele,
 I to — Arystokracją!

GEOS W GÓRZE.

Będzie Polska w imię Pana!

DRUGI Z CHÓRU.

O ty śliczna — oświetlana —
 O motylu ty mój Boży!
 Niech się serce me roztworzy
 U stóp twoich. — My nie kaci

A wyrzynać chcieli braci!
 Ach! bo błdzić — to rzecz łatwa,
 Kiedy myśli smutek gmatwa;
 Cudzoziemiec plótl nam dziwy:
 Że gdy szlachtę kto pogrzebie
 Ten na wieki już szczęśliwy; —
 Aż ja wieszać chciał i siebie —.
 Bom sam szlachcie — jak Bóg żywy!
 O Aniele! — ja szalałem —
 Jużci szlachta u nas głową —
 — W niej mózg kraju — a Lud ciałem;
 Zetnij głowę narodową,
 Cóż zostanie z pod obucha?
 Kadłub tylko — co krwią bucha
 Aż się wrogom do stóp zwali.
 I po tylu wiekach trudu
 Ojczyste go kadłub ludu
 Będzie grzeban przez Moskali!
 A pogrzebią go w koszary —
 Pod carskimi tam sztandary
 Trupa pocznie się zgnilizna. —
 W rój moskiewskich się żołnierzy
 Przerobaczy — sprzeniewierzy —
 Taka z mordu nam Ojczyzna!
 O Aniele! — aż strach bierze,
 Żem tak długo żył w tej wierze.
 Gwałtu — ratuj — co się znaczy?
 Jak w śnie wszystko się majaczy; —
 Czy to głos mój? — ktoś mną włada —
 Ktoś przezemnie inny gada!

GEOS W GÓRZE.

Nie opieraj się daremno —
 Co oglądasz, — mów.....

DRUGI.

Żle ze mną!
 Krew się wzdyma przed oczyma —
 I szumi i wali,
 I falą po fali

Posuwa się dalej. —
 Bładych ciał połowy —
 Ręce — nogi — głowy —
 W głowach — w piersiach — kosy — noże; —
 Z czerwonych strumieni
 Jeziora czerwieni —
 Z jezior — jedno morze —
 Wielki Boże!
 Kędy spojrzeć — w wszechprzestrzeni
 Krew kołysze się i pieni!
 Już od pian tych rudej pary
 Mrok w powietrzu rudoszary —
 Sklep nieba, po szczyty
 Tym kirem obity —
 Pośrodku — twarz słońca
 Jak lampa gasnąca —
 I zgasła nademną —
 Jakżeż teraz ciemno!
 Tylko tam gdzieś na chmur łonie
 W ładu stronie
 Zorza płonie;
 Tam w oddali
 Świat się pali!
 Z płomienistych łun — w przestworze
 Jak drugie krwi morze —
 W dole gruzów trzask, —
 Nad łoskotem huczy grzmiotem
 Stutysięców wrzask!
 A tu bliżej — w łun obwodzie
 Na szkaradnej onej wodzie
 Oto wiosel płask, —
 Setne płyną łodzie —
 Wszystkie płyną w brzegu stronę
 Bagnetami najeżone;
 — Bagnetów tysiące —
 Działa — lonty tłące —
 Śród dział, trony i korony —
 Flag purpury — i mundury: —
 — To króle Europy!

Ha! na mordę fali
 Jedni się zostali
 Królowie i chłopcy!
 Szparko jadą ci mocarze —
 Wesołe ich twarze —
 Prosto — prosto w te pożary
 Przez te krwi obszary
 Wiosłują wiosłarze!
 I żelazo tych żołnierzy
 Uderzy — uderzy
 W chłopów ród!
 I będzie się pasowało
 Z ślepem ciałem — ślepe ciało —
 Z brudem — brud!
 I będzie świat cały
 Nad grobowym progiem
 Bez Boga!
 Ostatnim mu Bogiem
 Wszechtrwoga!
 Przed strachu bałwanem
 Zgniją ludzkie serca!
 Wieku tego Panem
 Kat — szpieg — i morderca!
 Na przemiany wszystkie klęski —
 Dziś motłoch zwycięzki
 Jutro górą król; —
 Wszędzie wstyd i ból —
 Widnokreżna podłość wszędzie —
 I nadejdzie dzień,
 I wyciętej w pień
 Żal nam szlachty będzie!

GŁOS W GÓRZE.

Zbudź się — zbudź się — w imię Pana!

DRUGI.

Światłość jawu mi oddana
 Aż się jeszcze trzęsę — pienię —
 Kto w mych piersiach mówił za mnie?

GŁOS W GÓRZE.

Twój drugi Ty — tve sumienie,
 Co nie mówi nigdy kłamnie. —
 Każden w sobie ma olbrzyma,
 Który z prawdą — nie z nim — trzyma;
 Wszechmoc drzemie — w tym olbrzymie —
 Jemu — Wieczny Cud — na imię!
 Gdy opisze ciebie kołem
 Twoich własnych żądz i myśli,
 Tak płomiennie ci je skreśli
 I rozwiesi po przed czołem,
 Że w nie patrzysz ócz twych wzrokiem!
 Wtedyś sobie sam — wyrokiem —
 Wtedy bywasz — i prorokiem!

DRUGI.

Serce pękło — myśl strzaskana!

GŁOS W GÓRZE.

Będzie Polska — w imię Pana!

TRZECI Z CHÓRU.

O ty jasna — Bogu miła,
 Choć mi każda mózgu żyła
 Wstydu żary na twarz cedzi,
 Rwie mnie spojrzeń twoich siła,
 Klękam — klękam — do spowiedzi.
 Dusza tylko się została
 Narodowi co — bez ciała —
 Bóg tej Duszy rosnać każe
 Po nad wszystkich klęsk cmentarze;
 Jej to straży powierzona
 Niw sławiańskich wszechobrona!
 A ja właśnie do niej — do niej
 Zawolałem w burz godzinie:
 „Patrz! nóż błyska — pieniądz dzwoni —
 „Od niemieckiej sprosnej broni
 „Krew twych synów płynie. —
 „Zrzucaj z czoła cierniów wieniec —

„Zstąp ty z krzyża gdzieś męczona,
 „Stocz się w Cara, stocz ramiona —
 „On twój odtąd — oblubieniec!
 „Był ci wiecznym kusicielem —
 „Był zatraccielem; —
 „Żebrz — niech będzie dziś — mścicielem!
 „Konieczności taka droga —
 „Już czasy łaskawsze
 „Nie przyjdą od Boga —
 „Zesamobójcz się — na zawsze!
 „Zatrąć myśl twą — i jej godła —
 „Z wiar twych tajemnicą
 „Rozwiedź się — wietrznico!
 „Zeschizmatycz się — ty podła!
 „Całuj, Lubieznico
 „Łańcuchy i bicz! —
 „Zwij siostrami — pustyni dziecze!
 „Wszystko snem jest — coś kochała —
 „Snem twa cnota — cześć — wstyd — chwała;
 „Zemsty jedną chwilką
 „Ukój boleść niewyleczną —
 „Zemsty żądaj tylko
 „I giń — śmiercią wieczną!
 „A być może iż traf ziści,
 „Że z bezedni tego błota
 „Jakie wznijdą i korzyści —
 „Polska zdatność a ochota
 „Górę wezmą. — Będą jeszcze
 „Z nas — po carstwach — urzędniki,
 „Radcy stanu — pisarczyki —
 „A u dworu — dworu wieszce;
 „Trzeba — trzeba, gdy los woła,
 „Z człowieczeństwa wyniść koła,
 „Z Chrystusowej zejść Kalwaryi
 „Do moskiewskich kancelaryi.....“
 Miłosierdzia — o Aniele!
 Ja upadam — to za wiele —
 Niepodobna ciągnąć dalej —
 Mózg na węgiel mi się spali, —
 Daruj — daruj — ja tak szlocham

I tak Polskę moją kocham;
 Na tej rzezi bratniej polu
 Jam był rozum stracił — z bólu!
 Lecz dziś dusza odzyskana —
 Świadczy mi sama — o przeczysta,
 Żem nie Moskal, — Panslawista!

GŁOS W GÓRZE.

Będzie Polska, w imię Pana!

CZWARTY Z CHÓRU.

I ja płaczę, cudna Pani,
 I ja łaknę przebaczenia! —
 Ach! nie rozum, w klęsk otchłani,
 Sercem stracił był — z cierpienia; —
 Więc człowieka się połową
 Stałem tylko — tylko głową!
 I ta głowa, sierdząc skronie,
 Słów nie swoich brzmiąca echem,
 Z pysznym — zimnym — dzikim śmiechem,
 Tak wrzeszczała w braci gronie:
 „Lat tysięcy fałsz już zbity,
 „Rozwiązane Wiary mity —
 „Wszech-idea wiekuista,
 „Wszędobecna — wszędojedna —
 „Lecz siebie bezwiedna,
 „Lecz bezosobista,
 „Absolutną matką — Ducha!
 „I ta wielka — ślepa — głucha,
 „W kształt się ludzki ubrać chciwa,
 „Dialektycznych sprzecznym rojem
 „Przez naturę wskrós przepływa,
 „Aż się stanie w łonie mojem
 „Świadomością i ustrojem!
 „Ja to niegdyś Bogiem zwano —
 „Lecz się grubo omylono —
 „W niej pierwiastne tylko ciemnie,
 „Co brzmią błędnych czuć szelestem —
 „Dźwięk dopiero pełny — we mnie!
 „Ja Bóg bardziej — niż Bóg — jestem!

- „Jam ostatni kres wszystkiego —
 „Wszechświat ku mnie tęskni — zbiega —
 „Jam kwiat dobra — jam kwiat złego —
 „Jam jest Alfa i Omega!
 „Lecz mnie jednak na wsze strony
 „Pierś mej matki opierścienia —
 „Oczewiście — z niw istnienia
 „Wracam w byt jej nieskończony. —
 „Nicość czeka mnie — po zgonie!
 „Każden człowiek się z kolei
 „Znów roztapia w wszechidei
 „Jak kropelka w morza łonie!
 „O zaświaty tylko pyta
 „Filozofia pospolita. —
 „Takie, bracia, wam odkrycia
 „Ja od pruskich niosę włości;
 „Wiecznej myśli — brak jest życia —
 „Nam żyjącym — brak wieczności —
 „Poprzysięgam — choć się zżyma
 „Serce wasze — nie ma, nie ma
 „Boga, ni nieśmiertelności. —
 „Ludzkość tylko się odradza —
 „W duchu ludzkim więc — Wszechwładza!
 „Jak Jehowa rządził stary
 „Dziś ja rządę wśród stworzenia —
 „Burzę wiary,
 „Spuszczam kary,
 „Na śmierć znaczę pokolenia!
 „A ze śmierci tych nasienia
 „Wyższej myśli wstaną ruchy!
 „Trzeba krwawo pchać ostrogi
 „W przyszłych wieków gnuśne brzuchy —
 „Żelaznemi niech kopyty
 „Roztrącają — stare byty!
 „Tak w Historii jeżdżą Bogi!
 „Gdyby nie i jazdy
 „Postępu by gwiazdy
 „Nie błysły nad światem, —
 „Czyn mój miłosierny zatem!
 „Oto prawda rzeczywista

„Tak jakem Heglista!
 „Zastosować tylko świecie
 „Nam do Polski to pojęcie!
 „Kto posiada
 „Temu biada!
 „Egoista!
 „Ja rozumem jemu świecę —
 „On opiera się Logice —
 „Ślepota zuchwała!
 „Lecz upor ten skruszę —
 „Zrównam wszystkie ciała —
 „Zrównam wszystkie dusze —
 „Będzie sławy karta;
 „Choćby rozwiać gmach w perzynę
 „Ja się stwarzam — w Katylinę —
 „Chcecie? — w Bonaparta —
 „Chcecie? — to i w Chrysta —
 „W co bądź..... Hej! — ja komunista!“
 Tak krzychałem — tak — o Święta!
 Nie bądź — nie bądź mi za sroga —
 W myślnie Niemców skutę pęta
 Ach! wyznaję — jak zwierzęta
 Już nie czułem w okół Boga!
 Choć mnie ust twych uśmiech rani,
 Nie odwracaj się, o Pani!
 O patrz ku mnie, Światłolita —
 Wzrok twój w niebo chwyta!
 Wiem już, wiem, wiem — wszechubóstwem
 Być samemu sobie bóstwem!
 Nie rozślubi żadna siła
 Co myśl Zbawcy ześlubiła. —
 Nie my sami wiążem siebie —
 Duch nas Boży wiąże — bratni.
 W nim moc pierwsza — cel ostatni —
 Ojcem ojczyzn — Ojciec w niebie —
 Królem dziejów — jeden On;
 Ja mych braci, tylko brat —
 Mnie niewolno rzucać w świat
 Ból i zgon!
 Źle Ojczyznę — źle kochałem: —

Polska dzielność
Wierzyć tchnieniem piersi całem
W nieśmiertelność;
Źle Ojczyznę — źle kochałem!

GEOS W GÓRZE.

O boleści — o gorycze —
Waśnie — dумы —
Bezrozummy:
O serca stronnicze!
Wina skrusze — darowana;
Będzie Polska w imię Pana!

GEOS UMIERAJĄCEGO.

A tych kilku — patrzaj siostró —
Przemów do nich — przemów ostro —
Nie zgrzeszyli smutku szaleńcem --
Ale hańbą — ale kałem;
Gdy nad matki krwawem ciałem
Kirgizowa jazda tętni,
Oni byli — obojętni!

GEOS KILKU.

O my bardzo biedni — marni —
O my nędzni — szlamazarni —
My bez zbrodni i bez cnoty!
Nam się śniło w śnie ślepoty,
Że Car bliski — Bóg daleki —
I że naród śpi na wieki!
Więc już tylko — wśród niewoli,
Do przemysłu — handlu — roli —
Do dróg bitych — do farbiarni;
By utuczyć — co zostało
To — bez ducha — nasze ciało!
O my biedni — szlamazarni!

GEOS W GÓRZE.

I wam daję pokój pański,
Pokój święty -- chrześcijański; —
Lecz słuchajcie — azaż wiecie?

Zanim wynieśmiertelniałam,
 Polską żyłam na tym świecie —
 Wtedy wami pogardzałam!
 I to wraca mi wspomnienie,
 Gdy wam głoszę — przebaczenie!....

CHÓR.

Odrodzeni — świeży — nowi —
 Czy męczeństwem — czy żelazem,
 Wszyscy walczyć my gotowi —
 Przebacz wszystkim — równo — razem!

GŁOS W GÓRZE.

Przez was myśl swą Pan zeźniwi!
 I będziecie żywi;
 Lecz bądźcie cnotliwi!
 Po kryształach — światło Boże! —
 Sam Wszechmocny kłaść nie może
 W pierś nieczystą — wieków zorzę!

CHÓR.

Ach! z rozpacz — nasze błędy —
 Nim dokoła rozwiośniały
 Nim promienie twojej chwały
 Okolała nas śmierć wszędy!
 Prawem władnem — po nad nami
 Wiek ten uznał — wszechbezprawie;
 W europejskich państwach ustawie
 Nam kazano — żyć zbrodniami, —
 Nam kazano — być szpiegami; —
 Nam kazano — wydać syna,
 Wydać ojca — wydać brata,
 Gdy syn — ojciec — brat przeklina
 Niechrześcijaństwo tego świata. —
 Kto z nas wyznał świętą Matkę,
 Kto czyn poniósł jej w ofierze,
 Ten jak dzikie ścigan zwierze
 Od mórz włoskich — po Kamczatkę!
 Ach! okrutnie — ach! niezdolność —
 W Bożej nawet już świątyni

Imię Polski — rzeczą sprośną; —
 Tylko imię to rzec głośno
 Wolno było — z szubienicy!
 Sprzysiężona ludzkość cała
 Cześć i życie wiaść nam chciała!

GŁOS W GÓRZE.

Jej zapłaćcie — jak Syn Boży
 Jej zapłacił przed wiekami; —
 Za krzyż — wszechdobrodziejstwami —
 Niech wasz przykład — ją przetworzy! —

CHÓR.

Już nam widno — już nam wiedno —
 Tak do Polski — jak do Pana
 Iść się musi — drogą jedną,
 Ta, co nigdy — nieskalana!

GŁOS W GÓRZE.

Wszechświęty Ojcze, Synu, Duchu — Boże!
 Twej łaski, Panie, potrójnej nad niemi!
 Niech im zrozumieć w tym dniu dopomoże
 Jak sam ich wiodłeś ścieżki tajemnymi. —
 Łaski Twej — łaski — miłości Twej, Panie!
 Oto już dawnych wyrzekli się kłótni —
 Oto już drgają — na Twej pieśni granie
 Jak struny różne — a tej samej lutni;
 O! przyspiesz czasy! niech przez tych strun dźwięki
 Wieku przejściowe zakończą się męki;
 By świat ten poznał — że sąd i zatrata
 Na wieki mieszka w każdej zbrodni świata, —
 By świat ten poznał — że Twoja uroda
 Zejść i na planet potrafi niziny —
 By świat ten poznał — że w końcu nagroda
 Uwieńczy tylko poświęcenia czyny. —
 Bo kiedy próba minęła znikoma,
 Znów chwale Twojej w Twojej Polsce — doma!

A teraz, bracie mój dawny, jedyny,
 Musisz ty, musisz w nieznane krainy, —
 Zdawna już twoja wciąż bije godzina,

I moja tylko do nieba przyczyna
 Wstrzymuje dotąd ciebie w dnia promieniach. —
 Lecz już i we mnie mdleje wstrzymań siła —
 Mówże więc do nich, com ci objawiła
 Kiedyś mnie ujrzał w pierwszych zgonu cieniach. —
 A jako chciałeś — będę ci świadczyła; —
 I pocałunku śmierci na twej głowie
 Nie złożę, póki co było w mem słowie,
 Raz im ostatni twój głos nie wypowie!

CHÓR.

Srebrnem go skrzydeł obwiązała kołem —
 Wzrok jej gdzieś w górze — lecz rąk jej promienie
 Spuszczone k'niemu — i spływając dołem
 Na skroń mu kładą niebieskie natchnienie.

GEOS UMIERAJĄCEGO.

Ona mi świadczy — uderzcie w proch czołem —
 Ja wam zwiastuję — że Polska, nie będzie
 Królestwem tylko, lub rzecząpospolitą —
 Lecz nad państw świeckich skończenne krawędzie
 Prawem miłości rozlewałnem wszędzie —
 Niedziłą wieków na jaw wydobytą!

Nagle jak posel ukaże się Ona —
 I pośród mocarstw spodłonego grona
 Przezwą ją ludzie: — Mocarstwem-Aniołem! —
 Ja wam zwiastuję, iż Polska kościołem
 Będzie na ziemi widomego Czynu!
 Przed nią pobledną potępione społem
 Królów uciski i wściekłości gminu!
 I będzie — będzie — w tej Polsce i chwała,
 O którą szlachta w dziejach harcowała —
 I będzie — będzie — i wolność ludowa
 Ludziom Romańskim i Germańskim nowa,
 Bo krwią rusztowań ni rzezi nie błotna,
 A w wyższą dolę codzien wstępniej lotna,
 Aż w ruch bezprzerwny — wraz i w spokój wielki
 Rozstrój i rozbrat pobratan już wszelki —
 Aż religijnym stało się obrzędem
 W Bogu ojczyzny polskiej sprawowanie —

I ludzkość poszła natchnień polskich pędem —
 Panu się wszystka dała na mieszkanie
 I toć ludzkości pierwsze zmartwychwstanie!

A wszystko sprawia to, sprawia — Duch święty,
 Duch Chrysta z nieba nazad w ziemię wzięty,
 O którym wasi marzyli ojcowie,
 Gdy doń wznosili cochwilne modlitwy,
 By się wprzytamniał czy w sejmy, czy w bitwy!
 Lecz trud ich przerwan klęskami w polowie,
 I do otchłani wy zejść musieliście,
 By cel ten wieczny dopełnił się iście; —
 Duszę tam waszą od ciała rozjęto —
 Dusza zapadła w czyscową tęsknicę —
 Ciało przez zgonu przeszło tajemnicę —
 Lecz duch żył mocą świata niepojętą!
 I duch ten wstanie z promienniejszem ciałem; —
 Patrzcie tam — patrzcie — Europejskie święto
 Zbliża się — zbliża, — gromowym nawalem
 Spieszą wypadki. — Już na dół się chyli
 Złe, co was gniołło — źle ze złem w tej chwili!
 Ten, co z serc waszych pasował się wiarą
 Dotknięt już zwątpień i rozpaczy karą;
 Na czołe jemu — ciężka Pana ręka, —
 Jego się wszechyna — wasza kończy męka!
 Przemarni żywot — kto piekła kapłanem!
 Pan jeden wielki — Pan jeden jest Panem!

Czy nie słyszycie tych głosów tam w dali?
 Wszystkie na czasu już stworzonej fali
 Płyną tu, płyną i krzyczą w podziwie:
 „Śmierć sama zmarła — a zabity żywie:“
 Zaprawdę, bracia — tęsknijcie cierpliwie —
 Żli oszaleją zaślepienia szaleń —
 Olśnią im oczy — przed Boga oczyma —
 Dziś są — a jutro, spojrzycie — ich niema!

O! ja was żegnam — ja was tak kochałem,
 A odejść muszę — Ach! nie będę z wami,
 Gdy w on dzień zabrzmi pierś wasza hymnami; —
 Gdy to co Judzkie śpiewały proroki
 Zstąpią wam z góry tęczane obłoki,
 Spłyną wam w dole — miodowe potoki,

I starych bólów zrzucicie zewłoki!
 — Nie będę z wami..... ledwom już na jawie....
 Za mgłą mi czarną wy znikli już prawie, —
 Czy mnie słyszycie? chciałbym was do łona
 Przycisnąć wszystkich, nim ten kształt mój skona!
 Sercem i myślą ja wam błogosławię —
 Ja błogosławię wam ach! całym sobą —
 Wolnością woli i losem istoty —
 Wszystkimi memi w Wszechświecie żywoty —
 Kolei ziemskich przebyta żalobą —
 Prochem tych trumnie przeznaczonych kości —
 Pokutą — którą za grzechy odbędę —
 Całą wiecznością mej nieśmiertelności
 I niebem — jeżeli ja w niebie zasięde!
 Wszystkiem czem byłem — czem jestem — czem **będę**
 Wam błogosławię. — O! bądźcie mi czyści,
 O! bądźcie święci! a com rzekł, wam **ziści**
 Sprawiedliwy Bóg.....

GŁOS W GÓRZE.

— Już wszystko spełnione —
 Za mną, idź za mną — nowonarodzone
 Ty Grobu dziecię! w jedną idziem stronę. —

CHÓR.

Coraz wyżej — wyżej w górze
 Jak w dwóch głosów zgodnym wtórze
 Jeszcze nuta brzmi pieśniana!....

GŁOSY GDZIEŚCI.

Będzie Polska, w imię Pana!

CHÓR.

Jak kapiące dźwięku rosy
 Tają — mdleją — nikną głosy —
 Pieśń już ledwo dosłyszana. —

GŁOSY GDZIEŚCI.

Będzie Polska, w imię Pana!

K O N I E C.

OSTATNI.

Z gór, gdzie dźwigali strasznych krzyżów brzemię,
Widzieli zdala obiecaną ziemię!
Widzieli światło niebieskich promieni,
Ku którym, w dole, ciągnęło ich plemię —
A sami do tych nie wejdą przestrzeni!
Do godów życia nigdy nie zasięda
I nawet może — zap mniani będą!

BEZIMIENNY.

Zyciam wiek cały przemarnił w więzieniu,
W nędzy — w chorobie — w ciemności — w milczeniu!
Pamięci ziomków coraz niewidomszy,
Tym co mnie znali coraz nieznajomszy,
Od kochających coraz mniej kochany,
Aż teraz pewno całkiem zapomniany!
Za to pod czarnem pogrzeban sklepieniem
Żem jak syn światła niegdyś ziemi śpiewał
I pieśń jak ziarno w ludzkie serca wsiewał,
By równem memu odkwitła natchnieniem!

* * *

Byłem ja dumny — lecz dumny z dumnymi!
To niepopłaca na murawach ziemi.
Kto pogwałcony — w tego bij — a wygrasz;
Lecz jeśli pysznie z pychą władców igrasz,
Jeśli w nich patrzysz jak w dzikie zwierzęta,
Po nad którymi dan ci wzrok człowieka,
Straszną cię zemsta od tych zwierząt czeka,
I będziesz nosił — Ty człowiek — ich pęta!

* * *

Dni moje pierwsze to u losu wzięły,
Że skorym biegiem prędko przeminęły,
Jak bystre łodzie — jak orły lecące. —

Lecz biedne — biedne — same nie wiedziały
 Dokąd tak lekko i chyżo leciały,
 Gdy jeszcze w górze świeciło im słońce,
 I każda chwila była wiosny kwiatem,
 I człowiek każdy — siostrą albo bratem —
 I świat dziś głuchy — młodości mej światem!

* * *

Gdzie jest ten Anioł, co groby odwala,
 Po męki próbach i skonu godzinie,
 Gdy ranek trzeci zmartwychwstań nadpłynie?
 — On Bogów tylko — nie ludzi ocala!
 Gdzie jest ten drugi Anioł, który zdziera
 Z bram Mamertyńskich, śród nocy, zawiasy
 I święte Pańskie z rąk katów wydziera?
 — Lecz ja nie święty — i dziś inne czasy! —
 Twardsza dłoń wrogów niżli śmierć — bo ima
 Żywego jeszcze — i w trumnie go trzyma,
 Z której dla ducha Zmartwychwstania nie ma!

* * *

Duch twój albowiem — lotny gość Wszechświata,
 On co wprzód marzył pół-boże koleje,
 Śród ścian więzienia tak osierociciej,
 Że będzie szukał — ot! w pajaku — brata!
 I o dźwięk mowy ludzkiej błagał — kata —
 Aż miną chwile — dni — miesiące — lata —
 Żadne do ciebie nie zajrzą nadzieje
 I duch twój w końcu na nie znikczemnieje!

* * *

Ileż ja razy sam z sobą walczyłem
 I mrące myśli tchem woli cucilem,
 By się nie poddać umysłowej śmierci!
 Lecz gdy raz rozpacz w dno mózgu się wwierci,
 Strach, po tym gwoździu, jaka krew się leje,
 — Jak mózg stopniami zsycha i wędnieje!
 Serce też — serce do zgonu się skłania —
 Nie pęka zaraz — kostnieje powoli —

Aż zbezsilnieją w niem wszystkie kochania —
I z wszystkich bólów ten najbardziej boli! —

* * *

Jak olbrzym rwałem się za pas z nicością!
Z osamotnieniem — z brakiem życia — z czercością!
Krat się pytałem: mówcie czy nie wiecie,
Co tam się dzieje na żyjących świecie?
Lampę tu smętną brałem w sine ręce
I długom liczył popiołki jej knota,
By czemś odmiennem rozerwać się w męce!
Nic nie pomogło — jakaś mgła i słota
Codzień mi ciemniej duszę zalewały!
— I świat wewnętrzny mój zagaśł mi cały!
I samem został — bez natchnień — bez Ducha —
Skuty na zawsze do tego łańcucha,
Który to wrosłe w kość moją kajdany
Spaja z tym hakiem wkutym do tej ściany!

* * *

O dawniej — dawniej — starce ostrzegali:
„Pójdiesz ty z harfą twą brzmiącą, młodzieńcze,
„W głuche przepaści, pod rygle ze stali,
„Pieśń twa tam umrze i ty z nią, szaleńcze!
„— Ludziom nie dzisiaj po dumkach wolności! —
„Darmo się zżymasz — im tylko potrzeba
„Nienaruszonej handlu spokojności.
„U nas mordują takich jak ty gości! —
„Zginie, kto światu nosi wieści z Nieba!“
— Jam ich nie słuchał, lub waśnił się z nimi,
Ha! — ja żyć chciałem a nie gnić na ziemi!
Więc gnić mi przyszło pod ziemią bez końca.
— Światłość mi wzięta wszystkim jaśniejąca!
I odczłowieczon ja spadł tak głęboko,
A Bóg na niebie został tak wysoko,
Że mnie i Boga nie dojrzy już oko!

* * *

— Tak ja w najniższem twierdzy tej więzieniu,
Gdzie wszelkie życie zmiera w znicestwieniu!

Lecz tam nademną piętrzą się sklepienia
 W inne świetlejsze, wolniejsze więzienia.
 I w nich szczęśliwsi mieszkają zbrodniarze,
 Których łaskawiej rząd cesarski karze!
 Boć matkę tylko, — lub ojca, — lub brata
 Zamordowali, — więc lepsza ich krata!
 Wolno im z okien patrzeć w bezmiar świata!
 Wolno na wiosnę pić wichry krzepiące,
 Gdy na te śniegi powraca tu słońce!
 — Im wszystko wolno — lecz mnie — co innego!
 — Jam od nich gorszy, na Chrystusa rany!
 — Jam człowiek — Polak — jam Duch zbuntowany!
 Więc ze mnie szatan w tem Państwie Dobrego!

*
*
*

Prawda! — jam wskrzeszał prochy ojców stare,
 By miękkie serca twardą pieśnią trumny
 Przerzucić z podłej w wyższą życia wiare!
 — Prawda! — ja byłem szalony i dumny!
 Jam się nie rodził synem czasu mego,
 Bo wiek mój wiekiem był przejścia i złego. —
 A w tem złem przejściu osadzić go chcieli
 Ci, którzy sądów Bożych nie pojęli,
 Książęta ziemi i ziemi handlarze! —
 — I jak świątynia niegdyś Salomona,
 Nim gniew Chrystusa wygnał z niej kramarze,
 Cała kupiectwem żydów obłudniona —
 Tak za dni moich stał gmach świata stary,
 Bliski upadku — pełny win — bez wiary!
 A w nim dwa tylko dusz kupieckich stany
 Igrząc walczyły o prym na przemiany. —
 Raz zysku chciwość, — to znów wojen trwoga —
 — I świat ten cały był Giełdą — bez Boga!
 A jako szatan Archanielskiej mocy,
 Po nad tą Giełdą, od lodów północy
 Wzrastał już wtedy cień tego olbrzyma,
 Który mnie dotąd w tych okowach trzyma!
 A oni wszyscy — miasto dziarsko, razem,
 Uderzyć w wroga ogniem i żelazem,
 Z żelaza tylko kuli dróg koleje,

I w parach wodnych pokładli nadzieje! —
 Bo się nie bali — ni Boga — ni sromu,
 Lecz śmiertelnego pola bitew gromu —
 I dobrze było Mieszczanom tym w domu!

* * *

Zostalić oni gdzie bruki, gdzie kramy,
 I tryumfalne na targami bramy!
 — A ja przepadłem śród moich szkaradnie;
 Tak jak śmierć nagła, — wróg mnie pojmał — zdradniel
 — Myślim ostatniej nie zwierzył nikomu!
 Ja z kochanymi się nie pożegnałem!
 Nocą — bez śladu — cicho — pokryjomu —
 Kibitek wściekłym uwieźli mnie cwałem!
 I Polskie tylko pamiętają gwiazdy
 Te pierwsze, tajne, me pośmiertne jazdy!

* * *

U władz bezecnych stawili mnie sądu!
 Sąd ze mnie szydził — żem mógł i na chwilę,
 Polak bezsilny, zapomnieć o sile
 Zgon lub zbawienie dającego rządu!
 Więc Car wraz z Bogiem na mnie za bezwiarę
 Słusznie i święcie zesyłają karę!
 I pójde pieszo — aż za świat — w te lody —
 — Rzeczpospolitej wnuk ja i swobody —
 Pośród złodziejów skajdanionych trzody!

* * *

I takem poszedł do strasznych guberni
 Pośród moskiewskiej podłych zbójców czerni!
 — A kat — pamiętam — wiódł konia przed rzeszą —
 Ni siadł nań kiedy — wciąż szedł jak my pieszo —
 Na siodle tylko leżał knut rzemienny,
 I kat powtarzał: „Instrument kazienny“
 I głowom ludzkim bić kazał pokłony,
 Jakby krzyż z siodła sterczał poświęcony!
 — Tak mnie to carskiej wszechprzytomni godło
 Na wskrós przez państwa bezmiernego strony
 Ku północnemu biegunowi wiodło.

A owi łotrzy, fałszerze, złodzieje,
 Wszyscy na lepsze odeszli koleje!
 Zdjęto z nich okuć żelaznych pierścienie
 I rozlecieli się na *posilenie*!
 Lecz jam się dalej włókł pustyni bloniem,
 A gdy na nogach i rękach kajdany
 Coraz mi głębsze wyżerały rany,
 Bywa czasami do kata się modłę:
 „Daj mi, człowieku, wytechnąć na tem siodle.“
 A Moskal: „umrzej, przeklęty Polaku,
 „Umrzej a nie tknij praw cesarskich znaku!“
 Bodaj to umrzeć u wstępu męczeństwa!
 — Lecz nie umiera się, gdy śmierć zbawieniem.
 W dniu szczęścia skonasz — zginiesz w dniu zwycięstwa,
 — Niezatracałnys, gdy żyjesz cierpieniem!

* * *

Ach! gdzie rodzinne majowe obszary?
 Gdzie zbóż mych łąny — gdzie mych łąk moczary?
 Gdzie bory sosen szumiące nademną
 Jakby modlitwą dziwną i tajemną?
 Gdzie są skowronków powietrzne gadulstwa?
 Gdzie stary kościół, kędy śpią ojcowie?
 Gdzie katolickie Litanje pospółstwa?
 Gdzie lud, co Maryą królową swą zowie?

* * *

Boże! gdzież jestem? — Boże! cóż się stało?
 Toć w duszy mojej jest jeszcze zakątek,
 Gdzie nie zagasła gromnica pamiętek?
 Coś we mnie jeszcze ludzkiego zostało?
 — 88 Lat już dwadzieścia — nie wiem — ty wiesz, Boże!
 — 88 Jak martwy padłem na to śmierci łoże!
 Wszystko co było — co jest — i co minie —
 W jednej się dla mnie ściemniło godzinie!
 Lecz teraz nagle poblady ciemności,
 I stróż mój Anioł znów ze mną tu gości!
 Łzy mi się cisną — dawno nie płakałem —
 Dawnom nie marzył i nie nie kochałem.
 Daj mi wspominać — daj kochać, Aniele!

Co kaźden człowiek wziął na wieki w dziele,
O to cię proszę — na chwilę znikomą! —
— Duszę mą własną zostaw mi widomą!

*
* *

O myśli moje! czy wy dotąd wiecie,
Przed zgonem waszym co już dniało w świecie?
Jakiem przeczuciem pierś ludzkości cała,
Gdyście konały — o biedne — już drżała!
Wszak głos niczyi, a głos brząający wszędzie,
Zwiastował ziemi — co na ziemi będzie:
„Ludy przyklękną — króle oniemieją —
„Wskrzeszoną wiarą, miłością, nadzieją
„Znów się w poczętych ozwie Niepoczęty!
„Wieki przyszłości z czarnych mgieł wschodzące
„W jednym błękiecie roztopi Duch Święty,
„Każe by jedno świeciło im słońce!
„Bo wstanie wreście plemion Wybawiciel,
„Odojczyznionych ojczyzn przywróciciel,
„Wszystkich krzywd ludzkich natchnion z nieba Mściciel.
„Z sprawiedliwością On dzieje zeswata,
„Odeń już inne zaczną czuć się lata,
„Trzecia planety rozemknie się pora —
„Odeń już Ludzkość na państwa nie chora,
„Które dla zysku lub dla marnej chwały
„Ciała narodów rozewiertowywały,
„A kładły dusze ich pod grobu glazem —
„Na bożej ziemi, za bożym rozkazem
„Dusze i ciała narodów już razem!“ —
Takie naonczas zewsząd biegły wieści
Po świecie pełnym gwałtu i boleści —
Lecz my Polacy, my dobrze wiedzieli,
Że tą postacią, co pokój Messyasza
Na zdarzeń świeckich wzburzonej topieli
Narodowościom, w tym wieku, przynasza,
Nikt inny, jedno święta Polska nasza!
Bo z mąk jej krzyża tyle krwi wyciekło,
Że ta krew ziemskie odkupiła piekło!
O! ja tak wierzył, że Duch mego ludu

Po trudach śmierci znów do życia trudu
Już wznosi skrzydła i chwyta miecz cudu!

* * *

Ileż to razy — ach! może zawcześnie —
Boga zmartwychwstań widziałem ja we śnie!
Bez krwi na rękę i bez krwi na łonie
Ten sam a inny wiekom Chrystus płonie!
Twarz jako słońce, a bielsze od śniegu
Szaty go niosą w nadpowietrznym biegu —
I macza w światów wschodzących jutrzence
Odkrzyżowane — w niebowstępne ręce. —

* * *

A zwolna, zwolna — za człowiekiem Bogiem,
Cudna pięknością i bez śladów zgonu,
Idzie ma Polska i staje nad progiem.
Oreż Cherubów w Jej rękę się pali,
A tam gdzieś w dole — gdzieś w głębi — gdzieś w dali,
Innych narodów zgromadzone koła —
I głos Jej do nich z wyżyn świętych woła:
„O! do mnie, do mnie — wy, plemiona bratnie,
„Skończona walka ostatniego boju —
„Zdrad i kłamstw ziemskich rozerwane matnie,
„Wstępujcie za mną w królestwo pokoju.“ —
A wtedy śpiewa narodów chór z dołu:
„Błogosławieństwo ci, Polsko, i chwała!
„Bo, choć my wszyscy cierpieli pospołu,
„Tyś najwielmożniej z nas wszystkich cierpiała —
„Ty niebotycznej twej krzywdy ogromem
„Wrogów trzymałaś wciąż pod Bożym gromem —
„Ty, wśród mąk, sercem, co kochało wiele,
„Potężniej żyłaś niż ujarzmiciele
„I życiem twojem Tyś nam życie dała —
„Błogosławieństwo ci, Polsko, i chwała!“

* * *

Ach! pomnę, nieraz w noc jesienną, ciemną,
Głos matki zmarłej czy jakiego dziada
Z grobu się zerwie, wzbije się nademną,

I przyszłość myślom moim rozpowiada!
 A z jego szmerem przed oczyma memi
 Snują się tłumem obrazy, widzenia,
 Ciągną zwycięzcy wieńcami długimi,
 Słyszę milionów tryumfalne pienia!
 Przechodzą białe — świetlane postaci
 Sióstr wyjarzmionych — wyjarzmionych braci —
 Skra nieśmiertelna na ich twarzach płonie,
 Choć są bez skrzydeł, płyną jak skrzydlaci,
 Choć są bez koron, błyszczą jak w koronie —
 I wśród nich stąkam i czuję sam siebie
 W nieznanem jakimś przedgrobowym niebie!

* * *

— A kto wie! — może nad Polski mogiłą
 Już się proroctwo snów mych dopełniło! —
 Mnie tam ach! tylko — mnie, trupa nie było
 Śród żywych duchów. — Ha! za temi kraty,
 W czas — w przestrzeń sięgam — głęboko — daleko,
 Wskrósł przez te mury jak przez trumny wieko
 Czuję. — Tam wszędzie gwiazdy, wszędzie kwiaty —
 Świat już z wolnością w wieczne pobran swaty!
 Nad Alp wierzchołkiem i nad Tatrów szczytem,
 Jednym się niebo rozpromienia świtem!
 Tam ludów zlanych jedno błyszczy morze,
 I nad niem świeci Sławian Słowo Boże!
 Wiem — imię święte mej Polskiej Ojczyzny
 Dziś już imieniem całej sławiańszczyzny!
 — Tak Duch zmartwychwstał z rozbiorów puścizny!

* * *

Dreszcz w moich piersiach dziwny nieskończenie,
 W każdej mi żył drga, jak luteń drgnienie!
 Krew moją słyszę, jakby się już cała
 W dźwięk idealny jakiś przedzwieczała;
 Lekko mi — lekko — prawie mi bez ciała —
 Już mi te ciężkie nie ciężą kajdany —
 We mnie — przedemną — jakaś światłość błoga,
 Wynieśmiertelniam się z pod ręki wroga,
 Ot! lochu mego przejrzytnieją ściany! —

* * *

Wszech mi obecność dana magnetyczna!
 Widna mi przestrzeń cała okoliczna,
 I widno — jasno, coraz szerzej — dalej!
 Co tych przestworów! — jak fala po fali
 Tak uciekają. — Precz niebo za niebem
 Zwija się — niknie — za chmur tych pogrzebem,
 Co tak trumniano się tam w górze ciemi.
 Błękit! — Ot! błękit! — wiosna od zachodu!
 Precz za tem piekłem z Moskiewskiego lodu,
 Oto zieloność mojej Polskiej ziemi!
 I tłum tam wielki Polskiego narodu!
 Powietrze barwne chorągwi tysiącem!
 Wieca zebrana — jak niegdyś — pod słońcem.
 Wszyscy tam moi na polach bez końca
 Szcześliwi — złoci — w złotem świetle słońca!
 Widzę ich — widzę — dotykam ich wzrokiem —
 Zda się — ach! jednym tylko stąpić krokiem
 A ręką dotknę! — Nie, nie już nie boli —
 Niech się napatrzę — napatrzę do woli!

* * *

Czy sejm się jaki walny rozpoczyna?
 Ta cała żywa głów ludzkich równina
 Zadrżała jednym olbrzymiem wzruszeniem,
 Jak drżą zbóż fale pod wiatru powieniem.
 Nad głów rzędami podnoszą się wszędy
 Rąk niezliczone i powiewne rzędy.
 Ku tej północnej pokazują stronie, —
 Ku tej tu mojej — i od razu — razem
 Jakims w powietrzu skinęły rozkazem
 Te stutysięców wyciągnięte dłonie.
 O jakżeż dziarskie te hufce — te konne,
 Co się na północ jak skrzydlatą zgrają
 Od jasnych onych tłumów odrywają!
 To jezdźce moje Litewskie — Koronne.
 Tłum gdzieś zostaje z tyłu — już go nie ma —
 Bezmiar i oni tylko — przed oczyma!
 O jakżeż pędzą! — Wciąż jak błyskawice

Sadzą przez wzgórze, — mijają padole,
 Na północ pędzą — za wszystkie granice.
 Zbawienia mego witajcie anioły!
 Od bieli lśnicie i od karmazynu, —
 Skrzą wam z rąk szable jak pioruny czynu!
 I tak leciecie, o wy ptaki boże,
 Moskiewskim stepem, zwycięzko i dumnie!
 — Car ni Czart żaden już dziś nie pomoże!
 O ptaki moje, wy leciecie ku mnie!

* * *

Co na tej wielkiej, bezbożnej przestrzeni
 Ohydnych świątyń na cześć Cara-Boga!
 Co twierdz z krwi ludzkiej wapna i kamieni!
 W ileż to więzień wam się jeży droga!
 Widzę, przed każdym stajecie więzieniem,
 I zeskakując na chwilę ze siodła,
 Straży anielskiem każecie skinieniem,
 By was w podziemne te groby powiodła.
 — Słysząc krzyk życia w umarłych mogile;
 — Mar nazad z wami ach! powraca tyle!
 I znów was pędzi dech Bożej wszechmocy
 Dalej i dalej.....

* * *

Jak chwilki — dni — nocy!
 Czy nocą czarną, czy o słońce rozświecie,
 Rąco — bez folgi — widzę was — pędzicie!
 Dobrze — ach! — dobrze — jużście wlecieli
 Ze czarnoziemia do śniegów mych bieli!
 Prawdaż? — Widnokrąg świata odmieniony?
 Mgła — mróz — śmierć wieczna — same lody — szrony. —
 Lecz Bóg mi świadkiem, coś z czoła im tryska,
 Co rozpromienia pustyni mgławiska.
 A żwawo, moi! — a prędzej! — a do mnie!
 Jezu ty Chryste! — jakżeż jadą gromnie!
 Jakżeż im w barwach narodowych pięknie!
 Ratuj mnie, Boże! — bo mi serce pęknie!

* * *

Wszak gród Moskiewski wy ten już widzicie?

Widzą — ach! widzą — skreślił się w biegu!
 — Lecą piorunem — do rowów tych brzegu,
 Wkrótce dopadną na bram tych rozbicie!
 Chwili brak jeszcze — jednej chwili mgnienia,
 A Polska wejdzie do mego więzienia
 Oddać mi dla Niej stracone me życie!
 O bądź pochwalon, wiekuisty Boże,
 Że też się w końcu i złe skończyć może!
 O! ja nie będę umierał w rozpacz! —
 O bądź pochwalon.....

* * *

Hej! bracia, co znaczy,
 Że tak wśród pędu osadzacie konie?
 Dzień koczującą na pustyni łonie
 Wyście dostrzegli — wy z nią mówić chcecie!
 — Ruszajcież z miejsca — krok jeden już przecie!
 Z ciemnym tym czasu nie traćcie narodem!
 Wyszli mehu trochę uzbierać pod lodem;
 O niczem więcej nie słyszeli w świecie. —
 Czasem i Moskal w ich hordę się wbierze, —
 Lecz nie ufajcie — gorsze od nich zwierzę.
 Im się przynajmniej szczerłość w sercu plemi. —
 Czemuż tak długo mitręzycie z niemi? —
 O Bracia — Bracia!....

Przez powietrza ciszę
 Każde tam słowo wymówione słyszę. —
 Pytają moi: „Czy męczą się jacy
 „W tych murach czarnych skazani Polacy,
 „Za to że niegdyś im polska ich wiara
 „Nie dozwoliła uczcić Boga-Cara?“
 A głos wśród ludu jakiś odpowiada:
 „Tu jęczy tylko sprośny mord i zdrada!
 „Innych tam więźniów nie ma jedno tacy,
 „Co matkę — ojca zabili lub brata!“
 Kłamstwo! ach! kłamstwo — nie wiercie, rodacy!
 — I znów głos moich po nad śnieg ten wzłata:
 „Nie takich szukać my przyszli w te kraje; —
 „Polska jest świętą — świętym żywot daje!
 „Lecz matki — ojca lub brata morderca

„Niech tu w Moskiewskim dognije pogrzebie —
 „Bóg może zbawić takiego — lecz w niebie —
 „Polska na ziemi nie skłoni doń serca!“

* * *

Bracia! o bracia! — zaczekajcie chwilę!
 Ach! nie ściągajcie tak cugli ze wstrętem,
 By gród przeklęstwa bocznym minąć skrzętem.
 O! ja czekałem na was wieków tyle!
 Męczarniom wszystkim sprostało me życie!
 I pękł nad ziemią hart Moskiewskiej stali!
 I wieki przeszły — i wy nadjechali —
 I wy tak blisko — a mnie nie słyszycie!
 Jam ojca — matki nie zabił — ni brata!
 Jam nie kat żaden — Jam wróg był Wszechkata!
 Patrzcie — ja do was wyciągam ramiona!
 Tędy — a do mnie — tu mych lochów strona —
 Nie mogę pobiedz do was w mej bezsile —
 Ten łańcuch trzyma — stójcie jeszcze chwilę!
 Oto spróbuję — zwiędłe ręce moje
 Sił mych ostatkiem w żelaza te wpoję, —
 Będę je targał i kruszył po trosze. —
 Tylko wy stójcie — na Boga was proszę!
 Błagam o chwilę — błagam o pół chwili!
 Stójcie! — Ach biada! — już w bok się zwrócili
 I spięł konie; — czy nie posłyszycie?
 Obywatele! — ziomki! — dobrodzieje!
 Ja tu — tu jestem pod ziemią — tu skrycie!
 Zawróćcie nazad! — Boże, co się dzieje?
 Mgłą mi już wszystko — wzrok mój już nie może
 Tych ścian przebijać.....

* * *

O Boże! O Boże!

Znów tam po śniegu szorują kopyta —
 Coraz to ciszej śnieg szumi, lód zgrzyta,
 Odgłos tętentów głośnieje w oddali —
 — Nie już nie slychać — już mnie odjechali!
 Wszak ja nie marzę? — ach! czy to być może?
 Oni tu byli — moi własni byli —

Oni tu byli — i mnie zostawili
Śród ojcobójców — o zmartwychwstań porze!

* * *

Czy mnie słuch zmylił? — Nie koniż to rzenie? —
— Może czas jeszcze — a ja skrepowany!
Ha! czy nie wyrwę cię haku ze ściany?
Czy was, ogniwa, nierozodpierścienie?
Naprzód, wy piersi — naprzód, wy ramiona —
Tak! — o! tak, dobrze — lej się krwi czerwona!
— Może czas jeszcze! naprzód! — ach! daremno —
Coraz mi słabiej — w oczach już tak ciemno —
A nikt — nikt w świecie — nikt nie dopomoże!
I znów tak cicho — przestrzeń milczy wściekle!
Wszędzie spokojność w widnokreśnym piekle.
Gdzie wy jesteście? gdzie? — ach! czy to być może?
Oni tu byli — moi własni byli —
Moi tu byli — i mnie zostawili
Śród ojcobójców — o zmartwychwstań porze!
Wy bracia niby — nieprawda — wy katy!
Wy życia mego mi wzięli ostatki.
— Ach! czy ja ojca, albo własnej matki
Nie zamordował, gdzie, kiedy, przed laty —
I zapomniałem? — lecz wiedzieli oni!
I zostawili mnie w zatracen toni.
Nie! — ach! to nie to — co innego jeszcze
Wynajdź, o myśli! — w mózgu gdyby kleszcze —
Gdyby sztylety; — chyba po tych głazach
Tarzać się będę w tych zgrzytnych żelazach —
Sam zgrzytający. — Co się ze mną dzieje?
Wiem — znam — rozumiem — czuję — ja szaleję!

* * *

Gdzież ja znów jestem? — Znów ta lampa tłąca,
Znów za tą lampą noc lochów bez końca,
Znów to moskiewskie obrzydliwe łoże,
I nie — nie więcej — a Ty, — gdzieś Ty, Boże?
— Nie wiem. — Wiem tylko, że tu głowę złożę; —
Jak pies sam skończę — gorzej niż pies może.
Za co w wszechświecie mi być wdzięcznym komu?

W Cara mieszkalem — umrę w Cara domu!
 Innej jam w życiu nie doznał opieki! —
 Ach! znienawidzam wszystko w co ufałem!
 A już ma wola nie włada mem ciałem,
 I oczom moim tak ciężą powieki!

* *

Na dalszą mękę — z tych ziemskich katuszy —
 Żywej nie pragnę żadnej wynieść duszy.
 Miłości nie ma w świecie — ni za światem,
 Wszędzie szyderstwo, w którą pójdiesz stronę,
 Jak nieskończoność takie nieskończone.
 Ni Bóg gdzie ojcem — ni Anioł gdzie bratem,
 Niebieskie — ziemskie — jeden zawód — włości; —
 Ja się wyrzekam mej nieśmiertelności!
 Ona ból tylko w ból drugi przemienia —
 Mnie dość już złego — mnie dość już cierpienia —
 Ja chcę nicości — bo chcę Wybawienia.
 Zapomnij o mnie, o Ty, Stworzycielu!
 Z przepiekielnionych lat życia mych wielu
 Tę jedną prośbę wnoszę Ci przy zgonie:
 Niechaj nie będę — tam gdzie żywot płonie.
 Duch mój w wieczności niech bez śladu zginie
 Jak pamięć moja w mej polskiej krainie;
 Ach! nawet w Polsce nie będą wiedzieli,
 Na jakiej konam śmiertelnej pościeli —
 Nie będą nawet — że mi raz ostatni
 Ręki nie ścisnął żaden uścisk bratni!
 Polska! co? Polska! — prawda zmartwychwstała.
 Wszak prawda, Panie? — dziś już Polska cała
 Już na śmierć w pętach — jak ja tu, nie czeka!
 — Daruj więc, Ojczy, rozpaczy człowieka!
 Dzikim uniesion bluźniłem ja szalem —
 — Przebacz mi, Panie, ja Polskę kochałem —
 I Ciebie, Panie! nie siebie — nie siebie —
 Ona na ziemi żywa — a Tyś w niebie —
 A więc umieram błogosławiąc Tobie
 Na zawsze — wszędzie — przed grobem i w grobie. —
 Z Twojem i Polski umieram imieniem.
 Na tych mych ustach, co będą kamieniem

Za chwil już kilka. — Święta twoja wola!
 Święta Moskiewska ma długa niewola,
 Święta okropność mej samotnej śmierci,
 Gdy nierozdarta już więcej na ćwierci
 Ziemia mych ojców!.....

* * *

Dzięki, żeś w widzeniu
 Oczom ja moim pokazał na jawie; —
 Dzięki, Ci, Panie, że choć w tem więzieniu
 Jam tych oglądał, co służą w jej sprawie; —
 Dzięki Ci, Panie! — Otoś mi dał w darze,
 Że ludu mego ja zamknę cmentarze.
 Polskim ostatni trup w carskiej pieczarze!
 Dzięki ci, Panie! — ach! sił już tak mało —
 Klęknąć nie zdoła sterane to ciało.
 W krzyż składam ręce — gdzież już strona nieba?
 Tak czarno wszędzie — a po sercu jeszcze
 Krząta się — czuję — jakieś tchnienie wieszczę!
 Modlić się — modlić — modlić mi się trzeba
 O Polskę moją!.....

* * *

O Panie! O Panie!

Gdyś męczennicy Twej dał panowanie,
 Niech na tej ziemi — po raz pierwszy, ona
 Niepokonalne na ziemi — pokona!
 Czego nie mogły żadne świata Pany,
 Szlachta — ni króle — ni lud — ni mieszczańcy —
 Przemienne tylko — a równe — Tyrany,
 Skoro tryumfu im błysły mamidla; —
 Niech po nad czasu w dół rwące otchłanie
 Wyżej niż pokus i pych wszystkich sidła,
 Wyżej niż ślepe fał losu igranie
 Utrzyma w górze anielskie swe skrzydła!
 Daj jej na wieki wszechmiłości siłę!
 A jak zdeptała ciemności mogiłę,
 Zwycięży żyjąc — nietrawanie żywota!
 Nie — nie rozsypie się jak z krwi i błota
 Bryły państw wszystkich — bo w niej będzie cnota

I mądrość Twoja — a toć są okręgi
 Arcy-zwycięztwa i arcy-potęgi.
 Niech u narodów wszystkich się nazywa:
 Ta, która szczęściem narodów szczęśliwa,
 Więc nieśmiertelnie i władna i żywa! —
 Niech lśnią jej czołu sławiańskie korony,
 Niech w niej Twój Chrystus będzie uwielbiony
 Przez czyn na ziemi — przez Królestwo Boże!.....
 — Coraz mi ciszej — toż i śmierć już może —
 I owszem, Panie.....

* * *

Coś się miga — bieli!

W pierś mi się ulga nieskończenna leje —
 Smętne w pamięci tają życia dzieje —
 Harfy! — gdzieś harfy — widzę ach! Anieli!
 Harf takich ludzie nigdy nie słyszeli —
 O dobrej — dobrej mówią tylko wieści!
 Coraz mniej smutku, coraz mniej boleści —
 O Polsko! — dusza już moja nie ranna
 Gdzieści odpływa — Hosanna! — Hosanna!

K O N I E C.

T R E Ś Ć.

Irydion	1
Trzy Myśli	187
Syn Cieniów	197
Sen Cezary	203
Legenda	217
Przedświt	229
Psalm Przyszłości	277
Psalm Wiary	279
Psalm Nadziei	285
Psalm Miłości	293
Psalm Żalu	307
Psalm Dobrej Woli	329
Resurrecturis	339
Ułamek naśladowany z Glossy Św. Teresy	345
Dzień dzisiejszy	353
Ostatni	391

KONIEC TOMU DRUGIEGO.



INSTYTUT
BADAŃ INTERAKCYJNYCH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

